

W serii ukazały się:

EYELYN ANTHONY:

Kryjówka,

CAROL HIGGINS CLARK

Brylantowy legat,

MARY HIGGINS CLARK:

Pusta kołyska,

Jesteś tylko moja,

Zatańcz z mordercą,

Sen o nożu,

Przyjdź i mnie zabij,

Najdłuższa noc,

Zanim się pożegnasz,

Gdy moja śliczna śpi,

Syndrom Anastazji,

Na ulicy, gdzie mieszkasz,

Milczący świadek,

Córeczkatatusia,

Dom nad urwiskiem,

Krzyk pośród nocy,

Nie trać nadziei,

MARY I CAROLHIGGINS CLARK:

Przybierz dom swój ostrokrzewem,

PATRICIA CORNWELL:

Gniazdo szerszeni,

Krzyż Południa,

Czarna kartka,

IRIS JOHANSEN:

A wtedy umrzesz.

Czy północ wybije?

DAPHNE DU MAURIER:

Generał w służbie króla,

DORIS MORTMAN:

Dziewczyna z nikąd,

HILARY NORMAN:

A gdybym umarł.

Wsieci kłamstw,

Gra pozorów,

ANITA SHREVE:

Ostatni raz,

PAULLINA SIMONS:

Jedenaście godzin,

Czerwone liście,

HILARY NORMAN:

ŚLEPA TRWOGA:

Przełożyła Kinga Dobrowolska

Pruszyński i s-ka.

Tytuł oryginału:

BLINDfeAR

Copyright 2000 by Hilary NonnanAli Rights Reserved

Ilustracja okładce:

Piotr Łukaszewski

Redakcja:

Ewa Witan

Redakcja techniczna:

Małgorzata Kozub

Korekta:

Mariola Będkowska

Łamanie:

Ewa Wójcik

ISBN 83-7337-582-1

Dla Helen

Diament

Wydawca:

Prószyński i S-ka SA02-651 Warszawa, ul.

Garażowa 7

Druk i oprawa:

OPOLGRAF Spotka Akcyjna45-085 Opole,ul.

Niedziałkowskiego 8-12

Przesyłam wyrazy wdzięczności dla: doktora Hermana Asha, Howarda Barmada, Jill Berelowitz - za to, że podzieliła się ze mną odrobiną swego wspaniałego talentu i doświadczenia rzeźbiarskiego; Jennifer Bloch, Lynn Curtis, Sary Fisher - za życzliwe wskazówki i przyjaźń; dla organizacji Psi Przewodnicy dla Niewidomych - zwłaszcza dla Carol Alexander, Shaun Basham, Joy Gilbey i, rzecz jasna, dla cudownego Kirka; dla Gillian Grey - za to, że jest tak fantastyczną redaktorką; dla Jonathana Kerna (za wiele innych fantastycznych rzeczy); dla Janet Munday i Super Troopera; dla Herty Norman - pierwszej czytelniczki i krytykującej chyba tuzina książek; dla Judy Piatkus, za wspaniałe rady oraz mnóstwo innych wybitnych talentów; dla Otisa Richardsa i Opus 40; dla Jessiki Starr za jej mrówczą pracę oraz dla doktora Jonathana Tarłowa.

Jak zwykle, wszystkie postacie, sytuacje - oraz pogoda - są całkowicie fikcyjne.

Kiedy to się zaczęło, spał w ciasnej, ciemnej kryjówce.

Wślizgnąłem się do domu jakieś dwie godziny wcześniej w przekonaniu, że ni-kogo tu nie ma i że tak będzie przez resztę wieczoru, ponieważ właściciele wyszli na kolację z przyjacielem, a należeli do ludzi, którzy lubią posiedzieć do późna i nacieszyć się posiłkiem oraz winem; czasem nawet zostawiali samochód przed restauracją i wracali taksówką. Tak powiedział mi Książę: że będzie miał mnóstwo czasu na to, by dostać się do środka, rozejrzeć się w spokoju i wziąć, co trzeba.

Nie wiedział, dlaczego zmienili plany i wrócili w dziesięć minut potem, gdy wszedł -nawet nie miał dość czasu, by się dobrze rozejrzeć. Niewiedział dlaczego i niezbyt go to obchodziło.

Zobaczył zajeżdżający przed dom samochód i rozejrzał się, którądy by tu uciec.

Tyle że nie bardzo miał którądy - w każdym razie nie w ciągu najbliższych kilku sekund.

Zdażył jedynie znaleźć sobie kryjówkę, a o tym pustym miejscu między sufitem sutereny a podłogą pokoju dziennego dowiedział się z tego samego źródła o oknie zepsutym zamkiem -jak zawsze Książę podał mi wszystkie niezbędne szczegóły.

Znalazł właz, przecisnął się przez niego i zamknął w środku.

Nawet nie było tak źle, nie aż tak ciasno - małe pomieszczenie działały na niego tak bardzo jak na niektórych ludzi -więc wykombinował sobie, że posiedzi ukryty, aż mieszkańcy domu zasną, a potem się wymknie.

W najgorszym wypadku sam się zdrzemnie i poczeka, aż wyjdą rano do pracy.

Lubił myśleć sobie, że jest typem luzaka, nigdy łatwo nie wpadał w panikę, zawsze starał się rozpatrzyć kilka możliwych wyjść i wziąć pod uwagę różne ewentualności.

Pożar po prostu nie przyszedł mu na myśl.

Nie wpadł na to, że jakiś pieprzony idiota podpali ten cholerny dom podłoga pokoju nad jego kryjówką zawali się z hukiem, uniemożliwiając mu ucieczkę ani też że odgłosy alarmu przeciwpożarowego oraz płonącego ognia - Jezu Chryste, kto by pomyślał, że ogień potrafi tak diabelnie hałasować?
- zagłuszą wszelkie, krzyki tak dokładnie, że nikt nic nie usłyszy.

Po chwili dał sobie spokój z wołaniem o pomoc.

Wiedział już wtedy, że z tego nie wyjdzie.

Już nigdy nie będzie kradł, nie prześpi się z nikim, nie będzie jadł ani pił i nawet nie zostanie aresztowany.

Pomyślał o Księżu.

Księżę wścieknął się jak jasna cholera na ludzi, którzy nie usłyszeli jego krzyków.

Tak naprawdę to nie ich wina, ale Księżę wpadnie w szal.

Kiedy o tym pomyślał, prawie zrobiło mu się ich żal.

Oczywiście nie tak bardzo jak siebie samego.

Nad głową huczał mu ogień wył przenikliwie alarm, więc znów chwycił go strach, wykręcił wnętrzności i sprawił, że ponownie zaczął wrzeszczeć ile sił w płucach i walić w sufit schronienia, które miało się stać jego trumną.

Nachwilę strach ośwładnął nim całkowicie, napędzając serce, mózg i całe ciało - ale potem, po kilku minutach, znów zelżał.

Nieoczekiwanie zaczął się zastanawiać, czy najpierw zacząć siedzieć czy palić, a potem przypomniał sobie, że wcale nie musi się o tym przekonać, bo ma przy sobie trochę hery najlepszego gatunku, którą Księżę kazał mu chować na specjalne okazje.

W przypływie wisielczego humoru doszedł do wniosku, że lepsza okazja już mu się nie trafi - a słyszał, że umieranie jest także złe, jeśli człowiek szybuje akurat gdzieś w okolicach Jowisza.

Szybko zajął się sobą.

W tych sprawach był ekspertem, ale nie miał ochoty nieschrzanić akurat w

takiej chwili.

Nie miał chęci przekonywać się na własnej skórze, jak to jest, gdy człowiek smaży się żywcem- nie, nato nie miał zupełnie ochoty.

Teraz już wiedział, że wszystko, co słyszał o umieraniu, to prawda.
Cholera, cholera, cholera jasna- wszystko to prawda!

Czwartek, 7 maja

W ciemnej piwnicy jednego z domów przy spokojnej bocznej uliczce niedaleko Glasco Turnpike w okręgu Ulster w stanie Nowy Jork leżała nastole młoda kobieta, pogrążona w mrocznym świecie, znajdującym się gdzieś głębiej niż naturalny sen.

Książę przyłożył na chwilę prawą dłoń do miękkiego, płaskiego brzucha kobiety.

Poczuł gładkość skóry, a odrobina ciepła, którą wydzielala, przepłynęła jak ciepła moc w jego ciało i krew, sunąc przez palce i przeigub w stronę łokcia.

' Kobieta pachniała drzewem sandałowym.

Książę zawsze najpierw ich kąpał.

Potem także.

Ta młoda kobieta cała wydawała się równie piękna.

Dlatego nie umiał określić, która część jej ciała była najbardziej idealna.

Przymykając oczy, Książę przeciągnął palcami po jej głowie, wyczuwając zwartą, małą czaszkę pod delikatnymi, wilgotnymi włosami, które przedtem były długie, a które z powodów praktycznych ściał nakrótko.

Przeciągnął palcami w dół, po smukłych ramionach, wyczuwając pod opuszkami łopatek, potem zjechał po prawym ramieniu i ujął dłoń, ten cudelastycznie połączony kciuk.

Następnie dotknął klatki piersiowej.

Obojczyki, mostek, biust, żebra.

Zręcznie, ostrożnie, przewrócił kobietę na brzuch i przesunął dłoń wzdłuż kręgosłupa, licząc kręgi, podziwiając ich ułożenie i symetrię

podrodzede kości krzyżowej i ogonowej.

Potem przerzucił jąz powrotemna plecy i zszedł palcami niżej.

kość udowa, rzepka, piszczel, strzałka.

I nagle wiedział już, że znalazł to, czego szukał.

Lewa kostka i stopa byływprost niezwykle, wprawdzie podeszwa zrogowaciała,tak więc z wierzchuniedoskonała, lecz kości w środku przewspaniałe.

Delikatnie, bo mimo narastającego podniecenia wiedział, że

13.

musi być ostrożny, Księżę zbadał wszystko dokładniej: ścięgna, mięśnie i więzadła.

Krew uderzyła mu do głowy.

Często mu się zdarzało przytakich okazjach.

Kiedy dokonał wyboru.

W ciemnościach miał niezmiernie wyostrzony dotyk.

Przycisnął mocniej palcami jej skórę, bo musiał zyskać pewność: badał zbędną tkankę włóknistą i tłuszcz, żeby odpowiednio poczuć i napiąć kość piętową, skokową, łódkowatą, klinowatą, stopową oraz kości śródstopia.

Młoda kobieta poruszyła się lekko i wydała cichy jęk.

Księżę zabrał się do pracy.

3

Piątek, 26 czerwca

Gdy Joanna przypomniała sobie, kiedy pierwszy raz usłyszała o Jacku Donovanie, nieodmiennie przychodził jej na myśl szum deszczu. Angielskiego wczesnoletniego deszczu, stukającego o okienne szyby i kapiącego do wiadra, ustawionego na podłodze w kuchni Merlin Cottage. Rufusi i Sophia leżały w pobliżu wiekowej kuchenki, w której dochodziła z wolna zapiekanka z mięsa i ziemniaków, gdy ona słuchała przez telefon obcego, amerykańskiego głosu.

- Czy to pani Joanna Guthrie?

- Tak.

Większą część popołudnia spędziła w ciemni, wywołując zdjęcia ślubne jednego z klientów, a przed ten czas wiadro wypełniło się prawie do połowy.

Teraz, czekając aż ten ktoś się przedstawi, obserwowała, jak popowierzchni wody rozchodzą się malutkie kręgi od kolejnych spadających kropel.

- Nazywam się Mel Rosenthal.

Pani mnie nie zna, ale zna mnie Sara Hallett.

Nazwisko Sary przyciągnęło uwagę Joanny.

Oderwała wzrok od wody.

- Jest pani znajomą Sary?

- Niezupełnie, ale jest nim mój klient, Jack Donovan.

- Klient?

- Pozwoli pani, że wyjaśnię w czym rzecz, pani Guthrie.

Kiedy skończyły rozmawiać, siedziała przez chwilę, rozmyślając o prośbie Mel Rosenthal.

Dziwaczność tej prośby sprawiła, że Joanna

14

nie wiedziała, co ma o tym wszystkim sądzić.

Czuła się także lekkopierytowana.

Gdyby nie to, że w sprawę wmieszana była Sara, z miejsca by odmówiła.

Ale w tej sytuacji, choć wiedziała, że koniecznie odmówi, nie chciała okazać się niegrzeczna, a poza tym pragnęła najpierw zapytać Sarę o tę panią Rosenthal, agentkę z Nowego Jorku oraz jej "klienta", Jacka Donovana.

Było coś w tym słowie, co odruchowo wywoływało u Joanny negatywną reakcję - irytowała ją, że ów Donovan nie pofatygował się, żeby zadzwonić do niej osobiście.

Już samotnie przemawiało na jego niekorzyść, gdyż albo był zbyt zajęty,

albouznał się za zbytważną personeę, albo - i to byłoby najgorsze - traktował tę sprawę jak

czysty interes, który należy załatwić przez osoby trzecie, w tym wypadkuprzez agentkę.

Joannausiadła na podłodze między Rufusem a Sophia, a oba owczarki niemieckie zaraz podniosły wielkie łby i złożyłyje na osłoniętych dżinsami udach, jak dwieokładkiksiążki.

- To nie jestwcale interes, prawda, mojeskarby?

Rufus, starszy od Sophii o cztery lata, ale wcale nie mądrzejszy,sapnął tylko w odpowiedzi, Sophia zaś wbita w twarzJoanny ślepiea kolorupłynnego bursztynu.

- Ludzie tego pokroju dziwią was,prawda?

- mówiła Joanna.

Sama, wbrew sobie, nie mogła przestać się zastanawiać nad tym Jackiem Donovanem.

Jestrzeźbiarzem.

Podobno nawet wielkimrzeźbiarzem, chociaż możliwe, że agentka nie była obiektywna.

Mel mówiła także, że jest niewidomy i potrzebuje psa przewodnika.

I wszystkobyłobywporządku, gdyby nie to, że Donovan mieszkał w Nowym Jorku, a Joanna i jejpsy - w hrabstwie Oksford w Anglii.

- Przecież macie tam u siebie tę wspaniałą organizację.

-Tak, wiem- przerwała jej Amerykanka.

- Ale panuDonovanowinie układało się z nimi najlepiej.

- A dlaczego?

- Z wielu przyczyn.

Wykręty tej kobiety także działały Joannie na nerwy, chociaż nie aż tak bardzo jak to, że Jack Donovan nie tylko gotów był narazić młode, wrażliwe zwierzę na trudy i napięcia tak dalekiej podróży lotniczej, ale nawet nie potrafiłby zapewnić mu godziwej egzystencji po przylocie. Według Mel Rosenthal Donovan przemieszczał czasem na Manhattanie, a czasem gdzieś w głębi stanu, a ten tryb życia dla wielu psów może się okazać zbyt stresujący.

- Właśnie dlatego mam nadzieję - tłumaczyła agentka - że pani mo-

15.

głaby przywieźć psa osobiście i na miejscu przeprowadzić odpowiednie szkolenie.

- To zupełnie niemożliwe - oznajmiła jej Joanna.

- Pomijając już wszelkie inne względy, poprostu mnie na to nie stać.

- I właśnie dlatego pan Donovan gotów jest zapłacić sporo powyżej ceny za któregoś z pani psów - Mel Rosenthal gładko weszła jej w słowo

- jak również zobowiązuje się hojnie pokryć koszty podróży oraz wypłacić stosowne wynagrodzenie za pani czas.

Prawdę mówiąc, pani Guthrie

- proszę mi wybaczyć zbytnią szczerość - Sara Hallett zdaje się sądzić, że w pani sytuacji nieroztropnie byłoby odrzucić podobną propozycję.

Joanna nie wybaczyła jej wcale, a co więcej, nie wybaczyła też Sarze takiego braku dyskrecji - rozpowiadała o jej prywatnych sprawach dwóm całkiem nieznanym Joannie osobom.

Niemniej nie miała ochoty werbalizować swego niezadowolenia w e-mailu do Sary, bo zapiekanka była już gotowa i w każdej chwili do kuchni mogli wejść przyciągnięci zapachem Kit lub Miriam - jej sublokatorzy - w nadziei na poczęstunek.

Z pozoru Joanna żyła samotnie, odkąd owdowiała w wieku trzydziestu lat, lecz dzięki sublokatorom, których przyjęła do domu trzy lata temu, nie miała zbyt wiele czasu ani zbyt wielu okazji, by kontemplować swój los.

Poza nocami, kiedy kładła się do łóżka.

Wtedy czuła mocno dotkliwie brak ciepłego, krzepkiego męskiego ciała, które leżałoby tuż obok niej- choć ciało Philipa pod koniec przestało być już krzepkie, no i zwykle byłomu tak zimno, że to ona, która dawniej liczyła, że mąż rozgrzeje jej zmarznięte stopy i dłonie, stała się ludzkim termoforem w tym związku.

Ułożyła więc i wysłała e-mail dopiero późnym wieczorem, gdy razem z Kitem zjedli już i pozmywali, i kiedy wyprowadziła psy na ostatni przedśni spacer.

Utrzymała listw dość łagodnym tonie, wszelkie przejawy irytacji koncentrując wyłącznie na pani Rosenthal i jej "kliencie", w trakcie pisania zaś uświadomiła sobie, że najbardziej ciekawiją, co może łączyć Sarę z Donovanem.

Joanna darzyła Sarę Hallett ogromnym szacunkiem oraz ciepłą życzliwością.

Jak przypuszczała, i ją także można było nazwać jej klientką, ponieważ to właśnie Joanna wyhodowała i wytresowała jej psa, Junonę, stosownie do bardzo specyficznych potrzeb Sary, jak również wykonała zdjęcia na okładki jej trzech ostatnich książek.

Sara, autorka książek dla dzieci, w następstwie infekcji wirusowej ogłuchła we wczesnym dzieciństwie, na domiar złego mocno niedowidziała z powodu barwnikowego wyrodnienia siatkówki.

Z czasem oślepnie całkowicie, lecz obecnie pozostawała jej jeszcze bardzo zawężone centralne pole widzenia.

Junona,

16

owczarek niemiecki, pełniła zatem owiele więcej obowiązków niż

innepsy prowadzące ociemniałych, gdyż oprócz tego, że była przewodnikiem przy wychodzeniu z domu, musiała dawać znać Sarze, kiedy odzywał się wszelkie dzwonki, alarmy oraz inne istotne dla niej dźwięki.

Miałam ochotę - pisała Joanna w swoim e-mailu - po prostu odmówić niewracać więcej do sprawy, ale ponieważ agentka utrzymywała, że ten facet jest Twoim bliskim znajomym, doszłam do wniosku, iż najpierw powinnam Cię o niego zapytać.

Musicie pozostać w dużej zażyłości, skoro opowiedziałam mu o stanie moich finansów.

A przy okazji wolałabym, żebyś tego nie robiła.

Sara już następnego ranka odpowiedziała e-mailem, w którym zapraszała ją na lunch, podwieczorek lub kolację w ciągu najbliższych czterech dni.

Ponieważ w hotelu Oksford, w którym Joanna dorabiała na pół etatu jako recepcjonistka, nie potrzebowano jej aż do jutra, zdecydowała, że jeszcze tego samego popołudnia przejedzie swym starym range roverem pięć mil, jakie dzieliły ją od domku Sary w Shipton-under-Wychwood.

- Wiedziałam, że ciekawość nie pozwoli ci zwlekać - powitała ją Sara w swój powolny, monotony i czasem trudny do zrozumienia sposób, który tak bardzo pasował do przypominającego żywe srebro temperamentu.

- Wiedziałam, że Donovan cię zaintryguje.

Minęło sporo czasu, odkąd widziały się po raz ostatni, więc Joanna szybko zorientowała się, że słaby wzrok Sary znacznie się pogorszył, a tunel, przez który oglądała świat, bardzo się zawęził.

Zdradzały to mocnopo głębione linie wokół jej ślicznych ciemnych oczu, wyrzeźbione na skutekwysiłku przyskupianiu wzroku; Sara ścięła też włosy na krótko, nadając im fryzurę, którą można było utrzymać bez zbytnich zabiegów.

Zagraconedotąd pokoje gwałtownie opustoszały, zniknęłyurocze dywanikiz przedpokoju isalonu, a na jednym ze stolików leżały dwie wielkie książkidrukowane wklęsłymi znakamiMoona, które choć obszerniejszei mniej poręczne niż książkidrukowanebrajlem, były bardziej pomocnedla tych, co dawniej mogli czytać normalnie.

Joanna zrozumiała, żeSara przyzwyczajają się już do tego, że utraci resztki wzroku, i mimo że samowsobie byłoto smutne, to jednak liczył się fakt, że przygotowuje się i stara w miarę możliwości zachować niezależność, swoje dotychczasowe ja.

- Musisz pomóc Donovanowi - oznajmiła teraz Joannie, gdy rozkoszowały się w salonie herbatą ze śmietanką.

Na kanapie obok nich jeżyła się elegancko Junona.

- On naprawdę potrzebuje twej

pomocy.

- Nie mogę mu pomóc - odparła Joanna pilnując się, by jej twarz przez cały czas pozostawała w zasięgu wzroku przyjaciółki i wykonując jednocześnie odpowiednie znaki językiem migowym.

Po tylu latach pracy z niewidomymi i niedowidzącymi ludźmi musiała przyswoić sobie język migowy, podobnie jak alfabet Moona czy - w nieco mniejszym stopniu - alfabet Braille'a.

- Mieszka o tysiące mil stąd.

- Oczywiście, że możesz.

Jedź tam.

U nich nie obowiązuje kwarantanna dla zwierząt.

- Dlaczego nie może się porozumieć z organizacją Psi

Przewodnicydla Niewidomych?

Agentka, nie bardzo chciała mi to wyjaśnić.

Sara się uśmiechnęła.

- Lubię Mel.

Jest trochę nadopiekuńczaw stosunku do Donovan, więc pewnie obawiała się, że jeszcze za wcześnie na zbytnią szczerość.

Joanna się zachmurzyła.

- Jaką szczerość?

- Opowiadanie o tym, że kiedy ostatnio Donovan przebywał w jednym z ośrodków tresury, upił się i zdemolował pokój.

- Sara na chwilę zawiesił głowę.

- Brzmiało znacznie gorzej, niż zapewne wyglądało.

Mówił, że połamał krzesło, rozbił doniczkę i że nie był wtedy przynim ani ludzi, ani psów.

Joanna była przerażona i zgorzonna.

- To jakiś straszny typ.

-Tego akurat nie można o nim powiedzieć, Jo.

- Sara znówsięśmiechnęła.

-W tamtym czasie miał problemy ze sobą.

Onsam pierwszy to przyzna.

- Mimowszystko - Joanna była terazbardziej przeciwna temu przedsięwzięciu niż kiedykolwiek przedtem - chyba nie sądzisz, żechoćby wezmę pod uwagę możliwość wysłania psa za Atlantyk po to, by zaspokoić kaprys neurotycznego i rozpieszczonego artysty.

A jeśli nic ztego niewyjdzie?

Pies będziemyśiałwrócić i przechodzić kwarantannę.

- Zdecydowanie pokręciła głową.

-To wykluczone.

Saraodczekała w milczeniukilka chwil, bawiąc się w zamyśleniu uszami Juno, podczas gdy Joanna smarowała dżemem truskawkowym i bitąśmietaną jęczmienny placuszek.

- Nie mówię, że nie masz racji,Jo - odezwała się w końcu.

- Alechciałabym, żebyśdowiedziałasię czegoś więcej o Donovanie, zanim podejmiesz ostateczną decyzję.

Mogę cię zapewnić, że nie jest ani neurotyczny, ani rozpieszczony.

Joanna przełknęła kęs placka i podniosła oczy naSarę.

- W porządku powiedziała i pokazała jednocześnie.

- Już słucham.

18

Większość psów, jakie oferuje się w Wielkiej Brytanii osobom

niewidomym i niedowidzącym, pochodzi z organizacji Psi Przewodnicy dla Niewidomych.

Joanna przez sześć lat pracowała i tresowała psy dla tej instytucji, najpierw zajmując się zwierzętami hodowanymi w specjalnych ośrodkach, a następnie jako trener terenowy psów przewodników szkoliła adeptów oraz przyszłych właścicieli psów.

Potem u Philipa wykrytoraka, więc, chcąc spędzać więcej czasu w domu, sama zaczęła hodować owczarki niemieckie, które oboje uwielbiali.

Jedno jest pewne, myślała, jadąc samochodem z powrotem do Burford: gdyby Sara nie została autorką książek dla dzieci, mogłaby być doskonałym sprzedawcą.

Wedle jej słów Jack Donovan - mało że rzeźbiarz, to jeszcze świetny nauczyciel - może nie odpowiada powszechnym wyobrażeniom mężczyzny idealnego, lecz jej zdaniem nikt bardziej od niego nie zasługuje na pomoc Joanny, jeśli wziąć pod uwagę, że w tragicznych okolicznościach utracił dwóch psich przewodników, jednego podругim. Pierwszy, golden retriever, po dziesięciu latach wspólnego życia zginął w pożarze domu, pozostawiając swego pana pogrążonego w żalu;

u drugiego, którym miał go zastąpić, wykrył śmiertelny nowotwór, kiedy pies miał zaledwie trzy lata - awtedy rzeźbiarz porzucił pracę artystyczną i dydaktyczną, żeby pielęgnować zwierzę aż do śmierci.

-Donovan był niepokieszony, a zarazem zachowywał się lekko irracjonalnie - wyjaśniała Sara, kiedy skończył podwieczorek.

- Zachowywał się tak, jakby oboje psy zdechły z jego winy, co jest oczywiście nieprawdą.

Niemniej przez ponad dwa lata nikt nie mógł przekonać, żeby wziął

sobienastępnego przewodnika.

Udał się na ponowne szkolenie jednego z ośrodków, ale był wprost niewiarygodnie spięty i w końcu się upił, no a potem tak się wstydził, że już nie pozwolił, aby dano mu kolejną szansę.

Rok później, podczas podróży po Anglii, Donovan zobaczył psa Sary, Junonę, i wrócił do domu, nie mogąc wyzwolić się od wspomnień o tym niezwykle mowczarkuniemieckim.

Odtąd tego czasu nieustannie wysyła do Sary e-maile, w których zadaje jej tysiące pytań na temat Joanny Guthrie i jej podopiecznych.

- Jest wreszcie gotów na kolejnego psa - mówiła Sara - ale tylko takiego, którego wyhodowała i ułożyła Joanna Guthrie.

- To nonsens - odrzekła Joanna.

- On tak nie uważa.

- Sara zamilkła na chwilę.

- Z Donovanem niezawsze łatwo się dogadać.

Nie lubi wielkich organizacji, czasem za dużo pije i zbyt obsesyjnie pracuje

- ale nikt - mówię poważnie: nikt - nie traktuje psów z większą wrażliwością i rozsądkiem.

- Hm.

- Joanna była poruszona tym, co usłyszała, lecz bynajmniej nie czuła się przekonana.

- Chciałabym, abyś to przynajmniej przemyślała, Jo.

Gwarantuję ci, że niepożałujesz.

- Tego akurat niemożesz zagwarantować.

- Mogę.

- Sara wzruszyła ramionami.

- W zasadzie mogę, bo znam Donovaną.

Wtedy właśnie po raz pierwszy w głowie Joanny zagościła pewna myśl.

- Czy ty aby nie jesteś w nim zakochana, Saro?

Aprzyjaciółka, która przez wszystkie lata ich znajomości ani razu się nie przyznała, że jest w kimś zakochana, uśmiechnęła się nieco tęsknie.

- Każdy, kto zna Donovanę, jest w nią trochę zakochany.

- Znowżawiesiła na chwilę głos.

- Jest jeszcze jedna rzecz, którą niemal mogę zagwarantować, Jo.

Gdy tylko na niego spojrzysz, będziesz chciała go sfotografować.

Nawet jeśli nic, codo tej pory powiedziała Sara, nie dołądo odpowiednio nastawić Joanny, to z pewnością dokonały tego jej ostatnie słowa.

4

Niedziela, 28 czerwca

Pod osłoną lasu i mroku Książę stał nad krawędzią grobu, zadowolony, że znowż ma za sobą tę część procesu.

Zawsze zaczynało się i kończyło doskonałością - ale między jednym a drugim trzeba było radzić sobie ze sporą dozobrydoty.

Zbyt dużą.

Ale Książę zdołał się już nauczyć, że aby przetransponować jeden rodzaj piękna na inny, trzeba znieść różne niedogodności - wiedział o tym i zdołał się z tym pogodzić.

Mimo wszystko jednak kiedy pozbył się już szczątków, zawsze odczuwał ulgę.

Tym razem posłużyła mu do tego celu spokojna, ukryta polanka. Grób był wypełniony, ziemia syta, czas więc ruszać dalej.

Książę znalazł już nowe miejsce.

Lepsze od tego, nieskończenie bardziej odpowiednie, a jego naturalną stosowność podwajała jeszcze błogosławiona ironia.

Nie trzeba było żadnych przygotowań - po prostu czekał z otwartymi ramionami na następny raz.

20

Nie wiedział, gdzie i kiedy zdarzy się ów następny raz, wiedział jedynie, że nastąpi na pewno.

Niektórych rzeczy zawsze można być pewnym.

5

Poniedziałek, 29 czerwca

Jack Donovan przebywał w swoim mieszkaniu na Manhattanie, kiedy zatelefonowała Mel Rosenthal, by mu powiedzieć, że Joanna Guthrie zadzwoniła z pewną propozycją.

- Wydaje jej się, że mogłaby mieć idealnego psa dla ciebie.

Donovan rozparł się wygodnie w ulubionym skórzanym fotelu w bibliotece,

pałac cygaro, i słuchał, jak Jagger z resztą chłopaków grają "Brown Sugar". Teraz jednak wziął do ręki pilota, wyłączył muzykę, wyjął z ust cygaro i usiadł wyprostowany.

- Jesteś pewna?

- Akcent położono na "wydaje jej się" - oznajmiła mu Mel.

- Zwierzę, o którym myśli, ma dwa lata, a ona twierdzi, że choć zazwyczaj togrubozą późno, by rozpocząć szkolenie na przewodnika, to tenpies jestwyjątkowy.

- Wszystkie są wyjątkowe - wtrącił Donovan.

- Nic o tym nie wiem - odparła Mel.

- Nigdy nie miałam psa.

- No i co teraz?

- Teraz musisz polecieć do Anglii, żeby się z nią spotkać - z tą Guthrie

- no i z psem.

Mówi, że musi cię ocenić - cokolwiek to znaczy - i że musi

was poobserwować razem przez co najmniej tydzień, żeby się przekonać, czy do siebie pasujecie.

Tłumaczyłam jej, że ty pasujesz do każdego psa, ale odpowiedziała mi, że to niezbędny warunek.

- Ma rację - uznał Donovan.

- A więc polecisz?

- To owczarek niemiecki, tak?

Jak ten Sary?

- Tak, to owczarek niemiecki - odrzekła Mel.

- Nie pytałam, czy jest podobny do psa Sary.

Tak czy owak, ty i tak uważasz, że każdy pies jest inny.

- Botak jest - odparł Donovan.

- Są jeszcze jakieś inne warunki?

- Pani Guthrie mówi, że nawytresowanie psa w Anglii będzie potrzebowała trzech miesięcy, a potem, jeśli wszystko pójdzie dobrze, gotowa

21.

jest przylecieć z nim do Stanów i zająć się przeszkoleniem was obojga natwoim terenie - ale jeśli tylko dojdzie do wniosku, że coś nie układa się takjak powinno, będzie musiała znaleźć dla Sophii inny dom w Stanach z powodu tych ich zwariowanych przepisów o kwarantannie.

- Dla Sophii?

- powtórzył pytającoDonovan.

- Wygląda nato, że tak się wabiten pies- wyjaśniła Mel.

Donowan odłożyłsłuchawkę, włożył cygaro do ust, zaciągnął sięioparł wygodnie,przymykając oczy.

- Sophia - powiedział do siebie cicho.

Ostatnimi czasy Jack Donovan bał się niewielu rzeczy.

Kula, któraodebrałamu doskonałyprzedtem wzrok, została wystrzelonaw panice -jak późniejpoinformowała go policja -przez przerażonego młodego człowieka, uciekającego z miejsca nieudanego napadu nabank w Filadelfii. Osiemnastoletni wówczas Donovan także wtedy biegł, bo spóźnił się nawykład o Bransim.

Kula napastnika odbiła się rykoszetemod kamiennej ściany i ugodziła go w głowę, stąd później wszyscy lekarze mówili mu, że miał wielkie szczęście - bo gdyby dosięgłagobezpośrednio, byłbymartwy, a nie tylko ślepy.

Sporo czasu musiało minąć, żeby Donovan - początkujący rzeźbiarz -zdołał się pogodzić z takim punktem widzenia.

Niemniej jakoś ciągnął dalej, żył, pracował, a nawet - dzięki pomocyrodziny, przyjaciół, doradców, nauczycieli i wreszcie upływu czasu - nauczył się na nowokochać życie.

Skończył szkołę i ku żalowi rodzicówprzeniósł się doNowego Jorku, gdzie

poślubił psychoterapeutkę Gretę Levin i wprowadził się do jej mieszkania na Upper East Side.

Po upływie roku Greta obwieściła, że nie da się z nim żyć, i kazała mu się wyprowadzić, przyjmując na jego miejsce adwokata od spraw rozwodowych.

Potrzech kolejnych związkach i dwóch udanych samodzielnych wystawach Donovan doszedł do wniosku, że Greta chyba miała rację.

Ponieważ nadal zakochany był w Manhattanie, lecz jednocześnie dręczyła go klaustrofobia, oddał się w ręce agentki, Mel Rosenthal, i razem ruszyli na poszukiwanie przestrzeni oraz świeżego powietrza, gdzieś stosunkowo niedaleko miasta.

Niemal natychmiast natrafił na Gilead Farm - nadal nazywanej farmą, choć obecnie było to jedynie dwadzieścia pięć akrów ziemi pomiędzy Rhinebeck a Red Hook w okręgu Dutchess w stanie Nowy Jork.

Posiadłość należała do hodowcy koni, człowieka bogobojnego, który nadając jej nazwę, miał podobno oświadczyć, że skoro Gilead było stosownym miejscem dla proroka Eliasza, jemu też powinno wystarczyć.

22

Donovan odsprzedał ponad połowę gruntów, zatrzymując sobie dziesięć akrów oraz kompleks starych stodół i budynków gospodarczych, a także cudowny kamienny dom z osiemnastego wieku.

Mel i pośrednik opisali mu to wszystko najlepiej, jak umieli, ale chciał "zobaczyć" farmę osobiście, więc spędził całe godziny na dotykaniu, wąchaniu i przysłuchiwaniu się - uparł się nawet, by przystawiono mu drabinę, żeby mógł wyrobić sobie w myślach dokładniejszy obraz dwóch kamiennych kominów.

I tak właśnie powstała Szkoła Jacka Donovana, a jej główną siedzibę stanowiła Gilead Farm - miejsce, gdzie tworzył, uczył i mógł przejść samodzielnie kawałek po własnych polach nie być otoczonym przez co najmniej kilku życzliwych i chętnych do pomocy obcych, jeśli się potknął i upadł na tyłek.

Ostatnimi czasy Donovan pogodził się już z myślą, że życie pod wieloma względami okazało się dla niego łaskawe.

Miał swoją sztukę, głośne nazwisko, studentów, dwa domy i dwa odrębne style życia, które pomagały mu emocjonalnie utrzymywać się w ryzach. Swoją działalność artystyczną związał z farmą.

Kiedy tam przebywał, pograżał się w niej niemal całkowicie: rzeźbił, uczył, pracował ramię w ramię z Lambem, czerpiąc pożywkę ze szczególnego geniuszu i wielkoduszności tego człowieka.

Murdoch Lambert III (dla przyjaciół Lamb) -

pięćdziesięcioletni, który uciekł odzony i enklawy białych anglosaskich protestantów w Rhode Island - miał dzięki Bogu tyle pewności siebie, że potrafił podporządkować swój własny talent pracy niewidomego rzeźbiarza.

- Wiesz, że on się w tobie kocha - powiedziała raz Donovanowi Chris Chen, administratorka szkoły.

- Nonsens - odpowiedział ten ostro.

- Lamb to mój kolega po fachu jeśli darzy mnie jakimś uczuciem, to raczej braterską przyjaźnią.

Mieszkanie w Nowym Jorku, przy ulicy Pięćdziesiątej Szóstej Zachodniej stanowiło dlań drugi, lecz nie mniej istotny rodzaj egzystencji. Popierwsze, było to miejsce, gdzie dosłownie nie dało się pracować, a

zatem zmuszony był wieść tam bardziej normalne życie.

Można było odnaleźć w nim ślady Jacka-rzeźbiarza: w mieszkaniu i na tarasie stało kilkadziesiąt wcześniejszych prac, lecz nie było tu pracowni.

Brajlowska biblioteka, komputer z głośnikami, podłączony do brajlowskiej drukarki, doskonały pod każdym względem odtwarzacz, połączony z systemem głośników w każdym pokoju, a także dobrze zaopatrzony barek (dobrze zaopatrzony w opinii Jacka Donovana to taki, w którym znajdziesz niezły zapas dobrej whisky 01' Single Barrel Jacka Daniela) oraz skrzy-

23.

neczka do przechowywania cygar w odpowiedniej wilgoci (kolejny niezdrowy nałóg, ale nie miał zamiaru nawet brać pod uwagę ewentualności, że mógłby się rozstać z tym smakiem, dotykiem, aromatem, a nawet tym dźwiękiem, jaki wydają!

) zaspokajały większość jego potrzeb w tymakurat domu.

Jakiś dziennikarz zapytał kiedyś Donovana, dlaczego tyle czasuspędza w mieście.

- Hałas, zapachy, ludzie -odpowiedział wtedy.

Uwielbiał miejskie chodniki w godzinach szczytu, ten napór tłumu i leciutki dreszczyk, jaki daje poczucie, że jest się otoczonym przez pędzących w pośpiechu hordyludzi, muskających lub trącających go w biegu, niezwracające szczególnej uwagi na niewidomego, w przeciwieństwie do bardziej cywilizowanych mieszkańców małych miasteczek i wiosek w głębi stanu.

Większość czasu w mieście spędzał w restauracjach i delikatesach, w barach i kinach.

Czuł na sobie zaskoczony spójrzanie ludzi, kiedy stawał w kolejce do kasy biletowej, lecz uwielbiał sale kinowe, ich zróżnicowanie -stare, ciasne i zawilgocone, a także te nowe, z doskonałym systemem nagłaśniającym.

Rozsiadał się wygodnie w fotelu, słyszał cichnące szepty i czuł pełne napięcia oczekiwanie, kiedy gasły światła, a potem wędrował własną ścieżką przez świat opowieści o miłości i grozie, oglądając obraz na ekranie własnej wyobraźni.

W kinach i ogólnie na Manhattanie Donovan czuł się wtopiony w tłum, choć nigdy nie przestał tęsknić za swoimi ipsami.

Za Waldem, ukochanym towarzyszem przez prawie dziesięć lat, którego strasznym końcem nie potrafiłmyśleć bez bólu, i za Jade, łagodną suką, która przez tak krótki czas służyła mu jako przewodnik.

Zanim dostał Walda, nigdy nie chciał mieć psa.

W tamtych czasach mieszkał wyłącznie w mieście i nie podobała mu się myśl, by trzymać duże zwierzę w tym zamkniętym świecie betonu, stali i szkła.

Poza tym, jak większość niewidomych, od samego początku świetnie sobie radził długą laską, nigdy też nie narzekał na brak przyjaciół, którzy chętnie mogli służyć mu za widzących przewodników - dlatego zresztą tak dobrze poradził sobie po śmierci Jade.

Tylko że - jak przypomniała Jackowi Sara Hallett - psy dawały coś, czego niezapewni żadna laska.

A potem zaprezentowała mu swoją niezwykłą Junonę, którą ta jakaś Joanna Guthrie wytresowała tak, by służyła Sarze jako oczy i uszy.

Ostatnimi czasami niewiele rzeczy przerażało Donovana, to prawda. Niemniej to właśnie strach powstrzymywał go wcześniej przed zaspokojeniem owej potrzeby.

Kochał Walda i Jade, robił co mógł, żeby się nimi dobrze opiekować, ale oba psy umarły - acz gorsza, oba się nacierpiały.

24

"To nie twoja wina" - słyszał nieraz od życzliwych sobie osób, a wewnętrzne poczucie logiki mówiło mu, że ma ją.

Lecz miłość oraz poczucie winy i straty niewiele mają z logiką wspólnego.

Teraz gotów był spróbować jeszcze raz, postanowił lecieć do Anglii i spotkać się z Joanną Guthrie i jej Sophią oraz zrobić, co w jego mocy, żeby

się powiodło.

Niemniej nadal obawiał się, że zawiedzie kolejne zwierzę.

Jack Donovan przez lata zawiódł już wielu ludzi, ale ludzie, ogólnierzecz biorąc, potrafili sobieradzić bez niego.

Zawieść psa to coś milion razy gorszego.

Przerażało go to śmiertelnie.

6

Czwartek, 9 lipca

- A więc jak brzmi werdykt?

- zapytała Sara.

- W jakiej sprawie?

- Nie udawaj tępej, Jo.

Joanna uśmiechnęła się i pokazała znak "przepraszam".

Nie minęła jeszcze nawet minuta, odkąd Donovan udał się na górę, pozostawiając obie przyjaciółki w saloniku Joanny.

Przez cały wieczór w pokoju było więcej psów niż ludzi:

Sophia i jej matka, Bella, Rufus, Junonai Honey -labradorka, należąca do Frederiki Morton, Australijki, która zajmowała się psiarnią.

Kit i Miriam poszli na jakąś imprezę, a Fred miał dziś wieczór randkę w Oksfordzie, tak więc Joannamusiała przypilnować psów, ponieważ Honey nie wiadomo dlaczego nie lubiła chłopaka Fred i pocichu wygryzła mu ogromną dziurę w tweedowej marynarce, kiedy pierwszy raz wpadł na kawę.

Wszystkie psy z wyjątkiem jednego porozkładały się wygodnie po całym pokoju.

Tylko Sophia siedziała u podstawy schodów, czekając aż Donovan znajdzie z

powrotem na dół.

Joanna przeniosła spojrzenie na swego pięknego, dwuletniego owczarka, westchnęła i ponownie popatrzyła na Sarę.

- Są dla siebie stworzeni, prawda?

- Pokręciła głową.

- Wiem, że to był mój pomysł, aby ich do siebie dopasować, ale chyba gdzieś w głębi serca miałam nadzieję, że nic z tego nie wyjdzie.

- Będzie ci jej brakować - odezwała się Sara.

Joanna nie odpowiedziała, przekonawszy się, że z trudem może wydobyć z siebie głos.

Ten błysk inspiracji był wynikiem jedynie nadzwyczaj25.

nych cech psa.

Najmniejsza spośród pierwszego miotu Belli, miała takkiepski start, że kiedy sprzedano jej wszystkich braci i siostry, Joanna zdecydowała, że sama zatrzyma karłowate szczenię.

Jak się jednak okazało, Sophia rozwijała się w prawdzie wolniej od reszty, ale w końcu wyrosła na tak inteligentne, obdarzone intuicją zwierzę, że jeden z przyjaciół Freda słownie błagał, żeby pozwoliła mu ją wziąć na specjalne szkolenie dla psów policyjnych.

Joanna częściowo wyraziła zgodę, wyraźnie jednak zaznaczyła, że Sophia nie jest przeznaczona do pracy w policji, gdyż nie chciała ryzykować zniszczenia łagodnej i spokojnej natury młodej suki.

- Będzie z niej idealny.

przewodnik, prawda?

- powiedziała do Freda, kiedy po raz pierwszy wpadła jej do głowy myśl, aby połączyć Sophię z Amerykaninem.

- Cudowny jak jasna cholera - potwierdziła Fred, a Joanna natychmiast pożałowała, że w ogóle otworzyła usta.

Teraz także, kiedy miała możliwość obserwować ich razem prowadzącą, znów zaczęła żałować, że się wtedy odezwała.

Pierwsze wrażenie, gdy zobaczyła go na stacji w Oksfordzie, było zgoła niespodziewane.

Patrząc drugiego końca peronu, doszła do wniosku, że wygląda raczej na nauczyciela niż narzęźbiarza, pijaka czy kogo tam jeszcze.

Wysoki, postawny, około czterdziestki - Joanna, zbliżając się do niego powoli, doszła do wniosku, że wyglądał raczej jak profesor,

który przyjechał do miasta z serią wykładów.

- Pani Guthrie?

- Donovan wiedział, że podążała w jego kierunku, usłyszał, że zwołała przy nim, poczuł lekką woń przyjemnych perfum, pomieszana z trudnym do pomylenia zapachem psów, więc przełożył złożoną laskę do lewej ręki, a prawą wyciągnął w jej stronę.

- Witam, panie Donovan.

- Mocno uściśnęła wyciągniętą ku sobie dłoń i po raz pierwszy obejrzała zbliska mężczyznę, któremu miała powierzyć Sophię.

I powtórnie natychmiast odebrała wrażenie emanujące od niego inteligencji i siły.

- Mam nadzieję, że nie czekał pan długo.

- Nie, wcale - Wyczuł, że mu się przygląda.

- Którędy teraz?

- Czy mogę poprowadzić?

- Joanna z doświadczenia wiedziała, że nie należy brać go pod rękę.

- Tak będzie najlepiej.

Nie próbował nawet rozłożyć laski, tylko lekko chwycił jej przedramię, a potem oboje ruszyli w stronę parkingu.

Przez ten lekki uchwyt Joanna zdołała wyczuć jego wewnętrzne napięcie i wtedy się zorientowała, że jest tak samo zdenerwowany jak ona.

26

- Prześliczny dzień - zauważył.

- Owszem, piękny - zgodziła się Joanna.

- Lipiec u szczytu formy.

Kiedy szli, nie mogła się powstrzymać, aby na niego nie zerkać.

Zawsze, kiedy pracowała z niewidomymi, trapiło ją przy tym lekkie poczucie winy - przyglądanie się im miało w sobie coś ukradkowego, podstępnego, ponieważ im samym ten przywilej był niedostępny. Mimo że - jak wiedziała z doświadczenia - inne zmysły imielirozwinięte tak doskonale, że widzący niemogli się z nimi równać pod tym względem.

Donovan pachniał dymem z cygara; lekka sportowa kurtka oraz dzinsy były nieco zmięte po podróży, niemniej pod każdym innym względem prezentował się nienagannie, gładko ogolony, z krótko przystrzyżonymi, gęstymi, przetykanymi siwizną włosami. Oczy miał szaroniebieskie jak chmury, ostry nos, mocno zarysowany podbródek, proste, wyraziste usta.

Po prawej stronie twarzy od linii włosów aż po samą szczękę przebiegała długa, wąskablizna.

Sara z całą pewnością nie myliła się co do jednego: Jack Donovan stanowił fascynujący obiekt dla aparatu fotograficznego.

- Nietego się pani spodziewała, co?

- zagadnął od niechcienia, kiedy Joanna włożyła jego torbę na tył range rovera i wsunęła się nasiedzenie kierowcy.

Poczuła, że się czerwieni i szybko zaczęła wycofywać samochód z miej'sca, gdzie stał.

- Sądziła pani, że jestem typem trochę rozwichrzonego artysty, nadszarpniętego przez trunki.

- Donovan wyczuł jej zażenowanie, uśmiechnął się wesoło i wyciągnął dłoń, by musnąć lekko jej lewy łokieć.

- To było nieczyste zagranie z mojej strony, pani Guthrie.

Sara powiedziała Mel, że paniszykuje się w duchu, by wpuścić kogoś

takiego do swojego domu.

- Nigdy nie mówiłam Sarze nic podobnego -
rzuciła pośpiesznie Joanna, kiedy wyjeżdżała z parkingu w Park End Street,
a potem się uśmiechnęła.

- W każdym razie nie takimi słowami.

Proszę mi mówić Joanna albo Jo, a nie pani Guthrie.

- A ja jestem Jack albo Donovan, jak kto woli.

- Urwał na chwilę.

- A więc, zdałem?

Czy raczej powinienem się udać prosto do hotelu?

- Pytał pozornie lekkim tonem, ale w głosie dało się wyczuć napięcie.

Joanna zerknęła nań z ukosa.

- Myślę, że zaryzykuję wspólne wypicie herbaty.

Zawsze mogę cię potem wykopać.

- Czy będiesz tam Sophia?

27.

W nagłym błysku olśnienia Joanna pojęła, że to właśnie stanowi główne źródło jego niepokoju.

Był zdenerwowany jak młodzieniec, który masie spotkać z wybraną dlań narzeczoną.

To nie spotkanie z Joanną tak go wytrącało z równowagi- poza tym, że wiedział, iż jeśli jej w czymś podpadnie, natychmiast przegra sprawę psa. Jedyni wyłączny powód, dla którego przebył Atlantyk, a potem wsiadł w pociąg na stacji Paddington, to Sophia.

W ciągłych kilku pierwszych minut, jakie minęły od ich spotkania, Joanna dołała się zorientować, że w tej chwili liczy się dla niego tylko to, aby spotkanie zakończyło się sukcesem.

Jazda do Meriin Cottage przebiegła gładko.

Donovan zadawał liczne pytania na temat domu, na które Joanna odpowiadała jak zwykle z dużą przyjemnością.

Pokochała ten dom od pierwszej chwili, kiedy oni i Philip - oboje londyńczycy - po raz pierwszy ujrzeli go w czasie weekendowej wycieczki do Oksfordu.

Położony był tuż za Burford, niedaleko rzeki Windrush.

Początkowo były to dwa bliźniacze, kryte strzechą kamienne domki z Cotswold.

Kiedy zburzono dzielącą je ścianę i dwierozpadające się zestarzone schodowe, uzyskano budynek, który zachował atmosferę i urok tamtych dwóch, ale zyskał przestrzeń, mogącą pomieścić wszystkie psy i dzieci, jakie oboje pragnęli mieć.

Dzieci okazały się płonną nadzieją, ale dodatkowe pokoje bardzo się

przydały pośmierci Philipa.

Mimo ogromnych wydatków, jakie wymusiła na nią bezlitosna choroba, Joanna pragnęła za wszelką cenę utrzymać dom, w którym mieszkali.

Zatrudniła się więc jako recepcjonistka w jednym z oxfordzkich hoteli, jak również doszła do wniosku, że Meriin Cottagemusi zacząć zarabiać na swoje utrzymanie i przyjęła na stację dwoje studentów - Kita Downa oraz Miriam Omaboe.

Choć brata od nich niewiele, dzięki tym pieniędzom - a także pensji z hotelu oraz trafiającym się od czasu do czasu lukratywnym zleceniom fotograficznym - mogła jakoś

związać koniec z końcem.

- Omaboe?

- dopytywał się Donovan, kiedy Joanna prowadziła go po schodach na górę.

- To afrykańskie nazwisko, prawda?

- Z Ghany.

Miriam jest prześliczna, błyskotliwa, a do tego bosko gotuje.

A Kit w wolnym czasie pełni obowiązki konserwatora - wyjaśniła, stając w drzwiach pokoju Donovana.

Prawdę mówiąc, był to jej własny pokój, ponieważ tylko ten miał osobną łazienkę.

Kit, silny, żylasty, praktyczny i nader uprzejmy mieszkaniec Yorkshire, uparł się, że w trakcie pobytu Amerykanina będzie spała na kanapie (za niewielką obniżkę czynszu), aby Joanna mogła zająć jego pokój.

28

- Jest tu chyba więcej dziur niż w cedzaku, a centralne ogrzewanie bez przerwy się psuje, tak więc Kit dba, żeby wszystko jako

takofunkcjonowało.

-To trochę tak,jak Pete Szabo - odrzekł Donovan,
przemierzającpomieszczenie wzdłuż i wszerz i wodząc rękoma po
ścianach, kątach pokoju i oknie.

- Jest kimś w rodzaju zaufanego pracownika i przyjaciela w Gilead Farm.
Zajmuje siędomem i ogrodem, wykonuje też mnóstwo innych
praktycznych robót.

- Sara twierdzi, że farma jest piękna.

- Joanna przeniosła torbę gościana łóżko i poinformowała go, że tam ją
kładzie.

-W łazience powinny być dośró ręczników.

Nie ma, niestety, wiszącego prysznic, tylko ręczny, alegdybyśpotrzebował
czegoś jeszcze, poproś wrzaśnij.

- Niczego nie będępotrzebował.

- Zamilkł nachwilę.

-Kiedy poznam Sophie?

- W porze lunchu.

W tej chwili jest na spacerze z Fred i psami.

- Kto to jest Fred?

-Frederica Morton.

Zarządza Żłobkiem - Joanna zauważyła pytającą minę Donovana.

- Tak nazywamy naszą psiarnię.

Pomaga mi także, kiedy wychodzę do pracy.

- Obserwowała swojego gościa przez chwilę i przekonała się, jak bardzo go
nosi.

- Wolisz odpocząć w ciszy i spokojczy raczej chcesz się przejść po

gospodarstwie, zanim wrócą na lunch?

- Wolałbym raczej się przejść - oznajmił zdecydowanym tonem.

Zostawił laskę w pokoju i rozluźnił się na tyle, że mógł zaufać Joannie w roli przewodnika, ruszyli więc niespiesznie przed siebie, a ona opisywała mu kwadratowy ogródek, który Philip tak kochał i pielęgnował:

niewielki zarosnięty teraz trawnik i rabatę z mieszaniną różnorodnych i wielokwiatowych, pnących się pomurze clematisem i kilkoma małymi wierzbowymi.

- Jednym z talentów Fred - mówiła Donovanowi, kiedy mijali sznur nabieliznę, z którego powiewały na lekkim wietrze prześcieradła i poszewki - jest to, że potrafiła przekonać psy, aby sikały na grządki, nie na trawnik.

- A gdzie jest Żłobek?

- zapytał.

- To jedno tylko cię interesuje, prawda?

Psy spotkanie z Sophia.

- Joanna się uśmiechnęła.

- To nieprawda.

- Przystanął.

- Nie do końca prawda.

- Ściągnął brwi.

- Joanno, nie zamierzałem być niegrzeczny.

- I wcale nie jesteś - uspokoiła go.

- Cieszę się, że jest dla ciebie tak ważna.

Nie chciałabym, żeby było inaczej.

29.

Poszli dalej w miłym, towarzyskim nastroju, minęli drewniany stoliczek i ławkę, które wykonał własnoręcznie Philip Guthrie, a potem wzdłuż ligustrowego żywopłotu do sadu pełnego jabłoni.

Donovan wyczuł zapach psów i wiedział, że zbliżają się do Żłobka, który, jak wyjaśniła mu Joanna, mieścił się w dawnej stajni, teraz ocieplonej i ogrzewanej, żeby można w niej było hodować owczarki.

- Czy to Philip zaadaptował ten budynek?

Sądząc po tamtej pięknej ławce, miał w tej dziedzinie spory talent.

- Nie był budowniczym - wyjaśniła Joanna - ale stolarka stanowiła jego hobby.

Philip z zawodu był księgowym.

Kiedy przenieśliśmy się tu z Londynu, otworzył biuro w Oksfordzie, tak jednak był zakochany w tym domu, że nie mógł znieść, kiedy pracował z dala od niego, więc zlikwidował biuro w mieście i przeniósł się z robotą do jednego z pokoi w naszym domku.

- I jak mu szło?

Joanna wzruszyła ramionami.

- Odpadło paru nadętych klientów ze świata biznesu, którzy woleli bardziej oficjalny sposób prowadzenia rachunkowości, lecz ci kreatywni - Philip prowadził księgi kilkunastu pisarzy i muzyków - uwielbiali przyjeżdżać do Merlin Cottage, żeby pogawędzić o rozliczeniach podatkowych.

- Wygląda na to, że to otoczenie sprzyjało nie tylkojemu - zauważył Donovan.

- Tobie też - z twoimi pismami i fotografią, a Sara mówiła mi, że masz spory talent w tej dziedzinie.

- Urwał na chwilę.

- Musi ci bardzo brakować Philipa.

- Owszem - odrzekła.

- Ale wszystko tutaj poukładało się w bardzo pomyślny dla mnie sposób.

Mam wspaniałych przyjaciół, no i oczywiście Kocham swoje psy.

- Popatrzyła na jego twarz.

- Skoro już otymnowa, wydajemy się, że Fred powinien już niedługo wrócić, a ze względu na ciebie przyproceedzi psy prostodo domu.

Pierwsze spotkanie Sophii z Amerykaninem poruszyło zarówno Joannę, jak i Fred.

Siedzieli w kuchni, kiedy dało się słyszeć szczekanie psów, a Joanna zauważyła, że rzeźbiarz wyprostował się gwałtownie.

Zobaczyła, jak zacisnął usta i zmarszczył czoło w pełnym napięciu oczekiwaniu.

Niemniej w chwili, gdy przez drzwi frontowe wcisnęły się psy, przebiegły po kamiennej podłodze i wpadły do kuchni, Jack Donovan znalazł się w swoim żywiole.

Nie zdominował ich, tylko nie ruszając się z miejsca, czekał cierpliwie, aż same do niego podejda, nie pytał nawet, który pies jest który.

To Fred - widać było wyraźnie, że jest pod wielkim wrażeniem nowo przybyłego, gdyż jego blade zazwyczaj policzki pokryły się rumieńcem -

dokonała prezentacji, podczas gdy Joanna siedziała w milczeniu i tylko obserwowała.

Donovan zapoznał się najpierw z Rufusem, najbardziej hałaśliwym z owczarków, następnie z labradorką Honey, potem z Bellą i wreszcie, na końcu, z Sophią.

- Witaj - odezwał się miękkim, czułym tonem, kiedy dwuletnia suka obwężała jego prawą dłoń.

- Witaj, Sophio.

Suka stała zupełnie nieruchomo, gdy Donovan wstał ze stołka, przykucnął przy niej i zaczął z największą delikatnością dotykać jej, głaskać i badać od czubka nosa do koniuszka ogona, a potem aż do opuszków łap.

Joanna wiedziała, że tylko w ten sposób może obejrzeć psa i wydawało jej się, że Sophią także to wyczuwa.

Zawsze była delikatna i spokojna, niemniej jeszcze młoda i skora do zabaw, lecz coś w tym nowo poznanym człowieku wyraźnie ją zafascynowało.

Być może, myślała Joanna, kiedy Donovan nieprzerwanie wodził rękoma po futrze psa, szepcząc coś przez cały czas tak cicho, że nikt inny nie mógł dosłyszeć, ta niezwykła intensywność oglądzin przykuła Sophię do miejsca, gdzie stała.

W głębi duszy jednak dobrze wiedziała, że to nie o to chodzi.

- W porządku, moja mała - powiedział Donovan nadal tym samym czułym tonem.

- W porządku, Sophio.

Polizała go ponosie.

Joannie gwałtownie zaschło w ustach.

Wyprostował się, poszukał rękoma krzesła i usiadł.

Po raz pierwszy od

przyjazdu sprawiał wrażenie wyczerpanego.

- Ona jest cudowna, Joanno - oznajmił, a potem odwrócił się

twarządo Frederiki, która stała z lekko rozdziawionymi ustami.

- Dzięki, że nas sobie przedstawiłaś, Fred.

- Proszę bardzo.

Joanna uśmiechnęła się lekko.

Odkąd się poznały, Fred Morton stanowiła obiekt gorących namiętnych westchnień wielkiej rzeszy młodych ludzi, w tym i Kita.

Wysoka, smukła, z długimi, prostymi, jasnymi włosami, była niezwykle rzeczowa i celowała w złośliwych ripostach, kiedy zirytował ją jakiś napauszony facet.

Joanna widywała już mężczyznami, którzy jej się podobali, między innymi należał do nich ów ostatni chłopak, ale jeszcze nigdy, aż do dzisiejszego dnia, nie widziała Fred tak kimś urzeczonyj.

Po drugiej stronie kuchni Rufus skoczył nagle do ogona Honey, Bella szczerzył z dezaprobatą, a Rufus zaskomlał.

Czas przerwać ten nastrój, doszła do wniosku Joanna.

- Czy jeszcze ktoś oprócz mnie jest głodny?

- zapytała.

Donovan odwrócił głowę w jej stronę.

- Umieram z głodu - oznajmił.

31.

Wyczerpanie, jak zauważyła Joanna, było tylko chwilowe i już zdążyło minąć.

Teraz wyglądał na uszczęśliwionego.

Szczerze mówiąc, dawnonie zdarzyło jej się widzieć kogoś tak szczęśliwego.

- Masz rację - powiedziała tego wieczoru do Sary, kiedy Amerykanin udał się na spoczynek.

- Wiedziałaś to od chwili, kiedy się spotkali.

Pasują do siebie idealnie pod każdym względem.

Przez kilka minut żadna z nich nie odezwała się ani słowem.

Sophia, która nadal siedziała u podstawy schodów, podniosła się powoli, podeszła bliżej i opadła na podłogę przy stopach Joanny.

Bella, leżąca obok Junony, Rufusa i Honey, zaczęła pochrapywać spokojnie, złożony nos między przednie łapy.

- A jak sobie poradzisz z koniecznością pozostawienia domu, Jo?

- Nie będę musiała sobie z tym specjalnie radzić - odpowiedziała w języku migowym.

- Jeśli rzeczywiście tam pojedę, to najwyżej na kilka tygodni.

- Mimo wszystko - odrzekła Sara powoli, w zamyśleniu - od śmierci Philipa ani razu stąd nie wyjeżdżałaś, prawda?

W każdym razie nie zapanice.

- Zawiesiła na chwilę głos.

- Kiedy planujesz wyjechać?

- Jeśli wszystko dobrze się ułoży.

- Joanna starannie dobierała słowa - .

tonajwcześniej pod koniec października lub na początku listopada.

Sophia nie jest już szczeniakiem, ale będepotrzebowała co najmniej trzech miesięcy, żeby ją wyszkolić, zanim zabiorę ją za ocean.

- Możesz nie zdążyć wrócić przed świętami.

- Oczywiście że wrócę.

- Przeraziła ją sama myśl o tym.

- Pomijając wszystko inne, chyba nie wyobrażasz sobie, że mogłabym zaryzykować zostawić Miriam i Kita samych tak długo w Merlin Cottage, prawda?

- Przecież można im zaufać, czy nie?

- zapytała Sara.

- Są wspaniali - odrzekła Joanna.

- Ale mają studia i własne życie.

Nie mogę wymagać, aby przez tak długi czas zajmowali się moim domem.

- Wzruszyła ramionami.

- Muszę także brać pod uwagę swoją pracę w hotelu.

Nie będą trzymać jej dla mnie bezkońca.

Sara pochyliła się ku niej bliżej, chcąc porozmawiać ciszej.

- Donovan chce ci zapłacić mnóstwo pieniędzy, prawda?

- Tak, ale.

- Joanna urwała.

Nie lubiła rozmawiać o finansach.

- A ty potrzebujesz tych pieniędzy, prawda?

- nieustępowała Sara.

- To jasne, że ich potrzebuję.

- Joanna wskazała ręką na parapet pod jednym z olowianych okien, przez

które w czasie ostatniej ulewnej przesaczyły się do środka małe kałużewody.

- Popatrz na to.

- Poczekała, aż Sara z powrotem zwróci ku niej twarz.

- W tym stanie rzeczy Kit spędzao wiele za dużo czasu na łataniu wszystkiego dookoła.

Trzeba naprawić

32

dach, a i przy centralnym ogrzewaniu także przydałoby się sporo wymienić.

- Pokręciła głową.

- Właściwie to nie stać mnie na to, żeby tam niejechać.

- Zamyśliła się na chwilę.

- A poza tym wiesz, jakie mam poglądy w kwestii doprowadzenia pracy do końca - a więc szczerze mówiąc, jeśli ja nie pojedę, nie pojedzie też Sophia.

- Apewien facet będzie miał złamane serce - odrzekła Sara.

- Hm - mruknęła Joanna niezobowiązująco.

- Widziałaś, jak się przy niej zachowywał - jak się zachowuje przysach w ogóle.

Wydaje się, że ma donich podejście, prawda?

- Nawet wybredna Fred to zauważyła, zanim wyszła - zgodziła się Joanna.

- Ale może tylko dlatego, iż uważa, że jest przystojniejszy od Harrisona Forda?

- zapytała Sara.

Joanna zmierzyła ją baczny spojrzeniem.

- On cię interesuje, Saro?

Przyjaciółka się uśmiechnęła.

- Ostatnim razem pytałaś, czy jestem w nim zakochana.

- A ty powiedziałaś, że każdy, kto go zna, trochę się w nim kocha.

Sara potrząsnęła przecząco głową.

- Janie, Jo.

A w każdym razie nie w tym sensie.

Wiesz, jaka jestem - chcę się nacieszyć wzrokiem, dopóki jeszcze go mam

- a sama musisz przyznać, że Donovan stanowi miły dla oka widok.

Joanna przywołała w myślach wszystkie szczegóły jego wyglądu, jakiego zauważyła: silne dłonie o długich palcach oraz to, jak całą postawą - to sztywną, to znowu rozluźnioną - zdradzał swoje uczucia, a także zaskakująco zaraźliwy, serdeczny, trochę rubaszny śmiech.

- Oczywiście, w jego wypadku nie chodzi tylko o wygląd - dodała Sara.

- Donovan jest szczególnym człowiekiem, Jo.

Myślę, że sama już zdałaś sobie z tego sprawę.

- Urwała na chwilę.

- I nie sądzę, aby przebywanie z nim przez kilka tygodni na jego rodzimym gruncie mogło ci wyrządzić jakąś krzywdę.

Niedziela, 1 listopada

W głowie Sary znów pojawił się tunel, rozciągający się od tylnej części mózgu aż po same oczy, lecz powieki miała zamknięte, więc nie widzia.

Ślepa trwoga

ła dokładnie.

Tunel był tak straszliwie wąski, że czuła się, jakby zaglądała do cienkiej rurki o czarnych brzegach, patrząc w samo centrum hebanowej drzazgi, którą przesywały jeszcze cieńsze odłamki przenikliwego srebrnego światła.

Wewnątrz tuby, wewnątrz tunelu, wewnątrz jej głowy majaczyły jakieś obrazy.

Starła się ze wszystkich sił, żeby je dokładnie zobaczyć i zinterpretować, ale było jej zbyt trudno.

Stały się teraz kolorami - rudozłotymi pasmami, które falowały i zwijały się, rozjaśnione blaskiem przelatujących świetlnych błysków; zobaczyła też błyszczące, orzechowe oczy, upstrzone plamkami zieleni, które zamrugały, zapatrzyły się, a potem zniknęły z powrotem w mroku.

Znów wszystko stało się czarne i nic nie można było dojrzeć, lecz nadal napływały wrażenia.

Ciemność stała się zimna i nieprzyjazna jak pogrzeb - dusząca, okropna, straszna - i tym razem, kiedy przeszył ją srebrny błysk, Sara poczuła - och, mój Boże, jak mocno!

Strach.

A potem także usłyszała.

Ona, która od dziesięcioleci nie słyszała nic, zupełnie nic, poczuła, jak się zbliża, jak wiatr, jak burza, przepływa przez tunel w jej głowie, wznosząc się coraz wyżej i wyżej, aż wreszcie trudno było go znieść.

Krzyk.

Sara obudziła się i leżała zupełnie nieruchomo, wpatrzona przez

tenswój najzupełniej realny tunel na jawiew sufit własnej sypialni. Usiany byłgwiazdami, widziała także rożek księżyca - wszystko to migotało łagodnie w świetle brzasku, wlewającego się przez pozbawione zasłon okna.

Był to,oddany najwierniej jak potrafią ludzkie ręce, wizeruneknieba, któreona i Michaela Reeswidziały całe lata temu, obozując na równinie Salisbury, mniej więcej wtedy, kiedy Michaela ilustrowała drugi zbiór opowiadań Sary.

Tamto niebo napełniło Sarę rzadko spotykanym poczuciem wolności i szczęścia,tak że nie potrafiła o nim zapomnieć, lecz wymalowanego na suficie sypialni było pomysłem Michaeli.

Wpadła na niego, kiedypolewidzenia Sary zaczęło się zawężać - iwymalowała to wszystko,byprzyjaciółka mogła leżeć w swoim tóżku i co nocnapawać się pamiętnymwidokiem, dopóki nie zgaśnie nieodwołalnie ostatniaresztką jej wzroku.

Sen sięjużskończył, ale strach nadal pozostał.

Byłabstrakcyjny.

Wszystkie zawsze były abstrakcyjne,frustrująceiniedozniesienia intensywne.

Atmosferai esencja barw, ostre jak ukłucie igły odczucia i wrażenia, czasem niedające się rozszyfrować, a czasemażbiły woczy swoją klarownością.

34

Ten sen dotyczył Joanny -tego Sara była pewna.

Rudozłoty kolortojej włosy, orzechowy z zielonymi cętkami to jej oczy.

To esencja Joanny,w owych chwilach, kiedy spokojna, choć lekko

podekscytowana, zarazma się do czegoś zabrać.

No i ten straszny, mdlący strach.

Przez długi czas leżała włożku, zastanawiając się, co zrobić.

Joanna dziśwyjeżdża.

Leci do Ameryki, a do tej przygody namówiła ją - pchnęła ją do podróży - właśnie Sara.

Jej myśli zalały terazcałkiem nowe obrazy: koszmary na jawie, wypadki samochodowe, spadające samoloty, wybuchy, unoszące się napowierzchni oceanu martwe ciała.

Usiadła, zlna potem, oddychając zbyt szybko i odwróciła głowę, żeby zobaczyć, która godzina.

Szósta pięćdziesiąt osiem - za późno.

Joanna już wyjechała z MerlinCottage i wyruszyła na lotnisko.

Zresztą, gdyby nawetnie wyjechała, cóż Sara mogłaby jej powiedzieć?

Ze męczył ją złysen?

Zemiał koloroczku i włosów Joanny i jąprzeraził?

Joanna wiedziała o snach Sary, omawiały je nieraz wspólnie.

Wierzyła w nie,przyjęła fakt, że widywane w nich obrazy zawsze dotyczyły czegoś zupełnie realnego, a czasem nawet zawierały elementy przepowiedni.

"Miałam złysen.

Nie leć dzisiaj".

Joanna Guthrie zbyt mocno stapała po ziemi, była zbyt spokojna i rozsądna.

Nawet gdyby nie było za późno, nawet gdyby uwierzyła, i takby pojechała.

Uwierzyła w co?

Sara opadła z powrotem na poduszki, wpatrując się w niebo nad sobą, które stawało się coraz jaśniejsze.

W głowie ciągle rozbrzmiewał jej tamten krzyk.

Z największym wysiłkiem odepchnęła go od siebie i wstała.

8

Niedziela, 1 listopada

Kiedy ustalono terminy i wszystkie szczegóły - w tym nawet dwa zlecenia (za aprobatą Donovana): z "Kennel Gazette" oraz "Art Monthly" - Joanna i Sophia, wytresowana na psaprzewodnika, zamknięta w klatce uśpiona, udały się w podróż do Stanów Brytyjskimi Liniami Lotniczymi pierwszego dnia listopada.

Joannę, której spiesznobyło jak najprężej.

dziej odzyskać psa, powitał po drugiej stronie odprawy celnej Donovan -w prochowcu i, co dość u niego niezwykle, w ciemnych okularach.

Towarzyszył mu postawny, muskularny, jasnowłosy mężczyzna w grubym swetrze i dżinsach.

- Pete Szabo- przedstawił się, ściskając dłoń Joanny.

Choć był potężnej postury, głos miał miękki melodyjny.

- Wieleo panu słyszałam -powiedziała.

;; - My wszyscy także wiele o pani słyszeliśmy, pani Guthrie.

Dookoła nich bagażowipchaliwózki, a udręczeni przyjezdni płynęli wartkim strumieniem w stronę wyjść, choć sytuacja na zewnątrz prezentowała się równie zniechęcająco jak sceny z zamieszek.

Joanna wspomniała swoją poprzednią wizytę w Stanach, jeszcze razem z Philipem, pamiętała, jak po lądowaniu niemogli się doczekać, aż wyjdą. Kiedy jednak musieli najpierw znieść duchotę i gorąco w kolejkach do urzędu imigracyjnego, a przed budynkiem terminalu wyczekiwali całą wieczność nanieklimatyzowaną, roztrzęsioną taksówkę, potrącani przez mijające ich tłumy, czuli się w końcu całkowicie wyżęci z sił.

- Nie chciałam być niegrzeczna - odezwała się- ale musimy natychmiast się dostać do magazynu towarowego numer sześćdziesiąt sześć, żeby odebrać Sophię.

Nie mogę znieść myśli, jak ona się niepokoi.

- Jeśli może pani przejść kawałek na piechotę, pani Guthrie- odpowiedział jej Pete Szabo - to zaparkowałam niedaleko stąd.

-A gdyby Pete był zmuszony przedzierać się przez korki, żeby nas ślad

zgarnąć- wtrącił Donovan -sterczelibyśmy tutaj przez większość dnia.

- Dwie sprawy- oznajmiła Pete'owi.

- Jestem Joanna albo Jo, nie pani Guthrie.

Potężny mężczyzna uśmiechnął się do niej w odpowiedzi; miał przyjazne, jasnobrązowe oczy.

- A ta druga sprawa, Jo?

-Zabierajmy się stąd.

Sophia nadal niepewnie trzymała się na nogach i była lekko oszołomiona, poza tym jednak czuła się dobrze i bardzo się ucieszyła na widok pani.

Donovan zapytał Joannę, czy nie chce usiąść naprzód siedzenia czarnego cherokee, żeby miała lepszy widok w czasie jazdy, lecz ona wolała siedzieć z tyłu z Sophia.

Wciąż jeszcze jest moja, pomyślała, chociaż nie powiedziała tego na głos. Niemniej coś w twarzy rzeźbiarza powiedziała jej, że rozumiał, co ona czuje.

36

- Na oglądanie miasta będzie jeszcze sporo czasu- odezwał się jasnowłosy mężczyzna- a teraz Donovan doszedł do wniosku, że im szybciej się znajdziemy na farmie, tym lepiej dla Sophii.

Pojedziemy przez GrandCentral Parkway drogą dookoła stadionu Yankee i będziemy jej się trzymać, dopóki nie zjedziemy naszą osadę numer dziewięć, na południe od Tarrytown.

Czy to ci coś mówi, Jo?

- Trochę -odrzekła.

- Sleepy Hollow, prawda?

- Zgadza się - potwierdził Szabo.

-Byłam tam z mężem, kiedy przyjechaliśmy tu razem kilka lat temu.

Lubił opowiadania Washingtona Irvinga.

- Sunnyside to pierwszy dom, jaki zrobił dla mnie Lamb-wtrącił Donovan.

-Zrobił?

- powtórzyła pytająco.

Leżąc obok niej Sophia przysunęła się bliżej i złożyła łeb na jej kolanach.

- Robi - rzeźbi albo lepi - repliki domów lub mostów czy też detali architektonicznych, które mnie szczególnie interesują - wyjaśnił ciepłym tonem.

- Chyba już ci opowiadałem, że Lamb ma tę szczególną zdolność, która pozwala mu być moimi "oczami".

Większość ludzi opisuje jak umię przedmioty lub osoby i niektórzy między to całkiem nieźle, ale kiedy Lamb mówi o człowieku lub przedmiocie, nie ustaje, dopóki się nie upewni, że dokładnie widzę go w głowie.

- Przerwał na chwilę.

-A jeśli odnosi wrażenie, że mimo wszystko nadal nie mam właściwego obrazu, wykonuję dla niego model - coś, czego mogę dotknąć i w ten sposób poznać.

- Sprawia wrażenie niezwyklego człowieka - zauważyła Joanna.

-Och, jest niezwykle - odrzekł rzeźbiarz.

Joanna słyszała już conieco o Murdochu Lambie i jego szczególnej roli w życiu Donovana, lecz nie rozmawiali dłużej ani o nim, ani o innych ważnych osobach, które go otaczały.

Zdał sobie sprawę, że rzeźbiarz miał szczególny talent do zadawania

istotnych pytań, i wykorzystywał cierpliwość oraz ciszę, aby uzyskać od rozmówcy jak najtreściwsze odpowiedzi, co oznaczało, że najprawdopodobniej dowiedziała się o niej wiele więcej niż ona o nim. Oczywiście, znała podstawowe fakty dotyczące życia, jakie prowadził, widziała fotografie Gilead Farm i mieszkania na Manhattanie, które przywiózł do Anglii, znała nazwiska i najważniejsze rzeczy dotyczące bliskich mu osób, ale to właściwie było już wszystko. Co oznaczało, że właśnie przeleciała jakieś cztery i pół tysiąca kilometrów, a teraz była wieziona przez zupełnie obcych ludzi do ich domu, gdzie miała poświęcić się tresurze Sophii, by potem oddać psa w ręce jednego z tych obcych.

- Mijamy właśnie Yonkers Raceway - poinformował ją Szabo.

Joanna mruknęła coś w odpowiedzi pogłaskała połbie drzemiącego psa, próbując zwalczyć przemożną potrzebę snu, przewalając się nadnią ciepłymi, kuszącymi falami.

Jednocześnie próbowała ułożyć sobie w głowie kilka informacji, jakie udało jej się zdobyć na temat Jacka Donovana.

Wiedziała, że odniósł spory sukces artystyczny w Stanach, miał trochę zbyt energiczną agentkę Mel Rosenthal, że palił drogiego cygara, ponieważ autentycznie je lubił, i od czasu do czasu nadmiernie pił, a Sara Hallett ma bzika na jego punkcie i według niej wielu innych ludzi także uważa go za uroczonego człowieka.

No i poza tym była jeszcze ta jedna sprawa, która przyciągnęła tu Joannę z Atlantyku: Jack Donovan zakochał się w Sophii i był nasto jeden procent zdecydowany zrobić wszystko, by ich partnerski związek się udał.

Joanna uznała - kiedy głowa potoczyła jej się do tyłu, a powieki stały się nieznośnie ciężkie - że tyle powinno wystarczyć.

Obudziła się z nienacką, zaskoczona i dezorientowana, i zobaczyła w oknie przed sobą czyjąś twarz: drobny, miodowożółty owal i wielkie, egzotyczne, brązowe oczy, które przyglądały jej się z dużym zainteresowaniem.

Zbudzona tak nagle, wyprostowała się na siedzeniu i rozejrzała się w milczeniu.

Zobaczyła, że nadal siedzi na tylnym siedzeniu cherokee, w dalszym ciągu przypięta pasami, a obok niej siedzi także rozbudzona Sophia,

przyglądając się kobiecie po drugiej stronie szyby.

- Spokojnie.

- Nieznajoma otworzyła drzwi, a przytrzymujący Joannę pasodpiął się i wsunął gładko na swoje miejsce.

- Nie zamierzałam cię przestraszyć, Joanno.

- Pełne wargi rozchyliły się w uśmiechu.

- Chłopcy nie chcieli was budzić, więc zanieśli tymczasem walizki do domu.

- Pochyliła się lekko i wyciągnęła przed siebie dłoń.

- A przy okazji, jestem Chris Chen.

- Witam.

- Ściskając jej dłoń, Joanna poczuła, że jest ona chłodna i jędrna.

- Nie mogę uwierzyć, że tak mocno zasnąłam.

- Traćona! Bieprzez sukę, przytuliła ją mocno.

- Masz za sobą długą podróż - powiedziała Chris Chen.

- Tłumaczyłam Donovanowi, że powinniście przenocować w mieście, żebyś mogła odpocząć.

Joanna wysiadła i rozprostowała się, a pies zaraz zrobił to samo. Dopiero kiedy znalazła się obok Chris, zorientowała się, jaka tamta jest niziutka.

Sama miała za ledwie sto sześćdziesiąt cztery centymetry wzrostu, a była od niej prawie o głowę wyższa.

Jednak mimo swej drobnej postury ta amerykańska Chinka, ubrana w niebieską suknię z miękkiej wełny,

38

ozdobioną pod szyją niedużym, na oko bardzo starym i bardzo cennym wisiorkiem z masy perłowej, sprawiała wrażenie silnej i pełnej

życia.

- A więc to jest owa sławna Sophia.

Czy mogę ją pogłaskać?

- Z całą pewnością.

- Joanna uśmiechnęła się, kiedy Chris pochyliła się delikatnie pogładziła Sophię między uszami.

-Uwielbia być głaskana.

Chris Chensię wyprostowała.

- To może być problem dla psa przewodnika, prawda?

-Tylko kiedy jest w uprzęży.

Joanna po raz pierwszy rozejrzała się dookoła i zobaczyła, że cherokee stoi zaparkowany na sporej wybrukowanej przestrzeni, która niegdyś musiała być gospodarskim podwórzem.

Znajdowały się o jakieś trzydzieści kroków od domu, który widziała na zdjęciach Donovana.

Miała przed sobą ów osiemnastowieczny kamienny budynek z pomalowanymi na szaro okiennicami, spadzistym dachem zwieńczonym szczytami i dwumanierównymi kamiennymi kominami, który tak podziwiała.

Sopia krążyła dookoła z nosem nisko przy ziemi.

- Najpierw to, co najważniejsze - oznajmiła Joanna, która zaczynała zwolna dochodzić do siebie.

- Gdzie może się wysuszać, żeby nie narobić szkody?

Jak na zawołanie w otwartych drzwiach pojawił się Donovan.

- Gdzie tylko będzie miała ochotę.

Zrzucił już prochowiec i ciężkie buty, jakie miał na sobie na lotnisku, i

włożył ciemnoniebieski bawełniany sweter i adidas.

- Może spodoba jej się ogród dzikich kwiatów -
podsunęła Chris Chen.

- Jak dla mnie, może być - oznajmiła Joanna.

- Mam je zaprowadzić, Donovan - zapytała Chen - czy raczej wolisz
zrobić to sam?

- Możemy pójść razem - zaproponował.

- Pierwsze sikanie Sophii na farmie - toż to prawdziwy chrzest!

Chris Chen się uśmiechnęła.

- W takim razie ja spasuję.

Muszę wracać do biura - praca w sobotnie popołudnie, proszę zauważyć,
szefie.

- Zwróciła się w stronę Joanny.

- Miło byłoby was obie poznać.

- I wzajemnie - odpowiedziała Joanna.

Ogród, który Chris zaproponowała jako pierwsze miejsce dla Sophii,
otoczony był żywopłotem i nawet w listopadzie pełen kwiatów.

Część z nich przypominała chwasty, śliczne w swej bujności, które Jo39.

anna często podziwiała, a które ogrodnicy zazwyczaj w pocie czoła usuwali z grządek.

- Cudowne kolory - zachwyciła się, po czym zaraz wykrzywiła lekko własny brak taktu.

Sophia hasała już daleko w przedzie wśród błękitów i fioletów.

- Nie rób tego - odrzekł Donovan.

Joanna zdrętwiała.

- Nie wstydz się mówić przy mnie o pięknie ani teżo niczym innym, co przed sobą widzisz - odezwał się z wielkim przejęciem.

- Mówiłem ci, to jedna z tych rzeczy, jakiej najbardziej cenię u Lamba - bo muszę oglądać świat za pośrednictwem cudzych oczu.

Mój świat jest już wystarczająco ciemny, nie potrzebawypłaszać z niego nawet wspomnień o tym, jaki był niegdyś.

- Przepraszam.

- Nie masz za co przeproszać.

Przeżyłem osiemnaście lat, w ciągu których mogłem wszystko widzieć, Joanno.

Bogu dzięki, ponieważ byłem artystą, bardzo pilnie się wokół rozglądałem, a to oznacza, że mam całkiem spory bank wspomnień.

- Zawiesił na chwilę głos.

- Zatem jeśli coś wpadnie ci w oko - a na pewno tak będzie, skoro jesteś profesjonalnym fotografikiem - i będziesz miała ochotę podzielić się tym ze mną, istnieją duże szanse, że nie będziesz musiała tworzyć modelu, abym mógł zrozumieć, o co ci chodzi.

Joanna zobaczyła, że na prawo od nich Sophia przykucnęła

wśródwysokich,chwiejnych traw.

- Kiedy tak rozmawiamy,twój ogród przechodzi właśnie swój chrzest- poinformowałamacicho Donovan.

- Wyraźniej się podoba, że niekosisz trawy.

- Czy kiedykolwiekwidziałakozy?

- zapytał.

- Jeśli tak, to nic mi o tym nie wiadomo.

-Jakiś czas temu Pete kupił na aukcji dwie kozy i pozwalał wyjadać trawę na łąkach.

Są dość przyjacielskie.

Sophia podbiegła do nich niespiesznymtruchtem, trąciła nosem prawą dłoń Joanny, a potem zrobiła tosamoz dłonią Donovan.

- Dla niektórych- odezwała się po chwili Joanna - to, że przedtemmogli widzieć,tylko pogarsza sprawę.

Potrafię to zrozumieć.

Pewnie trudno nie odczuwać goryczy.

- Gorycz sprawia, że wszystko wydaje siębrzydkie - odrzekł cichoDonovan.

Zerknęłana niego z ciekawością.

40

- A ty samnie czułeś z początku goryczy?

Odczekał dłuższą chwilę, zanim odpowiedział.

- Z początku czułem się zdruzgotany.

Toznaczy, byłem szczerze przekonany, że to mój koniec.

Że lepiejbyłobyumrzeć.

- Wzruszył lekko ramionami.

-Potem się okazało, że tak nie jest.

- Czy to z upływem czasu?

A może stało się coś, co pomogło ci poczuć się lepiej?

Natwarzy rzeźbiarza pojawił się leniwy, szeroki uśmiech.

- Prawdę mówiąc, pierwsze, co mi się przydarzyło.

Bo nastąpiła cała seria wypadków, która pozwoliła mi dostrzec, że moje życie jeszcze wcale się nie skończyło.

Niemniej pierwszą w tej serii była kobieta.

-Uniósł twarz ku niebu i wybuchnął swoim krótkim, głębokim i nieprzyzwoitym śmiechem.

- To był czysty i prosty seks.

Miałem w ramionach piękną kobietę, która pragnęła mnie mimo wszystko i wciąż mogłem czuć tę zdumiewająco miękką skórę i.

- Urwał i zwrócił twarz powrotem ku Joannie.

-Nadal wszystko czułem, rozumiesz?

Ujrzała na jego twarzy wyraźnie widoczny zachwyt, wywołany owym pojedynczym wspomnieniem, i przebiegł ją leciutki dreszcz czegoś, czego nie czuła od czasu choroby i śmierci Philipa.

-Tak.

Ruszyli dalej, pozostawiając za sobą ogród dzikich kwiatów i szli przez ogrodzony warzywnik, gdzie wedle słów Donovana hodowali własne ziemniaki, trzy gatunki fasoli, buraki, dynie, szalotkę i co tam jeszcze wpadło do głowy Pete'owi Szabo.

Dalej był sad, który przypomniał Joannie o domu i wywołał myśli o Rufusie i Belli - psy z pewnością tęsknią za Sophia - oraz Kicie, Miriam i Fred z Honey.

Ale zaraz potem przypomniała sobie wymagającą naprawy strzechę, centralne ogrzewanie, które nie przetrzyma kolejnej zimy, oraz tysiąc jeden przeciekających dziur, które pojawiły się w Merlin Cottage w ciągu kilku ostatnich lat.

Zdecydowała więc, że należy wygnać z myśli wszelkie symptomy tęsknoty za domem i cieszyć się pierwszym popołudniem w Gilead Farm.

- Robi się ciemno - odezwał się po chwili Donovan, a czując na sobie zaskoczone spojrzenie Joanny, wyjaśnił: - Powietrze trochę się zmieniło, kiedy zachodzi słońce, a i ptaki zaczynają swoje wieczorne czynności - zresztą, przed wyjściem sprawdziłem godzinę, a wiem mniej więcej, ile czasu jesteśmy na spacerze.

- Natomiast moje nogi mówią mi, że najwyższy czas usiąść - oznajmił zaś zalem Joanna.

- Na pewno jesteś wyczerpana.

- Wyraźnie poczuł się winny.

-Wracajmy do domu.

A może zaprowadzić cię od razu do domku gościnnego?

- Wszystko mi jedno- odrzekła Joanna -jeśli tylko dostanę gdzieś filiżankę kawy.

-Nie chcesz herbaty?

- A pamiętasz, ile filiżanek herbaty wypiałam, gdy byłeś w Anglii? Donovan poszperał w pamięci.

- Tylkokawa, lekko zabiелona i bez cukru.

- Znów wyczuł jej zaskoczenie.

-Tamtego pierwszego wieczora, kiedy na kolację przyszła Sara, przyniosłaś kawę na tacy razem z dzbankiem na mleko i cukierniczką.

Słyszałem, jak nalewasz mleko Sarze i podałaś mi cukier, a gdy zajęłaś się własną filiżanką, wlałaś parę kropel mleka i to wszystko.

- Będę musiała pamiętać, żeby nie szepnąć niczego, czego nie powinieneś usłyszeć, jeśli będziesz się znajdował w odległości mniejszej niż dziesięć kilometrów - odezwała się Joanna, której to zaimponowało. Zawrócili, a Sophia zaraz ku nim podbiegła.

Donovan uśmiechnął się wesoło.

- Niewiele mi umyka.

Zaprowadził je do domku gościnnego, stojącego między głównym domem a budynkiem Szkoły Jacka Donovana, która - jak jej własny Żłobek- mieściła się w dawnej obszernej stajni.

Kiedy wracał przez sad, zmierzch szybko przeszedł wewszochogarniającą,

wiejską ciemność, choć bliżej domu ścieżki oświetlone były zwieszającymi się z drzewiścian latarniami.

Donovan odprowadził Joannę z Sophia do domku, upewnił się, że wszystko w porządku z wodą oraz centralnym ogrzewaniem i że Pete Szabo zgodnie z obietnicą zaopatrzył lodówkę w podstawowe produkty żywnościowe, w tym trzy rodzaje jedzenia dla psów, aby Sophia miała w czym wybierać.

Potem oznajmił, że zostawia je teraz same, żeby mogły odpocząć.

- Bardzo byśmy się cieszyli, gdybyś chciała przyjść do nas na kolację ale jeśli jesteś zbyt zmęczona, w lodówce powinny czekać całkiem niezłe kanapki, a Pete mówił, że poczęstuje cię swoją sławną domową kartoflanką.

- O której jadacie tu kolacje?

- zapytała Joanna.

- Około siódmej.

Pewnie to za wcześnie dla ciebie.

Dziś na pewno nie, stwierdziła w myślach Joanna, przeliczając pięciogodzinną różnicę czasu.

Przyszło jej do głowy, że zupa, gorąca kąpiel

42

i tożko stanowią dziś dla niej większą pokusę niż kolacja w liczonym towarzystwie, nawet tak sympatycznym.

Donovan pochylił się, cmoknął cicho językiem, a Sophia zaraz podeszła bliżej.

Przez chwilę drapała ją za uszmi, potem znów się wyprostował.

- Chyba łatwiej jej będzie, jeśli kilka pierwszych nocy spędzi tu

ztobą, niż gdyby miała od razu zamieszkać w głównym domu.

Joanna spojrzała nasukę i przez chwilę zmagala sięze sobą.

- Nie wiem, czy będzie jej łatwiej - odrzekła w końcu - ale jaz całą pewnością będęszczęśliwsza.

-Tak mi sięteż wydawało - odparł łagodnie.

Ruszyłw stronę drzwi,alezaraz znów się odwrócił.

- Nie czuj sięw obowiązku przyjść na kolację, Joanno.

Będziemy tylko ja, Pete iduszona wołowina, a Pete nie przejmuje się zbytnio,jeśli ktoś nie zjawia się na posiłek.

My wszyscy tutaj jesteśmy raczejbeztroscy.

- Sprawia wrażenie bardzo miłego - powiedziała.

- Podobnie ChrisChen.

- A chyba nie udałoby ci się spotkać dwóch tak bardzo odmiennychcharakterów.

- Donovan uśmiechnąłsię otworzył drzwi, wpuszczającdośrodka chłodny powiew.

-A jutro poznasz Lamba.

9

Poniedziałek, 2 listopada

Obudziwszy się,Joanna zobaczyła, że Sophia leży obok niej na łóżku,wałąc ogonem w ręcznie zszywanąpatchworkową kołdrę, którą podziwiała wczoraj przezjedno mgnienieoka, zanim wsunęła się między prześcieradła i odpłynęła wsen.

- Dzień dobry, kochanie - wymamrotała.

- Jeśli to już dzień.

Sophia zaskamlała i przysunęła się bliżej,nadalwymachującogonem,a

Joanna odwróciła głowę, by spojrzeć na świecące cyferki zegarka. Pokazywały szóstą trzydzieścitrzy, co oznaczało, że przespała twardo jakieś dziesięć godzin.

Pies trąciłbem jej rękę.

Joanna sięgnęła do wyłącznika lampki nocnej, włączyła ją i rozejrzała się zaspana po pokoju.

Wczoraj była tak zmęczona, że tylko pobieżnie doceniła to, co najwyraźniej zrobiono tu specjalnie dla niej, prawdopodobnie rękoma wszędo-bylskiego Pete'a.

W trzech wazonach stały kwiaty, wszystkie ułożone w czarujące bu43.

kiety, na stoliku leżały numery "Woodstok Times" i "Daily Freeman" oraz stosik powieści, z których połowa miała angielskich autorów, a wreszcie - miły i wzruszający gest - znajdowała się tam także fotografia Merlin Cottage, na której zobaczyła siebie i Fred, a na pierwszym planie wszystkie psy.

Joanna przypomniała sobie, że Sara wykonała tę fotografię kilka miesięcy wcześniej (ona także uwielbiała robić zdjęcia; mówiła, że to dlatego, iż jej widzenie tak bardzo upodobiło się do patrzenia przez obiektyw, tak więc z aparatem czuła się całkiem naturalnie).

Tak więc widać było, że i ona przyczyniła się do tych przygotowań.

- Tomi! - powiedziała cicho do siebie.

Sophia zeskoczyła z łóżka, podbiegła do drzwi i obejrzała się na Joannę wyczekująco.

- Och.

- Wreszcie do niej dotarło.

- No dobra.

- Powoli odsunęła kołdrę i przekonała się, że powietrze w pokoju jest przyjemnie ciepłe - i czyż nie jest to miła odmiana od porannego chłodu w Merlin Cottage?

Sophia poskrobała znacząc drzwi i zaszczekała cicho, lecz nagle.

Joanna spojrzała na jasne, piękne i miękkie dywaniki na podłodze, rozważyła prawdopodobny stan psiego pęcherza po tak bezprecedensowej długiej nocy i postanowiła się zmobilizować.

Poranny chór ptaków właśnie rozpoczynał swój świergot, latarnie nadal oświetlały drogę, a powietrze było zaskakująco chłodne - o

wielechłodniejsze niż wczorajszego wieczora, kiedy wzięła Sopię na ostatniego dnia spacer.

Joanna wciągnęła dzinsy, włożyła adidasy oraz ukochany, wysłużony zielony sweterz kaszmiru - Philip kupił go dla niej Harrodsa, na długo przedtem zanim zachorował; twierdził, że zielone podkreśla zielone plamki w jej piwnych oczach.

Od tamtej pory sweter mocno wypłowiał i w kilku miejscach został pocerowany, lecz Joanna uważała go za coś rodzaju kocyka bezpieczeństwa i nigdzie się bez niego nie ruszała.

Tego poranka cieszyła się, że jest taki ciepły, kiedy Sophia, już należąca do wdrożona po dwóch pierwszych wizytach w tym miejscu, popędziła od razu w stronę ogrodu dzikich kwiatów.

Mimo że było bardzo wcześnie, w szkole paliły się już światła, a kiedy Joanna przechodziła ścieżką niedaleko od wejścia, drzwi otworzyły się i z budynku wyszedł niewysoki, smukły, bardzo schludnie wyglądający mężczyzna w czarnym golfie.

Zauważył ją, przystanął, by się jej przyjrzeć, lecz kiedy uśmiechnęła się i pomachała mu ręką, gotowa rozpocząć rozmowę, .

skinął tylko powściągliwie głową i ruszył z wawym krokiem w stronę głównego domu.

44

Założę się, że to Lamb, pomyślała Joanna i ruszyła dalej za Sophia.

Nie widziała już nikogo więcej; wzięła prysznic i ubrała się ponownie, znów w kaszmirowy sweter - na szczęście - zjadła śniadanie złożone z kawy, grzanki i soku pomarańczowego oraz skończyła rozpakowywać rzeczy, jako że wczoraj odłożyła tona później.

Dzień przyniósł piękną późnojesienną pogodę z dość mocnym wiatrem, który miotał suche, zbrązowiałe liście po całym podwórzu, widocznym z okna pokoju na parterze, gdzie Joanna jadła śniadanie i gdzie - jak przypuszczała - przyjdzie jej spędzić większość wolnego czasu w trakcie pobytu tutaj.

Pokój był uroczy, zbudowany na otwartym planie, lecz przytulnie staroświecki ze swą obitą kwiecistym perkałem kanapą, fotelami i dobrze dobranymi doniczastłonami, małym stolikiem do kawy oraz niedużym stołem obiadowym, za ledwie na cztery osoby, telewizorem, radioodbiornikiem - nastawionym, jak się przekonała po włączeniu, na stację WKIP - oraz maleńką, lecz bardzo praktyczną kuchenką.

Pukanie do drzwi rozległo się o ósmej trzydzieści pięć.

Sophiaszeczka krótko, przyjaźnie iruszyła do drzwi przed Joanną, wciąż machając ogonem.

W progu stał Donovan, z długą laską w dłoni, ubrany w dżinsy, sportową kurtkę i szary golf, sprawiający - jak zauważyła Joanna - leciutki mukłuciem, które zupełnie ją zaskoczyło - że jego szare oczy jeszcze bardziej przypominały chmury.

- Jesteś ubrana?

- Uśmiechnął się.

- Nie żeby miało to jakieś znaczenie.

- Jestem.

- Odsunęła się, by go wpuścić do środka.

- Wejdiesz?

- Nie chciałem przeszkadzać - wyjaśnił - ale Sara przysłała mi dziś rano e-mail, chcąc się upewnić, czy dotarliście bezpiecznie na miejsce.

Wydawało mi się, że zależy jej na odpowiedzi, więc odpisałem jej natychmiast i jest już uszczęśliwiona, ale przyszło mi do głowy, że powinienem ci tym powiedzieć.

Sophia, która zdawała się rozumieć, że przy tym mężczyźnie to ona powinna dać znać o swojej obecności - otarła się o jego nogi, a rzeźbiarz, nadal pozostając za drzwiami, przykucnął, żeby się nią zająć.

- To niepodobne do Sary, żeby tak się martwiła - odrzekła Joanna.

- I wcale nie przeszkadzasz.

Właśnie zrobiłam kawę, może chcesz się napić?

- Z ochotą.

Podniósł się, wszedł do środka, złożył łaskę, nieomylnie trafił do jednego z foteli i usiadł.

Zauważyła, że miał znakomity zmysł orientacji,

45.

choć nieraz przedtem widywała niewidomych, którzy znali na pamięć każdy kawałek swojego terenu.

Dalej, rzecz jasna, sprawy miały się zupełnie inaczej - świat zewnętrzny był nieprzewidywalny, zawierał w sobie miernocny potencjał, bo nawet w ogródku lub parku, który poznał dobrze oni sami i ich pies, nie było gwarancji, że natura nie rzuci im nagle pod nogi jakiejś nieznanej i niespodziewanej przeszkody.

- Sara mówiła, że miała o tobie jakiś zły sen - odezwał się Donovan, kiedy Joanna nalewała mu kawę.

- Powiedziała, że wie, iż to niedorzeczne robić takiego powodu tyle szumu, ale widać było wyraźnie, że ją to prześladowa.

Joanna postawiła kubek na niskim stoliczku tuż przed nim.

- Od czasu do czasu miewadziwne, abstrakcyjne sny.

Co jakiś czas Sprawiają wrażenie czegoś z pogranicza psychotroniki, a to ją wyraźnie trapi.

- Przysiadła na kanapie, a Sophia położyła się na podłodze pomiędzy ich stopami.

- Wydawało się, że wszystko wróci do normy, skoro tylko się dowiedziała, że nic wam nie jest.

Ale możesz w każdej chwili skorzystać z komputera, jeśli zechcesz wysłać jej e-mail.

- Donovan umilkł na chwilę.

- Lamb wspomniał, że widział cię na dworze jeszcze przed pierwszym braskiem.

Uśmiechnęła się w odpowiedzi.

- Tak sobiemyślałam, że to pewnie on.

- Nie sądzę, aby się przedstawił - rzucił cierpko Donovan.

- Pewnie nie był pewien, kim jestem - uznała.

- Choć nie przypuszczam, aby o tejporze błąkało się tu zbyt wiele obcych kobiet.

- A jużna pewno nie bywa tu zbyt wiele kobiet z owczarkami niemieckimi - dodał rzeźbiarz.

- Niemniej Lamb bardzo chciałbywas obiepoznać.

- Wypił łykkawy.

- A więc jakie masz plany na dziś,Joanno?

Chcesz zacząć powolutku czy wolisz, żeby Pete obwiózł nas po całej posiadłości- a może wolałabyś udać się dokądś samotnie z aparatem?

- Pomyślałam, że może zechciałbyś zacząć nas zapoznawać z GileadFarm - odrzekła Joanna.

- Im szybciej Sophia się tu zdomowi, tym lepiej.

- Urwała na chwilę.

- Ty i Sophia będziecie szli przodem - każdezdjęcie, jakie uda mi się wykonaćna tym etapie, to nie lada gratka.

- Miałem nadzieję, że tak właśnie powiesz - Był wyraźnie zadowolony.

- Ale nie chciałem niczego narzucać.

- Niczego nie narzucasz - powiedziała mu otwarcie.

- Jestemtu po to, żeby pracować z tobą i Sophia.

- Sara mówiła, że jesteś bardzo obowiązkowa, kiedy pracujesz.

- Uśmiechnął się.

- Właściwie to mówiła, że zazwyczaj jesteś obowiązkowa.

46

- Jesteś pewien, że nie określiła tego "uparta jak osioł"?

-Nie, nie powiedziała nic podobnie niegrzecznego.

- Zastanowił się przez chwilę.

-Choć możliwe, że użyła słowa "uparta".

Ale zdrgiej znów strony, o ile znam Sarę, mogłaby równie dobrze powiedzieć to samo osobie.

- Znów urwał.

-Albo, skoro już o tym mowa, o mnie także.

- Zakładam, że artysta musi być ukierunkowany?

- odparła Joanna.

- Zwłaszcza niewidomy?

- Donovan potrząsnął przecząco głową.

-W rzeczywistości ślepotą pozwala znacznie łatwiej skupić się na jednej rzeczy.

Mniej zewnętrznych spraw rozprasza człowieka.

Joanna wypięła trochę kawy.

- Pracujesz nad czymś w tej chwili?

Czy może u Ciebie to wygląda jakoś inaczej?

Sara czuje przymus codziennej pracy.

- Częściowo dlatego, że stara się zrobić, ile tylko zdoła, zanim zupełnie straci wzrok.

- Twarz Donovana spoważniała.

-Sara może sprawiać wrażenie pogodzonej z losem, ale chodzi jej raczej o to, aby nie przysparzać innym zmartwień własną osobą.

- Wiem, że się boi.

-Jest przerażona, Joanno.

Bo to jest przerażające.

Człowiek czasami uczy się, jak sobie z tym radzić - uczy się, jak siębać przez cały czas wykorzystać swój strach, kiedy już go dopadnie.

- Odstawił kubek na stolik.

-Strach okalecza, lecz może też ratować życie, nawet jeśli tylko powstrzyma człowieka przed wyjściem na ruchliwą ulicę bez proszenia o pomoc.

Joanna milczała.

Zbyt pochłaniało ją słuchanie tego, co mówił, i obserwowanie go.

Wiedziała, że znowu postępuje nieuczciwie - przekonała się jednak, że prawie nie może oderwać odeń wzroku.

Nie było co dotego najmniejszych wątpliwości: Jack Donovan to mężczyzna, który bardzo przyciąga uwagę.

"Każdy, kto zna Donovana, jest w nim trochę zakochany" - przypomniała sobie słowa Sary.

Przeniosła spojrzenie na jego dłonie, na długie, mocne palce, którym zawdzięczał rozgłos w świecie sztuki, a potem na niebieskoszare, niewidzące oczy.

Przyszła jej do głowy nowa myśl, również askakująca jak poprzednie ukłucie tęsknoty.

Żałowała, że Donovan nie może jej zobaczyć.

Zaznajamianie Sophii z dziesięcioakrowym terenem farmy zaczęło się od ustalenia, że jeśli któreś z nich się zmęczy, Donovan skorzysta z telefonu komórkowego, by wezwać Pete'a Szabo, aby przyjechał po

nichdzi47.

pem. Spacerowali po łąkach, gdzie Joanna i Sophia - na razie prowadzona na zwykłej smyczy - zawarły znajomość z kozami Pete'a.

Joannę ucieszył widok pół tuzina pasących się dalejkoni i kucyków.

Jak poinformował ją Donovan, wszystkie były dość łagodnego usposobienia, ponieważ służyły zazwyczaj do przejażdżek grupie niepełnosprawnych dzieci, które przyjeżdżały tu z regularnymi wizytami.

- Sam parę razy próbowałem się przejechać - oświadczył Joannie - było to jednak raczej nieudane doświadczenie, ponieważ zupełnie niesprawiało mi przyjemności.

Ale z drugiej strony, jeszcze jako widzący nastolatek nie lubiłem jazdy konnej.

- Chłopak z miasta?

- zapytała Joanna.

- Chyba tak - odrzekł.

- Na harleya mógłbym wsiąść w każdej chwili.

Kiedy znaleźli się z dala od koni, odpięli smycz Sophii i pies znów mógł biegać swobodnie, lecz co jakiś czas wracał do nich, z początku tylko do Joanny, potem jednak zaczął trącać Donovana nosem, zanim odbiegł z powrotem.

Uzgodnili w planie pracy, że zanim założą Sophii uprząż, dadzą jej kilka dni, żeby w miarę możliwości mogła się zadomowić na farmie - częściowo będzie chodziła na smyczy, częściowo biegała swobodnie.

Kiedy w Anglii założono suce uprząż, Sophia okazała spore zdumienie, ale nie protestowała zbyt mocno, gdyż z natury była spokojna i ufną.

Tego ranka także okazała lekkie zdziwienie, gdy Joanna przekazała smycz

Donovanowi, lecz Amerykanin trzymał ją tak spokojnie i pewnie, iż w ciągu kilku minut Joanna zdołała się upewnić, że nie myliła się w swoich przewidywaniach i ta dwójka będzie stanowić dobraną parę.

Czarny cherokee wyjechał im na spotkanie już w piętnaście minut potem, gdy rzeźbiarz zatelefonował, tylko że za kierownicą siedziała ChrisCBen, nie Szabo.

-Pete poprosił, żebym go zastąpiła - wyjaśniła, kiedy wsiedli do środka, gospodarz na przednie siedzenie, tak jak wczoraj, a Joanna z Sophiana tylne.

- Ma w piecu coś, czego wolał nie zostawiać.

- To dobra wieść - odrzekł Donovan.

-I ja tak myślę.

-Joanna aż do tej chwili nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo jest głodna.

- To dobrze- ucieszył się.

- Azatem przyjdziecie nas na lunch?

- Z przyjemnością.

-Murdoch dzwonił, że może się spóźnić - poinformowała Donovan a Chris.

Joanna dopiero po sekundzie uświadomiła sobie, o kim mowa, a potem, przypomniawszy sobie dosyć oschły uśmiech, jakim powitał ją dzisiaj

no, doszła do wniosku, iż na pierwszy rzut oka imię Murdoch pasowało doń znacznie bardziej niż przydomek Lamb.

- Jak mam się do niego zwracać?

- zapytała.

- Jak ci najwygodniej- odrzekł Donovan.

-Tylko nie spodziewaj się najcieplejszego powitania, cokolwiek wybierzesz.

- Chen obejrzała się na nich z nieco cierpkim uśmiechem.

Joanna zauważyła, że Chris jest trochę starsza, niż jej się wczoraj wydawało, a owych kilkadodatkowych lat widniało w okolicach pięknych ciemnych oczu.

Niemniej skóra na pozostałej części twarzy była gładka i napięta, ciemne włosy zaś związane z tyłu, podobnie jak wczoraj w gładki i lśniący węzeł, miały niesłychanie schludny wygląd.

Joanna spoglądała nie z lekką zazdrością, gdyż jej własne włosy, rude, długie do ramion, były tak niesforne, że natychmiast wymykały się z każdego koczka, ogonka lub warkoczyka, który próbowała uczesać ona sama lub jej matka.

Philipje uwielbiał, nieustannie porównywał ją z modelkami Tycjanai błagał, by nie obcinała ich na krótko, choć wiele razy Joanna znajdowała się już o krok od tego, by poprosić Josie, swoją fryzjerkę w Burford, żeby przycięła jej włosy tuż przy skórze, żeby mieć święty spokój.

- Chris uważa, że Lamb jest snobem - skomentował rzeźbiarz ostatnią uwagę.

- Bo jest - odparła Chris, z dużą wprawą manewrując dziuplą po wyboistej drodze.

Spojrzała na Joannę w lusterku wstecznym.

- Donovan myśli, że nie, bo Murdoch zostawił tę swoją białą anglosaską protestancką rodzinę w Rhode Island i przyjechał na farmę pracować z artystami, ale to tylko czyni z niego snoba intelektualnego.

- Przegrałem - rzucił Donovan łagodnie, niebardzo wiadomo do kogo

Kiedy dotarli do głównego budynku, Szabo czekał zgotowanym lunchem, lecz jako że Joanna i Sophia poraz pierwszy postawiły stopę w domu, Donovan zapragnął je oprowadzić, zanim zasiądą do stołu.

- Lambowi chyba jeszcze trochę sięjejdzie - poinformowałPete'a.

-Nie szkodzi - odparł tamten pogodnie.

Dom był wielki i dawałwrażenie szorstkiegociepła, głównie dzięki materiałom, jakie wykorzystano do jego wykończenia i wystroju, ponieważ każde pomieszczenie, do którego weszli, było niemalże surowe, pozbawione wszelkiego rodzaju drobiazgów.

Joanna wiedziała, rzecz jasna, że pusta przestrzeń podłóg jest konieczna, by Donovan mógł się poruszać bez niczyjej pomocy, a ten budynek - w przeciwieństwie do domkugościnnego, który przeznaczono do użytku i dla wygody innych - jest

4. Ślepa trwoga

49.

wyłącznie domem rzeźbiarza.

Nieliczne meble, jakie się tu znajdowały, były amerykańskimi antykami, które wybrał albo ze względu na wygodę, albo dlatego że spodobały mu się w dotyku.

Pomieszczenia zdominowane były przez zapachy, co zauważyła, kiedy Donovan wprowadził ją do biblioteki, z Sophią idącą grzecznie przy nodze.

- Skóra i cygara - wyjaśnił, wyczuwając, że Joanna leciutko wciąga nos powietrze, aby rozpoznać zapachy.

- Oraz, jak sądzę, nutka whisky.

- Czy mogę obejrzeć twoje książki?

- zapytała.

- Proszę bardzo.

Większość jest w brajlu, niektóre w moonie.

- Zamilkła chwilę, gdy podchodził do półek.

- Sara mówiła, że uczyłaś się obu.

- Moon jest dla mnie łatwiejszy - odrzekła.

- Coraz większe rzesze niewidomych wybierają teraz książki na taśmach.

- Podeszedł z wawo do niewielkiego biurka z obciążonym skórą blatem, stojącego w kącie.

Sprawdził godzinę na zegarku, który poinformował go żeńskim elektronicznym głosem, że jest 12.

22. - Ale ja nadal wolę czuć w ręku solidny ciężar książki.

- Nic dziwnego - odrzekła Joanna, biorąc do ręki tom oprawny

skórę, pisanego brajlem słownika -jeśli są takie piękne jak ta.

Za plecami Donovana znajdowała się rzeźba z brązu, stojąca na szerokim drewnianym parapecie.

Przedstawiała głowę kobiety -prostą, oszczędnie wymodelowaną czystymi, niemal klasycznymi w stylu liniami, lecz z taką dużą dozą intymności, że Joanna wyczuła natychmiast, iż musi to być osoba bardzo bliska twórcy.

- Moja matka -powiedział Donovan.

Joanna uważniej popatrzyła na rzeźbę, szukając podobieństwa. Znalazła je -w wysuniętym podbródku, choć cała reszta twarzy kobiety była zdecydowanie miękka.

- Jest śliczna - oświadczyła szczerze.

-Była - poprawił ją.

- Ona i ojciec zmarli w rok po tym, jak opuściłem Filadelfię.

U Frances, mojej matki, wykryto jedną z tych rozszalałych postaci raka, która w akcie łaski zabija niemal tuż po postawieniu diagnozy.

Walter, mój ojciec, w dwa miesiące później miał wylew i zmarł na miejscu.

- Wyciągnął przed siebie prawą rękę i położył ją bardzo delikatnie na tylnej części brązowej głowy.

- Pewnie wszyscy mamy nadzieję, że nasi rodzice dożyją dziewięćdziesięciu ośmiu lat i umrą we śnie.

- Cofnął dłoń i zwrócił się z powrotem ku Joannie.

- Ale przynajmniej żadne się nie męczyło.

- Moi rodzice jeszcze żyją - powiedziała cicho.

- Są na emeryturze

i wyprowadzili się z Londynu do miejsca zwanego Rottingdean na południowym wybrzeżu.

Mają tam ładny domek, moja matka uprawia ogródek, a ojciec chodzi do pubu.

Nie wydaje mi się, żeby czuli się bardzo szczęśliwi, bo nie lubili się zbyt, nawet kiedy byli młodszy i zapracowani.

Niewiduję ich często.

- Chyba nie jesteś do nich zbyt podobna - stwierdził.

- Philip zwykł mówić, że nie przypominam ani trochę żadnego z nich"

- odparła z uśmiechem Joanna - i przykro się przyznać, ale zawsze czułam w związku z tym pewną ulgę.

- Urwała na chwilę.

- A skąd wiedziałeś, że patrzył na twój obrazek?

- Czasem wyczuwam, jak przebiega linia wzroku innych ludzi - wyjaśnił.

- Podejrzewam, że ma to coś wspólnego z energią.

To żaden szczególny talent - czy nie zdarza ci się czasem czuć, że ktoś na ciebie patrzy?

Usłyszała pukanie do drzwi, a potem Chris Chen wsunęła głowę do środka.

- Murdoch już jest, a więc kiedy tylko będziecie gotowi, możemy siadać do stołu.

Kuchnia była obszerna, lecz przytulna, z podłogą pokrytą kamiennymi płytkami koloru ochry, centralnie umieszczonym blatem do pracy miedzianym daszkiem wyciągu nad kuchenką oraz bardzo ładnym, prostokątnym dębowym stołem i krzesłami, ustawionymi w pobliżu

dużych,przeszklonych, rozsuwanych drzwi, które wychodziły na niewielki, pełenspokoju ogródek różany.

MurdochLambert, stojący przy przeszklonych drzwiach, nadal ubrany wte same rzeczy, w których Joanna widziała go przed świtem, ruszyłw ich stronę z wyciągniętądo powitania ręką.

- Joanna, jak przypuszczam?

- zagadnął zuśmiechem.

-Poinstruowano mnie szczegółowo, że mam się do ciebie niezwracaćper "paniGuthrie".

- Miał srebrnoszarewłosy, przyciętemodnie wstylu, który Joanna nazywała w duchu "żywopłotowym".

Jego sposób wyrażania siębył tak precyzyjny, że niemalże oschły, a uśmiech, w jej odczuciu, nieprzenosił się zwąskich, lecz wyrazistych ust do niebieskich oczu.

- A ty

- dodał żywo- możesz mówić domnieMurdoch alboLamb, jak wolisz.

-Miło mi cię poznać.

Sporo otobie słyszałam.

Joannauścisnęła jego dłoń i zerknęła na Chris Chen, która przeszła nadrugą stronę kuchni, żeby pomóc Pete'owi w podawaniu lunchu.

Widaćbyło wyraźnie, że nie marnowała czasu na podobne wątpliwości, jakiemiła Joanna w sprawie jego imienia.

51.

- My wszyscy tutaj słyszeliśmy o tobie same cudowne rzeczy, Joanno
-powiedział Lamb.

- Choć chyba jeszcze więcej otwoim uroczympsie.

- Przeniósł spojrzenie na Sophie, która stała przy lewej nodze Joannyi drżała lekko, zainteresowana zapachami gotowanego jedzenia, napływającymi od kuchenki.

- Czy podaje łapę?

- Takie wypadki podobno się zdarzały - odparła Joanna.

-Podawanie łapyjest poniżejgodności Sophii - wtrącił

Donovan,podchodząc do stołu i zajmując miejsceprzy jego przeciwległym krańcu.

- Proszę, usiądź przy mnie, Joanno.

-Coś pięknie pachnie - zauważyła.

- Powiedziałbym, że topieczona szynka Pete'a- stwierdził Donovan.

-To musi być jakaś szczególna okazja - zauważył cierpko Lamb.

- Bo jest.

- Szabo, w prążkowanym, białoczerwonym fartuszk, dźwignął z blatu wielkąmiedzianą paterę i poniósł jąw stronę stołu.

-Mójdziadek był Węgrem,Jo, a poza tym mam też trochę rosyjskiej krwi, więcczasem próbuję gotować słowiańskie potrawy.

Joanna zajęła miejsce na prawo od Donovana, podrugiejjego stronieusiadł Lamb, Szabo zaś, umieściwszy na środku stołu połyskującą, aromatyczną szynkę, ruszył z powrotem w stronę blatu roboczego.

Chenprzyniosła dwa kolejne półmiski: jedenpełen czerwonej kapusty, drugi -puree ziemniaczanego, i usiadła obok Lamba.

- A to dla naszego gościa honorowego.

- Pete znów się zbliżył, trzymając coś za plecami.

- Mam nadzieję, że spotkają się z jej aprobatą.

- Wyciągnął przed siebie dwie ceramiczne miski dla psa, ręcznie malowane, w jaskrawych błękitach, żółciach i czerwieniach.

- Pete, są piękne.

- Wiedzioną impulsem Joanna wstała, podeszła do niego i pocałowała go w policzek.

- Czyż nie są cudowne, Sophio?

Suka pomachała ogonem, a Szabo z rozpromienioną twarzą ustawił obie miski na posadzce, niedaleko ściany, w bezpiecznej odległości od stołu.

- Dwie psie miski - poinformował Donovan Lamb.

- Ręcznie malowane, w podstawowe kolory.

Urocze.

Pod południową ścianą, w odległości pięciu kroków od stołu.

- Wiem, gdzie Pete je postawił - oświadczył Donovan.

- W porządku - odparł Lamb niecorozdrażnionym tonem.

- Czy mogę dać Sophii trochę szynki?

- zapytał Szabo Joannę, kiedy wrócił do stołu i zaczął kroić mięso.

- Będę się starał ominąć środek, bo jest napakowany wiśniami, musztardą i cukrem.

- Zawahał się.

- Piekłem ją też z goździkami.

Czy to będzie problem?

- Brzmifantastycznie.

Sophia zwykle jada posiłek około szóstej, ale myślę, że nie wybaczyłyby mi, gdybym powiedziała "nie".

- A jeśli wziąć pod uwagę różnicę czasu, jest już prawieta godzina.

- Czy psy także cierpią na jet lag?

- Biorąc pod uwagę, że półzycia spędzają na drzemce - wtrącił się Lamb - szczerze wątpię.

- Są bardzo wrażliwe - przypomniał Donovan przyjacielowi.

- Niemniej biedna Sophia ma więcej powodów, by czuć się zagubiona, niż tylko zwykły jet lag.

Tak raptowna zmiana miejsca i trybu życia musi podziałać na każde stworzenie, które żyje według ściśle ustalonego porządku.

Szabo skończył kroić szynkę.

- Proszę, częstujcie się, ludzie.

Zręcznie i szybko pokroił dwa plastry mięsa na małe kawałeczki, zgarnął je w dłoń i włożył do jednej ze stojących na podłodze misek. Sophia dopadła ich w mgnieniu oka i zdołała pożreć niemal całą szynkę, zanim Szabo zdążył napełnić drugą miskę wodą.

- Twoje wrażliwe stworzenie raczej nie straciło od tego apetytu - zauważył spokojnym tonem Lamb, biorąc talerz Donovana i starannie układając porcje szynki, kapusty i ziemniaków. Potem odstawił go z powrotem na miejsce.

- Dziękuję, Lamb - odrzekł rzeźbiarz.

- Joanno, proszę, częstuj się.

My tutaj nie bawimy się w ceregiele.

- Ani też nie jadamy takich posiłków na co dzień - dodała Chris.

-Zwykle jestto połykany w pośpiechusandwicz, przynajmniej w moimwypadku.

- A Sophia jeszcze żadnąmiarą nie jest moim stworzeniem - zauważył ponieważzasi Donovan.

- Dopóki Joanna nie orzeknie, że nadaję się do tego, aby ją zatrzymać.

--Czy twój sukces nie zależy od wyników szkolenia?

- zapytał Lamb.

- To nie takie proste- odrzekł Donovan.

- Prawda, Joanno?

- Nic nigdy nie jest proste.

Tego wieczora Joanna napisała do Sary list, ukryta w zaciszu domku gościnnego, mając obok wylegającą się na kanapie Sophie. Przyjaciółka przed wyjazdem prosiła, żeby Jo pisała do niej tak często i dużo, jak tylko będzie mogła, ponieważ ogromnie cieszyła się wszystkim, co jeszcze mogła przeczytać.

Joanna spodziewała się, że nie uda jej się napisać więcej niż parę linijek, niemniej pod koniec tego długiego, pełnego wrażeń

dnia roznosiła ją niespokojna energia, którą rozładować mogła tylko, dzieląc się z kimś wrażeniami.

Wszyscy zgotowali mi bardzo miłe przyjęcie, ale przez cały lunch czułam się jak ktoś z zewnątrz - choć z drugiej strony dzięki temu zyskałam szansę, żeby lepiej im się przyjrzeć.

Na przykład temu, w jaki sposób pozostali odnoszą się do Donovana - zdaje się o nic nie prosić, a mimo to tamci gorliwie odgadują lot jego życzenia.

Nie ma to w sobie nic z pasożytowania - jakoś nie wydaje mi się, abym mógł przystać na coś takiego, jak myślisz?

- niemniejnie mogłam się oprzeć wrażeniu, że to on stanowi centralny punkt życia.

Nadal nie mogąc się wyciszyć, Joanna przerwała pisanie, aby zrobić sobie dzbanek bezkofeinowej kawy, po czym zabrała Sopię na ostatni wieczorny spacer.

Zobaczyła, że w głównym domu w szkole nadal palą się światła, po czym wróciła do domku gościnnego i położyła się do łóżka, aby tam skończyć list.

Chris Chen oprowadziła mnie szybko po szkole, a Lambert pozwolił mi przypatrywać się swoim zajęciom ze studentami.

Im dłużej mu się przyglądam, tym bardziej wydaję mi się intrygujący.

Jest niewysoki, żyłasty, lecz elegancki, niepozbawiony wdzięku

- przypominał mi baletmistrza, kiedy tak krążył od studenta do studenta i przemawiał do nich w tym swoim schyłkowym, obcesowym stylu, czasem

ważąc starannie opinie, innym razem dając się ponieść entuzjizmowi lub

obrzydzeniu.

Nagle poczuła się wyczerpana, zapadła więc w krótką drzemkę, z której obudziła się gwałtownie i ujrzała, że notes oraz długopis znalazły się na dywaniku, a na łóżku obok niej już drugą noc z rzędu spoczywa owczarek niemiecki.

- Wiesz, to chyba nie najszcześniejszy pomysł.

- Wyciągnęła rękę, żeby zgasić lampkę i poczuła, że pies wali ogonem o kołdrę.

- Za dzień lub dwa będziesz musiała zacząć sypiać w głównym domu, z Donovanem i Pete'em.

Czy to właśnie z tego powodu, zastanawiała się, próbując znów zapaść w drzemkę, czuje się dzisiaj taka rozdrażniona?

Czyżby zaczęła już przeżywać utratę psa?

Na zewnątrz krzyknęła sowa, głośno i niepokojąco blisko, a Joannatychmiast uświadomiła sobie z ulgą, o co chodzi.

Przykre odczucie, ja54

kie towarzyszyło jej tego wieczora, nie było bynajmniej związane z Sophią.

Więcej wspólnego miało - jak sobie właśnie uprzytomniła - z wrażeniem, jakie przez cały dzień powoli przenikało do jej świadomości.

Lamb nie chce, żeby tu pozostała.

Wszyscy inni zgotowali jej miłe przyjęcie, byli dla niej niezwykle uprzejmi, przyjacielscy i mili.

Lamb na pozór także odnosił się do niej grzecznie.

Nie chodziło tylko o tę jego obojętność.

Ani też o ów leciutki snobizm, przed którym całkiem słusznie

przestrzegałają Chris Chen.

- Naprawdę sądzę, że on mnie tutaj nie chce - rzuciła głośno w ciemności do Sophii, a pies znów załomotał ogonem opościel.

- Ciesz się, żetytu przybyłaś, kochanie, zewzględu na Donovana.

Jak myślę, wszyscy się cieszą, że będziesz tu mieszkać.

Ale Murdoch Lambert wolałby, żebyśmy tobą nie przyjeżdżała.

Nieprzyjemnie było zasypiać z taką myślą.

10

Środa, 4 listopada

Trzeciego dnia założyli Sophii nowiusieńką uprzęż, a pies, choć z początkutrochę się w niej wiercił i miał wyraźną ochotę pogryźć skórzane szelki, przyjął ją wprost fantastycznie.

Joanna i Donovan odbywali te poranne sesjerazem, lecz Joanna zauważyła od razu, że choć Sophiiareagowała na jej pochwały równie radośnie jak zawsze, to ciche pomruki jej przyszłego pana, które w uszach Joanny brzmiały jak gruchanie w początkowej fazie zakochania, zdawały się doprowadzać sukę do stanu bliskiego ekstazy.

W piątek, piątego dnia ich pobytu, opuścili Gilead Farm, aby udać się na pierwszą wycieczkę.

Joanna, zatroskana, że Donovan głównie ma na względzie jej fotograficzne zamówienia z gazet, przypomniała mu przed wyjazdem, że przede wszystkim jest tu po to, aby zajmować się nimi Sophia.

- To dlatego właśnie wyruszamy - wyjaśnił.

- Kiedy jeżdżę po okolicy i zwiedzam różne miejsca, szukam w ten sposób inspiracji.

Inie widzę żadnego powodu, dla którego nie miałabyś zabrać

nateprzejażdżkę aparatu.

- Pochylił się, by się upewnić, czy uprząż psa jest dopięta jak należy.

-ZazwyczajPete prowadzi samochód, aLamb pełni funkcję obserwa55.

tora.

Opowiada mi, co się wokół dzieje, maluje obrazy tego, co jego zdaniem powinienem zobaczyć.

- Wyprostował się.

-Ale ponieważ twierdzisz, że potrafisz jednocześnie kierować autem i rozmawiać, myślę, że poradzimy sobie tylko we trójkę.

- To znaczy: ja, ty i Lamb?

-To znaczy: ja, ty i Sophia - odparł.

Joanna zaczęła się zastanawiać, jak na to zareaguje Lamb.

Ponieważ Joanna, siadając za kierownicą jednego z tutejszych dżipów, musiała przyzwyczać się do prawostronnego ruchu oraz tutejszych znaków drogowych, zaczęli od pobliskiego Rhinebeck, dziewiętnastowiecznej wioski o zwartej zabudowie.

Podróżowanie sam na sam z Donovanem, jak się szybko przekonała, było fascynującym przeżyciem.

Już dawniej przekonała się o tym, że nie należy lekceważyć zdolności ludzini widomych, niemniej ten mężczyzna był zdumiewający.

Wprawdzie to ona prowadziła samochód, ale zdecydowanie to on pokazywał jej okolicę.

Kiedy zwiedzali idealny przykład amerykańskiego gotyku, Delameter House, w którym teraz znajdował się hotel, Sophia szła grzecznie przynodze w swej uprzęży, a Joanna robiła zdjęcia z cennego aparatu Hasselblad, który dwa lata temu kupiła z drugiej ręki w Oksfordzie. Donovan opisywał jej zadziwiająco szczegółowo koronkową stolarkę, dachyze szczytami czy urocze okna z rombami szybek.

- Trudno mi uwierzyć, że sam nigdy nie widziałeś tego domu

- oświadczyła, kiedy weszli do wyłożonej boazerią sali Beekman Arms, gospody, która należała do Delameter House.

- Korzystasz z obserwacji Lamba.

- A także z twojej pamięci, jak sądzę.

- Tak, chyba nieźle wytrenowałem pamięć - przyznał Donovan.

- Nie miałem innego wyjścia.

- Przystanął, a przy nim zatrzymała się cierpliwie i Sophia.

- To chyba kwestia koncentracji - ciągnął po chwili.

- Przekonałem się, że kiedy mam zaprzewodnika Lamba - a także i innych - wystarczy, że "zobaczę" coś raz cudzymi oczyma i dodam do tego moje własne odczucia - zapachy, dźwięki, atmosferę, cokolwiek - a zazwyczaj tworzę sobie w myślach obraz, którego już nie zapominam.

- Naprawdę imponujące - orzekła Joanna.

- Chodzi mi o to, że ja, choć widziałam ten dom na własne oczy, mogę być niemal pewna, że zanim położę się do łóżka, zdążę zapomnieć o większości z tych wyrafinowanych szczegółów.

56

- Ale będziesz miała fotografie, które ci one przypomną.

- Donovan się uśmiechnął.

- A zanim zaczniesz podziwiać moje umiejętności, przypomnij sobie, co ci mówiłem o modelach Lamba.

To właśnie jeden z domów, które dla mnie dokładnie odtworzył.

A ten szczególnie pragnąłem zatrzymać, choć on sam nalegał, żeby wrzucić go do ognia - jeśli cię ciekawi, przechowywany jest w jednym z warsztatów w szkole.

- Dlaczego chciał go spalić?

- zapytała Joanna, wiedzioną ciekawością.

- Lamb ma czasami problemy z powodu nadmiernej skromności.

-Doprawdy?

Rzeźbiarz uśmiechnął się ponownie, słysząc sceptycyzm w jej głosie.

- Nie okazuje tej strony charakteru każdemu, ale wierz mi, że ona istnieje.

To właśnie jedyną przyczyną, dla której godzi się pracować zębami, co zresztą jest dla mnie prawdziwym darem losu.

Przez resztę tego dnia i cały następny poruszali się łagodnym zygzakiem przez Dutchess, Ulster i Green Counties, a Joanna miała okazję zaobserwować kolejne przykłady świadczące o niewiarygodnej pamięci Donovana oraz jego zdolności koncentracji.

To nic wielkiego, zapewnił ją, kiedy z wprost niesamowitą dokładnością określił ich położenie nadroczem numer dziewięć w pobliżu Poughkeepsie. Przejeżdżał tą trasą niezliczoną ilość razy, wyjaśnił, więc wyrobił sobie wyczuwanie prędkości i przebytych odległości, tak więc jeżeli zwraca na to uwagę przysłuchuje się zmieniającym się dookoła dźwiękom, potrafi całkiem sprawnie ocenić, gdzie się znajdują.

- Ale jeśli zabierzesz mnie w jakieś nieznanym miejscu albo coś mnie chwilę zdekoncentruje - dodał z szerokim uśmiechem - zagubię się jak dziecko we mgle.

Zwiedzili Hyde Park, dom Roosevelтів, gdzie w ogródku różanym zostali pochowani Franklin Delano oraz jego żona, Eleanor, a potem udali się na północ do Yanderbilt Mansion.

Tu Donovan wolał spacerować z Sophia na zewnątrz, w czasie gdy

Joanna będzie wędrować popięćdziesięcioczeropokojowejrezydencji.
Wahała się przez chwilę, dojrzawszy, że niedaleko grunt opada gwałtownie,
schodząc ku rzece, lecz rzeźbiarz zwrócił jej uwagę, że ma ze sobą
zarówno długą łaskę, jak i psa, a przez tych kilka lat, jakie przeżył bez
psiego przewodnika, udało mu się jakoś nie utonąć.

- No i?

- zagadnął, kiedy do nich wróciła.

On i pies siedzieli blisko siebie na trawie w pobliżu wody, a kiedy Joanna
podeszła bliżej, spoglą57.

dając na tę parę przez obiektyw hasselblada i wykonując kilka zdjęć, Sophia pomachała jej ogonem, ale nie ruszyła się od Amerykanina.

- Olśniewający, rzecz jasna - przyznała Joanna, siadając o kilka kroków od nich, zadowolona, że może odpocząć.

- Ale jak na mój gust zbyt oficjalny.

Zbyt świetny.

- A to?

- Donovan zwrócił twarz w stronę rzeki.

- Jest cudowna - odrzekła miękko.

- Taki spokój.

- Ale jednocześnie pełna życia - dodał.

- Łodzie, ptaki, ryby -no i sama woda.

-Urwał nachwilę.

- Ludzie mówią o tutejszym świetle, o tychwszystkich artystach,którychprzyciągnęła rzeka Hudson.

Lamb starasie,jak może, ale chyba są pewne rzeczy, które po prostu trzeba zobaczyć.

Pamiętam obrazy ThomasaCole'a, któreprzedstawiały tę dolinę,a także niektóre prace JohnaKensetta, jeszcze z czasów, zanim straciłemwzrok, ale światło to jedyna rzecz, którą tak naprawdę chciałbym zobaczyć na własne oczy.

Wtedy dopiero poraz pierwszy Joanna dostrzegła u niego objawy frustracji.

- Alechyba musi byćwięcej takich rzeczy, prawda?

- zapytała cicho.

- Oczywiście, że tak.
- Wyciągnął dłoń i pogłaskał łeb Sophii.
- Naprzykładta oto dama.
- Znów zawiesił na chwilę głos.
- No i inne piękności.

Choć Donovan dokładał wszelkich starań, by ją przekonać, że jest traktowana jak gość.

Mało tego, kiedy człowiek i pies tak szybko dopasowali się do siebie, zaczęła się zastanawiać, kto właściwie prowadzi tresurę - a przynajmniej, kto z nich się więcej nauczy.

Na przykład kiedy pewnego dnia siedzieli u Schemmiegow Rhinebeck, a Sophia leżała pod stołem, rzeźbiarz nieproszony zaczął udzielać jej lekcji na temat sztuki podsłuchiwania.

- Nie trzeba wcale być ślepym, żeby wyostrzyć sobie inne zmysły, Joanno.

Potrafi to każdy, kto tylko spróbuje.

- Nie sądzę, abym tego właśnie pragnęła - odparła sucho, jedząc naleśniki z syropem klonowym i lodami waniliowymi.

Nie zwracając najmniejszej uwagi na ironię w jej głosie, powoli obracał głowę na wszystkie strony, lustrując w ten sposób zapełnioną w dwóch trzecich salę.

- Dobra - rzucił wreszcie, dyskretnie ścisząc głos.
- Weźmy na przykład tę parę pod oknem, po twojej prawej stronie.
- Nie mam najmniejszego zamiaru nikogo podsłuchiwać.

zobaczyła czterdziestoparoletniego mężczyznę z żelem na ciemnych włosach i w niebieskim dresie oraz kobietę, nieco młodszą, ubraną w kombinezon podobny do tych, jakie noszą kosmetyczki w salonach piękności.

- Patrzysz na nich, prawda?

- rzucił z zadowoleniem Donovan.

- Tylko zerknęłam - odparła Joanna defensywnym tonem.

- O czym mówią?

- Nie wiem i nie chcę wiedzieć.

- Nie bądź taka prawomyślna, Joanno, to tylko ćwiczenie.

- Prowadzą prywatną rozmowę.

- Ona mówi, że jest za zimno na lody.

- Słuchał i przekazywał kolejne wypowiedzi.

- Donovan, przestań - Joanna robiła, co mogła, by nie parsknąć śmiechem.

Skupił się jeszcze bardziej.

- A on właśnie spytał, czy słyszała o tej zaginionej dziewczynie.

- Donovan, przestań, zanim cię usłyszą.

Unióś rękę, żeby uciszyć Joannę, przysłuchiwał się jeszcze przez kilka chwil, a potem zwrócił uwagę z powrotem nanią.

- Dobrze, już jestem z powrotem.

- No, mam nadzieję.

Pociągnął przez słomkę kilka łyków wody sodowej.

- Jak twoje naleśniki?

- Bardzo dobre, dziękuję.

- Próbowalaś kiedyś wody sodowej z lodami?

-Owszem.

Ale niezbytmi to smakowało.

- Tojedno z naszych powszechnychupodobań - odpala Donovan.

-Może trzeba się urodzić Amerykaninem, aby je podzielać.

Joannaodłożyła widelec i łyżeczkę.

- A więc o czym mówili?

Przez twarz rzeźbiarza przemknął tryumfalnyuśmieszek.

- Jesteś pewna, że chcesz wiedzieć?

-Nieszczególnie, ale widzę, że ty bardzo chcesz mi powiedzieć.

- Rozmawiali o dziewczynie stąd, która zaginęła w wiosnę.

- Zniży?

głos.

- Właściwiotopamiętam, jak się wtedy o niej mówiło.

Ellen Miller,z okolic Red Hook, to trochę dalej na północ od naszej farmy.

Rodzinastraszenie się o nią martwiła, ale gliny były przekonane, że ruszyła na gigant.

Teraz chyba są już trochę mniej pewni, jak wynika z rozmowy naszej pary spod okna.

59.

- Biedni rodzice odezwała się Joanna.

-Na pewno - zgodził się Donovan.

Ponieważ nazajutrz byłaniedziela, Lamb miał wolne, a i Szabo przyłączył się do nich, żeby dać Joannie odpocząć od prowadzenia auta. Pojechali do New Paltz, gdyż Donovan sądził, że mogłaby mieć ochotę sfotografować najstarsząulicę w Ameryce, na której wciążstały pierwotniewybudowane domy.

Lecz już po rozpoczęciuwycieczki Joanna przekonała się, że znacznie bardziej ciekawi ją pierwsza sposobność obserwowania, jak Murdoch Lambert dzieli się swoimi obserwacjami z Donovanem.

Ponieważwszyscy inni doskonale znali Huguenot Street, Lambskorzystał z okazji, aby rzucać się na każdy nowy i interesujący czy choćby przemijający szczegół, jaki pojawił mu się w zasięgu wzroku.

Raz były to jesienneliście, zwiane przez listopadowy wiatr w dziwny,stożkowatykształt, innym znów razem klasyczny biały pudel francuski, na widokktórego Sophia zaczęła skamleć i szczekać, a potem przystojny i smukłymłody mężczyzna o krótko przyciętych włosach - "króciutkie i miękkiejak mysie futerko", określił je Lamb - który spacerował z parą starszychludzi, prawdopodobnie rodziców.

- Jest przystojny - zgodziła się Joanna, wykonawszy serię zdjęć tychtrojga, świadoma, że szare oczy Lamba spoczęły teraz na niej.

Ale potem znów coś przyciągnęłojej uwagę, więc mogła nanowoz zainteresowaniem i fascynacją przyglądać się, jak przy każdym kolejnym temacieLamb wkładał całą energię w to, aby przekazać wygłodniałym uszom niewidomego przyjaciela i jego pojemnej

pamięć drobnych szczegółów, które odnotowywał z zachłannym spojrzeniem.

- Teraz już rozumiem - powiedziała Joanna rzeźbiarzowi następnego ranka, kiedy znaleźli się znów na szosie pod pochmurnym, ciężkim od deszczu niebem, kierując się w stronę Bard College - co miałeś na myśli, mówiąc, że masz zaufanie do Lamba jako do najbystrzejszej pary swoich uczniów.

Nie mam najmniejszych szans, aby kiedykolwiek osiągnąć ten poziom skupienia ani też orientować się tak doskonale w tym, co mogłoby cię zainteresować.

- Nie zaniżaj własnej wartości - odrzekł.

- I nie zapominaj, że ty to oglądasz po raz pierwszy, więc dla ciebie to praca na pełny etat, samochłoniecie wszystkiego wystarczy, a gdzie tu jeszcze mówić o przesiewaniu wrażeń, by wyłuskać to, co mogłoby być dla mnie nowe.

- Od jak dawna ty i Lamb pracujecie razem?

- Od mniej więcej pięciu lat.

Chyba stanowimy niezły zespół.

60

Choć Joanna nie odrywała oczu od szosy przed sobą, usłyszała znów w jej głosie tę ciepłą nutę i poczuła nagłe szarpnięcie jakiejś nieznanej dotąd emocji, po czym ku swojemu zawstydzeniu zorientowała się, że to zawiść.

Spędzili godzinę, spacerując po imponującym miasteczku studenckim, a potem wrócili, przejechali nad drugą stronę rzeki Hudson po moście Kingston-Rhinecliff i udali się na północny zachód, w kierunku Woodstock, mijając znak kierujący ich do Opus 40.

Jak wyjaśnił Donovan, była to mniej więcej sześćoakrowa rzeźba środowiskowa, stworzona przez Harveya Fite'a, artystę pochodzącego z Pittsburgha.

- Zdumiewający gość - opowiadał.

- Zaczął studiować prawo, które porzucił na rzecz kościoła, potem znów się rozmyślił i został aktorem, a następnie uświadomił sobie swoje prawdziwe powołanie i został rzeźbiarzem.

Znalazł zamknięty kamieniołom, wykupił go i kolejne trzydzieściosiedem lat życia - aż do samej śmierci - spędził na zmienianiu ścian z piaskowca w Opus 40.

To właśnie kolejna z tych rzeczy, które chciałbym zobaczyć na własne oczy.

- Chcesz tam teraz pójść?

- Joanna zwolniła.

Potrząsnął przecząco głową.

- Dziś jest za mokro.

To miejsce oficjalnie jest zamknięte od października do czerwca.

Moglibyśmy je obejść, ale kamienie robią się bardzo śliskie, a to niezbyt dobre dla mnie i Sophii.

Ale ty mogłabyś wrócić tu któregoś bardziej sprzyjającego dnia i wypstrykać kilka rolek filmu.

- Uśmiechnął się.

- Lamb uważa, że Fite był geniuszem, a Pete twierdzi, że bardzo podobają mi się wyrzeźbione tu postacie - zwłaszcza grupa zatytułowana "Rodzina kamieniarzy" - ale uważa, że ten ogrom daje wrażenie chłodu.

Chris nie znosi tego terenu, mówi, że wszystkie ciemne sadzawki i

zakamarki przyprawiają ją o dreszcze.

Twierdzi, że byłoby to znakomite miejsce dla smoków i złych duchów.

- Myślałam, że w Chinach smokisą dobre- zdziwiła się Joanna.

-Chris to bardzo amerykańska Chinka.

Następnego dnia pozostali na farmie.

Około wpół do ósmej Donovan pojawił się u drzwi Joanny, aby jej powiedzieć, że ma do załatwienia kilka pilnych spraw biurowych i byłby szczęśliwy, mając przy sobie Sophię, ale przyszło mu do głowy, że może Joanna wolałaby spędzić ten czas z kimś innym, póki jeszcze może.

Joanna podziękowała mu, uznała jednak, że dopóki Donovan pracuje w bezpiecznym i nieskomplikowanym otoczeniu, lepiej będzie, jeśli Sophia z nim zostanie.

61.

Jedno więcej cierpienie w koniecznym, lecz dojmującym bólu rozstania, pomyślała niedługo później, wyruszając na samotny spacer.

Ranek był suchy i bezwietrzny, lecz chłodny, udała się więc z wawym krokiem otwartą przestrzeń za szkołą, kierując się w stronę łąk.

Z daleka myślała, że patrzy na małe, smukłe drzewko, rozwiane nawietrze, ale potem przekonała się, że to nie drzewko, tylko kobieta, Chris Chen, ubrana w lycrowy trykot w pastelowe cętki, wykonująca skomplikowany i piękny układ tai chi chuan.

Joanna przez kilka chwil stała w bezruchu, oddalona o jakieś pięćdziesiątkroków, i przyglądała się Chince.

Włosy Chris, nieupięte, spływały aż do pasai połyskiwały kruczoczarne w porannym słońcu, kołysząc się łagodnie w harmonijnej zgodzie z jej płynnymi ruchami.

Przypomniała sobie słowa Donovana, że Chris jest bardzo amerykańską Chinką i pomyślała, że pewnie zmieniłby zdanie, gdyby mógł ją teraz zobaczyć.

- Przyłącz się do mnie, Joanno.

Głos Chen wyrwał ją z zamyślenia, nadlatując nie bardzo wiadomo skąd, gdyż ciało kobiety nie przerywało płynnej sekwencji wzmacniających ćwiczeń.

- Nie chciałam ci przeszkadzać.

- Joanna ruszyła powoli w jej stronę.

- Nie przeszkodziłaś.

- Chris zatrzymała się uśmiechnęła.

- Znasz tai C/K?

- Ćwiczyłam przez jakiś czas, po śmierci męża, ale nie szło mi za dobrze.

Śliczny owal twarzy Chinki znów rozjaśnił się uśmiechem, tym razem pełnym aprobaty.

- Mnie samej Trzynaście Ruchów zawsze przynosiło uzdrowieniei nową energię.

- Ogromne oczy przemknęły uważnie po twarzy Joanny.

- Bez aparatu.

i bez Sophii?

- Została z Donovanem.

Miał trochę roboty.

- Tak, wiem.

Będzie ci jej brakowało.

Joanna przytaknęła skinieniem głowy.

- Chciałabyś poćwiczyć ze mną chwilę?

- Z wielką ochotą, ale chyba nie jestem odpowiednio ubrana.

- Spojrzała na swoje dzinsy i adidasy.

- Obawiam się, że przy tobie będę się czuła jak ołowiany ciężarek.

- Zdejmij kurtkę i buty - poradziła jej Chris.

- Trawa jest mokra od rosy, ale niezbyt zimna.

Joanna wahała się jeszcze przez kilka sekund.

- Jesteśmy tu całkiem same - dodała Chinka - jeśli czujesz się niezręcznie.

62

Obserwator, który przyglądał im się przez lornetkę, z przyjemnością odnotował estetyczny kontrast między tymi dwiema

kobietami: jednamiała długie, proste czarnewłosa, druga - złocistorude loki, które rozsypywały się dookoła głowy, kiedy zerwał się lekki wiatr. Jedna przechodziła gładko i niepostrzeżenie z jednego ruchu w następny, druga sprawiała wrażenie ostrożniejszej, lecz poruszała się dość zręcznie jak na kobietę Zachodni widać było, że nie jest całkowitą nowicjuską, lecz chyba wyszła z wprawy, bo nieustannie zerkła na bardziej doświadczoną towarzyszkę, żeby sprawdzić, czy robi wszystko tak jak trzeba.

Podniosły razem zgiętą w kolanie prawą nogę, a obserwator, który skupiał wzrok na nich obu, dojrzał, że jedna stopa jest mała i niemal przypomina zwierzęcą łapkę, druga zaś dłuższa i smuklejsza. W kilkadziesiąt sekund później ta lepiej wyćwiczona, płynna w ruchach kobieta przeszła do bardziej skomplikowanej figury zwanej skrzyżowaną falą lilii wodnej, podczas gdy Angielka potknęła się i runęła na kolana, a kiedy zogniskował lornetkę na jej twarzy, zobaczył, że wybuchnęła śmiechem. Wtedy przestał im się przypatrywać.

Tego wieczoru Donovan zaprosił Joannę na kolację w głównym domu.

Pete'a wprowadziło niebyło, ale zostawił dla nich jakieś gorące danie, rzeźbiarz pomyślał więc, że miło im będzie spędzić trochę czasu spokojnie z Sophią.

- Duszona baranina - orzekła Joanna, skosztowawszy.
- Jak miło.
- Baranina, wołowina, ziemniaki.
- Gospodarz się uśmiechnął - Pete preferuje konkretne potrawy.
- Czy przyjeżdżasz z tobą do miasta, kiedy się tam przenosisz?
- Zazwyczaj mnie zawozi, ale potem zostaję sam.

- Przez chwilęjadłw milczeniu.

-Pete zawsze próbuje mnie przekonać, abym pozwolił muzostać i zajmować się mną, prawda jednak wygląda tak, że dla odmianywolęrobić wszystko sam.

- Uśmiechnąsię szerzej.

-Zazwyczaj sporoprzy tym schrzanię, ale nie ma przy mnie nikogo, kto podniósłby toszum, i to właśnie lubięnajbardziej.

- To właśnie dlatego Saratak wytrwale pracuje nad tym, aby przygotować się na chwilę, kiedycałkowicieutraci wzrok - odezwała się Joanna.

- Lubi swoją przestrzeń, zawsze ją lubiła, więc nie widzipowodu, żebymiała przestać ją lubić tylko dlatego, że oślepnie.

- Takie osoby najbardziej mi odpowiadają - orzekłDonovan.

-Ona to samomówi o tobie.

- Cieszy mnie to.

63.

Przez chwilę gawędzili swobodnie, przeważnie o Sophii i innych psach, które pozostały w domu.

Skończyli kolację przy wielkim kuchennym stole, potem pozbierali naczynia, umyli je i porozkładali na swoje miejsca, a Joannie po raz kolejny ogromnie zaimponowały zręczność i pewność siebie gospodarza.

- Jestem na własnym gruncie - wyjaśnił, wyczuwając jej podziw.

- Nic wielkiego, jeśli tylko inni pamiętają, by wszystko odkładać na właściwe miejsce.

Przesuń trochę stołek, a na pewno na niego wpadnę.

Postaw szklankę tam, gdzie powinny stać talerze, a na pewno coś się stłucze.

- Sama regularnie tłukę naczynia.

- Ale nie jesteś niezręczna.

- Nie, raczej nie.

Przez chwilę stali obok kuchennej szafki, do której chowali czyste naczynia, a Joanna wyczuła, że Donovan, choć zazwyczaj nie brakowało mu pewności siebie, tym razem wyraźnie niemoże się odważyć, by coś powiedzieć.

- O co chodzi?

- zapytała cicho.

- Chciałbym dotknąć twojej twarzy - poprosił - żeby móc zobaczyć ją po swojemu.

- Zawiesił na chwilę głos.

- Wiem już dość dużo o tym, jak wyglądasz, bo Murdoch zrobił mi obszerny wykład.

- Ach, tak?

- Joanna, rzecz jasna, zdawała sobie sprawę, że Lambmusiałopisywać ją przyjacielowi, lecz w tej chwiliowa świadomość sprawiła, że poczuła się lekko urażona.

- Przeszkadza cito?

-Niespecjalnie - skłamała.

- Czy pozwolisz mi się obejrzećrękoma, Joanno?

Zawahała się nachwilę.

- Oczywiście.

Donovan przysunął się bliżej i podniósł obie dłonie, a potem opuściłjez powrotem.

- Denerwujesz sięprzeze mnie?

Jeśli wolisz, żebym cię nie dotykał, topowiedz.

- - Nie, wszystko w porządku.

- Wstrzymujesz oddech.

Rozluźnij się.

Wypuściła powietrze, które mimowolniezatrzymała, a Donovan jeszcze raz podniósł ręce i położył po obu stronach jej twarzy.

Poczuła,jakiesą delikatne, przypomniała sobie, jak pierwszy raz robiłcoś podobnegozSophią w Merlin Cottage i jak pies zareagował na to z nieukrywanąprzyjemnością, uśmiechnęła się naowo wspomnienie.

64

- To miłe - rzucił miękko Donovan.

- Podobam się twój uśmiech.

Nie trwało to nawetminuty, niemniej w owym krótkim czasie

Joannapoczuła całą potęgę jego koncentracji i wiedziała, że zarys oraz faktura jej twarzy, uszu i szyi przekazywane są dozasobów tej podziwu

godnej pamięci.

- Dziękuję- powiedział na koniec.

- Teraz ty będziesz miała moje zdjęcia, a ja będę miał swój własny obraz ciebie.

Przeszli wraz z Sophią do salonu, gdzie siedli z butelką koniaku i dwoma kieliszkami.

Donovan zapalił cygaro; a potem przez chwilę oboje siedzieli w milczeniu, aż wreszcie Joanna nie mogła dłużej powstrzymać ciekawości.

- No i jak wypadłam?

- zapytała.

- W porównaniu z opisem Lamba?

Rzeźbiarz się uśmiechnął.

- Tu nie chodzi o porównywanie.

Tu chodzi o dodawanie kolejnych warstw.

Niektóre rzeczy już wiedziałem, częściowo od Lamba, częściowo od Sary, częściowo dlatego, że z tobą przebywam.

Wiedziałem, ile masz wzrostu, wiedziałem, że masz smukłą i zgrabną sylwetkę oraz niesforne, kręcone włosy i piwne oczy z przebłyskami zieleni.

Joanna nie odzywała się, czekając, co powie dalej.

- Kiedy cię dotykam, dowiaduję się wielu różnych rzeczy.

Wiedziałbym na przykład po samym dotyku, że masz rude włosy, wiem też że masz delikatną, najprawdopodobniej bardzo jasną skórę i używasz dzieciennego mydła Johnson, kosmetyków Lancôme oraz perfum First.

- Znowu jestem pod wrażeniem.

- Joanna starała się mówić lekkim tonem, chociaż serce jej biło szybciej.

- I słusznie.

Bóg jeden wie, ile godzin spędziłem w dziale kosmetyków u Saksaw Bloomies, doprowadzając do perfekcji tę małą sztuczkę towarzyską, żeby móc wreszcie powiedzieć Chris, że używa Mitsuoko albo Lambowi, że przerzucił się z męskiej wody Tiffany'ego na Number One Bossa.

Joanna wybuchnęła śmiechem.

- Jak często ci się to przydaje?

- Nieczęsto - przyznał.

- Tylko wtedy kiedy próbuję zaimponować pięknej i inteligentnej kobiecie.

- Nie oczekiwanie spoważniał.

- Udał mi się także nauczyć całkiem dobrze rozpoznawać, kiedy się uśmiechasz, a kiedy jesteś smutna.

Ale jedyna rzecz, którą tak naprawdę szczerze mówię o tobie to, jak bardzo ciężko jest ci się rozstać z Sophią.

- Temu nie mogę zaprzeczyć - odrzekła Joanna cicho.

- Zastanawiam się jednak, czy kiedykolwiek zdołasz naprawdę zrozumieć.

Ślepa trwoga

65.

mieć - na twarzy rzeźbiarza zaczęła pulsować żyłka, biegnąca równoległo wąskiej blizny - ogrom wdzięczności, jaką żywie dla ciebie za to, że miją oddajesz.

11

Wtorek, 10 listopada

Lukę Schuyler, lat dwadzieścia trzy, pochodzący z New Paltz, zmierzał właśnie z powrotem do Bostonu, gdzie ostatnio pracował i mieszkał.

Odbywał tę podróż wielokrotnie, gdyż starał się odwiedzać rodziców, kiedy tylko miał po temu okazję, i zazwyczaj korzystał z różnych tras, żeby urozmaicić sobie podróż.

Dziś jednak wolał jechać prostą drogą i takszybko, jak tylko pozwolą mu przepisy drogowe i jego stary volkswagengarbus, tak więc odbił na północ na osiemdziesiątej siódmej i wybrał Mass Turnpike na południe od Albany, a teraz przeprowiał się wygodnie przez rzekę Connecticut i był już mniej więcej w połowie drogi.

Lukę pomyślał o jeszcze bardziej wysłużonym oldsmobilu taty. Marzył, jak to będzie wspaniale, kiedy wreszcie zacznie sensownie zarabiać jako model i będzie mógł sprawić staruszkowi jakieś przyzwoite cztery kółka, które nie zawiodą przy pierwszym muśnięciu mrozu.

Przez zjazd na Three Rivers zerknął w lusterko wsteczne i zauważył, że biała furgonetka z przyciemnianymi oknami, którą zauważył poraz pierwszy gdzieś na granicy między Massachusettsa Nowym Jorkiem, wciąż jest za nim.

Wiedział, że to nie ma żadnego znaczenia, że w trakcie takiej podróży często

jedzie się przez całe kilometry w otoczeniu tych samych samochodów, niemniej opanowało go jakieś dziwne uczucie -miewałam już kilkakrotnie w ciągu ostatnich paru dni, jak sobie właśnie uświadomiłam - że ktoś go obserwuje.

- To wybujałam ego -powiedział na głos, próbując zbagatelizować swą obawę.

Jego rodzice mają najpewniej rację - mówili już nie jeden raz, że ostatnio za dużo czasu spędza na pozowaniu do zdjęć. Pewnie zaczyna sobie powoli wyobrażać, że cały świat patrzy tylko na niego.

Tak czy owak, pomyślałam sobie ze smutnym uśmiechem, pędząc wzdłuż wybrzeża w kierunku Bostonu, lubię to uczucie.

- Nie, do diabła - odezwał się znów na głos -ja to uwielbiam.

66

12

Czwartek, 12 listopada

Droga Saro,

W najbliższych dniach mamy opuścić Gilead Farm i udać się na -jak to zwykłam określać w myślach - Wielką Próbę Manhattańską, a ja czuję, że napięcie Donovanego znowu wzrasta.

Jeśli chodzi o mnie, to choć bardzo mi się tu podobało, myślę, że wyjeżdżenie częściowo budzi we mnie ulgę.

W Gilead panuje dość szczególna atmosfera i choć koncentrujesię ona wokół Donovanego, nie sądzę, aby to on sam ją kreował.

Wydaje mi się, że wciąż słyszę w pamięci to, co mi mówiłaś: że każdy trochę go kocha.

Problem wtym, Saro, że chyba masz rację.

To coś więcej niż zwykły podziw i więcej niż chęć ułatwienia mu życia. Jestem szczerze przekonana, że w tej półkomunie każdy uważa, że słońce, księżyc i gwiazdy wschodzą i zachodzą tylko dla Donovan, i jakoś nie wydaje mi się to całkiem zdrowe.

Na szczęście odnoszę wrażenie, że i on sam może mieć tego rodzaju odczucie - powiedział mi już, że jedną z przyczyn, dla których spędza część czasu na Manhattanie, jest potrzeba niezależności.

Bez względu na to, jak potoczą się nasze sprawy w mieście, mamy wrócić na farmę na Święto Dziękczynienia, co może się okazać przyjemne, choć zdaje mi się, że reszta wolałaby, żebym pojechała z Nowego Jorku prosto do Anglii.

Wiem, że Murdoch, choćby nie wiem jak uprzejmie mnie traktował, nie może się już doczekać, kiedy zobaczy moje znikające na zawsze plecy. A Chris i Pete - a zwłaszcza Pete - choć są dla mnie uosobieniem dobroci, to jednak widzę, że wywracam im życie do góry nogami.

Jeśli zaś chodzi o Lamba, sprawa ma znaczenie o wiele bardziej zasadnicze. Przez mnie nie mógł pracować z Donovanem, wiele razy także służyłam rzeźbiarzowi jako "oczy", a wszyscy wiemy, że tę rolę pełnił dotychczas Lamb.

f

Mam nadzieję, że kiedy wrócimy na Święto Dziękczynienia, w końcu będę miała okazję sfotografować Donovan przy pracy.

Spędziłam z nim tyle czasu, miałam okazję obserwować tyle jego godnych podziwu zdolności, a wciąż nie widziałam, żeby choćby dotknął bryłki gliny.

To dziwne- znaleźć się w samym centrum tej twórczej atmosfery i nie widzieć go przy pracy.

Pytałam o to ChrisChen, a ona odpowiedziała, że Donovan należy do tych, którzy robią wszystko albo nic.

W tej chwili, dodała, wy67.

gląda na to, że jego "wszystko" to ja i Sophia.

Chyba obie czujemy się

pochlebiono.

Przyślij mi prędko jakiś e-mail, Saro, i dbaj o siebie.

Ja tymczasem przesyłam Ci ten list oraz mnóstwo serdeczności.

Joanna

13

Sobota, 14 listopada

Przyjechali na West Side na Manhattanie od strony Henry Hudson Parkway tuż po świcie, skręcili w Broadway, a potem dostali się w ciche, niemal surrealistycznie pogodne otoczenie Columbus Circle, gdzie Joanna delikatnie wyprowadziła Sopię z czarnego cherokee i zabrała do Central Parku, żeby suka mogła sobie trochę powęszyć i załatwić potrzebę, zanim przyjadą domieszkania Donovan, które znajdowało się już tylko o kilka przecznic dalej.

- Już prawie jesteśmy w domu - odezwał się Szabo z siedzenia kierowcy, kiedy wsiedli z powrotem.

- Kiedy już dojedziemy, zatrzymaj się przed głównym wejściem - polecił mu zwięźle siedzący obok Donovan.

- Któryś z chłopaków pomoże wyladować rzeczy, a my pójdziemy prosto na górę.

- Mam zaparkować i wejść także?

- zapytał Szabo.

- Nie ma takiej potrzeby - chyba że Joanna czegoś od ciebie zechce.

- Nie, ja nie - odezwała się z tylnego siedzenia Joanna,

obejmującuspokajajaco Sophie, gdyżpies wyczuł, że dojechali na miejsce.

- Może powinienem poczekać odwieźć Joannę do hotelu?

-Poradzę sobie, Pete.

Wracaj do domu.

Mimo żeDonovan proponował jej od początku gościnny pokójw swoim mieszkaniu, Joanna zdecydowała, że na czas pobytuna Manhattanie zamieszka raczej w pobliskim hotelu, żeby Sophia mogła zacząćzycie w Nowym Jorku od razutak, jak miało ono potem wyglądać - samna sam z Donovanem w jego wielkomijskim świecie.

Postanowiono, żeJoanna wejdzie wraz z nimi na górę, obejrzy mieszkanie, a potem wezwietaksówkę iudasiedo leżącego o przecznicę dalej hotelu Peninsula.

Wszystko przedstawiało się nader gładko, kiedyto ustalali, niemniej ukrytełki, które najwyraźniej trapiły Donovana od wyjazdu z Gilead Farm, w czasie jazdy udzieliły się najpierwJoannie, a potem iowczarkowi, więcJoanna cieszyła się, że ma już podróż zasobą.

68

Ponieważna wsi, zgodnie ze spodziewaniami Joanny, Sophia spisywała się doskonale, doszli do wniosku, że czas zawieźć ją na Manhattan, byrozpocząć następny etap przystosowywania jej do życia w Stanach.

Donovan jednaksię bał, że nie ułoży mu się z psem, a Joanna uprzytomniła sobie, jak bardzote obawy są uzasadnione.

To, że Sophia zachowywała spokój w sytuacjach, które dokładnie odzwierciedlały warunki, do jakich przywykła, nie oznaczało jeszcze, że będzie tak samo, gdy nagle wokół niej eksploduje jedno z

najruchliwszych, najhałaśliwszych miastna świecie.

Właśnie dlatego zdecydowali, że wjadą do miasta o świcie, w sobotni poranek, żeby i ruch uliczny, i decybele były grubo poniżej zwykłej normy.

Dom, w który mieszkał Donovan, okazał się wysmukłym, piętnastopiętrowym budynkiem z szarego piaskowca ze staroświecką zieloną markizą nad głównymi drzwiami, marmurowym holem wejściowym, ożywionym światłem ukrytych lampek, oraz małą, otoczoną zielenią fontanną, szemrzącą w niszy naprzeciwko stanowiska recepcjonisty.

Kiedy Szabo przekazywał bagaż Joanny pod tymczasową opiekę młodemu człowiekowi imieniem Raimundo, o zaspanych oczach i gładko przylizanych włosach, Donovan pociągnął dwójkę gości do jednej z dwóch mieszczących się obok siebie wind, wsunął złoty kluczyk w otwór napisem "Nadbudówka" i przekręcił.

Sophia nerwowo przestąpiła złapy na łapę i przycisnęła się mocniej do nogi Joanny, lecz poza tym niewykazywała żadnych innych oznak niepokoju.

- Jak ona się miewa?

- zapytał Donovan.

- Wszystko dobrze.

- Gdybym mieszkał na niższym piętrze - mruknął - nie musiałaby tego znosić.

- Nawet gdybyś mieszkał na parterze - uświadomiła mu ze spokojem Joanna - w tym mieście jest mnóstwo innych wind, z których trzeba korzystać.

Mówiła mu już wcześniej, że nie ma żadnych powodów do obaw, ponieważ woziła Sophię kilkakrotnie w górę i w dół windą w hotelu w

Oksfordzie, gdzie pracowała.

Przyglądając się jednak twarzy rzeźbiarza, kiedy wznosili się w stalowym, wyłożonym lustrami pudle, zobaczyła zaciśnięte kurczowo szczęki, a potem dostrzegła lekką, lecz zauważalną ulgę Donovana, kiedy drzwi otworzyły się wreszcie.

Wtedy uświadomiła sobie, że nic, co dotąd powiedziała, nie zdołało go przekonać.

- Nie ma sąsiadów, którymi trzeba by się przejmować - odezwała się wśród ostrożnej ciszy, gdy stanęli w małym, wyłożonym beżową wykładką

kładziną holu, a Donovan przekręcił w zamkach dwa klucze, jeden podrugim, by otworzyć jedyne znajdujące się na tym piętrze drzwi wejściowe.

- Aha - odpowiedział i odsunął się nabok, by ją przepuścić.

- Proszę, wchodźcie.

Drzwi, wychodzące do przedpokoju, były pootwierane i skądś wpadało światło dzienne, niemniej kiedy tylko Joanna weszła do środka, Donovan zaraz włączył światło.

Mieszkanie było bardzo ładne - jak przekonała się natychmiast po wejściu - miało wysokie sufity, przestronne pokoje - na pierwszy rzut oka - jeszcze bardziej minimalistyczny wystrój niż oszczędnie umeblowane pokoje na farmie.

- To jego własny dom, pomyślała Joanna.

W przeciwieństwie do tamtego, który dzielił z Pete'em Szabo oraz innymi nieustannie zjawiającymi się i znikającymi kolegami po fachu, to mieszkanie było niemal na pewno tworem i własnością Jacka Donovana - niewidomego rzeźbiarza, który tu nie pracował, lecz tylko przyjeżdżał do miasta, najpewniej po to, by wpaść do galerii, zobaczyć się z agentką, wyskoczyć na kolację z przyjaciółmi - czy co tam jeszcze robi mieszkający w domu na wsi kawaler, przyjeżdżający pomieszkać na Manhattanie.

Oprowadził ją po całym apartamencie, przez cały czas poświęcając wiele uwagi Sophii, której zdjął uprzednio obrożę, a żeby wiedziała, że już tu zostanie.

W słuchiwał się z wyraźną przyjemnością w głośno stukających po parkiecie pazurów, potem napił się wodą z wielkiej, nowiusieńkiej stalowej

miski, przez cały czas przemawiając do sukki cichym, ciepłym, poufnym tonem, który zdawał się rezerwować wyłącznie dla niej.

- A więc?

- zapytał, gdy Joanna zobaczyła już wszystko: dwie sypialnie, łazienki, pokój dzienny i jadalnię, kuchnię, bibliotekę oraz mały taras.

- Zdaje egzamin?

- To piękne mieszkanie.

- Mur wokół tarasu jest dostatecznie wysoki, prawda?

To znaczy, zewzględnia jej bezpieczeństwo.

- Donovan znów zaciskał szczęki w nerwowym napięciu.

- Nigdy nie martwiłem się zbytnio o Walda i Jade, ale to były labradory, więc nie pociągały ich skoki ani wspinaczka.

- Taras jest w porządku.

- Była to pierwsza rzecz, jaką Joanna starannie sprawdziła, nasłuchawszy się potwornych historii o zwierzętach, które wypadły z górnych pięter wysokościowców.

- Chociaż wątpię, żebyś miał zamiar zbyt często wypuszczać ją tam bez nadzoru.

- Oczywiście, że nie - zapewnił i urwał.

- Muszę mieć pewność, iż nie

70

będiesz żałować, że ją ze mną zostawiasz, Joanno.

Muszę mieć pewność, że masz do mnie zaufanie.

Uśmiechnęła się i krótko, lecz mocno uściśnęła jego ramię.

- Gdybym nie miała do ciebie zaufania, nie byłoby mowy o tym, że bym ją tu z tobą zostawiła.

Zameldowała się w hotelu Peninsula i zadzwoniła do Donovanaw pięć minut po tym, gdy została wprowadzona do luksusowego apartamentu, aby podziękować i zapewnić, że naprawdę wystarczyłyby jej daleko skromniejszy pokój w mniej luksusowym hotelu.

- Nie podoba ci się?

- zapytał.

- Ależ oczywiście, że mi się podoba.

-Czy masz wszystko, czego ci potrzeba?

- I znacznie więcej.

-W takim razie zrób to dla mnie i naciesz się.

Cieszyłam się więc.

Wyjechali z GileadFarm w środku nocy, zatem trzyrzeczy, których najbardziej jej brakowało, były to prysznic, śniadanie i godzinna drzemka. Zdołała zapewnić sobie spełnienie dwóch pierwszych życzeń i właśnie się zastanawiała, czy wleźć pod kołdrę czy tylko położyć się na kapie wielkiego łóżka, kiedy rozdzwoniły się rozmaite dzwonki, którymi cały ten apartament był dosłownie usiany.

- Wszystko schrzaniłem, Joanno.

- Głos Donovan brzmiał rozpaczliwie.

-Katastrofa.

- Co się stało?

Przez głowę Joanny przemknęły obrazy martwej Sophii na chodniku pod tarasem wysokościowca.

Wskoczyła pośpiesznie w ubranie, w którym tu przyjechała, wypadła z apartamentu do windy, a kiedy znalazła się na parterze, ruszyła biegiem do następnej przecznicy, gdzie znajdował się budynek, w którym mieszkał

rzeźbiarz.

W holu wejściowym pełnił jużdyżur inny mężczyzna w uniformie, z nazwiskiem "JerryFeenan"naidentyfikatorze.

Kiedy Joanna mijiała pędem wywieszkę: "Goście muszązostać zapowiedzeni", mężczyzna zawołał do niej:

- Proszę pani?

Muszę zadzwonić na górę, żeby uprzedzić o pani wizycie.

Gumowepodeszwy pantofli Joannyzazgrzytały o marmurową posadzkę, gdy przystanęła gwałtownie obróciła się, by na niego spojrzeć.

- Przepraszam.

Przyszłam się zobaczyćz panem Donovanem z nadbudówki.

- Pani Guthrie?

71.

- Zgadza się.

Feenan obdarzył ją uśmiechem.

- Pan Donovan oczekuje pani.

Prosił, żeby wjechała pani prosto na górę.

- Zawiesił na chwilę głós.

-A przy okazji, tam na górze wszystko już jest w porządku.

Joanna podziękowała i ruszyła do windy, potem znów przystanąła.

- Nie mam klucza - rzuciła - do windy.

- Nic nie szkodzi, proszę pani.

Zaraz zadzwonię do pana Donovanai powiem, że już pani jest.

Proszę po prostu wejść do windy numer dwa, a on zabierze panią na górę.

Poczuładym, kiedy tylko otworzyły się drzwi windy.

W otwartych drzwiach do mieszkania stał Donovan z twarzą białą jak kreda.

- Co się stało?

Gdzie Sophia?

- W pokoju dziennym.

- Nic jej nie jest?

- Joanna wyminęła go bez wahania, gdyż obawakazała jej zapomnieć owymogach dobrego wychowania.

W przedpokoju poczułazapach dymu.

- Co się stało?

-zapytała raz jeszcze, a wtedy Sophia, słysząc jej głos, wyszła z pokoju, żeby się przywitać.

Machałaogonemi widać było, że nie jest ranna, lecz kiedy Joanna

przykucnęła i pozwoliła jej przytulić się do siebie, poczuła, że suka drży.

- Donovan, ona cała się trzęsie!

- Nie tylko ona - odparł, zamykając drzwi.

- W zasadzie nic strasznego się nie stało, ale detektor dymu włączył alarm, a on ma bardzo wysokie tony, więc przestraszył Sopię.

- Nic strasznego?

- Joanna wyprostowała się, a pośpiech i przestraszenie spowodowały, że stała się wręcz agresywna.

- Co to było?

Coś się zatliło od jednego z twoich cygar?

- Niepodobnego.

- Biedulka.

- Joanna znów przykucnęła, żeby przytulić i uspokoić psa.

- Czy potwierdziłaś okna?

Zakładam, że ogień został już ugaszony.

- Owszem, zrobiłem jedno i drugie - odrzekł Donovan pokornym tonem.

Podniosła na niego wzrok.

- Przepraszam.

- Za co?

- Histeryzuję.

- Sophia przestała się trząść, więc Joanna wstała.

- Czy jest za zimno na to, żeby przenieść się na taras i tam poczekać, aż tu się trochę wywietrzy?

- Jak dla mnie nie - oświadczył rzeźbiarz.

Przyczynanie było wcale cygaro, jak się przekonała, kiedy siedzieli, popijając kawę na wysoko obmurowanym tarasie.

Zresztą sam Donovan w niczym niezawinił.

Winien był nowy, nieużywany dotąd opiekacz dogrzanek, który z powodu jakiejś usterki zamienił w dwa węgielki kanapki z masłem orzechowym i galaretką porzeczkową.

Widać było od razu, że żerzeźbiarz jest w znacznie głębszym szoku niż pies.

A kiedy Joanna miała czas się nad tym zastanowić, uświadomiła sobie, że jego wstrząs związany jest z pewnością ze wspomnieniami o pożarze, w którym wedle słów Sary - nieważne, jak dawno temu - zginął jego pierwszy pies przewodnik.

Kiedy dym niemal w całości zniknął, wrócili do mieszkania i Joanna zaproponowała, żeby zjedli razem wczesny lunch.

Za wcześnie jeszcze, zgodzili się oboje, bynarażać Sophię nadalszy stres na ulicach miasta, zamówili więc pizzę i lody - przyniósł im je

Raimundo, młody człowiek, który pełnił dyżur dziś rano - i zjadali je, siedząc na dużych poduchach w pokoju dziennym, aby (wedle teorii Donovana) Sophia mogła się poczuć bardziej swojsko.

- Dobra, co?

- zapytał po chwili Joannę.

- Pizza jest cudowna.

- A ty, Sophio?

Smakuje ci, serduszko?

- Uparł się, by zamówić dla siebie pizzę, nieprzyprawioną pizzę z szynką, bez cebuli i czosnku.

- Mam nadzieję, że niewęjdzie ci to w zwyczaj - rzuciła Joanna

surowym tonem.

-Nie ma mowy - zapewnił ją.

- To tylko wyjątkowo, na powitanie nowego domu żeby łatwiej wyszła zszoku.

Wiem, co jest dobre dla pań, Joanno.

- Oczywiście, że wiesz.

Przepraszam.

- Przestań przeproszać.

-Dobra.

- Zjadła jeszcze jeden kawałek, popiła colą i rozejrzała się po pokoju.

Podobnie jak w Gilead Farm, rzeźby Donovana, które tu się znajdowały, należały raczej do tych starszych, z czasów przed wielkiego sukcesu - były to prace, które podobnie jak głowa jego matki miały dla niej jakieś szczególne, emocjonalne znaczenie.

Na tarasie Joanna zobaczyła dwie większe, obie napół abstrakcyjne, a tu, w pokoju dziennym były trzy: zaskakująca figurka kota z gliny, podpisana "Lamb", a także głowa, którą Donovan nazwał głową swego ojca, Walta.

Stała tam również średniej wielkości figura kobiety i wyjaśnił, że to Greta, jego była żona.

Wiedziona ciekawością, Joanna jeszcze raz spojrzała na posąg i ujrzała smukłą, mocną, śmiało ukształtowaną głowę z mocnym zarysem nosa i zmysłowymi wargami.

- Greta była siłą, z którą należało się liczyć - oznajmił Donovan.

-Chociaż dla mnie za ostrą, kiedy przyszło co doczego.

- Pozostaliście przyjaciółmi?

-Rozstaliśmy się w dość rozsądny sposób, jeśli wziąć pod uwagę, że zakochała się w innym mężczyźnie, na domiar złego w adwokacie odspraw rozwodowych.

- Uśmiechnął się szeroko.

-Ale nie rozmawialiśmy już ze sobą ze dwa lata.

Joanna przeniosła spojrzenie na podobiznę Walta Donovana.

- Jak był twój ojciec?

-A co byś wnioskowała na podstawie jego podobizny?

Słabość, pomyślała, lecz nie powiedziała tego na głos, choć była to prawda, jako że głowa wydawała się jakaś miękka i wywierała znacznie słabsze wrażenie niż rzeźba Grety lub Frances Donovan, jego matki.

- Przypominasz bardziej matkę niż ojca - zauważyła wreszcie ostrożnie.

-Powinnaś być zostać dyplomata.

Przez chwilę jedli w milczeniu.

Był to raczej towarzyski rodzaj ciszy, Joanna jednak czuła, że coś zajmuje myśli Donovana.

Zastanawiała się przez chwilę, czy go o to nie zapytać, lecz doszła do wniosku, że jeśli to coś, o czym chciałby z nią pogadać, to na pewno zrobi to w odpowiednim dla siebie czasie.

Nie musiała długo czekać.

- Podejrzewam, że widziałaś, jakie wrażenie wywarł na mnie ten alarm przeciwpożarowy - odezwał się z wolna.

- Owszem.

- Na pewno spodobałby ci się mój pierwszy pies, Waldo.

- Jestem o tym przekonana.

- Był naprawdę psem z charakterem, wiesz?

Miał poczucie humoru.

- Potrząsnął głową.

- Niektórzy ludzie - ci, co nigdy nie mieszkali z psami - uparcie odmawiają im indywidualnych cech charakteru, ale my wiemy, jak jest naprawdę.

Joanna milczała.

- Byliśmy w odwiedzinach przyjaciół w Chicago, w listopadzie dziewięćdziesiątego drugiego roku.

U Mike'a i Annie Schererów.

Mike i ja chodziliśmy razem do szkoły, jeszcze w Filadelfii - on zaczął uczyć, poznał Annie i przeniósł się na zachód, żeby być z nią.

Gdy przyjeżdżali do Nowego Jorku, zatrzymywali się u mnie, tak więc kiedy Waldo i ja pojechaliśmy w tamte strony, chcieli, żebyśmy zanoceowali w ich domu przy Rogers Park.

74

Sophia, która siedziała napodłodze między nimi, wyczuła zmianę nastroju, przysunęła się więc bliżej Donovana i wetknęła mu nos pod prawe ramię.

Przez chwilę mruczał coś do niej i drapał ją za uszami, potem zaczął mówić dalej.

- Wyszliśmy na obiad czy coś w tym rodzaju, ale Annie źle się

poczuła, więc wróciliśmy do domu wcześniej.

Ona poszła prosto do łóżka, a Mikę i ja zrobiliśmy sobie w kuchni jakieś omlety, wypiliśmy kilka piw, a ja starałem się dotrwać do końca meczu w telewizji.

Donovan snuł swoją opowieść cicho, w prostych słowach, tłumiąc ból, który - widać było wyraźnie - wciąż jeszcze tlił się gdzieś głęboko.

Było zimno jak na listopad, nawet jak na chicagowską normę, więc Mikę wstawił dopokoju gościnnego grzejnik elektryczny, żeby się trochę nagrzało, kiedy oni będą na dole.

Nigdy nie stwierdzono dokładnie, co było przyczyną pożaru, ale według rzeczoznawców właśnie ten grzejnik stał się zarzewiem ognia.

Mężczyźni poczuli dym tuż przed tym, nim włączył się alarm przeciwpożarowy, więc Mikę wrzasnął do Donovana, żeby wystukał numer straży, a potem uciekał z domu z Waldem, a on w tym czasie pójdzie na górę i wyciągnie z łóżka Annie.

Parę sekund później Donovan usłyszał krzyki i trzask, a potem straszny huk szalejącego ognia, tak więc otworzył frontowe drzwi, kazał Waldowi wyjść na zewnątrz, a sam ruszył w stronę schodów, żeby pomóc przyjacielowi.

Krzyczał, idąc, a kiedy znalazł się w połowie schodów, Mikę wrzasnął, że oboje z Annie wychodzą na zewnątrz wyjściem przeciwpożarowym, że powinien zawrócić i czym prędzej wynieść się z Waldem z domu.

Donovan próbował tak zrobić, ale stracił równowagę, spadł ze schodów i złamał nogę.

Ostatnie, co pamiętał, to Waldo, ciągnący go za sweter na karku; wkrótce potem zemdlał.

Później dowiedział się, że strażacy wynieśli go na zewnątrz, lecz w gęstym dymie nie zorientowali się, że w środku jest jeszcze pies.

Kiedy Mike im o tym powiedział, zawalił się sufit i było już za późno.

- Pojechałem do szpitala i nikt nie chciał mi nic powiedzieć, wiedziałem jednak, że Wald już nie ma.

- Donovan miał ściągnięte mięśnie twarzy, a w oczach błyszczały mu łzy.

- Chyba przez jakiś czas zupełnie nadawałem się do użytku.

Pamiętam, że jakiś dupek reporter dostał się do mojego pokoju, żeby przeprowadzić ze mną wywiad.

Twierdził potem, że mu powiedziałem, że Wald był dla mnie ważniejszy od jakiegokolwiek człowieka.

- Wzruszył ramionami z goryczą i bólem.

- Być może powiedziałem mu wtedy coś takiego - może i szczerze, skoro wiedziałem, że Annie i Mike'owi nic się nie stało.

Joanna spojrzała na Sophię; w myślach pojawiły jej się obrazy cierpiących straszliwe męki psów i wzdrygnęła się gwałtownie.

- Nie wiedziałem natomiast -ciągnął Donovan - że w domu znaleziono zwłoki.

-O mój Boże!

-Wytrzeszczyła na niego oczy.

- Kto to był?

- Tegonikt nigdy nie zdołał się dowiedzieć.

- Przełknął ciężko ślinę.

- Podobno zamało z niego zostało, żeby ekspert od medycyny sądowej miał na czym popracować.

Znalazł się w pustej przestrzeni między stropowej pod podłogą pokoju dziennego.

Mikę mówił, że doszli do wniosku, iż musiał to być jakiś włamywacz albo włóczęga, który znalazł tam sobie miejsce do spania.

- Biedaczysko - odezwała się wstrząśnięta Joanna.

-Tak.

- Rzeźbiarz przerwał nachwilę i w roztargnieniu pogłaskał Sophię.

-Myślę, że to dlatego dźwięk alarmu i zapach dymu przeraziły mnie równie mocno jak tęmałą.

- Mogę sobie tylko wyobrazić, co czuleś- powiedziała miękko Joanna.

- Nawet nie próbuj - odparł.

14

Czwartek, 19 listopada

Joanna była jeszcze w łóżku, kiedy zadzwonił telefon.

- Spałaś?

Uśmiechnęła się nadźwięk głosu Donovana.

- Nie, tylko się rozleniwiłam i zastanawiałam się, czy wstać na śniadanie.

Życie jest ciężkie.

- Dobrze ci.

- Urwała chwilę.

- Na farmie wyniknął jakiś problem, którym tylko ja mogę się zająć.

Chris dostała grypy, a sprawa dotyczy interesów, więc nie należy w gestii Lamba, co oznacza, że tylko ja jeden mogę to załatwić.

Joanna podniosła się do siadu.

- A co z Sophią?

- No właśnie - odrzekł.

- Wiem, że ściśle rzecz ujmując, powinna teraz przebywać ze mną, ale nie mogę znieść myśli o tym, żeby tak ją wciąż przerywać tam i z powrotem, zastanawiałem się więc, czy nie zechciałabyś pomieszkać u mnie przez ten czas, jak mnie nie będzie?

76

- Kiedy wyjeżdżasz?

- Pete już tu po mnie jedzie, ale dzwoniłem do Mel, a ona mówi, że możesz służyć zawsze i wszędzie, wystarczy krzyknąć.

- Donovan zamilkł na chwilę.

- Co o tym sądzisz?

- Wygląda na to, że wszystko już dokładnie poukładałeś - zauważyła Joanna nieco cierpkim tonem.

-Nie podoba ci się to.

- Nie przedstawia się idealnie.

- Zaczęła już łagodnieć.

-Ale oczywiście nie mam nic przeciwko temu.

- Rozejrzała się popokoju.

-A co z hotelem?

Czy mogę się wymeldować tak bez uprzedzenia?

- Z tym nie ma żadnego problemu, ale po co?

Nie zamierzam siedzieć tam dłużej niż dzień, najdalej dwa, tak więc nie ma takiej potrzeby, chyba że potem zdecydujesz się być moim gościem, kiedy wrócę.

- Zawiesił głos.

-Decyzja należy do ciebie, Joanno.

Chcę, żebyś czuła się jak najlepiej.

Sama myśl o pozostaniu w nadbudówce, kiedy będzie tutaj także Donovan, wprowadziła ją w stan niebezpiecznie mocno przypominający podniecenie.

- Zatrzymała się - oznajmiła.

Pierwsze cztery dni w Nowym Jorku stanowiły duże wyzwanie, ale zarazem źródło wielkiej satysfakcji, a także uciechy - z punktu widzenia Joanny.

Jej poprzednia wizyta z Philipem miała charakter

zaplanowanej pięciodniowej wycieczki, tak więc obecne światowe

życie w Manhattanie - którego doświadczyła tak wyraziście zarówno w

hotelu Peninsula, jaki tam, gdzie chciał ją zabrać Donovan - było bardzo ekscytujące.

Sophią nadal wykazywała się niezwykłymi zdolnościami adaptacyjnymi, spokojnie i rozważnie krocząc po zatłoczonych wielkomiejskich chodnikach, radziła sobie doskonale z wizytami w śródmiejskim biurze Mel Rosenthal oraz w kilku najulubieńszych magazynach Donovan - choć z każdym razem wybierały jeden z najczęściej przemierzanych przez rzeźbiarza szlaków i powtarzały go dopóty, dopóki suka do niego nie przywykła, a był to proces żmudny i długotrwały.

Choć psie zmysły są bardzo wyostrzone, a zwierzęta te zwykle łatwo poddają się kierownictwu człowieka i choć Manhattan w większości składa się z prostych, łatwych do pokonywania ulic, przejścia dla pieszych najeżone są niebezpieczeństwami dla osób upośledzonych pod względem wzroku, gdyż zza rogu w każdej chwili może wyjechać samochód, nawet kiedy pali się zielone światło.

Same światła zresztą także nie miały zamontowanych sygnałów dźwiękowych.

- Jeśli jestem sam - wyznał jej Donovan - nie mam nic przeciwko temu, by od czasu do czasu zaryzykować, zamiast prosić o pomoc przy każdym cholernym skrzyżowaniu - ale kiedy Sophia będzie na mnie polegać, nigdy się na to nie ośmielę.

Ponieważ w mieściepsa przewodnika wpuszczano niemal do każdego miejsca, napotykał niewiele ograniczeń i mogli pójść prawie wszędzie, dokąd tylko zechcieli.

Zafascynowana radością, jaką czerpał Donovan z tych na pozór głównie wizualnych rozrywek, jakimi są kino lub muzea, Joanna szybko nauczyła się rozróżniać, kiedy chciał lub potrzebował wzrokowego wsparcia osoby widzącej, a kiedy wołał raczej zdać się na wyobraźnię i swoje niezwykle wyostrzone zmysły.

A teraz, odłożywszy słuchawkę, wiedziała, że mogłaby równie dobrze zaproponować, aby wszyscy razem wrócili na farmę, ponieważ tresuraw mieście poszła im znakomicie, a ona sama wykonała tyle zdjęć Donovana z Sophia na Manhattanie, że z pewnością wystarczy ich dla obu zleceńodawców.

Istniała jednak możliwość, że rzeźbiarz będzie musiał pozostać na farmie dłużej, a Joanna wiedziała, że jeśli suką poradzi sobie z sytuacją powrotu na wieś, a ona sama zdoła wreszcie wykonać owe odwlekające się dotąd zdjęcia rzeźbiarza przy pracy, wtedy zlecenie zostanie wykonane i zabraknie sensownego powodu, by odkładać wyjazd do Anglii.

Choć bardzo kochała Merlin Cottage i ludzi oraz psy, wszystkich których tam pozostawiła, perspektywa powrotu do domu napełniała ją żalem - a teraz już wiedziała, że ów żal nie był związany jedynie z faktem, iż będzie

musiała pozostawić tu Sophię.

I to właśnie była, jak sobie uświadomiła, prawdziwa przyczyna, dla której nie zaproponowała, aby zakończyć zajęcia w mieście i wrócić na farmę wraz z Donovanem.

To oraz fakt, że nie miała ochoty rezygnować z kilku dni, które mieli spędzić razem w mieście, z dala od Gilead Farmi wszystkiego, co wiązało się z tym miejscem.

Dziwne, a nawet przewrotne, pomyślała, ściągając przez głowę nocną koszulę, że Manhattan wywierana nią mniejszą presję niż farma.

15

Piątek, 20 listopada

Lukę Schuyler właśnie wszedł do baru niedaleko Commonwealth Pierw południowym Bostonie.

Przez większość dnia pozowała na nabrzeżu do

78

serii zdjęć katalogowych, gdzie nieustannie przestawiano z miejsca w miejsce jego zziębnięty tyłek, był więc solidnie zmęczony.

Przemarzył do szpiku kości i marzył, aby się napić.

W barze panował tłok; był to jeden z tych lokali, które można znaleźć właściwie wszędzie, ale przynajmniej dzięki sporej liczbie stłoczonych razem ciął zrobiło się tam ciepło.

Luke'owi udało się skupić na sobie uwagę barmana na tyle długo, że zdążył zamówić piwo, a potem przepchnął się z powrotem przez niewielki tłumek przy kontuarze, żeby sprawdzić, czy nie zwolni się jakiś stolik.

- Proszę pana?

Lukę odwrócił się i zobaczył przed sobą młodego człowieka,

który dotknął lekko jego ramienia.

Miał na sobie czarny podkoszulek i dżinsy, a dokładki piersiowej przyciskał z półtuzina opróżnionych szklanek.

- Tamten facet chce panu postawić jeszcze jedno piwo.

- Chłopak wskazał głową jeden z kątów pomieszczenia.

- Mam je tu przynieść?

Lukę popatrzył uważnie w tamtą stronę, ale było zbyt ciemno, ponadto widok zasłaniaли pijący, widział więc jedynie ciemny kontur mężczyzny z białą laską wspartą o nogi.

Nagle przyszła mu na myśl matka i ostrzeżenia, jakich mu udzielała, kiedy jeszcze był złotowłosym dzieckiem, aby nie przyjmował słodyczy od nieznajomych.

- Chcesz to piwo, człowieku?

Lukę zastanawiał się jeszcze przez sekundę.

To fakt, miał ogromną ochotę na drugie piwo, a nogi bolały go jak diabli, więc jeśli się zgodzi, przynajmniej będzie musiał przeciskać się powrotem do kontuaru.

A poza tym, co z tego może wynikać z tego, że przyjmie piwo od jakiegoś samotnego, ślepego faceta?

16

Mel Rosenthal mieszkała ze swoją partnerką, Sandrą McGeever, w małym, lecz bardzo pięknym mieszkaniu przy ulicy Dziewiątej blisko University Place.

Mel była drobna i energiczna, miała krótkie, błyszczące, ciemnobrązowe włosy, oczy świejące żywym blaskiem jak dwie dojrzałe czereśnie i mocny głos z nowojorskim akcentem, który w

bezpośrednio rozmawiaćbyło znacznie wyraźniej niż przez telefon.

Mówiąc, żywo gestykulowała.

Sandra, rysowniczką, miała włosy koloru marmolady i szerokie usta, lecz zaskakująco delikatny, leciutko ochrypły głos i odpowiedni do

79.

niego sposób bycia.

Obie emanowały spokojem i widać było, że od dawna pozostają w szczęśliwym związku.

Dużo się śmiały i jak Joanna wkrótce się przekonała, były czarującymi, niekrępującymi rozmówczyniami, które wręcz prowokowały do zwierzeń.

- A więc, Jo, on ci się podoba, prawda?

- zapytała Mel.

- Kto?

- zapytała Joanna, choć doskonale wiedziała.

- Kto?

- przedrzeźniała ją Mel.

- Sama dobrze wiesz, kto.

- Oczywiście, że go lubię.

- Tylko lubię, czy może coś więcej?

- naciskała.

- Daj spokój, Mel- upomniała ją Sandra.

- Z czym?

- Przestań zawstydzać Joannę.

- Wcale nie jest zawstydzona, prawda, Jo?

Joanna obdarzyła obie uśmiechem.

- Nie, wcale.

- No to odpowiedz.

Zakochałaś się w nim?

- Niby dlaczego?

Bo wszyscy się zakochują?

- Wydawało mi się, że nie jesteś Żydówką - odrzekła Mel.

- Nie jestem.

- Odpowiadanie na pytanie za pomocą kolejnych pytań to cecha wybitnie żydowska.

Joanna uśmiechnęła się raz jeszcze.

- Będę musiała sprawdzić swoje drzewo genealogiczne.

Tego piątkowego popołudnia zostawiła Sophię na trzy godziny w biurze Mel.

Agentka z radością zgodziła się jej popilnować, ponieważ Joanna chciała kupić jakieś prezenty dla Fred, Kita, Miriam i Sary.

Po powrocie Donovan mogła już nie mieć po temu okazji.

Kiedy przyszła odebrać psa, Mel zaprosiła ją, żeby przekąsiła coś z nią i z Sandrou nich w domu.

Siedziały teraz przy stole z polerowanego lękowego drewna, popijając piwo i jedząc kuskus z daktylami i pistacjami, a Sophia w tym czasie

drzemała na dwóch wielkich cudownie miękkich zamszowych fotelach-workach.

- A jak ci się widzi ekipa?

- zapytała Sandra.

- Ma na myśli tę bandę w Gilead Farm - wyjaśniła Mel.

- Domyśliłam się, kogo ma na myśli - odparła Joanna.

- A więc?

- naciskała Mel.

- To interesująca grupka - przyznała Joanna ostrożnie.

- Nie masz wrażenia, że nienawidzą cię do szpiku kości?

- zapytała Mel.

Sandra wybuchnęła śmiechem, pokręciła głową i nabrała widelcem kolejną porcję kuskusu.

- Nie ujęłabym tego w ten sposób - odrzekła Joanna.

- Oczywiście, że nie - zgodziła się Mel.

- Jesteś angielską damą.

- Mela zawsze opowiada o tym tak, jakby musiała stawić czoła jakiejś straży pretoriańskiej, kiedy jedzie odwiedzić Donovan - wtrąciła Sandra.

- No owszem, czasem przesadzam - zgodziła się Mel.

- W rzeczywistości pewnie sątylko zwykłą wartą.

- Posłała Joannie łobuzerski

uśmiech.

- Choć sama przyznaj, że to trochę tak, jak przechodzenie koło Cerbera.

Joanna nie bardzo rozumiała.

- Czy Cerber to nie był wąż?

- Nie, w greckiej mitologii nie - wyjaśniła Sandra.

- Cerber był to trójgłowy pies, strzegący wejścia do Hadesu.

- Co nie znaczy, że Donovan w czymkolwiek przypomina Hadesa

- dodała szybko Mel.

- Boga podziemnego świata?

- Joanna starała się nadążyć za jej myśleniem.

- Właśnie - odpowiedziała jej Sandra i uśmiechnęła się do Mel.

- A lenik nie sugeruje, że Donovan mógłby mieć coś wspólnego z podziemnym światem - nikt nawet by nie śmiał, niech nas ręka boska broni!

Mel pociągnęła łyk piwa.

- To nie jego wina, że Lamb i cała reszta zachowują się przy nim jak pielegniarki z domu opieki.

- Według Mel - dodała Sandra - nic nigdy nie jest winą Donovana.

I znów to samo, rozmyślała Joanna, kiedy później tego wieczoru znalazła się w łóżku w pokoju gościnnym rzeźbiarza, mając obok siebie Sophie.

Nieważna płeć i preferencje seksualne, bo choć Mel Rosenthal naśmiewała się z oddania, jakie okazywali rzeźbiarzowi Lamb, Cheni Szabo, sama wyraźnie była na pograniczu zauroczenia.

Tego wieczoru Joanna zdołała pojąć także przyczynę artystycznego sukcesu Donovana.

Mel Rosenthal była dumną właścicielką odlewu poza serią rzeźby, którą nazwała najsłynniejszą pracą Donovana - rękiz brązu, od ramienia po nadgarstek.

Na widok tego dzieła Joannie rzeczywiście zaparło dech w piersi.

Było to potężne, muskularne ramię fanne.

Ślepa trwoga

ra, człowieka pracy, a każdy centymetr opowiadał o dniach spędzonych przy młocce, wyrębie drzew lub kopaniu ziemi. Joanna wyobraziła sobie nawet, że widzi na nim krople potu, prawie czuła napinające się mięśnie. Temat nie zawierał na pozór nic oryginalnego, niemniej rzeźbarzył wstrząsające wrażenie.

Obserwując jej reakcję, Mel uśmiechnęła się łagodnie.

- Widzisz?

- rzuciła cicho.

- Jestem hałaśliwa i jestem jego agentką, ale nie opowiadam głupot.

Ten facet to jeden z wielkich tego świata, Jo.

Serio.

Joanna niezamierzała się spierać.

17

Jeśli nawet Lukę zdawał sobie sprawę z tego, w jaki sposób znalazł się na podłodze czegoś, co wyglądało na furgonetkę, teraz nie miało to już żadnego znaczenia.

Nic już nie miało znaczenia w ten zwykły, racjonalny sposób.

Nic nie wydawało się realne.

Kręciło mu się w głowie, wzrok miał zamglony, w ustach czuł dziwny, nieprzyjemny smak, a wszystkie członki stały się zbyt ciężkie, by mógł nimi poruszyć.

Hej!

- zawołał słabym głosem, a potem jeszcze raz, z większą mocą:

- Hej!

- Nawet jego własny głos wydawał się stłumiony, wszystko byłoprzytłumione, a zresztą furgonetka i tak znajdowała się wruchu, wszystko wibrowało pod nim i dookoła niego, a Luke'owi przyszło do głowy, że nawet jeśli go usłyszą, to i tak ich to nie obejdzie.

- O matko -jęknął cicho.

Wiedział, że został czymś odurzony, wiedział, że to coś musiało byćw tym drugim piwie w barze.

Zrozumiał już tyle, by mimo odrętwienia naprawdę się bać.

Przypuszczał, że ten, kto muto zrobił - może ów gośćwbarze, może kto inny - pojakimśczasie zrobimucóż znacznie gorszego.

Lukę nie wiedział, jak to zniesie, cokolwiek miałoby to być, nie znałwłasnej granicy bólu, bo i skąd?

Jeśli chodzi tylkoo seks - tylko!

- och, Jezu, naczytał się nasłuchał tych wszystkich zboczonych, chorych historii.

Wieszają facetów, czy nietak?

Wiążą ich rzemieniami i chłoszczą.

A możepo prostu od razugo zabijają.

Po prostu.

Furgonetka przyśpieszyła i podskoczyła nawybojach.

Nawet jeśli to było bolesne.

Lukę nic nie poczuł.

82

18

Joanna właśnie zasnęła w wielkim łóżkuw gościnnym pokoju, a obokniej Sophia pochrapywała już delikatnie, kiedyzadzwoił Donovan.

- Znówcie obudziłem - zaczął przeproszającym tonem.

Podniosła się z wysiłkiem i usiadła.

- Gdzie jesteś?

-Na farmie.

Chciałem tylko sprawdzić, czy u was wszystko w porządku.

- U nas wszystko jak należy -zapewniła go.

-Dobrze się bawiłaś z Mel i Sandrą?

- Owszem.

Są świetną parą.

- Owczarek podniósł łeb i popatrzył na nią pytająco, więc pogłaskała go po uszach.

- Wygląda na to, że nie będę mógł wrócić przed niedzielą - oznajmił Donovan.

-Zaczekamy -odrzekła Joanna.

Przez chwilę nic nie mówił.

- Tęsknię za wami obiema - powiedział i odłożył słuchawkę.

Joanna odwiesiła swoją torbę.

- My też za tobą tęsknimy - rzuciła w ciemność.

19

Sobota, 21 listopada

W Oxfordshire, w sypialni swego domu w pobliżu Shipton-under-Wychwood, Sara znowu miała ów sen.

W wąskim tunelu, który prowadził donikąd, zamkniętym w jej głowie, krążyły znów te same abstrakcyjne, kolorowe obrazy, niezgłębione, a jednak naładowane potężnymi emocjami.

Gdzieś na początku snu kolory miały miękkie odcienie, nie można

powiedzieć, zespokojne, boporuszały się zbyt gwałtownie, niemniej byłydelikatnei łagodne, odcienie wczesnego poranka, unoszone niewidzialnym wiatrem w świecie, jakistanowił mózgSary.

Nagle wdarł się tam promieńsłońca, boleśnie oślepiający, więc Sarazamrugła w myślach, a kiedy zpowrotem otworzyła oczy, kolory znówstały sięJoanną, rudościąjej włosów iprzyprószonym zielenią złotem jejoczcu.

Kolejny promień, ostrzejszy niż ukłucie, wypełnił tunel bolesnymi, krzyczącymi błyskami, a potem zrobiło się ciemno, ciemniej niż w lochulub podczas bezksiężycowej nocy.

Była to całkowita ciemność, jaka towarzyszy uduszeniu.

Potem usłyszała go znowu, usłyszała w swojej głowie, był uwięziony w tunelu między jej głuchymi, martwymiuszami.

Krzyk wznosił się, pęczniał, rozbrzmiewał strachem.

Nie był to krzyk Sary.

Krzyczała Joanna.

20

Lukę w dalszym ciągu nie czuł bólu.

Nadalnie mógł poruszyć rękoma ani nogami, nadal odczuwał tę niesamowitą, jakby odrętwiałą ciężkość.

I strach.

Teraz już nawet coś więcej.

Przerażenie - jak wielki ciężar na piersi, który go przytłaczał.

Leżał na czymś twardym, może na czymś w rodzaju stołu, w całkowitych ciemnościach.

W jakimś domu, pomyślał, choć tego nie był pewien.

Lukę niewiele już wiedział z wyjątkiem tego, że umrze.

I to zapewne wkrótce.

Teraz nie mógł wydobyć z siebie głosu, chociażby tak, jak udało mu się wykrztusić coś w furgonetce.

Nie widział nic, bo w pomieszczeniu, w którym się znajdował - w którym się znajdowali - było tak cholernie ciemno.

Wiedział, że jest tu jeszcze ktoś oprócz niego -ten ktoś zadbał, żeby się o tym dowiedział, choć Lukę nadal nie miał pojęcia, kto to.

Pamiętał tylko, jak go wywlekali z furgonetki i przerzucali na coś w rodzaju wózka, może takiego, jakie mają w szpitalach.

Krzyknął wtedy, pytał kim są i czego od niego chcą- ale nikt mu nie odpowiedział.

Przewieźli go tylko z tej furgonetki tutaj, a po drodze widział nad głową - bo nawet nie mógł nią poruszyć - kawałek nocnego nieba, jakieś gałęzie i framugę drzwi, przez które go przepchnęli.

Błagał, żeby go puścili -przypomniał sobie teraz- i pytał, czego od niego chcą.

"O Jezu, czego ode mnie chcecie?"

". A potem poczuł w lewej ręce ukłucie - co oznaczało, że nie był całkowicie pozbawiony czucia, chociaż nie mógł się poruszać - ale z pewnością zrobił mu jakiś zastrzyk, ponieważ kiedy się ocknął, znajdował się już na tym stole i nadal nie wiedział, czego od niego chcą.

Ipewnie tak było lepiej.

Jakiś czas temu ktoś zaczął go dotykać.

Do tej chwili Lukę nawet się nie zorientował, że jest nagi, nie pamiętał, aby go rozbierano, nie był pe84

wien, czy w furgonetce leżał nago czy nie.

Wydawałom się, że musieli go wykąpać, bo zmienił się jego własny zapach -czuła teraz woń sandałowego mydła, a on zawsze rozpoznał aromat drewna sandałowego, ponieważ był to ulubiony zapach jego babci.

Lukę zazwyczaj dawała jej na Gwiazdkę takie właśnie mydło, a ona zawsze udawała zaskoczoną i szczęśliwą, jak gdyby był to najlepszy prezent, jaki

dostała w tym roku.

Lukę starał się myśleć obabci, próbował wywołać w pamięć jej delikatność i ciepło, kiedy tamci - tamten?

...tamta?

...tamto?

- zaczęli badać go w milczeniu.

W myślach krzyczał, błagał, żeby przestali, ale głos już mu nie funkcjonował, utknął gdzieś w gardle i wydostał się tylko cichy jęk.

Z początku myślał, że go zgwałcą, że padnie ofiarą jakiegoś pedała, ale nic takiego nie nastąpiło; przypominało to bardziej badanie lekarskie

- oględziny?

Czuł te ręce - tyle tylko potrafił wyczuć, niech mu Bóg dopomoże - Boże pomóż!

- a te ręce powracały wciąż do jego lewej nogi.

"Fantastyczne nogi.

Lukę" - przypomniał sobie, co powiedział mu wczoraj jeden z kolegów-modeli na sesji zdjęciowej do katalogu - czy to było zaledwie wczoraj?

Kiedy tamte ręce dotknęły jego nogi, w pomieszczeniu zaszła wyraźna zmiana.

Coś.

jakby przyspieszony oddech.

Może podniecenie.

Coś.

W piersi Luke'a przerażenie eksplodowało jak bomba.

Wtedy już wiedział, wiedział naprawdę, że niedługo umrze.

Ten ktoś odsunął się teraz od niego w ciemności.

Lukę coś usłyszał -stłumione, metaliczne dźwięki;ruchy tamtego nabrały tempa.

Trzy sekundy później, kiedy dolewego nozdrza wpakowano mu cuchnący gumakorek, szczelnie dociśnięty, Lukę wiedział już nawet, w jakisposób umrze.

W myślach młócił rozpaczliwie rękoma, kopał,łkał i wrzeszczał. Wrzeczywistości,kiedy drugie nozdrze zablokował munastępny korek,poruszyły się tylko jego oczy, które niemal wyskoczyły z orbit, i usta,które rozwarły się,aby rozpaczliwie nabrać powietrzaz otaczającego gomroku, oraz unosząca się rozpaczliwiepierś.

Ten ktoś znów się odsunął}.

Lukę usłyszał pstryknięcie włącznikai w pomieszczeniu rozbłysło światło.

Zacisnął mocnopowieki, bo go oślepiło,a potem powoli, jak małe dziecko, bojące się tego, co możeprzed sobą zobaczyć, otworzył oczy.

I zobaczył.

Ostatnią myślą Luke'a Schylera było to,że nawet gdybynie zaklejono mu ust i go nie uduszono, z pewnością umarłby z przerażenia.

85.

W zasadzie w Nowym Jorku już nie zdarzają się napady.

Tak mówiły Joannie Mel Rosenthal i Sandra McGeever, a także -jak sobie później przypomniała - słyszała, że i Jack Donovan mówił coś mniej więcej podobnego.

A już z pewnością nikogo nigdy nienapadnięto - nawet w ciężkich czasach sprzed akcji "zero tolerancji" - kiedy szedł Szóstą Aleją z Central Parku w stronę ulicy Pięćdziesiątej Szóstej w sobotnie popołudnie w towarzystwie dorosłego owczarka niemieckiego.

Kręciły się po mieście przez prawie pół dnia, a w tym czasie Joanna odebrała negatywy wraz z indeksami z laboratorium fotograficznego poleconej jej przez Mel Rosenthal i choć na miejscu przejrzała je wszystkie pobieżnie, nie mogła się wprost doczekać, kiedy wróci do apartamentu i spędzi wieczór na oglądaniu ich przez lupę.

Mężczyzna (zakładając, że to był mężczyzna, gdyż Joanna nie miała szans mu się przyjrzeć, nie widziała kompletnie nic) rzucił się nanią od tyłu całym ciężarem ciała właśnie wtedy, kiedy przyglądała się oświetlonym popołudniowym światłem wysokościowcom, które jakimiś sięgnąć wznosiły się w niebo po obu stronach ulicy.

Padła nękos, z bólu w plecach zakręciło jej się w głowie, uderzyła twarzą o betonowy chodnik i przycisnęła Sophię do ziemi.

Zobaczyła gwiazdy i poczuła, jak ręka tamtego najpierw wyrywa jej torebkę, a potem zdiera obrączkę i usłyszała, jak nieszczęsna Sophia, unieruchomiona częściowo ciężarem ciała Joanny, częściowo owiniętą wokół nadgarstka smyczą, szczeka, warczy i skamle gorączkowo, pragnąc

się wydostać i pomóc swojej pani.

- Ja i Deborah Kerr - oznajmiła młodemu człowiekowi w okularach, internście o nazwisku Sam Golitzen, który zszedł z jej rozcięciem naczole na ostrym dyżurze w szpitalu St Clare przy Zachodniej Pięćdziesiątej Drugiej.

- Była tam Deborah Kerr?

- Popatrzył na nią, nic nie rozumiejąc.

Joanna zdobyła się na cień uśmiechu.

- Obie patrzyłyśmy w górę.

- Obawiam się, że nie nadążam.

- To nieważne.

- Bezskutecznie starała się oderwać myśli od tego, co akurat robił z jej nieszczęsną skórą.

- To ze starego filmu.

Deborah Kerr patrzyła na Empire State Building, kiedy ktoś ją przewrócił, a ja patrzyłam na światła Szóstej Alei, kiedy.

86

1

- Kiedy ktoś panią poturbował - dodał zwięźle Sam Golitzen.

- Przepraszam - dodał, ponieważ skrzywiła się z bólu.

- Jest pan pewien, że mojemu psu nie stało się nic?

- Pytanie to zadała już po raz trzeci.

- Już pani mówiłam - odrzekł cierpliwie internista -
twierdzą, że wszystko z nią w porządku.

- Dlaczego nie mogę jej zobaczyć?

- Proszę się nie ruszać - upomniał ją Golitzen.

- Nie może jej panizobaczyć, bo to szpital dla ludzi.

- Ale Sophia topies przewodnik.

Myślałam, że zgodnie z prawem takie psy wpuszcza się w tym mieście wszędzie.

- Pani przecież nie jest niewidoma -zauważył lekarz.

-Ale jest pan pewien, że nic jej nie jest?

- O ile mi wiadomo, nie.

-Czy mogłybyśmy choć na pięć minut zapomnieć o tym psie?

-.poprosiła BarbaraMendez znowojorskiej policji,która podobnie jakSamGolitzen wykazywała wprost nieprawdopodobnezasoby cierpliwości,kiedy poraz czwarty usiłowałaodociec, co właściwie ukradziono Joannie.

- Przepraszam.

Po prostu martwię się i chciałabym ją jak najszybciejzobaczyć.

Joanna doskonale wiedziała, że dajesięwszystkim we znaki, ale tapolicjantka powiedziała jej, że Sophie zabrano do Medycznego Centrumdla Zwierząt na ulicySześćdziesiątej Drugiej, więc jeśli Joanna przedtemsię martwiła, to teraz popadła w przerażenie, ze względu na psa i ze względu naDonovana.

- Zobaczy ją pani, jak tylko się okaże, że panizdjęcia rentgenowskiesą w porządku, paniGuthrie - zapewniała japolicjantka Mendez.

-A więc jeśli mogłybyśmy powrócić do sprawy kradzieży.

Czy jest panipewna, że złodziej zabrał tylko obrączkę i torebkę?

Joanna siłą woli zmusiła się do uwagi i zaraz przekonała się, że kiedypróbuje się skupić myśli naprzestępstwie, wcale jej to nie pomaga.

- To była torebka na ramię -powiedziała - dość stara, ale skórzana,a do tego znajdowała się w niej większość fotografii, jakie wykonałamna zleceniewydawcy w ciągu ostatnich dwóch tygodni.

- Na samą myśl o tymzrobiło jej się lekkoniedobrze.

- Jakaś gotówka?

-Około siedemdziesięciu dolarów, dotego moje karty kredytowei чеки podróżne - och, i mój paszport, bo akurat dziś zrealizowałam kil87.

ka czeków.

-W tej chwili uświadomiła sobie kolejny problem i ponownie zalała ją fala niepokoju.

- Były tam też klucze od mieszkania.

Nie przyszło mi to wcześniej do głowy.

- Czy to mieszkanie pana Donovan?

- upewniła się Barbara Mendez.

-A on wróci do miasta dopiero jutro.

- Zanotowała coś.

-Czy w torebce znajdował się także jego adres?

Joanna przeszukała w myślach zawartość torby.

- Tak.

Tak, był tam.

- Zatonęła w poczuciu winy.

-W torebce miałam list z tym adresem, a także adresem Donovan na wsi.

- Próbowałam podnieść się z łóżka, lecz nagle zakręciło jej się w głowie.

- Nie powinna pani jeszcze wstawać.

Joanna nawet nie była pewna, czy zdołałaby to zrobić.

- Czy moglibyście wysłać kogoś do tego budynku, bardzo proszę!

Mieszkanie stoi puste.

Złodziej mógł już się tam włamać.

- Wątpię, proszę pani.

- Barbara Mendez zajrzała do swych notatek.

- Pod tym adresem, jak się domyślam, musi być jakiś portier?

Joanna pomyślała o groźnie się prezentującym Jerry'ym Feenanie.

- Tak.

-Oni zazwyczaj bardzo uważają to, kogo wpuszczają.

- Ale sprawdźcie, mimo wszystko?

-Sprawdzimy.

- Policjantka sięzawahała.

-A czy na pewno, nie umiepani nic powiedzieć na temat mężczyzny, który tozrobił?

Joanna potrząsnęła głową, skrzywiła się z bólu, przyłożyła do głowyzabandażowaną lewą dłoń i skrzywiła się raz jeszcze, tym razem z powodu bólu w nadgarstku.

- Zaszedł mnie od tyłu.

Nic nie widziałam.

- A czy coś do pani mówił?

-W każdym razie nicnie słyszałam.

Jedyne, co pamiętała -i co wciąż odnowarozbrzmiewało jej w głowie

- to udręczony skowyt Sophii, przyciśniętej do płyt chodnika.

Jeśli napastnik próbował się dostać do budynkuprzy

PięćdziesiątejSzóstej, to próba tazakończyła się niepowodzeniem - jak się przekonała Joanna,powróciwszy z Sophią do apartamentu w niedzielę rano.

Kiedy około dziesiątej przybył na miejsce przerażony Donovan, obie ofiarynapaści siedziały wygodnie w pokoju dziennym.

- Nic nam nie jest - zapewniła go Joanna, gdy tylko wszedł.

- Żadnejz nas.

Siedzimy sobie pod kocykiem na twojej kanapie.

Sophią machaogonem-jestem pewna, że to słyszysz.

- Słyszę.

- Zatrzymał się ostrożnie w drzwiach.

Czoło przecinały mupionowe zmarszczki zmartwienia.

- Raimundo właśnie mi powiedział, że dobrze, iż niemogę zobaczyć twojej twarzy.

- Moja twarz ma sięcałkiem nieźle.

Chodź bliżej, Sophię chce wymienić grzeczności.

Nie ruszył się z miejsca.

- Czy z nią napewno wszystko w porządku?

Powiedz mi prawdę.

Joanna pojęła, o co chodzi.

- Nie zeskakuje z kanapy, bodali jej środek uspokajający, poza tym kilka siniaków na boku, tam gdzie na nią upadłam.

To wszystko.

- Starła się, by brzmiało to przekonująco.

Donovan złożył łaskę i podszedł ku sofie.

Usadowiwszy się ostrożnie na brzeżku, został przywitany radosnym skomleniem i potężną porcją lizania, którym poddawał się przyjemności przez kilka chwil, pocierając twarzą o psie futro i dotykając Sophii delikatnie, zanim usatysfakcjonowany wyprostował się wreszcie.

- A teraz opowiedz mi, proszę, o sobie.

- Mam na twarzy kilka rozcięć, a na czole kilka szwów, co mnie szczególnie niezachwyca.

I obolałe plecy.

Mam też sińce na tej części ciała, której bym ci nie pokazała, nawet gdybyś

mógł ją zobaczyć.

Do tego skrecony nadgarstek, boleśnie, ale to nic poważnego.

Donovan siedział przez chwilę w milczeniu.

- Czy mogę dotknąć twojej twarzy?

- Możesz.

Joanna siedziała w bezruchu, kiedy leciutko przeciągał opuszkami palców po jej skórze, zatrzymując się chwilę na każdym zadrapaniu i rozcięciu.

Przemknęło jej przez myśl, że zaraz pocałuje jej drobne ranki, ale nic podobnego nie nastąpiło - po prostu poznał je tym swoim delikatnym dotknięciem i na tym zakończył.

- Tak mi przykro - powiedział.

- Z jakiego powodu?

- zapytała Joanna.

- Z powodu tego, co was obie spotkało.

- Urwał.

- Czy straciłaś wszystkie negatywy?

- Z wyjątkiem tego, który nadal jest w aparacie.

Nie miałam go z sobą.

- Tak mi przykro - powtórzył.

- To przecież nie twoja wina.

- Zamilkła na chwilę.

- To ja przepraszam, że sprawiłam ci tyle kłopotu.

Mogłam się była domyślić, że nie należy nosić twoich kluczy razem z adresem na kopercie.

- Frank Esposito wymienił zamki - uspokoił ją Donovan.

- Jest tu administratorem.

- Wiem.

- A Jerry Feenan zapowiedział personelowi, żeby mieli oko na wszystko, co wyda im się podejrzane.

- Powiedział mi o tym, kiedy wróciłam.

- A więc nie ma żadnego kłopotu, nieprawdaż?

Wkażdym razie

dla mnie.

Spokój Donovana potrwał jeszcze godzinę.

Wysławszy Joannę do łóżka i pozostawiwszy Sophię na kanapie, by odespała, poszedł do biblioteki, gdzie siedział przez chwilę, paląc cygaro i słuchając Elli Fitzgerald i Hoagy'ego Carmichaela, których głosy zwykle go uspokajały lub poprawiały mu nastrój.

Ale nie tego poranka.

Dziś, im więcej myślał o tym, co się wydarzyło - czy też im bardziej starał się o tym nie myśleć - tym bardziej stawał się niespokojny.

W końcu, tuż przed południem, zapukało do drzwi gościnnego pokoju i od razu wszedł do środka.

- Joanno, nie śpisz?

Usłyszał szelest pościeli i zmieniający się rytm jej oddechu.

- Już nie - odpowiedziała.

- Przepraszam.

Joanna spojrzała na zegarek.

- Najwyższy czas, żebym wstała.

-Potrzebujesz odpoczynku.

Dostrzegła wyraz jego twarzy.

- Co się dzieje?

Wszedł nieco dalej i stanął; poruszał się sztywno i nienaturalnie.

- Myślę, że czas już, abyście wracały, tyi Sophia.

-Przecież wracamy, prawda?

- zdziwiła się.

-Na ŚwiętoDziękczynienia.

- Mam na myśli Anglię.

Zaskoczona Joanna, usiadła nałóżku.

- Dlaczego?

-Zanim wydarzy sięcoś gorszego - odrzekł.

- Którejkolwiek z was.

- Zaczepnął powietrza i ciągnąłdalej gwałtownie: -Nie jest tak, żenieporadzę sobie bez psa przewodnika - a wiesz, że poprzysiągłem sobie jużnigdy więcej nie narazić żadnego zwierzęciana niebezpieczeństwo.

Joanna wytrzeszczyła na niego oczy.

90

- Mówisz to wszystkodlatego, że ktoś na mnie napadł?

-Oczywiście.

- Ale przecież to nie miało nicwspólnego z tobą.

- Podniosła się z łóżka, krzywiąc się lekko, wzięła szlafrok z krzesła przy toaletce iwłożyła.

- To Sophia byłazemną, nie ty.

-Obie znalazłyście sięna Manhattanie zmojego powodu - odparł.

- Szłyście same pociemku, bo wyjechałem i zostawiłem was tutaj.

-W Anglii też zdarzają się napady - przypomniała mu łagodnie
Joanna.

-Nawet wOxfbrdshire.

- Podeszła bliżej i zatrzymała się krok odrzeźbiarza.

-Równie dobrze możesz dać sobie spokój, Donovan.

Nie będę tego słuchać.

- Starła sięmówić wesołym tonem.

-Pomijając jużwszelkie inne względy, muszę zrobić od nowa wszystkie
zdjęcia.

- A co będzie, jeśli się mylisz?

Jeślinaprawdęprzyniosę Sophii pecha?

- Nie myślę się i jeszcze nigdy dotąd nie słyszałam takich głupstw.

Jesteściewprost stworzeni dla siebie.

Oboje o tym wiemy.

- Urwała.

-Poza tym ani mi się śninarażać ją na kolejny lot, że nie wspomnę
okwarantannie, a ty pewnie także byśtego nie chciał.

- Chyba nie.

- Na jego wargach pojawił się nikły uśmiech.

- A zatem żadnych więcej nedorzeczości w tym stylu!

Uśmiech wyrzeźbitna jegotwarzy drobne kreseczki.

- Co znowu?

- dopytywała się Joanna.

- Mówisz jak prawdziwa Brytyjka - oznajmił Donovan.

Pod koniec dnia opuściło go irracjonalne poczucie winy, a

zastąpił równie irracjonalny gniew, skierowany przeciwko funkcjonariuszom nowojorskiej policji, którzy wprawdzie zajęli się sprawą Joanny z dużym współczuciem i zaangażowaniem, niemniej - co tu kryć - niezbyt skutecznie.

Ponieważ nie mieli na czym się oprzeć - brakowało opisu napastnika lub świadków zdarzenia, jak wyjaśnili rzeźbiarzowi najpierw sierżant, a potem porucznik - szansę na odnalezienie napastnika albo skradzionych Joannie przedmiotów są raczej nikłe.

- Tak jakby to była twoja wina, że drań zaatakował cię od tyłu - powiedział Donovan do Joanny, kiedy siedzieli w pokoju dziennym nad dostarczoną z baru chińszczyzną.

- Proszę, przestań się wściekać.

To nie ich wina.

- Posługiwanie się pałeczkami przy skręconym nadgarstku było dosyć kłopotliwe, niemniej manewrowanie nimi lewą ręką okazało się zupełnie niewykonalne.

- W dodatku to źle wpływa na trawienie.

- Mam cię nakarmić?

- zapytał.

91.

Potrząsnęła przecząco głową.

- Jesteś pewien, że nie widzisz?

-Nie, poprostu wymyśliłem sobie tę kulę w głowie, żeby rozczulał się nade mną piękne kobiety.

- I żebyś mógł je potem zadziwiać swoimi zdolnościami.

-Przejrzałaś mnie.

Udało jej się przenieść trochę ryżu i kiełków z miseczki do ust.

- Będę musiała przejść się do brytyjskiego konsulatu w sprawie paszportu.

'- Niema pośpiechu.

- A więc jednak nie chcesz się mnie jeszcze pozbyć?

- rzuciła Joannemu śmiechem.

- Jeszcze nie - odparł.

Następne dwadzieścia cztery godziny upłynęły im stosunkowo spokojnie.

Bezpośrednio po napaści Joanna znajdowała się w stanie lekkiego uniesienia, ponieważ udało jej się wyjść z tego bez większego szwanku, a dopiero teraz zaczęła odczuwać następstwa tego wydarzenia.

Obrażenia choć drobne, okazały się jednak bolesne, a co jeszcze bardziej irytujące, nagle ogólnie poczuła się źle, była wytrącona z równowagi.

Wiedziała, że fizycznie właściwie jej nie dolega, rozpoznała tylko prawdopodobne symptomy jakiegoś lekkiego wstrząsu pourazowego.

Ale utrata ślubnej obrączki oraz (kolejna sprawa, która z początku niedotała do jej świadomości) dwóch małych, lecz niedających się

odtworzyć zdjęć, na których była ona sama z Philipem i które trzymała w portfelu, sprawiła, że Joanna czuła się nie tylko smutna, lecz także niewiadomo dlaczego - niepełna i narażona na bliżej nieokreślone niebezpieczeństwo.

- Potrzebaci rosołu.

- Donovan uparł się, że odwoła rezerwację hotelu Peninsula, by móc się nią zająć i teraz rozpieszczę ją, jak tylko mógł.

- Nie, niepotrzeba.

-Potrzeba ci więcej odpoczynku.

- Potrzebuję wziąć się w garść.

-Przeżyłaś szok.

- Nonsens - rzuciła zwiększoną werwą niż odczuwała.

-Czy ktoś kiedyś mówił, że jesteś beznadziejnym przypadkiem?

- Niejeden raz.

92

Za pośrednictwem systemu komputerowego Donovan otrzymała dziwny e-mail od pani pokojowej Sary, która domagała się potwierdzenia, że wszystko z nią w porządku.

Kiedy Joanna odpisała jej, podając niefrasobliwy opis napaści, otrzymała w odpowiedzi list zaskakująco euforyczny w tonie.

Sarze, rzecz jasna, przykro było z powodu tego, co się stało.

W porównaniu jednak z potwornym niepokojem, jaki targał nią od czasu ostatniego złego snu, wieść, że Joanna została tylko napadnięta - ani zamordowana lub zabita w jakimś strasznym wypadku - wydała się przyjaciółce niemal cudowna.

Miło, że mogłam się przyczynić do poprawy Twego samopoczucia

-odpisała ironicznie Joanna późnym poniedziałkowym wieczorem.

- ProszęCię, przezjakiś czas powstrzymaj się od snów.

Pierwszy z głuchych telefonównastąpił w pięć minut później. Donovanodebrał go w bibliotece, dokładnie wchwilikiedy Joanna wyłączała komputerna biurku.

- Halo?

- rzucił do słuchawki, odczekałkilka chwil, a potem jąodłożył.

- Pomyłka?

- zapytała Joanna.

- Pewnie tak.

To samo zdarzyło się tego wieczoru jeszcze pięć razy.

Joanna słyszała dzwonięcie aparatu, który znajdował się w jej pokoju.

Przy trzecim razie wyszła z łóżka i znalazła Donovana w kuchni- właśnie wyciągał z zamrażarki lody.

- Chcesz?

- Zdjął pokrywkę i powąchał zawartość.

- Toffi i orzeszki.

- Nastawię wodę na herbatę - zaproponowała.

- Usiądź, ja się tym zajmę.

- Dzięki, ale chyba dam radę zrobić filiżankę herbaty.

- Wzięła doręki czajnik, napełniła go pod kranem i ledwie się powstrzymała, aby niesyknąć z bólu.

- Przegub bardzo boli?

- Nie aż tak.

- Joanna odstawiła czajnik na kuchenkę i zapaliła gaz.

- Czy to się często zdarza?

-Głuche telefony?

Nie, niezbyt często.

- Myślisz, że to może mieć jakiś związek z napadem?

Miałam w torebce numer twojego telefonu.

- To pewnie tylko zbieg okoliczności.

-Może i tak- zgodziła się Joanna.

93.

Dopiero raport Jerry'ego Feenana nazajutrz - kiedy wrócili z niezbytintensywnego treningu z Sophią - o tym, że odkryto posłańca z kwiaciarni z anonimową przesyłką dla Joanny, gdy usiłował prześliznąć się niepostrzeżenie na górę, ostatecznie wytrącił Donovan z równowagi.

- Zadzwoń do faceta z FBI, mojego znajomego z Albany - powiedział tego wieczoru, kiedy zjadali wspólnie sushi w pobliskiej japońskiej restauracji, a Sophią leżała pod stołem.

- Poproszę, żeby sprawdził dla mnie parę rzeczy.

- Bez błędnie rozpoznał w milczeniu Joanny całkowite zaskoczenie.

- Nowojorska policja niewiele może zrobić, mając do dyspozycji jedynie kilka głuchych telefonów i fałszywego posłańca z kwiatami.

- Nie sądzę, aby byli w stanie wiele zdziałać - zauważyła rozsądnie Joanna.

- Tak czy owak, jutro tak wracamy na farmę, a pan Feenan radzi tu sobie doskonale.

- Wszystko to prawda - odrzekł Donovan.

- Ale mimo wszystko nie podoba mi się, że ta przesyłka zaadresowana była na twoje nazwisko.

Tom Oates, ten agent, to świetny gość.

Pojawił się na kilku zajęciach w naszej szkole jakieś dwa lata temu, kiedy chirurg powiedział mi, że rzeźbienie to świetna terapia na zranioną dłoń.

- Był dobry?

- W rzeźbieniu?

- Donovan wzruszył ramionami.

- Nieszczęśliwie.

Ale dobrze się bawił i my też bawiliśmy się z nim dobrze.

- Nawet Lambgo polubił.

- Dobry Boże!

- rzuciła Joanna.

-To rzeczywiście oznaka najwyższej aprobaty.

Donovan nalał sake do małych czarek.

- Dlaczego jesteś przekonana, że Lamb cię nie lubi?

-Trudno mi powiedzieć - Joanna zdobyła się na szczerość.

- Był dla mnie idealnie uprzejmy.

To tylko takie odczucie.

- Z pewnością ma dla ciebie dużo szacunku.

-Odwzajemnionego -odparła spokojnym tonem.

- Ale też go nie lubisz, prawda?

Wstrzymała się na chwilę z odpowiedzią.

- Nie, nieza bardzo.

- Zawiesił głowę.

-Chociaż podoba mi się, że jest dla ciebie takim dobrym przyjacielem.

- Nie jestem pewien, czy bym sobie bez niego poradził.

-Sądzę, że poradziłbyś sobie z kimś.

- Nie jestem taki pewien - powtórzył Donovan.

94

Zatelefonował do lokalnego biura FBI w Albany wcześniej rano w środę przed następną sesją z Sophią i dowiedział się, że agent specjalny Oates jest na długookresowym zwolnieniu lekarskim, spróbował więc zadzwonić się pod jego domowy numer i przekonał się, że Tom niemal

dostaję kręćka z beczynności.

Nie jest chory, jak wyjaśnił Donovanowi, ale przechodzi rekonwalescencję po złamaniu nogi.

- Podczas pełnienia obowiązków?

- Można tak powiedzieć - odparł Oates.

- Pękła mi dętka w samochodzie na drodze niedaleko Rensselaerville, zjechałem do rowu i trochę się poturbowałem.

- Jak przypuszczam, nie prowadzisz teraz żadnego śledztwa?

- Zależy, o co chodzi.

Donovan opowiedział mu o wszystkim.

Oates oznajmił, iż akurat taksówkę składa, że jeden z jego sąsiadów wybiera się na święto Dziękczynienia do Nowego Jorku i zaprosił go, aby mu towarzyszył.

- Nie chcę, żebyś przyjeżdżał specjalnie w tej sprawie - zaprotestował rzeźbiarz.

- Nie, nie - zapewnił go Oates.

- Po prostu potrzebowałem czegoś, co by mnie stąd ruszyło, to wszystko.

O pierwszej już był w mieszkaniu przy Pięćdziesiątej Szóstej.

- Miło mi cię widzieć, Donovan.

- Potem zwrócił się ku Joannie i wyciągnął rękę.

- Jak również miło mi panią poznać, pani Guthrie.

Przykro mi, że pobyt w naszym kraju okazał się dla pani taki nieprzyjemny.

- Nieprzyjemne było tylko kilka godzin - odpowiedziała.

- Cała reszta jest zachwycająca.

Gdyby nie zależało jej tak bardzo na tym, by usłyszeć, co miał do powiedzenia na tematy zawodowe, sięgnęłaby natychmiast po aparat i

zaczęła robić zdjęcia.

Oates był młodym człowiekiem o niezwyklejurodzie- zbyt młodym, jak jej się z początku wydawało, i jakoś tak zbyt wzruszająco przystojnym jak na agenta federalnego, przynajmniej w jej pojęciu.

Jego ciemne oczy lśniły w blasku słońca.

Skórę miał jedrną i gładką jak polerowane drewno, wysoko sklepione kości policzkowe, płaskie uszy oraz nieduży, lekko zakrzywiony nos.

Ubrany był w sportowe, cywilne rzeczy, a prawą nogę nadal miał mocno obandażowaną.

Wspierał się na pojedynczej kuli.

Wydał jej się delikatny i smukły jak chłopiec, zbyt wrażliwy, aby znajdować się w tego rodzaju groźnych sytuacjach, jakich nie szczędził jego zawód.

A mimo to, kiedy przyglądała się, jak usiadł, wyprostowany, nieruchomy i czujny, żeby wysłuchać najpierw jej relacji o napadzie, a potem drobiazgowego raportu Donovan o różnych drobnych

wydarzeniach, które po nim nastąpiły, zauważyła spokój i skupienie Oatesa, a także bystrość jego spojrzenia i doszła do wniosku, że jest zarówno starszy, niż jej się na pierwszy rzut oka wydawało, jak i znacznie bardziej przenikliwy.

- Nie wydaje mi się, aby było się czym martwić - oznajmił, kiedy Donovan skończył.

- Ale zgadzam się, że nie ma sensu niepotrzebnie ryzykować.

- Przeniósł spojrzenie na Joannę.

- Zakładam, że nie zna pani nikogo, kto mógłby chcieć posłać pani kwiaty?

- Na pewno nie w Nowym Jorku - odrzekła.

- I nie anonimowo.

- Mimo to - oświadczył - rzecz może mieć całkiem niewinne podłoże.

- Posłaniec próbował dostać się na nasz piętro - przypomniał mu Donovan.

- A jeśli to była tylko pomyłka, to czemu rzucił kwiaty i uciekł, kiedy portier próbował go zatrzymać?

- Urwał na chwilę.

- Tom, nie przejmowałbyś się tak, gdyby nie to, że tamten drań zabrał paszport Joanny.

- Nie zamierzał kraść mi paszportu - wtrąciła.

- Miałam go w torbie przez przypadek.

- Mimo wszystko - powtórzył Oates - nie zaszkodzi przedsięwziąć pewne środki ostrożności.

Możliwe, że w tym mieście jest teraz bezpieczniej niż kiedyś, ale przecież

świry nie zapadły się pod ziemię i nie ma żadnej gwarancji, że złodziejaszekz Manhattanuniewybierze się na małąwycieczkę nawieś, jeślidojdzie do wniosku, że mu się to opłaci.

Obiecał, że zamieni stówkoz jednym z nowojorskich kolegów, żebysprawdzić, czy nieda się czegoś zrobićna miejscu - choć sam osobiściew to wątpił - powiedział też Donovanowi, żeon sam albo któryś z jegokolegów z biura wKingston znajdzie jakiś sposób, żeby obserwować, cosię dzieje w Gilead Farm, zwłaszcza przez okres pobytu Joanny.

- Czy nie byłoby lepiej dlawszystkich, gdybym teraz wróciła do domu?

- zapytała tuż przed wyjściem Oatesa.

-Przeszliśmy już chyba wszystkie twoje stałe trasy, prawda?

- A co ze zleceniami dla magazynów?

-Nie będąci wywracaćzycia do góry nogami z powodu kilku fotografii.

- I tak jest już wywrócone -zauważył Donovan.

-Czy zostanieszczypojedziesz, napastnik i tak mamój adres.

- A pani nie ma paszportu - przypomniał jej Oates.

-Powiedzianomi, że w raziepilnej potrzeby mogą mi wystawić jednorazowy dokument stwierdzający tożsamość - no i mogłaby mterazwrócić do hotelu.

96

- Mogłabyś - potwierdził ze spokojem Donovan.

- Tylko że nadal jesteściała obolałai niewiele zdziałasz prawą ręką, tak więc o wiele lepiejbędzie, jeśli pojedziesz na farmę ze mnąi Sophią i tam wydobrzejesz.

-Wreszcie wyciągnął ostatniatut.

- A co z nią?

Ledwiewychodzi z szoku - myślisz, że to w porządku uciecod niej, zanim na nowo zadomowi się na farmie?

Joanna spojrzała na sukę.

Bez wątpienia od czasu napadu trzymała sięznaczniebliżej niej.

- Wiem, kiedy przegrywam - odparła.

22

Czwartek, 26 listopada

f

Święto Dziękczynienia w Gilead Farm zaczęło się łagodniei spokojnie.

Jak zaobserwowała Joanna, kiedy wraz z Sophią przyszły z domku gościnnego do głównego budynku na dwie godziny przed planowanym posiłkiem - poranek wydawał się przedobiednim świętem gotowania, próbowania i podjadania.

- Co mogę robić?

- zapytała w kuchni Donovan a i Pete'a Szabo.

A Nic - odpowiedziała jej Donovan.

c. Pete, proszę!

Naprawdę chciałabym w czymś pomóc.

- Możesz skosztować mojej zupy.

-Twojej zupy?

- obruszył się rzeźbiarz.

- Naszej zupy -zgodził się łaskawie Szabo.

-A kto gotuje ten obiad?

-dopytywał się Donovan.

- A według czyjego przepisu?

- zapytał Pete uprzejmie.

Joanna pośpiesznie znalazła jakąś łyżkę, zanurzyła ją w gęstej, aromatycznej zupie koloru toffi, podmuchwała i skosztowała.

- Fantastyczna.

- Poczekała, aż smaki rozwiną się w pełni.

-Z dyni?

- No jasne - odparł Donovan.

-Czego jej brakuje, Jo?

- zapytał Szabo.

- Niczego - zapewniła go.

- Absolutnie niczego.

Joanna widywała już Donovana przy kuchni zarówno tutaj, jaki w nowojorskim mieszkaniu, ale nigdy nie była świadkiem przygotowania uroczystego obiadu.

Przyglądając się dzisiaj temu niewidomemu mężczyźnie, był pod większym niż kiedykolwiek wrażeniem tego, jak zupełnie bez obaw i niezwykle sprawnie działał w kuchni, orientując się za pomocą rąk - choć równie imponujące, doszła po chwili do wniosku, by to

7. Ślepa trwoga

97.

to, jak Szabo starał mu się pomagać.

Choć zdarzało jej się czasem zauważać nieco służalczą postawę Pete'a wobec wyrozumiałego szefa, totym razem stanowili doskonale dobraną parę, traktowali się nawzajem z życzliwością i szacunkiem, kiedy wspólnie siekali, szatkowali, doprawiali, kosztowali, skraplali i mieszaali.

- Czyszczyłem robotę?

- zapytał Donovan, wycinając wzorki w pomidorach.

Szabo podszedł, żeby się przyjrzeć.

- Jasne, że tak.

- Cholera.

- Mam to naprawić czy wolisz sam?

- A czy zostało jeszcze tyle, żebym mógł spróbować?

- Nie za bardzo.

- W takim razie ty to zrób.

Żadnego kręcenia, żadnego udawania, pomyślała Joanna, rozsiadając się wygodnie, jak jej polecono, by przyglądać się i przysłuchiwać, jako że jej jedynym zadaniem było pilnować, by Sophia nie włąziła im pod nogi i nie podchodziła za blisko do kuchenki.

- Czy Chris czujesz się już lepiej?

- zapytała po chwili.

- Dzwoniła dziś rano - odrzekł Donovan, sprawdzając smakiem, dotykiem i węchem, czy pieczone ziemniaki już doszły.

- Ma nadzieję, że udaje się przyjechać.

Dotąd nie opuściła jeszcze żadnego obiadu w Święto Dziękczynienia.

- Od ilu lat już tu pracuje?

- zapytała Joanna.

- Coś koło pięciu, jak mi się zdaje.

- Zamknął drzwi piekarnika.

- Przyszła do nas na rok przed Lambem - uzupełnił Szabo.

- A ty, Pete?

- Ja?

- Potężny mężczyzna uśmiechnął się lekko.

- Ja tu jestem od zawsze.

Joanna wiedziała, że na Święto Dziękczynienia nie daje się prezentów, tak więc poczuła się naprawdę wzruszona, kiedy- wkrótce po tym, gdy usiedli w pokoju dziennym na przedobiedniego drinka (a Donovan i Szabo zrzucili fartuszki i włożyli marynarki oraz krawaty) - Chen, Lambi i Pete obdarowali Sophie powitalnymi podarunkami.

- Chcieliśmy powitać ją naprawdę - wyjaśnił Szabo - skoro decyzja już zapadła.

- Chociaż wydaje mi się, że od początku wiedzieliśmy, że wszystko przebiegnie pomyślnie - dodała Chris.

98

Wyglądało na to, że już wróciła do zdrowia.

Była równie zwykła jak zawsze, miała na sobie fioletową mięką, wełnianą suknię, włosy znów upięte, a wisiołek z masy perłowej, który zwykle nosiła na łańcuszku na szyi, teraz przyczepiony był do grzebienia, ozdabiającego francuski warkocz.

- Co nie znaczy, że nie cieszyliśmy się, gdy przyjechała tutaj, aby wszystko poszło gładziej.

Joanna zerknęła szybko na twarz Lamba, kiedy to mówił, lecz nie

znalazła tam ani śladu ironii.

Murdoch wystąpił dziś rozbijającą niedbałą elegancją.

Krótko przycięte włosy prezentowały się nienagannie, ubrany był też jak zwykle całkowicie na czarno: w czarny półgolfz delikatnej wełny, a na nim wspaniała, choć wiekowy aksamitny blezer z chusteczką koloru burgunda w kieszeni na piersi.

Joanna przypomniała sobie, jak obserwując go, prowadził zajęcia, pomyślała, że wygląda raczej na baletmistrza; dziś każdym calu prezentował się jak staromodny aktor.

Pierwsze dwa prezenty - miękkie wełniane dywaniki i legowisko od Chris oraz wspaniała wołowa kość ze szpikiem od Szabo - były czarujące, ale dar Lamba, zawinięty w bibułę, którą Joanna musiała odwinąć w imieniu psa, sprawił, że straciła na chwilę mowę.

Była wzruszona i w niemałym stopniu zawstydzona.

- To jest wspaniałe, Murdoch.

- Wpatrywała się w trzymany w rękach łańcuch, którego każde ogniwo zostało ręcznie wykonane z białego złota i który nosił podpis Lamba nakrętku identyfikacyjnym z imieniem Sophia.

- Nie wiem, co powiedzieć.

- Potrząsnę głowę.

- To jedna z najpiękniejszych rzeczy, jakie kiedykolwiek widziałam.

- To tylko dowód mojej wdzięczności - odrzekł Lamb i ten jeden raz jego oczy wypełniły się prawdziwym ciepłem.

- Wiem, ile twoja Sophia będzie znaczyła dla Donovana.

Joanna zniosła łańcuch tam, gdzie siedział rzeźbiarz.

- Proszę - powiedziała i włożyła mu go w rękę.

- Czyż nie jest doskonały?

- Wiem, że jest.

- Pottrzymał łańcuch przez chwilę, potem oddał go Joannie, a w kąciach ust zaigrał mu lekki uśmiech.

- Widzisz?

- zapytał cicho.

W tym szczególnym dniu zasiedli w jadalni przy stole z polerowanego dębu - był to kolejny niezagracony pokój o pięknych proporcjach, rzeźbionym kandelabrem i wielkimi oknami, które wpuszczały dużo dziennego światła.

Stół nakryto pięknym srebrem, kryształami i damą⁹⁹.

sceńskimi serwetkami, dzień za oknami był jasny i piękny, a mimo to w przeciwieństwie do reszty domu, ten pokój przyprawiał Joannę o lekki niepokój.

- Jest to dzień, kiedy większość ludzi woli się znaleźć w domu, wśród swoich rodzin.

- Donovan stał u szczytu stołu, trzymając w ręce wysmukły kieliszek do szampana.

- Zebranych tu dzisiaj być może łączy więzy krwi, ale wydaje mi się, że staliśmy się sobie tak bliscy, jak każda prawdziwa rodzina.

- Uniósł kieliszek do toastu.

- Szczęśliwego Święta Dziękczynienia, moi najdrożsi przyjaciele.

Murdoch Lambert, który siedział po jego lewej stronie, podniósł się z krzesła, a Joanna, która siedziała po prawej, zauważyła, że tamten ma zaczerwienione policzki.

- Tobie także - powiedział i objął Donovana, zanim usiadł.

- Niech Bóg błogosławi nam wszystkim - odezwał się Szabo ze swojego krańca stołu.

- Amen.

- Chris Chen, siedząca na lewo od Joanny, spojrzała znacząco na porcelanową wazę na środku stołu.

- No to kto należy wszystkim zupy, zanim pomrzemy głodu?

W trakcie obiadu Joanna jeszcze raz miała okazję zaobserwować subtelne, lecz dostrzegalne współzawodnictwo o szacunek i uczucia Donovana.

Była także świadoma, iż niemal od pierwszego dania, że rzeźbiarz pije

znacznie więcej niż zazwyczaj; rozpoczął jeszcze przed posiłkiem od wysokogatunkowej whisky i kontynuował kolejnymi kieliszkami chateauf-neuf-du-pape.

Uświadomiła sobie wkrótce, że robi to umyślnie.

- Pytam cię teraz o pozwolenie, Joanno - odezwał się trzeźwym głosem, kiedy jedli piezzonego indyka z siekanymi orzechami, ziemniakami, brukselką i sosem żurawinowym domowej roboty - bo chciałbym wiedzieć, czy nie masz nic przeciwko temu, abym jeszcze trochę wypił?

- Nie musisz wcale pytać mnie o pozwolenie - rzuciła lekkim tonem, choć zaskoczyło ją to pytanie.

- To twoje przyjęcie.

- Ale ty jesteś moim gościem - odrzekł spokojnym tonem - a nie chcę, abyś pomyślała sobie, że mogłoby to mieć wpływ na to, jak będę się opiekował Sophią.

Joanna się uśmiechnęła.

- Sophią to nie dziecko.

Poza tym, jest tu czworo ludzi, którzy mogą wyprowadzić i nakarmić - a to powinno wystarczyć za całą opiekę, jakiej zwykle potrzebuje.

100

- Już pytałem Pete'a i obiecał, że dopilnuje wszystkiego - zapewnił ją Donovan.

- Tak na wszelki wypadek, wiesz.

Przez resztę obiadu utrzymywał doskonałą formę.

Wciąż pił, lecz nie przerywał rozmowy, śmiejąc się i żartując na równi z pozostałymi, a rosnąca zawartość alkoholu w jego krwiobiegu nie objawiała

się żadnyminieprzystojnymiczy choć w najlżejszym stopniu nieprzyjemnymi zachowaniami.

A potem, kiedy ze stołu usunięto ostatnie naczynia, zapalił cygaro, bez słowa opuścił jadalnię i już nie powrócił.

Dopiero po jakimś czasie Chris, spróbowała wyjaśnić jego zachowanie Joannie.

- Pewnie wydało ci się to dość dziwne, kiedy Donovan tak sobie wyszedł?

Murdoch Lambert także opuścił już jadalnię, a Szabo krzątał się w kuchni przy zmywaniu, tak więc na chwilę pozostały całkiem same.

- Czy to się często zdarza?

- zapytała Joanna.

Chris potrząsnęła przecząco głową.

- To ma związek z jego pracą.

- Ujrzawszy natwarzy Joanny wyraz niezrozumienia, dodała:

- Odkąd wyjechaliście do miasta, Murdoch przez większość czasu tkwił zamknięty w swoim warsztacie - wiesz, że od kilku lat współpracują ze sobą?

- Tyle wiem - odrzekła Joanna - i właściwie nic ponadto.

- Raczej trzymają wszystko w tajemnicy - ciągnęła Chinka.

- Wiem tylko, że Murdoch nie mógł się doczekać, kiedy Donovan wróci, a jeśli on dziś musi się wyszumieć, to znaczy, że gotów jest wziąć się do pracy nad jakimś nowym projektem.

- Nie mogłam się doczekać, kiedy zaczniesz rzeźbić - wyznała Joanna.

Chris wzruszyła ramionami.

- Wszyscy wiedzieliśmy, że nie będzie pracował, dopóki Sophię

sięnie z adomowi.

To takżestanowiło część umowy, prawda?

Żepowiniennałkowiec poświęć się twojemu planowi tresury?

- I tak właśnie zrobił - zgodziła się Joanna.

- Teraz sama zobaczysz.

Kiedy minie kac, Donovan zamknie się w swojej pracowni w szkole i nikt z nas nie będzie go oglądał przez całe dni.

- Przerwała na chwilę.

- Wiem, że planujesz fotografowanie go przy pracy, ale prawda przedstawia się tak, że jeśli chcesz szybko zrobić zdjęcia, prawdopodobnie srodzisz się zawieźć.

Wtorek, 1 grudnia

Przewidywania Chris Chen okazały się najzupełniej trafne, a na domiarwszystkiego od Święta Dziękczynienia Donovan trzymał Sophie przy sobie prawie przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Joanna od czasu do czasu widywała tę parę, a rzeźbiarz często specjalnie przystawał, żeby zamienić z nią kilka słów, zapewniając, że kiedy tylko będzie gotów, by wypuścić ją do pracowni, Joanna dowie się o tym pierwsza, a Sophia witała ją zawsze tym samym wybuchem entuzjazmu, niemniej Joanna czuła się porzucona.

"Uczennica" zakończyła nauki i już jej nie potrzebowała.

Jej ukochany pies miał nowego pana, który zabierał go ze sobą do pracy, na spacerach idbał o wszystkie jego potrzeby.

Wszystko było dokładnie tak, jak Joanna zaplanowała, niemniej sprawiała jej to ból.

Nieoczekiwanie cała ta sytuacja wydała jej się niesłychanie frustrująca.

Gdyby nie to, że musiała czymś zastąpić zdjęcia, które ukradł napastnik, pojechałaby prosto do Nowego Jorku, przebrnęła przez nieprzyjemności związane z uzyskaniem zastępczego paszportu i rozstałaby się z tym wszystkim bez zbędnego hałasu.

Lecz choć Joanna sama zgłosiła chęć powrotu do domu w czasie rozmowy z agentem Oatesem, skóra cierpiała jej na myśl, że miałyby zawieść aż dwie gazety - a co najważniejsze, gdyby tak zrobiła, zaprzepaściłaby wszelkie szanse na jakiegokolwiek przyszłego zlecenia.

Głównym problemem było to, że po pierwsze - nadal czuła się sponiewierana i obolała, a po drugie - co znacznie istotniejsze - że Donovan przy pracy okazał się Donovanem całkowicie poza jej zasięgiem.

We wtorek wieczorem wysłała e-mail do Sary, zbyt rozkojarzona, by móc usiąść spokojnie do pisania odręcznego listu.

Wszystkie ulotne chwile są bezpowrotnie stracone, ponieważ, jak sama dobrze wiesz, nie ma sensu próbować naśladować naturalnych sytuacji.

Wszystkie te wcześniejsze wycieczki sam nasam z Donovanem, a potem z Lambem i Szabo; a także zdjęcia, których nigdy nie sprzedałabyś do gazet, ale bardzo chciałabym zachować dla siebie na przykład wyraz twarzy Lamba w pewnych chwilach, kiedy tak wyraźnie miał mi za złe, że tam jestem.

Niemniej fotografie przypadły na zawsze, co oznacza, że nie mam innego wyjścia, jak tylko czekać, aż Donovan zakończy swój obecny zryw do pracy.

102

Problem w tym, jak sama dobrze wiesz, że wyczekiwania kogoś, kogokolwiek nigdy mi za dobrze nie wychodziło.

Wszak jednakże irytacja, jaką mogła odczuwać z powodu nieuchwytności rzeźbiarza, zniknęła bez śladu już następnego ranka, kiedy Pete Szabo zastukał do jej drzwi, przynosząc kurierską przesyłkę na jej nazwisko.

- Co to jest?

- zapytała, patrząc na owinięty w brązowy papier pakiecik.

- Skąd mogę wiedzieć?

- odrzekł Pete, wychodząc.

-Jest tylko jedensposób, aby się przekonać.

Zaintrygowana, rozdarła papier i znalazła w środku krótki liścik od Kita i Miriam, owinięty dookoła mniejszego pakieciku, otulonego karbowaną bibułą.

Droga Joanno,

Skontaktował się z nami Jack Donovan, który wyjaśnił, że straciłaś dwie fotografie, na których byłaś razem z Philipem i zapytał, czy zostały jakieś zdjęcia, z których dałoby się zrobić odbitki, abyś mogła nosić je przy sobie w czasie pobytu z dala od domu.

Wybraliśmy te dwie i mamy nadzieję, że nasz wybór okaże się trafny.

Merlin Cottage mieszasz się dobrze, a Bella, Rufus, Honey (aha, Fred także) ślą Ci pozdrowienia.

Podobnie jak my.

Prosimy, uważaj bardziej na siebie.

Serdeczności dla Sophii.

Do zobaczenia, kiedy tylko będziesz gotowa.

Miriam i Kit

Joanna odwinęła karbowaną bibułę i znalazła w środku mały, skórzany portfelik, który po otwarciu okazał się podwójną ramką na fotografie.

Umieszczono w niej zminiaturyzowaną odbitkę zdjęcia ślubnego, stojącego zazwyczaj w saloniku Merlin Cottage i jeszcze jednego - z nią i Philipem podczas mokrego i wietrznego weekendu w Krainie Jezior - w domu stało ono na kredensie w kuchni.

Donovan, który od osiemnastu lat nie doświadczył przyjemności oglądania zdjęć, lecz którego wrażliwe czułki musiały wylapać jej smutek

spowodowany tą stratą, załatwił wszystko tak, aby nie musiała czuć się nieszczęśliwa przez resztę pobytu w Stanach.

Po czymś takim trudno jej było dłużej się na niego złościć.

Ponieważ zobaczenie się z nim tego dnia okazało się zupełnie niemożliwe, Joanna musiała zadowolić się brajlowską maszyną do pisania w biurze 103.

rzę Chris Chen, za pomocą której w czwartek rano z niemałym wysiłkiem ułożyła krótki liścik z podziękowaniem.

- Idzie ci całkiemnieźle - pochwaliła ją Chris.

-Ale bardzo powoli - odrzekła Joanna.

- Mogłaś poprostu przekazać mu wiadomośćprzeze mnie.

-Tak byłoby łatwiej - zgodziła się Joanna.

- Ale ponieważ zadałsobie z mojego powodu trochę trudu, list wydał mi się bardziej odpowiedni.

- Sądzę, że masz na myśli tefotografie z domu?

-A więc wiesz o nich.

Chris z uśmiechem uniosła twarz znad biurka.

- Oczywiście.

Kiedy Joanna opuściła biuro, Lamb szedł właśnie zparkingu w stronę szkoły.

- Dzień dobry, Murdoch.

- Zaczekała na niego w drzwiach.

- Czy mogę coś dla ciebie zrobić?

- Zrobiłosię chłodniej iwilgotniej, więc miał na sobie płaszcz przeciwdeszczowy oraz kapelusz w pepitkęz zagiętą połową ronda, przez co wyglądał trochę jak turysta z wielkiegomiasta.

- Być może.

- Joanna spojrzała na jego wilgotną, niecierpliwą twarzi uświadomiła sobie, żezwlekając i kręcąc, tylkogo zirytuje.

-Zastanawiałam się, czy nie miałbyś nic przeciwkotemu, żebym posiedziała najednych z twoich zajęć?

- Po to, żeby rzeźbić czy żeby robić zdjęcia?

- I to, ito, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

- Rzeźbiłaś kiedyś, Joanno?

- Nie.

Chłodne oczy popatrzyły na nią uważnie spod runda kapelusza.

- Zakładam, że chcesz w ten sposób zapełnić sobie jakiś czas oczekiwania na Donovana?

Pod takim spojrzeniem trudno byłoby poczuć się jak skarcona uczennica.

- Rzeczywiście, mam więcej wolnego czasu, niż się spodziewałam - zdecydowała, że najlepiej będzie odpowiedzieć spokojnym tonem - a jeśli chodzi o rzeźbiarstwo, to raczej wątpię w swój talent.

Ale naprawdę chciałabym spróbować.

Lamb skinął głową.

- Przyjdź w południe - zaproponował.

104

Nie zauważyła przedtem tego modelu, gdyż stał na stole w przeciwległym kącie przestronnego pomieszczenia; była to makieta Delameter House, o której opowiadał jej Donovan, właśnie tak dokładna i pełna zawiłych szczegółów, jak opisywał.

Miała ochotę przyjrzeć mu się z bliska i skomplementować, lecz jakoś wydało jej się, że nie byłoby to mile widziane.

W pomieszczeniu pracowało ośmioro studentów -

prawdziwych studentów, pomyślała Joanna z niejakim zawstydzeniem, sadowiąc się na stołku, który wskazał jej Lamb, złożony ostrożnie ustóp załadowany świeżym filmem aparat, a potem wsunęła przez głowę burlę,

starannie wyprasowany fartuch.

Było tu pięć kobiet - najmłodsza miała pewnie około dziewiętnastu lat, najstarsza gdzieś blisko siedemdziesięciu pięciu, a wszyscy trzej mężczyźni znajdowali się w wieku emerytalnym.

Panie, z wyjątkiem jednej - trzydziestoparolatki zburzą żółtych lokówi podkrążonymi oczyma - emanowały podziwu godnym spokojem.

Ta jedna natomiast wydawała się równie rozgorączkowana, jak jej potargane włosy, gdy tak uwijała się ileś przyczymś, co mogło, ale nie musiało być glinianym modelem męskiej głowy.

Jeden z mężczyzn, nieconiechlujny, zgarbiony, niemniej prezentujący się dość poważnie, niedoświadczonym w tej materii oczom Joanny jawił się jako ktoś obdarzony wielkim talentem.

Jego wielkie dłonie ugniatały, gładziły i formowały bezkształtne tworzywo, na jej oczach przekształcając bryłkę gliny, w wyraźnie dostrzegalne zaczątki kobiecego popiersia.

- To jest Joanna Guthrie - Lamb zaskoczyła, przedstawiając tak nagle i nieco poniewczasie - gość z Anglii, który chciałby wykonać kilkadziesiąt, jeśli nie będziemy mieć nic przeciwko temu.

A czy mamy coś przeciwko temu?

-Przez salę przeleciał cichy pomruk zaprzeczenia, na który Lamb się uśmiechnął.

- Wygląda na to, że nie.

Joanna twierdzi, że chciałaby spróbować rzeźbić, choć utrzymuje, że nie ma do tego talentu.

Czas pokaże.

Najstarsza z kobiet w grupie, siedząca na stołku w pobliżu

Joanny, posłała jej wesoły uśmiech, podnosząc pięknie pomarszczoną twarz o delikatnej strukturze kości, otoczoną śnieżnobiałymi, naturalnie falującymi włosami.

- Typowy wstęp dla Lamba- szepnęła.

- Żadnego nas nie wie do końca, czy on naprawdę jest takim gburem, z jakiego stara się uchodzić.

Wiesz, czasem potrafi być niemal miły.

Joanna niechętnie powróciła wspomnieniem do łańcucha, który Murdoch zrobił dla Sophii.

- Tak - przyznała.

- Wiem tym.

y

105.

Dla niej nie był specjalnie miły, w każdym razie w trakcie zajęć.

Niemniej z upływem czasu, kiedy Joanna zaczęła się przekonywać, że uformować glinę w jakikolwiek sensowny kształt jest nieskończenie trudniej, niż to się wydaje na pierwszy rzut oka, uświadomiła sobie mimo wszystko, że sprawia jej to pewną frajdę.

Była typem kobiety praktycznej, przywykłej do prac fizycznych, ale zwykle zajmowała się żywymi, oddychającymi i przychylnymi jej psami, a nie kawałkami martwego tworzywa do obróbki.

W miarę upływu czasu utwierdziła się tylko w przekonaniu, że tak jak powiedziała Lambowi, nie wykazuje w tej dziedzinie nawet najmniejszych śladów talentu, choć zaczynała też rozumieć, dlaczego tyle osób uważa, że obcowanie z gliną ma właściwości terapeutyczne.

- Czuję się tak, jakbym znalazła się z powrotem w przedszkolu

-zwierzyła się sąsiadce, Alice Munro - i bawiła się plasteliną.

- Zerknęła przez ramię, żeby się upewnić, czy Lamb nie stoi w pobliżu.

- Mam tylko poczucie winy, że marnuję tyle gliny.

- Niepotrzebnie - zapewniła ją Alice.

- Jeśli nie przywiążesz się do tej swojej papraniny, Lamb ją zutilizuje.

- Widząc minę Joanny, wybuchnęła śmiechem.

- Przepraszam.

Dzieci zawsze mi mówią, że jestem zbyt szczerą.

- Nie przepraszaj - uspokoiła ją Joanna - może nie jestem rzeźbiarzem, ale potrafię rozpoznać papraninę, kiedy mam ją przed sobą.

- Podejrzewam, że to ci wcale nie pomaga.

- Alice wskazała na nadgarstek Joanny, już bez bandaża, ale wciąż

posiniaczony.

Joanna się uśmiechnęła.

- Nie sądzę, aby to robiło jakąkolwiek różnicę.

-Co ci się stało?

- Alice przyglądała się teraz szwom na jej czole.

-Chłopak czy wypadek?

- Ani jedno, ani drugie.

Zostałam napadnięta.

- Tutaj?

- Starsza pani wyglądała na przestraszoną.

- Nie, proszę się nie martwić - uspokoiła ją Joanna.

- W Nowym Jorku.

- No, tak, to nie jest takie znowu wielkie zaskoczenie.

- Alice wróciła do pracy; ręce miała upstrzone starczymi plamami, lecz zręczne i o długich palcach.

-Czy tam, w Londynie, często zdarzają się takie rzeczy, Joanno?

Za parę tygodni wybieram się do Europy.

- Częściej, niż byśmy chcieli - przyznała Joanna - choć ja mieszkam w Oxfordshire, nie w Londynie.

-Oksford to mus być coś wspaniałego - odrzekła Alice.

Joanna uśmiechnęła się i poczuła leciutkie ukłucie tęsknoty.

- Tak - powiedziała - to prawda.

106

Kiedy starannie oczyszczała ręce z resztek gliny przed podniesieniem podłogi hasselblada, pomyślała, że to musi być wielka satysfakcja, kiedy się umie stworzyć z gliny jakiś piękny kształt, zamiast

przerabiać jedną bezkształtną bryłę na drugą.

Ale przynajmniej, doszła do wniosku, obserwując przez obiektyw grupkę uczniów i ich nauczyciela, może się pośmiać samej sobie, a poza tym z całą pewnością jest to bardzo relaksujące zajęcie.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzałam zbyt - powiedziała do Lamba, kiedy wymieniła się numerem telefonu z Alice Munro, a reszta studentów posprzątała po sobie i wyszła.

- Nie za bardzo - odrzekł dość przyjaźnie.

- Miejsca było dość, a glinę, jak mówiła ci Alice, można wykorzystać ponownie.

- Uśmiechnął się lekko.

- Równa z tobą dziewczyna, prawda, Joanno?

- Dziękuję, Murdoch.

- Całe to czekanie musi być dla ciebie okropnie nużące.

Jestem zaskoczony, że się nie poddałaś i nie pojechałaś do domu.

Prawie tak było, pomyślała.

- Słabo mi wychodzi poddawanie się - odparła.

W budynku szkoły nie dostrzegła ani śladu Donovan, a drzwi, które wedle jej mniemania prowadziły do jego pracowni, były zamknięte na cztery spusty, lecz udało jej się trafić na Pete'a Szabo.

Siedział zgarbiony w warsztaciku niewiele większym od schowka na narzędzia, gdzie ledwie się mieścił.

Z zaskoczeniem przekonała się, że i on rzeźbi.

- To cudowne, Pete - rzuciła z niekłamany podziwem, spoglądając na niedużą, lecz wyglądającą jak żywa parę splecionych rąk, która wyłaniała się spod jego dłoni.

- Nie wiedziałam, że ty jesteś artystą.
Wzruszył skromnie ramionami.
 - Jedynie zwykłym amatorem.
 - Miał na sobie bawełniany podkoszulek i szorty w kolorze khaki
inajwyraźniej nic sobie nie robił z chłodu.
 - Naprawdę?
 - zdziwiła się Joanna.
 - Jak dla mnie, to wygląda fantastycznie.
 - Jeśli mi nie wierzysz, Jo, zapytaj Lamba.
 - Nie, raczej to sobie daruję- odrzekła.
 - Przed chwilą był dla mnie prawie miły.
Chyba dam spokój, póki jeszcze jestem na plusie.
 - Urwała.
 - Czy ten pokój na końcu korytarza to pracownia Donovanana?
 - Tak.
- Widać było wyraźnie, że Szabo nie chce przy niej pracować, a choć odczuwała ogromną ochotę, by go sfotografować - w jej myślach zaryso107.

wały się szkice fotoreportażu o tym, jak to każdy, kto pojawi się w GileadFarm, zaraża się bakcylem twórczym - wyczuła, że taka prośba nie będzie mile widziana.

Zwróciłamyśli zpowrotem ku Donovanowi.

- Wiem, że nie lubi, jak mu się przeszkadza- powiedziała - ale zastanawia mnie, kiedy ma zamiar wyprowadzić Sopię na spacer.

- Nie sposób się tego dowiedzieć - oświadczył Szabo.

- Zamyka się naklucz i nie odpowiada na pukanie nikomu.

- Nie wiedziałam, że bywa aż tak obsesyjnie zajęty.

- Oddany swojej pracy- poprawił ją Szabo.

Joanna umiała rozpoznać, kiedy się ją strofuje.

24

Piątek, 4 grudnia

- W dolinie mają kolejną zaginioną osobę - obwieścił

Tomowi Oatesowi agent specjalny Gary Poole nad kawą i pączkami w kafejce Svensena, niedaleko od siedziby FBI w południowym Albany.

Poole i Oates byli kolegami po fachu przez ostatnie trzy lata i niemal przez tyle samo - dobrymi przyjaciółmi.

Tom miał wrócić do pracy pierwszego grudnia, lecz chirurg, który go operował, uznał, że nogi niegoi się jak należy, wobec czego może być konieczna kolejna operacja.

Wyczekiwanie doprowadzało Oatesa do szału, a Poole robił, co mógł, żeby osłodzić mu nudę, dostarczając wieści o tym, co się dzieje w biurze.

- Słyszałem - odrzekł Oates.

- Facet z New Paltz.

-Oblizwał palce resztek lukru.

- To ile to już będzie?

Czworo w ciągu ostatniego roku?

- Ten ostatni to model.

- Poole uniósł brew.

Zwygłądu stanowił całkowite przeciwieństwo kolegi: potężnie zbudowany facet, który kochał dobrze zjeść, i było to po nim widać.

Tom Oates potrafił wepchnąć w siebie niemal tyle samo co on, a jednak wciąż pozostawał szczupły jak chart.

- Nazywa się Schuyler.

- Luke Schuyler - uzupełnił Oates.

- Mieszka i pracuje w Bostonie.

Zniknął nagle kilka dni przed Świętem Dziękczynienia i nie pojawił się w domu rodziców w New Paltz.

- Na pewno jesteś na zwolnieniu?

- zapytał Poole.

- Napisali o tym w "Record" - odparł Oates.

- Czytać jeszcze potrafię.

'108

Zamówili kolejne paczki i wrócili do rozmowy o ostatnim zniknięciu.

Podobno rodzice Schuyleramiotali się w bezsilnej rozpacz, bo wydział policji w Bostonie nie chciał potraktować poważnie ich troski o syna.

Problemy polegały na tym - zarówno Oates, jak i Poole byli tego pełni świadomi - że Luke miał dwadzieścia trzy lata, a więc i pełne prawo do kłopotów gdzieś sobie zniknąć.

Co więcej, pracaw charakterze modelamogła sugerować niektórym ludziom, iżSchuylerjest po prostu małorzetelny i niebardzo przejmuję się troską rodziców.

- Co wedługrodziców jest absolutną bzdurą - oświadczył Poole.

-Mówili, że Lukę wciąż przyjeżdżał do nichz Bostonu, a przed tym ostatnim wyjazdem spędził z nimi dziesięć dniinigdy dotąd nie zdarzyło się opuścić Świąta Dziękczynienia ani Bożego Narodzenia.

- A jeśliobraca się wśród różnych porąbańców- zastanawiał sięOates - to może stanowić doskonały cel dla jakiegośsukinsyna.

Oficjalnie sprawa ta - jeśli to wogóle była jakaś sprawa - nie leżaław gestii władz federalnych, lecz biorąc pod uwagę nagływzrost liczby niewyjaśnionych zniknięć, jakie odnotowano w dolinie rzeki Hudson,placówki FBI w Albany oraz małe biura satelickie informowane były nabeżąc o rozwoju sytuacji.

Pierwsze, stosunkowoniedawnezniknięcie,które wzbudziło głębokie zainteresowanie władz (bo i w przeszłości zdarzały siętakie rzeczy; bądź co bądź kobietyczy mężczyźni rzucający domi rodzinę bez słowa wyjaśnienia nie sąaż takąznów rzadkością), to przypadek zaginionej trenerki aerobiku z Troy, drugie - sześćdziesięcioletniego farmera z przysiółka nieopodal Hurley w okręgu Ulster, trzecia zaśbyła kolejna młoda kobieta, tancerka, studentka szkoły baletowej z RedHook.

Do tego doszedł Lukę Schuyler, wprawdzie zgarnięty z Bostonu,lecz w opinii rodziców i przyjaciół nadal głęboko związany z rodzinnymi miastemNew Paltz w stanie Nowy Jork.

Ludziom zdarza się odczasu do czasu zniknąć - powiedziano najpewniejrodzinie Schuylera- mężowie wychodzą po papierosy i już nie

wracają, matki proszą swoje siostry, żeby popilnowały im przez chwilę dzieci, a kilkamiesiące później okazuje się, że przysnęły z kochankami albo po prostu wyjechały, bo nie mogły dłużej znieść dotychczasowego życia.

A młodzi ludzie - a już szczególnie młodzi mężczyźni, którzy prowadzą budzący spore zastrzeżenia tryb życia w wielkich miastach - odchodzą, nie informując matek i ojców, dokąd się udają.

- Niemniej, to mi nawet wygląda na pewną prawidłowość - rozmyślna głos Tom Oates nad trzecią filiżanką kawy.

- Troje młodych ludzi o ponadprzeciętnie sprawnych i pięknych ciałach.

Poole zerknął na zegarek i zaczął się szykować, by wrócić do pracy.

- Szkoda, że ten jeden stary farmer wszystko schrzanił - zauważył.

25

Niedziela, 6 grudnia

Joanna zobaczyła Donovana dopiero w niedzielę po południu, kiedy wybrała się na przechadzkę z aparatem.

Do tej chwili była raczej w kiepskim humorze, bo zniecierpliwienie zaczynało brać górę, ale teraz przystanęła zafascynowana, oddalona o jakieś dwieście kroków, i zaczęła patrzeć.

Był Lambem; grali w piłkę niedaleko łąki, na której pasły się zwykłe dwie kozy.

Sophia miała na sobie uprząż, leżała jednak w bezpiecznym odдалeniu i przyglądała się, wodząc oczami za przelatującą tam i z powrotem piłką.

Joanna wiedziała, że dla psa muszą to być tantalowe męki, lecz

Sophia leżała spokojnie i cierpliwie czekała.

Nie podniosła się nawet na widok swej niedawnej pani, tylko zamachała ogonem, pozostając tam, gdzie kazano jej zostać.

Obaj mężczyźni rzucali do siebie piłeczkę tenisową.

Donovan raz chwycił ją jedną ręką, raz dwiema, lecz łapał za każdym razem i odrzucał do Murdocha.

Pierwszorządny przykład cierpliwości i starań Lamba w połączeniu z niezwykle wyostrzonymi myślami Donovana: Murdoch rzucał z niezwykłą celnością, zmieniając za każdym razem kąt i krzywiznę lotu, a rzeźbiarz, prawdopodobnie słysząc i wyczuwając zbliżającą się powietrzu piłeczkę, łapał ją z niesamowitą wprost zręcznością.

Była to, jak podejrzewała Joanna, kolejna z ich sztuczek, lecz owa świadomość wcale nie umniejszała podziwu dla umiejętności obu mężczyzn.

Poczekala, aż skończyli.

Lamb odebrał piłeczkę, pożegnał się z Donovanem i skierował się, skinąwszy lekko głową Joannie, w stronę szkoły.

I dobrze, pomyślała i podeszła bliżej, kiedy Sophia biegła już do swego pana, wymachując zawzięcie ogonem.

- Witajcie, nieznajomi!

- zawołała Joanna z odległości jakichś dwudziestu kroków.

- Cześć.

- Donovan podniósł lewą rękę w geście pozdrowienia, pozwalając, by suka, mimo uprząży, powitała go na swój zwykły wylewny sposób.

- Przyglądałam się waszej grze.

110

- Wiem.

- Niezły z was zespół.

- To dobre ćwiczenie dla wszystkich zmysłów - wyjaśnił.

- Zaczęliśmy od włożenia dzwonka do piłeczki.

- Złapał za uprząż psa i zaczął się, a Joanna dotrzymywała mu kroku.

- Wszystkemu ciębie w porządku?

- W jak najlepszym - odrzekła.

Patrząc i czekając, aż skończą grać, zdecydowała, że od razu wyrzuci z siebie kolejną prośbę o zgodę na sesję fotograficzną, lecz teraz, kiedy Lamb odszedł, poczuła, że Donovan zdołał już na powrót pograć się w tym innym, twórczym świecie, do którego nie miała wstępu.

- Jak tam twoje siniaki?

- zapytał po dłuższym milczeniu.

-Słyszałem, że nadal są bardzo barwne.

Od Lamba, jak przypuszczała Joanna.

- Wygląda to gorzej, niż jest w rzeczywistości.

-A nadgarstek?

- Także ma się lepiej.

-To dobrze.

Rozmawiał z nią uprzejmie, lecz był jakby nieobecny duchem.

Teraz.

albo nigdy, zdecydowała.

- Donovan, nie chciałabym naciskać.

-Ale chciałabyś wiedzieć, kiedy będzie można zrobić zdjęcia?

Przystanęli oboje, żeby Sophia mogła załatwić swoje potrzeby w wysokiej trawie.

Nad głowami przeleciała im hałaśliwa parka srok.

- Myślałam, że może wyleciało ci to z pamięci.

-Nie, wcale nie.

- Chodzi o to, że czas ucieka- ciągnęła Joanna - przecież nie mogę siedzieć tu w nieskończoność, awolałabym wrócić z jakimś konkretnym materiałem dla tych magazynów.

-Chyba nie chcesz jeszcze wracać do domu?

- Sprawiał wrażenie zaskoczonego.

- Zaczynam sądzić, że powinnam.

-Nie możesz.

- Nie jestem pewna, czy uda mi się przekonać konsulat, aby wydał mi

ten zastępczy paszport, jeśli będę za długo z tym zwlekać, ale gdy się
vskontaktuję.

-Źle mnie zrozumiałaś -wpadł jej w słowo.

- Chciałem powiedzieć, że nie możesz tak po prostu sobie wyjechać.

- Oczywiście, że mogę - Joanna najeżyła się lekko.

Przez chwilę siedł w milczeniu, potem znów się zatrzymał.

111.

- Proszę, nie wyjeżdżaj.

- Na jego twarzy pojawiło się napięcie.

-Proszę, Joanno.

Spojrzała na niego, nic nie rozumiejąc.

- Ale dlaczego?

-Bo nie chcę, żebyś wyjeżdżała.

Jeszcze nie teraz.

- Ale przecież i tak pracujesz.

- Nadal nic z tego nie rozumiała.

-OdŚwięta Dziękczynienia ledwie znajdujesz czas, żeby zamienić ze mną dwa słowa.

- Urwała na chwilę.

-Wcale się nie skarzę.

Wiem, ile czasu mi poświęciłeś.

Wiem, że musiałeś się już stęsknić za pracą.

Tylko pomyślałam.

- Nie!

- Potrząsnął głową, tym razem znacznie gwałtowniej.

-Nic nie rozumiesz.

- Masz rację.

Najwyraźniej nic nie rozumiem.

- Popatrzyła na Sophie.

Choć nikt nie nakazał, by się zatrzymała, suka przystanęła czujnie, a strzygące uważnie uszy powiedziały Joannie, że psu nie podoba się tennagły wzrost napięcia między nimi.

- Słuchaj, nie zatrzymujemy się.

Zewzględu na Sophie.

- Jasne.

Ruszyli więc dalej.

Choć dzień zaczął się pogodnie, teraz nad ich głowami zbierały się ołowiane, grożące śniegiem chmury.

- Pozwól, że spróbuję ci wyjaśnić - odezwał się po chwili Donovan.

-Ależ proszę bardzo.

- Zazwyczaj, kiedy jestem na farmie, zajmuję się niemal wyłącznie pracą.

Trzema różnymi rodzajami pracy: czasem uczę - ale z zasady niewtedy, kiedy rzeźbię - a czasem zmuszam się do rzeźbienia, żeby móc jakoś funkcjonować, nawet jeśli nie czuję natchnienia.

- Przeciągnął lewą ręką po krótkich włosach.

-No i jest jeszcze prawdziwa robota.

Taka, która łapie człowieka zagardło, za wnętrzości, coś takiego, co wciąga nadobrze i nie wypuści, dopóki człowiek nie skończy.

Joanna odczekała chwilę.

- Czy coś takiego dzieje się właśnie teraz?

-I tak, inie - odparł i znów przystanął.

-Chcesz znać prawdę, Joanno?

- zapytał i ciągnął, nie czekając na odpowiedź.

-To powinien być jeden z takich wypadków.

Jedno z takich dzieł, nad którym chcę pracować, muszę pracować, dopóki nie padnę albo nie uznaję, że wszystko jest tak, jak ma być.

Powinno być takie jak zawsze: ważniejsze od jedzenia, wody i spania.

- Zamilkł na moment.

-Ale prawda wygląda tak, że wcale nie jest, a ja nie bardzo wiem dlaczego, co przyprawiamnie o lekkieszaleństwo.

112

- A więc ta gra w piłkę miała cię rozluźnić?

-Chyba tak.

- I ostatnie, czego ci teraz potrzeba, to ja imójaparar.

-Obawiam się, że takto właśnie wygląda.

Szli jeszcze przez chwilę, a potem - kolejnyraz - rzeźbiarz zatrzymał się i odwrócił się, by spojrzeć Joannie w twarz.

- Jak sądzisz, czymogłabyśjeszcze przez jakiś czas znieść wyczekiwanie?

- Widziała w jego twarzy nadzieję, wyglądał o wiele młodziej niżkiedykolwiek przedtem.

-Proszę.

Cieężko byłoby mu odmówić, kiedy tak prosił.

Prawdawygląda tak, że jawcale nie chcę mu odmawiać, pomyślała.

- Tak - odpowiedziała głośno.

- Oczywiście, że mogę.

- Dziękuję.

- Zawahał się na moment.

-Tom Oates nie pojawił się dotąd, prawda?

- Chyba nie.

Spodziewałaś się go?

- Niespecjalnie - odrzekł.

- Pewnie polecił komuś z tutejszego biura mieć oko na farmę.

-Dlaczego pytasz?

Zdarzyły ci się jakieśgłuche telefony?

- Nie.

Nic z tych rzeczy.

Całkowity spokój.

Tak się tylko zastanawiam.

W poniedziałektuż przed dziesiątą Joanna udała się do biura ChrisChen.

-Czy jesteś bardzo zajęta?

- zapytałaod drzwi.

-Jeśli tak, powiedzsłowo, a znikam.

Administratorka zaprosiła jągestem do środka.

- Ależ wejdź, Joanno.

- Podniosła się znad zarzuconego papieramibiurkai podeszła do szklanego dzbanka, do którego sączyła się właśnie świeżutka kawa z ekspresu.

-Napijesz się ze mnąkawą?

- Z przyjemnością.

- Joanna przysiadła na krześle dla gości.

-Kolejnyśliczny strój - dodała, patrząc na turkusowy spodniuz dzianiny,który miała na sobieChinka.

- Masz doskonały gust, jeśli chodzi o ubrania, Chris.

- Dziękuję, Joanno.

- Oczekała, aż kawa przestanie sięsączyć, potem rozlała ją dodwóch białych, porcelanowych kubków.

-Jaką pijesz?

- Bez cukru i z odrobiną mleka, proszę.

Chris przyniosła oba kubki i postawiła na biurku.

- Ty także masz naturalne wyczucie, jak powinnaś się ubierać.

- Usiadła po swojej stronie.

8. Ślepa trwoga

113.

Joanna wybuchnęła śmiechem.

- Owszem, naturalne to najodpowiedniejsze słowo.

Po prostu wstaję rano i sięgam po to, co pod ręką i co wygodne.

- Tak, ale już przy kupowaniu znalazłaś sobie świetneciuchy - odparła Chen.

- Przy rudych włosach i bladej skórze ktoś o gorszym guście mógłby je źle podbierać.

-.Dziękuję.

- Joanna wypła parę łyków kawy, która okazała się dobra i mocna.

- A więc w czym mogę ci pomóc?

-Chodzi o prace Donovan.

- A co konkretnie?

-Miałam nadzieję, że zyskam okazję sfotografowania kilku jego rzeźb, ale dotąd bardzo niewiele widziałam.

Właściwie tylko jedno znaczące dzieło, męską rękę z brązu.

Mel Rosenthal miała u siebie odlew z serii i pozwoliła mi wykonać kilka zdjęć, ale negatywy przypadły, wraz z resztą rzeczy.

- Jestem pewna, że Mel pozwoli ci zrobić jeszcze kilka.

Joanna przytaknęła skinieniem głowy.

- Niemniej mam nadzieję, że uda mi się zobaczyć jeszcze jakieś inne.

-Są rzadkością.

- Chris zaczęła szczegółowo wyjaśniać.

-Brązy Donovan zwykle odlewane są w dziewięciu egzemplarzach, plus dwa odlewy poza serią.

Są to zwykle pierwsze lub ostatnie odlane egzemplarze, czasem i jeden, i

drugi -niektórzy zbieracze cenią sobie bardziej ostatni,bo po nim niszczy się formę.

Bardziej nastawieni na zysk artyści wykonują więcej niż dziewięć odlewów -czasem trzydzieści, pięćdziesiąt, a nawet sto.

Każda praca Donovanana poszłaby dziś za ogromne pieniądze, w setkach, a nawet tysiącach egzemplarzy, ale w poważnym świecie sztuki przyjęło się, że wykonuje się dziewięć odlewów.

- Nie wiedziałam o tym - odrzekła Joanna.

- Donovan niewiele mi opowiada.

- Mielicie sporo innych tematów.

- Pewnie tak.

- Joanna się zawahała.

- Mel miała mi pokazać jego innesławne dzieła w Museum of Modern Art, ale sala jest akurat zamknięta z powodu remontu, więc widziałam tylko te tutejsze i rzeźby z mieszkania.

- To w większości starsze prace - odrzekła Chen - z czasów, zanim zyskała sławę.

Ponieważ na rynku jest ich tak niewiele, niemal wszystkie są wyprzedane, z wyjątkiem tych odlewów spoza serii, które wolał zachować dla siebie, oraz rzecz jasna oryginałów z gliny i gipsu.

Nawet ja niewiem, gdzie Donovan przechowuje swoją prywatną kolekcję.

- Odstawiła kubek

114

na biurko.

- Jeśli chcesz, mogę ci pokazać kilka zdjęć, w większości z katalogów

- jestem pewna, że mogłabyś sobie zatrzymać kilka odbitek, choćona

pewnonie jest to, o coci chodzi.

- Jeśli chodzi o magazyny, to na pewno nie - odparła Joanna.

- Ale chciałabym je zobaczyć tak dla siebie.

Przez następne dwadzieścia minut przeglądała zbiór katalogów i pojedynczych zdjęć, z których wiele ukazywało ten sam obiekt pod różnym kątem.

Nie było to to samo, co oglądanie dzieła w naturze, fotografii brakowało tej siły oddziaływania, jaką miała trójwymiarowa, namacalna rzeźba, widziana u Mela, niemniej nawet w ten sposób Joannie udało się zyskać pojęcie o niesamowitym talencie artysty.

- Zawsze był świetny - wyjaśniła Chen, zaglądając jej przez ramię.

Przypłynął od niej znajomy zapach perfum Mitsuoko.

- Ale dopiero dzięki tej serii stał się prawdziwą sławą.

Podobnie jak ręka farmera, którą Joanna widziała wcześniej, każda z tych rzeźb przedstawiała inną część ludzkiego ciała, naturalnej wielkości i oddaną z zachwycającą dokładnością.

Dłoń.

Delikatna stopa.

Zgięta w kolanie kobieca noga.

Kolejną ręką, tym razem wyglądającą na rękę sportowca, serwującego tenisisty, pomyślała Joanna, niemal słysząc w wyobraźni dźwięk piłeczki uderzanej rakietą zawodowca.

Każda z tych rzeźb przedstawiała nie tylko ciało, krew i kości, lecz także wszystkie mięśnie, ścięgna, jak i spowodowane przez życie skazy.

Bardziej niż kiedykolwiek przedtem zapragnęła zobaczyć

Donovan przy pracy.

Ponieważ pogoda dopisywała, tego popołudnia pożyczyła jeden z dżipów i pojechała zarzekę, napółnocny zachód, żeby obejrzeć Opus 40, ogromną rzeźbę środowiskową, którą wskazał jej Donovan na jednej z pierwszych wspólnych wycieczek.

Pamiętała, że według niego Lambu uważał jej twórcę, Harveya Fite'a, zageniusza, Chris Chen zaś nie znosiła tego miejsca, twierdząc, że przyprawiają ją nieprzyjemny dreszcz.

Joanna obeszła monolit dookoła po głównej platformie; przemieszczała się jednogrzestronnego tarasu na drugi, wykonując serie zdjęć pod najróżniejszymi kątami.

Miała przy tym świadomość, że nigdy nie zdoła oddać całości dzieła, ponieważ zdjęcia ukazują je zbyt fragmentarycznie.

Przyszło jej też na myśl, że rozumie punkt widzenia zarówno Lamba, jaki Chris.

Sama rzeźba zajmowała sześć i pół akra, a otaczało ją ponad osiemdziesiąt akrów terenu, porośniętego klonami, srebrnymi świerkami, jesionami i krzewami sumaku.

Całość była ogromna, uderzająca i intrygująca, fragmentami niezaprzeczalnie piękna, miejscami zaś zbyt

chłodna i zniechęcająca, być może tylko z powodu pory roku.

Ale przede wszystkim, kiedy tak wędrowała wokół Opus 40, czuła podziw dla ogromu wizji Fite'a oraz jej spoistości, co z kolei z powrotem przywiodło jej na myśl Donovan'a i to, co powiedział: że jego własna praca chwyta go zagardło i nie chce wypuścić, dopóki nie zostanie skończona.

Tego wieczoru kolację zjadła samotnie w domku gościnnym.

Szaboza telefonował wprawdzie koło siódmej, żeby zapytać, czy do nich przyjdzie, lecz Joannie zdawało się, że wychwycił w jego głosie nutkę ulgi, kiedy się wykręciła.

Potrafiła to zrozumieć - jakie to musi być straszliwie nudne: mieć stale obok siebie gościa, z którym trzeba się wciąż liczyć.

Około jedenastej wybrała się na przechadzkę.

W takich sytuacjach ogromnie brakowało jej Sophii; uświadomiła sobie, że w codziennym życiu rzadko wychodziła z domu bez towarzystwa przynajmniej dwóch psów - i to prawdziwa radość, dla której warto wrócić do domu, powiedziała sobie, wędrując bez celu w stronę ogrodu dzikich kwiatów.

Śnieg, który przewidywała na wczoraj, nie spadł, niemniej powietrze było znacznie chłodniejsze i bardziej wilgotne.

Mimo to, jak się przekonała, cieszyły ją nocne zapachy i odgłosy wsi - takie jak pohukiwanie sowy, które ją przestraszyło drugiej nocy po przyjeździe na farmę - teraz sowa była już starą znajomą, podobnie jak konie i kozy na łąkach.

Znów zwierzęta, zauważyła cierpko w myślach, kiedy pozostawiła ogród za sobą i ruszyła z powrotem - bo choć ludzi z Gilead Farm znała tak samo

długo, jakoś nie mogła uważać ich wszystkich za przyjaciół.

Zresztą, interesowała ją przyjaźń tylko z jedną osobą tutaj, prawda?

- Przyjaźń?

- rzuciła na głos w ciemnościach.

Kogo próbuje oszukać?

Szła samotnie ciężką biegnącą wzdłuż budynku szkolnego, kiedy dobiegła nowy dźwięk.

Cichy trzask gdzieś za plecami.

Przystanęła, a potem ruszyła dalej.

Dźwięk dał się słyszeć ponownie, nieco przytłumiony, sprawił, że przystanęła.

Jakoś nie pasował do reszty, nie był to szelest, który wydaje nocne zwierzę przemykające wśród chaszczy.

Brzmiało to bardziej jak odgłos ludzkich kroków.

Joanna odwróciła się, popatrzyła uważnie w ciemność, a otaczające ją cienie, chociaż jeszcze przed chwilą wyglądały znajomo i niegroźnie, teraz nabrały nowych kształtów i znaczeń.

Czarny zarys drzewa, gnącego się na lekkim wietrze przypominał obecnie postać wielkiego mnicha, pochylającego zakapturzoną głowę i wyciągającego bezwładne, sękaty ramiona, wykrzywione jak szpony ręce. Trawy kołyszące się na niewielkim wzniesieniu zaczęły przypominać roztańczone włosy na głowie jakiegoś olbrzyma.

116

- Weź się w garść - nakazała sobie Joanna i odwróciła się od ogrodu.

To taka dziecinna zabawa, jaką uprawiają zwykle małe dzieci, kiedy nie mogą zasnąć w łóżeczkach i w wyobraźni przemieniają

misie wpotwory, nawiedzające potemje we śnie.

Wystarczy przyglądać się czemuś przedłuższy czas w ciemnościach, a już staje się groźne - tłumaczyła sobie, idąc żwawym krokiem w stronę podwórza idomku gościnnego.

Usłyszała kolejny dźwięk.

Właściwie to dwadźwięki razem.

Znówkrokii czyjś oddech.

Zatrzymała się raz jeszcze.

- Kto tam?

- zapytała przestraszonym, blaszanym głosem.

Nikt nie odpowiedział, słyhać było tylko oddech.

Joanna rzuciła się do biegu - szybkiego, miarowego sprintu - i wpadła w lekki poślizg na wilgotnych, gnijących liściach, lecz zdołała utrzymać równowagę.

Widoczny w oddali, pełen światła główny dom wyglądał bardziej zachęcająco, lecz domek gościnny, pusty i ciemny, był bliżej; a poza tym mogła się w nim zamknąć na klucz.

Dotarła do wejścia, wodziła przez chwilę dłonią w poszukiwaniu klamki, otworzyła, potknęła się w progu i zatrzasnąwszy za sobą drzwi, przekręciła klucz w zamku.

Wychodząc, zostawiła włączoną lampę, którą teraz, wiedzioną impulsem, szybko wyłączyła.

Następnie przekradła się z powrotem do frontowego okna, nisko pochylona, by nie być widoczną, i wyjrzała.

Na zewnątrz nie było nikogo.

Ani człowieka, ani zwierzęcia.

Na śród"ku podwórka poruszyła się na wietrze jakaś gałąź.

Z ziemi poderwał się drobny strzępek - papierczy liść - i pochwili opadł z powrotem.

Nic więcej.

Joanna wyprostowała się, podeszła z powrotem do lampy, włączyła ją i rozejrzała się po pokoju.

Wszystko wyglądało tak, jak zwykle - przytulnie, przyjemnie i najzupełniej normalnie.

- I po coci to było?

- zapytała samą siebie.

Czuła się jak ostatnia idiotka.

26

Wtorek, 8 grudnia

Alice Munro robiła co w jej mocy, by pobudzić do życia swego starego mustanga, stojącego teraz na poboczu, niestety bezskutecznie.

Znajdowała się zaledwie kilka kilometrów od domu, ale było ciemno i diabelnie

117.

zimno, poza tym nie był to koniec, jakiego mogłaby oczekiwać po przyjemnym popołudniu spędzonym w Millbrook Yillage, gdzie przetrząsała sklepy z antykami w poszukiwaniu prezentów dla swych angielskich kuzynów.

- Zupełnie nie tak koniec - wymruczała, kopiąc prawą przednią oponę białymadidasem i natychmiast poklepała przepaszająco samochód postarym dachu.

- Ale szczerze mówiąc, drogi przyjacielu, niebardzo mam ochotę na kolejny ogromny rachunek za naprawę.

W pewnym sensie zakrawało to nawet na ironię losu.

Od kilku dni Alice miewała od czasu do czasu głupie, lecz niemiłe uczucie, że ktoś ją śledzi.

Ponieważ była kobietą o sporej dozie zdrowego rozsądku, za każdym razem nakazywała sobie wziąć się w garść i przestać myśleć o głupstwach.

Teraz jednakże, kiedy przydałoby się, żeby ktoś miał na nią oko, nie było nikogo, a kierowcy tych nielicznych samochodów, które mijają ją i mustanga - stojącego z otwartą maską, tak że nikt nie mógł mieć wątpliwości, iż coś jest nie w porządku - zignorowali ją i pojechali dalej.

Totyle, jeśli chodzi o staromodną uprzejmość i dobre wychowanie.

A tak lubiła myśleć, że owe cechy wciąż jeszcze są kultywowane wśród mieszkańców tych okolic.

Przypomniała sobie, jaki szok przeżyła, kiedy usłyszała, że napadnięto na tę miłą Angielkę z aparatem, zanim się dowiedziała, że wydarzyło się to w Nowym Jorku, a nie w najbliższej okolicy.

Gdyby Joanna Guthrie zapytała ją wtedy, czy ktokolwiek

tutaj zatrzymałby się, by pomóc stojącej przy drodze starszej kobiecie, Alice odrzekłaby ze śmiechem, że na pewno.

- Ha - mruknęła teraz do siebie.

- Ha!

Nie miała pojęcia, co najlepiej zrobić w takiej sytuacji.

Jak na siedemdziesięciosześcioletką, była w niezłej formie, niemniej nie napawała jej radością myśl o tym, że będzie musiała wracać na piechotę do Schultzville, zwłaszcza na takim zimnie.

- Ktoś przecież musi się w końcu zatrzymać - powiedziała do siebie, tupiąc dła rozgrzewki nogami i chuchając wnieosłonięte rękawiczki na dłonie.

Głupia, stara baba - żeby w grudniu wyjść z domu bez rękawiczek!

Gdzieś za następnym zakrętem rozległ się chyba dźwięk silnika samochodowego, więc stanęła nieruchomo, wsłuchując się z nadzieją. A potem z całą pewnością zobaczyła przed sobą światła pojazdu, więc wyszła na drogę i uniosła prawą rękę.

Biała furgonetka podjechała bliżej i natychmiast zwolniła.

Alice próbowała dostrzec przez okno, kto ją prowadzi, lecz było zbyt ciemno,

118

zresztą szyby były zaciemnione, tak jak te, które widuje się w limuzynach sławnych ludzi - tylko że był to najzwyklejszy w świecie samochód.

Szczerze mówiąc, Alice Munro była tak zmarznięta, że nie obeszłoby jej, czy tę furgonetkę prowadzi gwiazda rocka, hydraulik czy sam prezydent.

W tej chwili obchodziło ją tylko to, czy owa osoba będzie tak miła i podrzuci do domu zziębniętą staruszkę, zanim ta złapie zapalenie płuc, przez co przypadnie jej bilet do Anglii i zmarnują się wszystkie śliczne prezenty dla kuzynostwa.

Furgonetka przystanąła, drzwi zaczęły się otwierać.

Wreszcie ktoś przyzwoity.

Alice wydała z siebie westchnienie ulgi.

27

Środa, 9 grudnia

Tego popołudnia Joanna rozmawiała w kuchni z Pete'em, chcąc się dowiedzieć, czym mogłaby się na coś przydać, kiedy najpierw zadzwonił zeszkoły Lamb i poprosił, aby Szabo przyszedł i pomógł mu przy jakimś projekcie, a potem - ledwie kilka chwil później - do kuchni wpadła pośpiesznie Chris Chen, która chciała, żeby Pete pojechał do Kingstoni przywiózł jakieś pilnie potrzebne zapasy materiałów do szkoły i biura.

- Jamogę pojechać, jeśli Murdoch cię potrzebuje, Pete - zaproponowała natychmiast Joanna.

- Nie ma mowy, Jo.

- Ale dlaczego?

Nie mam nic lepszego doroboty, a jest za późno na zdjęcie.

- Ale nadal bolą cię plecy - argumentował - i przegub.

Nie powinnaś nosić paczek.

- Jest mi o wiele lepiej.

,

- No nie wiem - zawahał się Szabo.

- Wydaje mi się, że Donovan rdebyłby tym zachwycony.

- O niczym nie będzie wiedział.

- Chris wywróciła oczyma.

-Naprawdę, Pete, ależ ty marudzisz.

Nie prosimy przecież Joanny, żeby dźwigała palety.

Jeśli chce być przydatna, tojej pozwól i już.

Pojechała do Kingston volvem należącym doChris, kupiła każdąpozycję ze starannieykaligrafowanej przez Chinkę listy, poprosiła

119.

młodego człowieka w sklepie papierniczym, żeby pomógł jej wnieść do samochodu jeden ciężki karton pełen różności, a potem, zakończywszy sprawunki, zjadła wczesną kolację w przyjemnej rodzinnej restauracyjce.

Przyjemności gwałtownie dobiegły końca i o mały włos finał okazałby się tragiczny, gdy znajdowała się już blisko domu, tuż przy południowej granicy Gilead Farm.

Pękło jedno z tylnych kół, a Joanna o małego nie wypadła z szosy.

- A niech to!

- rzuciła, czekając, aż serce przestanie jej łomotać.

W schowku na rękawiczki znalazła latarkę, wysiadła z samochodu i przeszła na tył, gdzie się przekonała, że koło nie nadaje się do użytku.

-I do tego jeszcze akurat tutaj- mruknęła cicho.

To musiało się zdarzyć akurat na najciemniejszym i najbardziej pustym odcinku drogi.

Joannie zdarzało się już przedtem zmieniać koło, a tym razem zdołała jedynie wyciągnąć z bagażnika koło zapasowe i podnośnik, kiedy jej plecy nadgarstek przeszył gwałtowny ból.

Zrozumiała, że teraz absolutnie nie uda jej się tego wykonać bez szwanku.

Droga powrotna na piechotę nie napełniałaby jej takim lękiem, gdyby nie zrobiło się tak bardzo ciemno lub gdyby szosa nie była wysadzana tak ciasno wysokimi świerkami i sosnami, z których każda skrzypiała teraz i szumiała na wzmagającym się zimowym wietrze.

Albo gdyby zaledwie dwa wieczory wcześniej Joanna tak się nie przestraszyła w czasie spaceru po ogrodzie dzikich kwiatów.

W tym stanie rzeczy jednak kiedy dotarła wreszcie do Gilead Farm, była wyczerpana, obolała i tak zdenerwowana, że wyskakiwała ze skóry, słysząc najłżejszy trzepot skrzydeł, a na domiar wszystkiego po raz kolejny - co chyba najgorsze ze wszystkiego - czuła się jak totalna idiotka.

Czekała, aż Szabo powie: "A nie mówiłem?", i spodziewała się, że Chris zacznie pytać, czy nic się nie stało z samochodem.

Nic podobnego jednak nie nastąpiło.

Wykazali tyle troski, jakby byli parą jej najlepszych przyjaciół - objawili wiele delikatności i taktu, nie czyniąc przy tym wokół całej sprawy zbędnego szumu.

- A co będzie z samochodem?

- zapytała Joanna, kiedy Chris uparł się, że odprowadzi ją z powrotem do domku gościnnego i upewni się, że jest tam wszystko, czego gość potrzebuje.

- Powinnam cię do niego zaprowadzić.

- Wcale nie - odparła tamta stanowczo.

- To tylko samochód.

Peter to że pojechać tam jutro rano i zmienić koło.

Mówiłaś, że nie stoi na środku drogi, prawda?

120

- Prawda.

- Joanna czuła prawdziwą ulgę na myśl, że nie musi już wychodzić z domu.

- Tak więc nie stanowi dla nikogo zagrożenia.

- Pozamykałam go dobrze.

- Już mówiłaś, a ja ci już tłumaczyłam, że to tylko samochód.

- Chrissię uśmiechnęła.

-Założę się, że najadłaś się strachu,sama na pustej ciemnej drodze?

- Rzeczywiście -przyznałaJoanna.

- A to zupełnie do mnie niepodobne, w końcu jestem przyzwyczajona do wieczornych spacerów powiejskich drogach.

-Zawahała się.

- To chyba dlatego.

że tak niedawno stało się tamto.

- Ten napad ciągle jeszcze cię niepokoi?

- zapytałaChen zewspółczuciem.

Joanna potrząsnęła głową.

- To było coś innego.

A w zasadzie nic takiego.

Pewnie wyobraźni przeważyła we mnie nad rozsądkiem.

- Zobaczyła, że egzotyczne oczyChinki przyglądają jej się z uważnym zainteresowaniem.

-W poniedziałekpóźnym wieczorem wyszłam na spacerdo ogrodu dzikich kwiatówi coś usłyszałam.

- Co mianowicie?

KJoanna wzruszyła ramionami.

- Nic, nad czym warto się rozwodzić.

Jak już mówiłam, jestem prawiepewna, że to tylko wybryk mojej wyobraźni, aleprzez chwilę wydawałomi się, że ktoś za mną idzie.

Następnego ranka spała do późna, więcrobiła sobie dopiero-pierwszydzbanek kawy, gdy do drzwi zastukali Szabo i Chen.

- Co się stało?

- zapytała, kiedy usiedli przy kawie.

Tamci wymienili między sobą spojrzenia.

- Pete nie chciał cię martwić - zaczęła Chris - ale po tym, co mi powiedziałaś o poniedziałkowym wieczorze, pomyślałam, że powinnaś wiedzieć.

-O czym powinnam wiedzieć?

- To nic takiego, Jo - odrzekł spokojnie Szabo - ale kiedy dziś rano zmieniłem koło, zauważyłem, że to, które pękło, miało podciętą oponę.

-Rozciętą - poprawiła go Chinka.

Joanna popatrzyła na nich ze zdumieniem.

- Kiedy wyjeżdżałam z Kingston, wszystko wydawało się w porządku.

Nie sądzicie, że bym to zauważyła?

121.

- Niekoniecznie.

- Szabo popatrzył na Chen.

-Koło wyglądało takkiepsko, bo przejechała tyle kilometrów na podciętym.

Mocniejsze przecięcie sprawiłoby, że całe powietrze uszłoby od razu.

- Przeniósł spojrzenie z powrotemna Joannę.

-Powiadomiliśmy o wszystkim tutejszą policję.

Zgadzą się zemną, że to pewnie robota jakichś dzieciaków.

Mówią, żeostatnio wciążktoś ma poprzebijane dętki.

- Zawahał się.

-A co sięwłaściwie zdarzyło wponiedziałkowy wieczór, Jo?

Christwierdzi, że mówiłaś, iż coś ci się wydawało.

- Raczej na pewno tylko mi sięwydawało - odparła Joanna.

-Ale czyjesteś całkowicie pewna?

- dopytywała się Chinka.

-Bo jeśli nie, powinniśmy opowiedziećo tym policji albo agentowi Oatesowi.

W końcu wszystkim wiadomo, że ten, kto cię napadł, ma także adresfarmy.

-Jestepewna, że to, co się wydarzyłotamtej nocy,niemiało nicwspólnego z napadem - upierała się Joanna.

- Naprawdę uważam, żeponiosła mnie wyobraźnia.

- Czy może przemawia przez ciebie słynna brytyjska powściągliwość?

-zapytała łagodnie Chen.

- Nie, skądże - zapewniła stanowczo Joanna.

- Przyznaję, że się przestraszyłam - może po tym napadzie jestem trochę bardziej rozchwianani niż zazwyczaj.

Ale na tym koniec.

- Napewno?

- zapytał Szabo.

- Z całą pewnością.

Tego popołudnia Joanna widziała Donovana - jedynie przez chwilę, kiedy wychodził ze szkoły w towarzystwie idącej bez upręży Sophi i skierował się w stronę domu.

Joanna stała niedaleko okna, podeszła więc aż do samej szyby, gdy mijali domek gościnny, ponieważ miała nadzieję zamienić słówko z rzeźbiarzem. Ale choć Sophi ją zobaczyła, zaczęła machać ogonem i lekko podskakiwać na jej widok, Donovan w żaden sposób nie dał po sobie poznać, że jest świadom jej obecności, pozostała więc znów w poczuciu rozczarowania i niepewności, podczas gdy on poszedł dalej.

Jakieś trzydzieściminut później wpadł do domku Lamb.

- Chyba powinienem dzierżyć w dłoni bukiet - oznajmił, wchodząc Joanną do salonu.

- Ale przynoszę ci jedynie współczucie z powodu ciężkich chwil, jakie przeszłaś.

- Nic mi nie jest, Murdoch - rzuciła żwawo, zamykając za nim drzwi.

- Z godziny na godzinę jest mi coraz bardziej głupio, poza tym jednak

122

absolutnie nicmi nie dolega.

- Urwała na chwilę.

- Usiądziesz?

Napijesz się czegoś?

- Nie mogę zostać.

- Przez chwilę mierzył ją uważnym spojrzeniem.

- Wysłuchałem ponurych relacji o tym, jak to z trudem dowlokłaś się do Gilead Farm, półprzytomna i słaniająca się na nogach.

- Sprawiał wrażenie rozbawionego.

- Z przyjemnością stwierdzam, że były one mocnoprzesadzone.

- Na to wygląda.

- Mimo wszystko - ciągnął dalej - twoja wizyta w Stanach Zjednoczonych wydaje się zupełnie niepotrzebnie ubarwiona nieprzyjemnymi zdarzeniami, nieprawdą?

- Tego bym nie powiedziała.

- Jesteś bardzo dzielna.

- Zamilkł na chwilę.

- Jak już mówiłem, przyszedłem wyrazić współczucie z powodu kolejnej nieprzyjemności, jakaciekę spotkała.

- Dziękuję.

- Nagle ogarnęło ją poczucie, że jest niewdzięczna.

- Naprawdę, Murdoch, to bardzo miło, że poświęciłeś mi swój czas.

Wiem, jak bardzo jesteście obaj z Donovanem zajęci.

' - On z pewnością prze doprzodu jak burza - przyznał.

- Ja tylko wlokę się jego śladem.

- Ale przecież pracujecie razem, prawda?

Spojrzenie Lamba wyraźnie ochłodziło.

- Jestem tylko pomocnikiem, niki więcej.

- Zaczął się zbierać do wyjścia, lecz nagle się zawahał.

-A skoro już mowa o Donovanie, zastanawiam się, czy nie zechciałabyś mi wyświadczyć wielkiej przysługi, Joanno?

- Jeśli tylko będę w stanie - odrzekła.

-Nie wspominaj w rozmowie z nim o tym incydencie z oponą.

- Nie rozmawiałam z nim od niedzieli.

-Proszę o to tylko dlatego- ciągnął Lamb - że znalazł się teraz w krytycznym momencie pracy i jeśli coś by mu przeszkodziło, mogłoby to wywołać katastrofalne skutki.

- Oczywiście- rzuciła beznamiętnym tonem.

-Dziękuję.

- Ruszył w stronę drzwi, a potem znów się zatrzymał i odwrócił w jej stronę.

-Powiesz mi, jeśli będzie coś, co mógłbym dla ciebie zrobić, prawda?

Gdybyś na przykład miała dość tego pecha i zapragnęła wracać do domu, z przyjemnością pomogę ci wszystko załatwić.

Teraz Joanna poczuła się rozbawiona.

- To niezwykle uprzejmie z twojej strony, Murdoch - rzuciła z przekąsem.

123.

- Po prostu staram się być gościnnie.

- Otworzyłam drzwi.

- Na razie nie mam jeszcze sprecyzowanych planów co do wyjazdu

- oświadczyła.

- A jeśli będzie miała, z pewnością poradzę sobie sama.

- Jestem tego pewien - Lamb wyszedł w lekko mroczniejsze już popołudnie.

- Lecz w razie gdybyś zmieniła zdanie, oferta jest wciąż aktualna.

28

Piątek, 11 grudnia

Była w już łóżku, kiedy krótko przed północą usłyszała ten dźwięk.

Jakieś skrobanie.

Leżała nieruchomo, zastanawiając się, czy to nie jakieś zwierzę na zewnątrz.

Miała nadzieję, że owa nadmierna nerwowość nie będzie jej nawyk.

Strachliwa Jo.

Usłyszała coś ponownie, tyle że tym razem nie było to skrobanie, tylko raczej tupot.

To nie zwierzę.

Spięła się cała, próbując oszacować w myślach, czy hałas dochodził z podwórza czy też z wnętrza domu.

Przez kolejnych kilka sekund nie było nic słychać.

Potem znów to samo.

Sięgnęła dostojącej przy łóżku lampki i pstryknęła włącznik.

Nic. Niema światła.

- Cholera - mruknęła cichuteńko w mrok.

Przez kolejną chwilę rozważała, jak najlepiej postąpić, starając się przy tym nie wpadać w panikę.

Mogła pozostać w łóżku i zrobić co w jej mocy, aby zlekceważyć te dźwięki, alew ten sposób wystawiłaby się na atak, a jedyne przedmioty, jakie mogła ewentualnie wykorzystać do obrony, znajdowały się na parterze.

Mogła sprawdzić, czy inne lampy działają, w nadziei, że w lampce nocnej wysiadła żarówka i że kiedy dom rozbłyśnie pełnią elektrycznych świateł, intruz przestraszy się i ucieknie - alez drugiej znów strony, wcale nie była taka pewna, czy chce, żeby uciekł.

Wolałaby, aby go złapano i by cały ten absurd wreszcie się skończył.

- Ruszaj na dół - mruknęła i pożałowała w duchu, że nie ma tu z nią Sophii.

Stąpając cicho bosymi stopami i trzymając się mocno poręczy, skradała się po schodach i szukała w myślach najlepszego wyboru: może do

trzeć do telefonu i zaalarmować Donovana albo Szabo - ale nie znała numeru, a nie chciała włączać lamp ani marnować czasu na szukanie; mogła podejść do okna i zacząć wrzeszczeć - ale to spowodowałoby taki sam efekt, jak pozapalanie w domu wszystkich świateł; mogła wreszcie sama wyjaśnić całą tę sytuację.

No dobra, pomyślała, zaciskając zęby, kiedy zdecydowała się na to ostatnie.

Przystanąła u podstawy schodów i znów nasłuchiwała przez chwilę. Nie miała poczucia, że w domu jest ktoś jeszcze oprócz niej.

Coś podobnego przydarzyło jej się kiedyś w Merlin Cottage, gdy wróciwszy do domu, znalazła w nim włamywacza - jak tylko otworzyła drzwi, od razu wiedziała, że ktoś jest w środku.

A to w każdym razie oznacza, że intruz jest na zewnątrz.

Po raz kolejny zaczęła się zastanawiać, czy nie zostawić go w spokoju.

Mogła przecież pójść do łóżka i nakryć głowę kołdrą.

A potem podeszła cichutko do kominka, wyjęła pogrzebacz ze stojącego przynajmniej garnka, następnie zaczęła się podkradać do frontowych drzwi, zastanawiając się, czy ktoś w głównym domu w ogóle by ją usłyszał, gdyby zmuszona była krzyknąć.

Myślę o krzykach, zauważyła w duchu, podnosząc lewą dłoń, by przekręcić klucz u drzwi i ściskając mocno pogrzebacz w prawej, a tymczasem jestem nawet pewna, czy potrafię krzyknąć.

Nie pamiętam, abym kiedykolwiek w życiu tak naprawdę krzyczała.

Otworzyła drzwi, wysunęła się dwa kroki do przodu i wtedy go zobaczyła - wielki kształt, który poruszył się po prawej stronie.

Uniosła prawą rękę i z całej siły opuściła pogrzebacz, trafiając mężczyznę prosto w ramię.

Jęknął głośno z bólu i zaskoczenia, upadł i złapał Joannę za kostki - a ona, padając, wydał z siebie najprawdziwszy wrzask, wysoki, przenikliwy dźwięk, który zamarł jej w gardle dopiero wtedy, kiedy uderzyła o ziemię - ból wyparł na chwilę strach.

- No, kurwa mać!

rzucił mężczyzna, nadal trzymając mocno jej kostki.

Joanna szykowała się w duchu na najgorsze: na to, że zaraz ją

uderzył albo przebije nożem.

Zamarła na chwilę.

Nie chciała nic wiedzieć.

- Joanna?

Aż do tej chwili nawet nie zdawała sobie sprawy, że z całej siły zaciska powieki.

Mężczyzna puścił jej kostki,

125.

Joanna otworzyła oczy i zobaczyła nad sobą jego sylwetkę, kiedy usiadł - a potem promień księżyca oświetlił mu twarz.

- Agent Oates?

- zapytała ochryplym głosem.

-Aha.

- Wyciągnął do niej rękę.

-Nic pani nie jest?

Pokręciła głową, stwierdzając w duchu, że tak naprawdę sama jeszcze niewie - nie miała czasu przeprowadzić w myślach tego rodzaju sprawdzianu.

Czuła taką ulgę- i taki wstyd - że mogła tylko gapić się na niego.

- A panu?

Tom pomacał prawą ręką lewy bark i skrzywił się z bólu.

- Kość nie jest strzaskana.

Ale nie dzięki pani.

- Potrząsnął głową i podniósł się na nogi.

-Ledwie się pozbyłem tej przeklętej kuli, a pan próbuje złamać mi rękę.

- Przepraszam - Joanna usiadła, a potem pozwoliła, by pomógł jej wstać.

Ból w plecach i przegubie znów dał o sobie znać.

- Ale co pan tu robi, na litość boską?

Myślałam, że to tamten napastnik.

- Co za ulga!

- oznajmił Oates.

-Nie zniósłbym myśli, iż pani wiedziała, że to ja.

- Przyjrzał się jej twarzy i zrozumiał, że Joanna nie czujesie najlepiej.

- Nie sądzi pani, że wygodniej byłoby nam w środku?

Przytaknęła skinieniem głowy, zrobiła kilka chwiejnych kroków w stronę drzwi, a potem odwróciła się ku niemu.

- Nie odpowiedział pan na moje pytanie.

Co pan tu właściwie robi?

W świetle księżycy twarz Oatesa wydawała się młodsza i jeszcze delikatniejsza niż wtedy, w mieszkaniu Donovana.

- Obserwowałem panią.

- Mówił bardzo cicho.

Joanna poczuła gwałtowny skurcz w żołądku.

- Jak to?

- Pete Szabo zadzwonił do mnie wczoraj, gdyż uznał, że należy mnie zawiadomić o wszystkim, co tu się działo.

Doszedłem do wniosku, że powinienem rozejrzeć się po farmie.

- I mieć oko na mnie.

- Złości to panią - zauważył Oates.

- Tak.

- Joanna uświadomiła sobie, że to prawda: była naprawdę zła.

- Przecież wiedziała pani, że Donovan kazał mi mieć oko na sprawy.

- Nie jestem sprawą - odparła.

- Gdyby zapukał pan do drzwi albo zadzwonił, żeby mnie poinformować, co zamierza, nie napędziłby mi pan największego wżyciu strachu i nie doszłoby do sytuacji, gdy omal niezginał pan od uderzenia pogrzebaczem.

- Przecież tylko uderzyła mnie pani w ramię.

- Nie celowałam w ramię.

-No pięknie - odrzekł Oates.

Poczuła w plecach kolejne ukucie bólu i przekonała się, że cała drży, w czym niebyłozresztą nicdziwnego, jeśli wziąć pod uwagę, że w środku grudniowej nocy stała na ganku jedynie w męskiej koszuli.

- Ma pan ochotę wejść do domu?

- zapytała, nadal jeszcze cierpkim tonem.

- To byłby jakiś pomysł - odpowiedział.

- Chyba że do swoich licznych problemów chciałaby pani dodać jeszcze zapalenie płuc.

Weszła do środka przed nim, przekreśliła na próbę włącznik światła i zobaczyła, że lampa nad jej głową się zapala.

- Co za ulga.

Oates wszedł do środka, lekko utykając, i zamknął za sobą drzwi.

- Co takiego?

-Kiedy usłyszałam, że chodzi pan na zewnątrz, chciałam włączyć lampkę nocną, ale się nie zapaliła.

- Joanna wzruszyła ramionami.

-Pewnie przepaliła się żarówka.

- Chce pani, abym na to zerknął?

-Umiem wymienić żarówkę.

- Jestem o tym przekonany - rzucił pogodnie Oates - a i tak na wszelki wypadek.

-Naprawdę nie ma takiej potrzeby.

Te dźwięki, które słyszałam, to był pan, więc sprawa z lampką to tylko zbieg okoliczności.

- Pani tu rządzi.

Joanna przyglądała mu się przez chwilę, zobaczyła, jak lekko poruszył ramieniem i skrzywił się z bólu.

Poczuła wyrzuty sumienia.

- Może herbaty?

- zaproponowała.

- Coś by się przydało.

-Może coś mocniejszego?

- Herbata wystarczy w zupełności - zapewnił ją z uśmiechem. Ruszyła w stronę kuchenki, zatrzymała się jednak, uświadomiwszy sobie nagle, jak niewiele ma na sobie.

-Zechce pan chwilę poczekać, aż wrzucę na siebie sweter, agencie Oates?

- Jestem Tom - poprawił ją.

- Oczywiście, że zaczekam.

Ruszyła po schodach na górę, dziwnie zażenowana, bo miała poczucie, że agent federalny odprowadza wzrokiem jej gołe nogi, choć kiedy dotarłszy na szczyt schodów, zerknął przez ramię, przekonała się, że Oates spogląda przez okno.

127.

Wyłącznik światła na małym podeście znajdował się po prawej stronie.

Nacisnęła go i okazało się, że wszystko działa.

Uspokajając się z minuty naminutę, przeszła do sypialni, gdzie zrobiła to samo z górną lampą.

To zdumiewające, jak światło rozprasza zawsze wszelkie obawy i niepokoje.

Donovan musi przez cały czas żyć w ciemnościach.

Dotarło do Joanny bynajmniej nie poraz pierwszy, lecz w tej chwili, kiedy zmierzała do komody, żeby wyjąć dzinsy i sweter, ta ponura myśluderzyła w nią z niesłychaną mocą.

Rzeźbiarz rekompensował sobie życie w mroku, jak wiedziała, doskonale rozwiniętymi pozostałymi zmysłami oraz talentem, który pozwalał mu przetrwać, podobnie jak Sarze Hallett pomogą jej odwaga i talent pisarski, kiedy przyjdzie na nią czas całkowitej ślepoty.

Nie wiem, czy potrafiłabym to znieść, pomyślała, zapinając zamek przy spodniach i wciągając przez głowę sweter.

Ciemność dookoła, dzieńczynoc, poleganie na uprzejmości obcych ludzi, walka o decydowanie o sobie.

Jej wzrok padł na lampkę nocną, podeszła więc bliżej, żeby sprawdzić, co się stało.

Joanna uniosła prawą rękę w stronę włącznika, lecz zamarła w półgestu.

To nie była kwestia zepsutej żarówki.

Żarówka bowiem wcale nie było.

- Nie, nie włączałam jej bezpośrednio przed położeniem się do łóżka,

ale tego popołudnia z całą pewnością jeszcze działała- oznajmiła Joanna Oatesowi na dole, kiedy czekała, aż zagotuje się woda w czajniku.

- A więc nie możesz wiedzieć, czy żarówka była na miejscu, gdy kładłaś się do łóżka?

- Nie mogę- odrzekła, starając się zachować cierpliwość.

Włożyła potorebce herbaty do kubków.

- Kiedyś kładłam, byłam tak zmęczona, że od razu wyłączyłam górne światło i nawet nie spojrzałam na lampkę.

- To dobrze- rzucił Oates.

Joanna odwróciła się w jego stronę, bo coś zaczęło jej świtać.

- Nawet ja nie cierpię na tak zaawansowaną manię prześladowczą, żeby utrzymywać, że ktoś zakradł się do sypialni i wykręcił żarówkę, kiedy spałam.

- Odwróciła się z powrotem, i zalała wrzątkiem torebki w kubkach.

- Tom, jedyną osobą, która dziś w nocy weszła do tego domu, jesteś ty.

128

- W porządku - powiedział łagodnie.

- Nie chciałem tylko, żebyś znowu zaczęła się bać.

Wzięła do ręki oba kubki i przeniosła na stolik do kawy.

- Nie jestem przestraszona, tylko raczej zdziwiona faktem, że w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin ktoś pofatygował się do mojej sypialni i wykręcił zupełnie dobrą żarówkę, niczym jej nie zastępując.

- Możliwe była dobra - podsunął rozsądnie Oates, usadowiwszy się w jednym z foteli.

- Czy ktoś tu przychodzi sprzątać?

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- Joanna przysiadła na sofie.
- Gdybycoś się zepsuło,najpewniej Pete Szabo przyszedłby to naprawić.
 - Może go zapytamy, czy dzisiaj tu był?
 - Jest środek nocy -zauważyła przytomnie Joanna.
- I to w końcutylko żarówka, nie wartobudzić wszystkichz tak błahego powodu.
 - Wszystkich?
- powtórzył Oates.
 - Pete'a lubDonovana.
 - Sam siętrochę dziwię, że jeszczeich nie pobudziliśmy.
- Oatesuśmiechnął sięszeroko znad kubkaherbaty.
- Wrzasnęłaś raczej donośnie.

Joanna nie skomentowała tej uwagi,ale i jej zdążyło już przemknąćprzez głowę coś podobnego.

Zanimotworzyła frontowe drzwi, zastanawiała się, czy ktoś ją usłyszy,kiedy zacznie krzyczeć, a gdyrzeczywiściewrzasnęła, z głównego domu jakośnikt nie przybiegł na pomoc.

A to najprawdopodobniejoznacza, że nikt jejnie słyszał.

Co wyglądało trochędziwnie, jeśli wziąćpod uwagę nadzwyczaj wyostrzony słuch Donovanana.

Bo chyba raczej by przyszedł, gdyby usłyszał?

- Sophianie szcekała - przypomniała sobie.
- Dobry z niej stróż?
- zapytał Oates.
 - To owczarek niemiecki- odrzekła Joanna - i nadal na tyle czuje sięmoim psem, żeby zacząć szcekać, usłyszawszy mój krzyk.

-Może jej i Donovana niebyło w domu?

- podsunął agent Oates.

- On przez cały czas pracuje- wyjaśniła - ale wydawałoby się, że z budynku szkolnego tym bardziej powinni mnie usłyszeć, prawda?

-Kiedy tamtędy przechodziłem, nie paliły się żadne światła.

- Donovanowi światło raczej nie jest potrzebne -przypomniała mu Joanna.

Chwilę potem Oates wyszedł.

Joanna pozwoliła, aby powłóczył się po całym domu, posprawdzał okna i zamek u frontowych drzwi, a zanim wyszedł, posunął się nawet do tego, iż zaproponował, że zdejmie odciski palców z lampki nocnej.

9. Ślepa trwoga

129.

Na samą myśl o tym Joanna wybuchnęła śmiechem.

,

- Z powodu żarówki?

-Brakującej żarówki, która przyczyniła się do tego, że o mało nieumarłaś ze strachu.

- Nie przesadzajmy, Tom.

-No dobrze - zgodził się -sama jednak powiedziałaś, że przeżyłaś chwilę największego strachu w swoim życiu i to dlatego próbowałaś zabić mnie pogrzebaczem.

- Urwał izmierzył ją uważnym spojrzeniem.

-A przy okazji, czy twoje plecy już w porządku?

Joanna napięła lekko mięśnie.

Plecydalej jąbolały, nie sądziła jednak, aby jej się specjalnie pogorszyło z powodu dzisiejszego upadku.

- Przeżyję.

-Wydaje mi się, że przewróciłem cię dosyć gwałtownie.

- Owszem.

-Ale ty najpierw dość mocno mnie uderzyłaś.

Uśmiechnęli się oboje, a potem Oates życzył jej kilku solidnych godzin snu, kazał dobrze zamknąć drzwi za sobą i już gonie było. Joannaprzypomniała sobie, że mówił, iż rozglądał się po terenie farmy, ale niemogła sobie przypomnieć, czy wkońcu zdążyła go zapytać, czy natrafiła na coś, co wzbudzałoby niepokój.

Przypuszczała, że raczej nie, bo inaczej pewnie nie zostawiłby jej teraz samej.

Pod warunkiemoczywiście, że naprawdę zostawiłją samą.

Możenadal krążył gdzieś w pobliżu, wdalszym ciągu pilnując domkugościnnego.

Wprawdziez początku sięrozczłościła, kiedy odkryła, że ją obserwuje, ale tylko dlatego, że robił to bez jej wiedzy.

Teraz jednak, gdy już powyłączała światła na dole iwróciła do łóżka,przekonała się - przyznała toszczerze - że owa myśl przyniosła jejzaskakujące ukojenie.

Następnego ranka,krótco po dziesiątej, pojawili się u niejOates, Donovan i Sophia.

Joanna przywitała się z mężczyznami iwpuściła ich dośrodka, a potem przezkilka chwil głaaskała psa, który jeśli oceniać po radosnym skomleniu, był z tego spotkania równie szczęśliwy, jak jego była pani.

- Tak się za tobą stęskniłam - szeptała cicho w jedno z wielkich, aksamitnych sterczących uszu, a Sophia zaskamląła z radości i trąciła ją nosem w rękę,domagając się dalszych pieszczot.

- Ale gdziesię podziewałaś,kiedy cię potrzebowałam?

- Byliśmy u mnie w pracowni.

- Donovan,stojącydwa kroki dalej,wszystko słyszał.

130

Joanna, która siedziała w kucki przy psie,podniosła na niego oczy, alenie odezwała się ani słowem.

- Jest dźwiękoszczelna - odezwał sięOates, trafnie odczytując jejmyśli.

-Kazałem ją uszczelnićkilka lat temu - wyjaśnił Donovan - kiedysię przekonałem, żezwetes, robiony przez studentów, przeszkadza miw pracy.

Czasem puszczam sobie przy pracy muzykę i chyba trochę brakuje mi możliwości pootwierania okien i słuchania ptaków, ale nie mogę nieść hałasu, jak czynią inni, tak więc coś za coś.

- Czy nie byłoby prościej zbudować pracownię w jakimś innym punkcie farmy?

- zapytał go Oates.

- Dużo dalej od szkoły?

- Pod pewnymi względami tak - zgodził się Donovan - ale lubię przebywać w tym budynku.

- Zwrócił twarz w stronę Joanny.

- Szkoła ma swoją pewną specyficzną atmosferę.

Czy nie czułaś jej, Joanno?

- Tak, w tym budynku wyczuwa się pewien rodzaj skumulowanej energii - przyznała.

- Ale to właśnie dlatego nie słyszeliśmy wczoraj, jak krzyczałaś.

- Donovan potrząsnął głową.

- Lamb zmusił mnie do założenia tam alarmu przeciwpożarowego, poza tym jednak kiedy pracuję, jestem naprawdę odcięty od świata.

- I dlatego też Sophia nie szczełała - dodał Oates.

i

- Co sobie pomyślałaś, Joanno?

- zapytał ją cicho rzeźbiarz.

- Że słyszeliśmy i nie przyszliśmy z pomocą?

Joanna podniosła się z podłogi, a Sophia wróciła do swego pana.

- W zasadzie niewiele wtedy myślałam - odparła.

- Byłam całkowicie pochłonięta odzyskiwaniem tchu po rugbyowym starciu

z agentem Oatesem.

Donovan się uśmiechnął.

- Słyszałem pogrzebaczu.

Dobra robota.

- Mogłeś mnie ostrzec - zwrócił się do niego Oates - że Angielki najpierw strzelają, a potem zadają pytania.

Przez chwilę gawędzili przy kawie.

Oates poinformował Donovana o wypadku z kołem i o tym, że w poniedziałek Joanna miała wrażenie, iż jest śledzona.

Widać było, że rzeźbiarz szczerze się zmartwił, kiedy zaczęła wypytywać o szczegóły obu tych spraw.

Pamiętaj, co Murdoch powiedział jej w poniedziałek - że Donovan znalazł się w krytycznym momencie pracy - Joanna starała się przedstawić sytuację w jaśniejszym świetle.

- A poza tym, Tom tak pilnie mnie strzeże - mówiła - że nie muszę się zbyt martwić.

Donovan odwrócił głowę w stronę Oatesa.

131.

- Nadal sądzisz, że trzeba mieć oko na Joannę?

Jeśli to koło to tylko sprawka tutejszych dzieciaków.

- Pewnie nie trzeba - odrzekł beztróskim tonem agent - ale nie zaszkodzi.

Joannie wydawało się, że wychwyciła coś w jego tonie.

- Dlaczego?

Jeśli wszyscy się zgadzamy, że nie ma związku między napadem a kotem, a tamto po prostu mi się wydawało.

- Nigdy nie twierdziłem, że tylko ci się wydawało - wszedł jej w słowo Oates, a potem urwał.

- Zeszłej nocy słyszałaś jakieś hałasy.

- Słyszałam ciebie.

Oates już chciał coś powiedzieć, lecz widać było, że w ostatniej chwili się rozmyślił.

- No powiedz - przycisnęła go Joanna.

- Nierobiłem żadnych hałasów.

- Robiłeś.

Przecież słyszałam.

- Nie - zaprzeczył Oates.

- Nie wiem, co słyszałaś, ale na pewno niemię.

- Uśmiechnęła się lekko.

- Może to ze względu na moje indiańskie pochodzenie, ale w biurze cenią mnie między innymi za to, że potrafię się skradać bardzo cicho.

Gdyby spowodował odgłosy, które mogłabyś usłyszeć, Joanno, przyznałbym się do tego.

- I nie wydaje ci się, że poniosła mnie wyobraźnia?

- spytała na poły nadzieją.

- Powiedzmy, że nie uważam cię za histeryczkę.

-Co właściwie usiłujesz nam zasugerować.

Tom?

- Donovan zachowywał milczenie podczas całej tej wymiany zdań, lecz teraz słyhać był jego głosie prawdziwe napięcie.

-Że ktoś jeszcze snuł się w środku nocy po mojej posiadłości?

Leżąca u jego stóp Sophia wyraźnie się zaniepokoiła.

- Mówię tylko, że raczej nie wykluczałbym takiej możliwości.

-Czy znalazłeś jakieś dowody?

Albo ślady?

- Nie.

- Agent zawahał się spojrzeć na Joannę.

-Rozmawiałem z Pete'em Szabo.

Twierdzi, że nie ruszał wczoraj twojej lampki nocnej.

Zapewnia, że niewchodził do domku już od kilku dni, a kiedy był tu ostatnio, to tylko razem z tobą.

Joanna nie odzywała się przez dłuższą chwilę.

Wszystko, o czym mówił Oates, budziło co najmniej niepokojące refleksje mimo że sprawy, z którymi mieli do czynienia, wydawały się tak nieuchwytnie i mało znaczące: kilka nocnych hałasów i zaginiona żarówka.

- To raczej nie jest przypadek dla federalnych, prawda?

- rzucił w końcu i zmusiła się do śmiechu.

-Czy tak się mówi?

- To najpewniej w ogóle nie ma znaczenia - zgodził się z nią Oates.

- Niepodoba mi się cała ta sprawa - oznajmił Donovan.

- Zwłaszcza, kiedy się zbierze wszystko razem.

- Urwał.

- Może powinienem przerwać na jakiś czas pracę.

Sophia i ja moglibyśmy wrócić do miasta.

- Nie - przerwała mu Joanna stanowczym tonem.

- Musisz pracować dalej.

- Nic nie muszę - rzucił ostro.

Sophia poderwała się do siadu i cicho zaskamlała.

- A co z moimi zdjęciami?

- przypomniała mu Joanna.

- Do diabła ze zdjęciami!

- warknął.

- Jeśli po farmie włóczy się jakiś facet, to wolę, żebyś stąd wyjechała.

- Nie odjadę bez zdjęć - upierała się Joanna.

- Czekałam przez ponad dwa tygodnie i nie wrócę do domu z pustymi rękoma.

- Możemy zaraz iść do mojego studia.

- Zerwał się z miejsca i to samo uczyniła Sophia.

- Weź ze sobą aparat, wystrzelamy kilka rolek, a potem pojedziemy do miasta.

- To na nic - odrzekła Joanna.

Oates siedział w milczeniu i przyglądał się obojgu z zobawieniem.

- Niby dlaczego?

- zapytał Donovan.

- Ponieważ muszę cię sfotografować w czasie pracy, a jeśli tam teraz pójdziemy, nie będziesz pracował naprawdę, tylko udawał, że rzeźbisz, więc zdjęcia nie będą dobre.

- A co z ciebie nagle taka Annie Leibowitz?

- Wcale nie - odpowiedziała spokojnie - po prostu traktuję poważnie swoją pracę, towszystko.

A poza tym, jeśli zdjęcia nie będą dobre, gazety mi za nie nie zapłacą.

Donovan usiadł z powrotem, a Sophia opadła z rezygnacją na podłogę u jego stóp.

- Zatem co chcesz zrobić, Joanno?

- Chcę, abyś wrócił do pracy, pograżył się w niej z powrotem, tak jak dotej pory.

A potem, kiedy uznasz, że możesz już mnie znieść w studiu, daj mi znać.

- Uśmiechnęła się.

- Później spakuję torby, wrócę na Manhattan, zrobię świąteczne zakupy i pojedę do domu.

- A do tego czasu - wtrącił Oates - dacie radę znieść mnie tutaj?

- Uśmiechnął się również.

- Nie ciągle, tylko od czasu do czasu.

- Nie masz nic lepszego do roboty?

- zapytała Joanna.

- Niespecjalnie, w każdym razie dopóki się nie dowiem, co mój lekarz ma zamiar robić z tą przeklętą nogą.

- Dlaczego nie posadzą cię za biurkiem?

- zapytał Donovan.

- Mówią, że to szkodzi na kolana.

- Agent popatrzył najpierw na jedno, potem na drugie.

- No to jak, ludzie, ustalone?

Kiedy Oates odjechał, a rzeźbiarz z Sophią wrócili do pracowni, Joanna zastanawiała się przez chwilę, czy nie wyobraziła sobie przypadkiem, że pod koniec rozmowy przez twarz Donovana przemknął cień zazdrości.

Zastanawiała ją także własna reakcja.

Godzenie się na to, by ktoś ją ochraniał, nie leżało w jej naturze.

Ten rodzaj pomocy, który mogła jakoś odwzajemnić - jak oferował jej Kit w Merlin Cottage lub przysługi, które oddawały sobie nawzajem z Fredem Morton - to co innego.

Ale żeby pozwolić obcemu mężczyźnie trzymać straż nad sobą z tak błahych powodów - to zdecydowanie nie należało do rzeczy, które Joanna skłonna byłaby tolerować.

Donovanowi także się to nie spodobało.

Przegrywasz, Joanno.

Być może tak jest.

Może podziały na nią przymusowa bezczynność oraz to dziwne miejsce, jakim jest Gilead Farm.

Ani Donovan, ani Oates nie dali jej najłżejszych powodów, aby mogła sądzić, że któremuś z nich się podoba.

Wprost przeciwnie, pierwszy spędził ostatnie dwa tygodnie zamknięty z dala od niej, a drugi - młodszy najpewniej o kilka ładnych lat - tak przystojny, że pewnie całe tabuny pięknych kobiet walczyły o jego względy po

prostu znudził się własną bezczynnością, a do tego pragnie pomóc przyjacielowi.

Dobrze się stało, doszła do wniosku, że popchnęła Donovana w stronę ostatecznej decyzji.

Niech jeszcze przez parę dni popracuje sam, potem spędzą godzinę czy dwie z aparatem w jego samotni i może wyjeżdżać, tak jak to zapowiedziała.

29

Niedziela, 13 grudnia

Oates szykował się właśnie, by wyjść ze swego domu w pobliżu Kinderhooki pojechać na spotkanie z Garym Poole'em, z którym miał jeść brunchu Svensena i wysłuchać sprawozdania o ostatnich wydarzeniach w FBI,

tych oficjalnych i tych towarzyskich, gdy nagle zadzwonił telefon.

- Musimy przełożyć spotkanie, Tom.

Właśnie dotarła do nas wieść o dużej sprawie.

- Gary odrobinę zniżył głos.

- Odkryli coś w rodzaju zbiorowego grobu w lesie w pobliżu Bearsville.

134

Oates poczuł, jak włosy mu się jeżą na karku.

- Zbiorowy grób?

To ile tam jest ciał?

- Jeszcze nie wiemy.

Trzy albo cztery.

Na razie działa tam policja stanowa.

Wieść niesie, że nawet własna matka nie rozpoznałaby żadnej z tych osób.

Przez chwilę obaj mężczyźni milczeli, świadomi, że jeśli

odnalezionieszczątki okazały się zwłokami tutejszych mieszkańców, tragedia i wstrząsają się odczuć wszędzie dookoła.

- A więc wszyscy się zgadzają, że te szczątki mogą mieć związek z naszymi zaginionymi?

- Upewnił się Oates.

- Czekamy na wyniki z laboratorium.

- Jednak jeśli się okaże, że mają, wtedy wkraczamy.

- My może tak - odparł Gary.

- Ale nie ty.

- O rany, Gary - skrzywił się Oates - dzięki, że mi przypomniałeś.

30

W niedzielę popołudniu Joanna pisała list do Freda Morton i próbowała już po raz trzeci, lecz bezskutecznie, zadzwonić do Alice Munro (sąsiadki z zajęcia Murdocha), kiedy nieoczekiwanie zadzwonił Tom Oates, żeby zaprosić ją na kolację.

- Prawdę mówiąc, z powodu nogi zostałem właśnie wykluczony z poważnego śledztwa, więc przydałoby mi się coś na pocieszenie.

Joanna była zaskoczona, ale ucieszoną myśl, że zyska możliwość bliższego poznania młodego agenta FBI.

Poza tym, co innego mam do roboty dziś wieczorem?

- zapytała sama siebie cierpko, przebierając się do wyjścia.

- Znaleźć kolejną osobę, do której mogłabym napisać list, wyczekując na Donovana?

Tego wieczora Joanna miała okazję przekonać, że nawet w zatłoczonej sali Beekman Arms agent Oates bił wszystkich na głowę podwzględem urody.

Zajadając wyśmienite żeberka i pieczone ziemniaki, zagadnęła go o indiańskie korzenie, o których napomknął w sobotę rano.

- Tylko w jednej czwartej - wyjaśnił.

- Ze strony matki.

Babcia twierdzi, że wywodzimy się od kalifornijskiego plemienia, które miało swoje tereny gdzieś wokolicach San Francisco.

- Czy twoja rodzina nadal tam mieszka?

- zainteresowała się Joanna.

- Mama, tata, brat i dwie siostry - jestem najmłodszy - mieszkają
135.

w okolicach Los Angeles.

Mój brat jest analitykiem komputerowym, jedna siostra została pielęgniarką, a druga wychowuje czwórkę dzieci.

-Umilkł na chwilę.

- Babcia zmarła dwa lata temu.

Była niewyczerpanym źródłem wiedzy o naszych indiańskich przodkach.

- Uśmiechnął się szeroko.

-Kiedyś uwielbiałem jej opowieści.

- Musiała być świetna.

- Joannawypiła łyk wina.

-Nikt inny z rodziny nie pracuje w FBI?

Oates pokręcił przecząco głową.

- Tata był inżynierem, ale ze względu na kłopoty z kręgosłupem musiał przejść na wcześniejszą emeryturę.

Mama uczyna pół etatu.

Wychowałem się na kryminałach i filmachdetektywistycznych i od najwcześniejszych lat ciągnęło mnie, żeby wstąpić do policji.

Kiedyś babciapowiedziała mi, że rdzenni Amerykanie są za mało obecni w szeregachFBI i odtamtęjpostawiłem sobie za cel pracę w biurze.

Rozmowaprzeszła potem na życie i pracę Joanny.

Poruszyło ją szczerzainteresowanie, jakie okazywał, kiedy opowiadała mu o Philipie, Merlin Cottage i przyjaciółachpozostawionych w domu.

- Bardzo brakuje ci męża, prawda?

- odezwał się łagodnie.

- Już nie tak bardzo jak kiedyś, ale nadal codziennie o nim myślę.

-Zastanowiła się nad tym przez chwilę.

- Teraz, kiedy jestem z dala od Merlin Cottage, wygląda to trochę inaczej. W domu zazwyczaj czuję jego obecność w każdym pokoju, bo tam razem mieszkaliśmy.

Odkąd przyjechałam tutaj, oczywiście nadal o nim myślę - o tym, co mógłby robić, gdyby był tutaj ze mną - ale mniej odczuwam jego obecność.

- Urwała na moment.

- Przypuszczam, że to tylko kwestia czasu.

- Ze mną jest podobnie - powiedziała cicho Oates.

Joanna spojrzała na niego z zaskoczeniem.

- Straciłeś kogoś bliskiego?

- Dziewczynę, Lisę.

- Ciemne oczy złagodniały.

- Mieszkaliśmy z osobą trzy lata, ale miałem poczucie, jakbym stracił fragment własnego ciała, jakąś fizyczną część siebie.

- Umarła?

- Zaszła w ciążę pozamaciczną - nie zorientowaliśmy się, dopóki nie było za późno.

Rozmawialiśmy o dzieciach, chcieliśmy za rok czy dwa wziąć ślub, potem może założyć rodzinę.

- Uśmiechnął się.

- Lisa chciała mieć przynajmniej trójkę.

Była wychowawczynią w przedszkolu.

- Tak mi przykro.

Oates pokiwał głową.

- Jakto mówią, życie bywa gówniane.

Przez jakiś czas jedli w milczeniu szarlotkę.

- A co to za śledztwo, z którego wypadłeś?

- zapytała w końcu Joanna.

- Niewiele mogę ci powiedzieć.

- Pochylił się ku niej, zniżył głos.

- Najwyżej tyle, że w tej dolinie w ciągu ostatniego roku zdarzyło się kilkakrotnie.

- Wydaje mi się, że słyszałam coś o jednym z tych wypadków - Joanna ściągnęła brwi, starając się przypomnieć sobie szczegóły.

- Młoda tancerka?

Wydaje mi się, że chyba z okolic Red Hook.

- Gdzieś jej słyszałeś?

- Donovan i ja siedzieliśmy w lodziarni, kiedy rozmawiała o tym jakaś para.

- Zawiesił głowę.

- Czy w dalszym ciągu się nie znalazła?

Oates przytaknął skinieniem głowy.

- Ani ona, ani trzy czy cztery inne osoby.

- Wszyscy stąd?

- Ostatnio zaginął facet z New Paltz - ale owszem, wszyscy są z tych okolic.

Joanna przypomniała sobie, że byli w tamtej miejscowości podczas pierwszego tygodnia jej pobytu na farmie.

- Raczej nie słyszałeś w Gilead Farm ani w szkole niczego, co mogłoby mieć z tym jakiś związek, co?

-zapytał Oates.

- Nie zdarzyło się, żeby jakiś student niez tego, niez z owego przerwał kurs i zniknął bez słowaw wyjaśnienia albo coś w tym rodzaju?

Przez głowę Joanny przemknęła myśl o Alice Munro.

Niemniej fakt, że ktoś kilka razy nie odebrał telefonu, nie świadczy jeszcze o tym, że zniknął - a zresztą Alice wspominała o czekającej ją podróży do Europy, więc może Joannie po prostu pomieszały się daty i pani Munro już niema w kraju.

- Joanno?

- naciskał ją Oates.

Potrząsnęła przecząco głową.

- Nic mi o tym nie wiadomo.

Zakładam, że pytałeś już Donovana albo Chrisa Chen?

- Oczywiście - odrzekł spokojnie, a potem odchylił się do tyłu.

- Kawy?

- Tak, proszę.

Przyglądała się, jak składał zamówienie i podziękowała za proponowaną brandy.

Następnie Oates skierował rozmowę na lżejsze tematy, takie jak różnice między Bożym Narodzeniem w Nowym Jorku a Oxfordshire.

Joanna odpowiadała na jego pytania, pozwalając mu

zatuszować domniemaną grozę tego, o czym rozmawiali przed chwilą, a mimo to

przez cały czas towarzyszyło jej poczucie, że z jego strony coś nie zostało zakończone, że coś chciał zrobić - nie była dokładnie pewna, co to może być - a potem przemyślał to sobie i szybko się wycofał.

Nie była pewna dlaczego, ale zarówno intrygowała ją to, jak i trochę niepokoiło.

31

Poniedziałek, 14 grudnia

Stukanie do drzwi rozległo się, kiedy Joanna przeganiała z myśli poranną mgłę pierwszą uderzeniową dawką kofeiny.

Upewniła się, że pasek przyszlafroku jest przyzwoicie zawiązany, otworzyła drzwi i zobaczyła w progu Chrisa Chen.

- Jak ty to robisz?

- zawołała impulsywnie.

- Co robię?

- Co robisz, że świetnie wyglądasz otak wczesnej porze?

- uśmiechnęła się Joanna.

- Przepraszam, Chris.

Proszę, wejdź.

- Odsunęła się, a drobniutka Chinka w kolejnej dopasowanej szaroniebieskiej wełnianej sukni, pachnąca delikatnie znajomym już aromatem Mitsuoko, minęła ją gładkim ruchem i weszła do środka.

- Dla mnie nie jest już tak wcześnie - odparła.

- Wysłałam ci dom po ponad godzinę temu.

Myślałam, że może się do mnie przyłączyć.

- Na tai chł - rzuciła zalem Joanna.

- Obawiam się, że robię się zbyt leniwa.

- Późna kolacja z agentem Oatesem?

- Tym razem to Chen się uśmiechnęła.

- Niewiele da się ukryć w Gilead Farm, prawda?

- Joanna poszła po swój kubek.

- Mogę cinać trochę kawy?

- Muszę zaraz wracać, Joanno.

Przyszłam tylko po to, żeby ci przekazać wiadomość od Donovana.

Mówi, że jeśli jesteś gotowa na sesję zdjęciową, z przyjemnością zaprasza cię do swojej pracowni.

- Naprawdę?

- zapytała zaskoczona Joanna.

- Kiedy?

- Dziś.

Jeśli masz trochę czasu.

Joanna dopatrzyła się w jej twarzy ani śladu ironii.

- Wskocz tylko pod prysznic, ubiorę się i zaraz tam idę.

- Przekażę mu.

- Chinkar uszyła w stronę drzwi, ale przystanąła.

- Jak się domyślam, oznacza to, że za dzień albo dwa wyjedziesz?

138

Joanna znów się uśmiechnęła.

- Myślę, że wszyscy będziecie szczęśliwi, kiedy wreszcie zobaczymy moje plecy.

- Wcale nie - odparła Chris.

Kiedy powitania Sophii dobiegły końca i pies wrócił na swoje

miejsce pod ścianą -obszerne legowisko, ręcznie wykonane z drewna przez Lambajak poinformował ją Donovan, wyłożone czymś, co wyglądała na dywanik z czystego kaszmiru - Joanna postawiła na podłodze torebkę z sprzętem i ekran parasolowy.

- Nie krępuj się rozglądaj do woli - odezwał się Donovan.

-Nie mogę uwierzyć, że wreszcie tu jestem.

W zasadzie wszystkow wyglądało tak, jak to sobie wyobrażała: było tuserowo, pusto i bardzo profesjonalnie.

Przypomniała sobie, jak niegdyś jednym ze swych dawnych chłopaków znalazła się w pracowni znajomego rzeźbiarza - pamiętała, że tam całą przestrzeń zapełniały prace inarzędziatwórcy.

Ten rodzaj artystycznego nieładu był oczywiście absolutnie wykluczony w pracowni Donovana, dla którego porządek miał znaczenie podstawowe.

Na jednej ścianie rozległego, prostokątnego pokoju znajdowały się półki z drewna, na których niezwykle starannie porozkładano narzędzia i komponenty niezbędne do pracy, zachowując odstępy konieczne, by rzeźbiarz w razie potrzeby mógł szybko i ręcznie wszystko odnaleźć.

Był również wielki drewniany stół, na którym nie stało nic z wyjątkiem staromodnej wagi szalkowej i worka czegoś, co wyglądało na jakiś proszek.

A także dwa warsztaty, jeden miał blat z drewna, drugi - z marmuru, oba regulowanej wysokości i z różnymi ruchomymi częściami.

Na drewnianym blacie spoczywał przedmiot przykryty nieskazitelnie białym płótnem, mający jakieś dwadzieścia pięć centymetrów wysokości.

- Czy to ta nowa praca?

- Joanna poczuła, że ogarniają ją fale podniecenia.

- Tak - odrzekł prosto.

Rozglądała się dalej; zauważyła duże, ciemne okno, o którym wspominała.

Szyby były grube i zaciemnione, z rodzaju tych, przez które można wyjrzeć na zewnątrz, ale nie można zajrzeć do środka.

Z miejsca, gdzie stała, Joanna dojrzała kępę bezlistnych brzoź, odległą ścieżkę, sporą plamę błękitnego nieba - rześkiego zimowego błękitu, przełamane gęste i ówdzie bielą pojedynczej chmurki.

Kiedy się tak przyglądała, z drzewa poderwała się sroka, by polecieć do swego towarzysza na innej

gałęzi.

Joanna zobaczyła, jak otwiera dziób i usłyszała w myślach - ale tylko w myślach - skrzekliwy okrzyk ptaka.

Z niejaką przykrością uświadomiła sobie, że Jack Donovan z własnej woli postanowił do swojej ślepoty dodać jeszcze głuchotę.

- Przeszkadza ci ta cisza?

- zapytał ku jej niemałemu zaskoczeniu.

- Odrobinę.

- I to także przyprawiało ją o niepokój - ta jego zdolność do czytania w jej myślach.

- Lamb mówi, że czuje się tu tak, jakby pracował w bankowym sejfie.

- Donovan się uśmiechnął.

- Albo w trumnie, jak dodał kiedyś, będąc w jednym ze swoich mroczniejszych nastrojów.

- Wskazał głową na psa, który leżał na posłaniu, obserwując ich oboje.

- Oczywiście teraz, kiedy znajduje się tu Sophia, nie jest już tak bardzo cicho.

Słyszę, jak oddycha, obraca się, czasem kręci niespokojnie.

- Teraz z całą pewnością wygląda odprężona.

- Czy opiera łeb na krawędzi legowiska?

- Tak.

- Lamb bardzo starannie wygładził wszystkie krawędzie, wiedząc, że będzie spędzała tu wiele godzin.

- To bardzo miło z jego strony.

- Joanna zauważyła najednej z wyższych półek odtwarzacz Bang Olufsen, rozejrzała się i wypatrzyła dwiema kolumny.

-No i masz muzykę, jeśli jej zapragniesz.

- Puśćmy coś sobie.

- Podeszedł do ściany z półkami i sięgnął do stojaka z płytami CD, przeciągnął palcami powypisanych brajlem tytułach, wyciągnął jedną i wsunął do stojącego tuż nad jego głową odtwarzacza.

Poniedziałek sekundzie pokój wypełniły słodkie dźwięki preludium Chopina, które wkrótce całkowicie ich otoczyły.

- Tak lepiej?

- To twoja pracownia.

-Mnie jest dobrze.

Joanna przeniosła wzrok na swoją torbę, a potem rozejrzała się w poszukiwaniu miejsca, gdzie najlepiej umieścić oświetlenie.

Krepiła ją świadomość, że powinna zachowywać się tak, jakby jej tu nie było.

- Wszystkowi porządku, Joanno - uspokajał ją Donovan.

- Nie mam zamiaru niczego odgrywać przed aparatem.

To, co robię, zaczęło się materializować dobrą chwilę wcześniej, a więc kiedy już się zabiorę do pracy, będziesz miała autentyk.

Gdybym nie uznał, że jestem gotowy, nie zaprosiłbym cię tutaj.

- Ruszył w stronę warsztatu z drewnianym blatem wyciągnął sobie stół, poplamiony i zapraskany gliną.

- Wydaje mi się, że Chopin powinien podzielać jak bufor między twoją pracą a moją, tak na wszelki wypadek - gdyby rozpraszało mnie pstrykanie aparatu.

- No, teraz naprawdę czuję się jak intruz -odparła Joanna.

-Nie jesteśadnym intruzem.

- Donovan przysiadł na stołku.

-Gdzieś tam na końcu rzędu półek stoi wciśnięty jeszcze jeden taki -
powiedział - ale wydajemi się, żebędziesz wołała pracować w ruchu.

-Urwał na chwilę.

- Joanno,jesteś gościem, którego tu zaprosiłem, i bardzocenionym
przyjacielem.

- Dziękuję - odrzekła.

-Nie dziękuj.

Po tym, co dla mnie zrobiłaś, chyba pozwoliłbym ci sięfotografować
dniami i nocąprzez bity tydzień, gdybyś tylko zażądała.

-Uśmiechnął się szeroko.

- Choć przypuszczam, że wystarczy ci na to godzina.

- Ja też tak przypuszczam - stwierdziła.

Poprosiła, by poczekał, aż ona przygotuje swój niezbyt bogaty
sprzęt,poustawia oświetleniei zrobi kilka próbnychzdjęć, wyjaśniając, że
bardzo zależy jej na utrwaleniuchwili, kiedy on odsłoni swą
niedokończonąpracę.

- A potem chciałabym, abyśzapomniał, że tu jestem.

-Łatwiej powiedzieć niż wykonać.

Joanna zamarła; sprawdzała akurat czystość soczewek, świadoma,
że cała pracownię pokrywa warstwa pyłu.

- Nie mam tu na myśli twojej pracy- dodał łagodnie Donovan.

Joanna poczuła nagłe gorąco na policzkach, po czymwróciła

dosprawdzania sprzętu.

Kiedy wreszcie zdjął białe płótno z tego, co stało na blacie, była tak zafascynowana, że o mały włos zapomniałaby sfotografować tę chwilę.

Rzeźba przedstawiała stopę: niezwykle piękną kobiecą stopę -

stopę tancerki, doszła do wniosku Joanna - wspiętą wysoko na palce.

- Jest idealna - wyrwało jej się, choć poprzysięgła sobie milczeć.

- Daleko jej do tego - odrzekł spokojnie.

Zabrał się do roboty, a od tej chwili i jej praca zaczęła przypominać taniec, kiedy tak przesuwała obiektyw od samej rzeźby do nieustannie poruszających się rąk Donovana, jego intensywnie skupionej twarzy i reszty ciała, wciąż zmieniającej kąt nachylenia, to garbiącej się, to prostującej.

Podczas pracy oczy miał zamknięte, co nadawało mu wygląd człowieka poruszającego się w jakimś bardzo intensywnie przeżywanym śnie.

I choć przez cały czas nie uniósł się ze stołka, twórczy akt rzeźbienia zdawał się przenikać całe jego ciało.

Joanna krążyła cichutko dookoła, wykonując zdjęcie za zdjęciem temu wysokiemu, barczystemu mężczyźnie w granatowym, wyplamionym gliną, gipsem i farbą swetrze i w dżinsach.

Jego

krótko przycięte włosy wydawały się bardziej siwe niż zazwyczaj, gdyżpokrywała je cieniutka warstewka pyłu, która przylgnęła także do delikatnego zarostu na szczęce i do blizny na prawej połowie twarzy.

Robiłazdjęcia czarno-białe, przeważnie zbliżenia, szłojej to szybko i pomimo przepełniającego ją podziwu bardziej gładko niż zazwyczaj. Nie miała pojęcia, jak długo może potrwać, zanim ona lub Donovan poczują, że mają dość.

Na jakiś czas przerzuciła uwagę na Sophie-założyła obiektyw szerokokątny, żeby objąć zarówno mężczyznę, jaki zwierzę - uświadomiwszy sobie wyraźnie, że porazpierwszyna okazję ocenić, w jakzdumiewający Sposób owczarek niemiecki przywykłdo swego nowego życia i zadań.

Kiedy suka kręciła się pofarmie domu lub wychodziła z Donovanem na łąki, była - zgodnie ze spodziewaniamiJoanny -zadowolona z życia towarzyszką niewidomegoi podziwu godnym przewodnikiem, ale tu, w miejscupracy, w najważniejszym dla jej nowego panaotoczeniu, wydawała się spokojniejszaniż gdziekolwiek indziej.

Leżała niemal nieruchomo, a jednak nie spała, tylko przyglądała sięDonovanowi;wyglądało to tak, jakby chłonęła ową wciąż narastającąatmosferę innego świata, jaka panowaław pracowni.

- Jest zdumiewająca, prawda?

- odezwał się Donovan po raz pierwszy,odkąd zaczęli.

- Przez cały czas ci się przygląda - odpowiedziała cicho Joanna.

-Aha - mruknął i wrócił do pracy.

Znówzmieniła obiektyw i przerzuciła uwagę na samą rzeźbę.

Dla jej mało obeznanych w tej materii oczu prezentowała się niemal idealnie, kiedy ściągnięto z niej płótno, niemniej dłonie Donovan nie podzielały tej opinii, a teraz, gdy się przyglądała i raz zarazem trzaskała migawką, obchodząc artystę powolnym półkolem, widziała, jak pod jego palcami tworzą się żyły, ścięgna, a nawet warstwy zrogowaciałego naskórka, obserwowała, jak na ciele z gliny uwidaczniają się drobne kostki.

Nie pamiętała, by kiedykolwiek czuła się tak poruszona, zarówno fizycznie, jak emocjonalnie od czasu, kiedy robiła pierwsze intymne zdjęcia Philipowi.

Płyta z Chopinem skończyła się, lecz ani Donovanowi, ani Joannie nie potrzebowało już było muzyki.

Zniknęło gdzieś poczucie sztywności, roztopiając się w przestrzeni, i teraz w powietrzu unosiła się jakaś magia.

- Jak ci idzie?

- spytał nagle półgłosem pośród ciszy.

- Wspaniale - odrzekła i sfotografowała jego profil w nadziei, że uchwyci tę intrygującą mieszankę uniesienia i znużenia, która emanowała z jego twarzy.

142

Odsunął się do tyłu, rozciągnął ramiona nad głową w wielkie V, a potem wstał.

- Mogę cię o coś prosić?

Joanna przestała fotografować.

- Oczywiście.

- Zrób sobie przerwę i usiądź na chwilę.

- Nie jestem zmęczona.

- Czuła się zbyt naładowana energią, by przerwać.

- Wiem - odrzekł.

- Ale chciałbym zobaczyć twoją twarz.

- Wyczuł jej wahanie.

- Z egoistycznych pobudek.

Chciałbym zobaczyć, jakie wrażenie wywiera na tobie moja praca, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

- Nie mam.

Cofnął się bok, żeby mogła usiąść na jego stolku, a potem, podobnie jak wtedy w listopadzie, i jeszcze raz ponownie, przysunął się i dotknął jej twarzy obiema rękami.

Joanna zeszywniała na chwilę, a potem rozluźniła się, żeby mógł się przekonać - chciała, żeby o tym wiedział - jak ona to wszystko odbiera.

A bardziej niż cokolwiek innego pragnęła, żeby jej dotykał.

- O rany - rzucił po chwili, trzymając palce na jej skroniach.

Odsunął ręce.

Miała ochotę się rozplakać.

- Joanno?

- odezwał się bardzo cicho.

- Tak?

- odpowiedziała jeszcze ciszej.

- Chciałbym prosić cię o coś jeszcze.

- Jeśli będę w stanie.

- Dotkniesz mnie?

Poczuła nagły skurcz w żołądku, coś się w niej poruszyło, coś

dawnozapomnianego.

Przez chwilę zastanawiała się, czy aby nie zrozumiała go pacznie.

Może rozboleły go ramiona i potrzebuje kogoś - kogokolwiek - kto by mu je rozmasował?

Ale wiedziała doskonale, że nie o to mu chodzi.

- Joanno?

- W głosie Donovana usłyszała usilną prośbę, dostrzegła ją też na jego twarzy.

Niepewnie uniosła prawą dłoń, dotknęła jego lewego policzka i zamknęła oczy.

Skórę miał ciepłą i gładką.

Przesunęła dłoń odrobinę niżej, przeciągnęła ją po linii zarostu.

Otworzyła oczy, zobaczyła, że terazz kolei on przymknął swoje.

Oszło mi ją pragnienie, widoczne na jego twarzy.

143.

- Jack?

- wypowiedziała niepewnie jego imię.

Do tej chwili, podobnie jak wszyscy dookoła, nazywała go Donovanem.

- Nie przerywaj- poprosił ledwie dosłyszalnym głosem.

Uniosła lewą dłoń i znów przymknęła oczy, bo nagle zapragnęła wiedzieć

-jeśli w ogóle to możliwe -jak to wygląda od jego strony.

Przeciagnęła palcami poskroniach, wyczuła bliznę, przesunęła dłonią po całej jej długości, a kiedy dotarła do kącika ust, przeszła ją ostra świadomość, że gdyby minimalnie przesunęła palce w bok, dotknęłaby jego warg.

Odsunęła rękę.

- Nie przerywaj - powtórzył.

- Nie teraz.

W głowie słyszała dziwny szum, który rozchodził się po całym ciele jak ciepłe ciepło.

Zaczął się już w trakcie robienia zdjęć, napełniając ją energią i siłą - ale- to, co działo się z nią teraz, to było coś zupełnie innego.

To nie jest dobry pomysł, Joanno.

Znów uniosła prawą dłoń i przytrzymała ją tuż nad dolną połową jego twarzy.

Czuła przemożną ochotę, by musnąć palcami jego usta.

Wiesz, co będzie, jeśli to zrobisz.

I tak to zrobiła.

Donovan otworzył oczy- piękne oczy, pomyślała Joanna, wcale niezaćmione, czyste prawie tak samo jak bezstoneczne zimowe niebo, a

gdyby nie wiedziała, jak jest naprawdę, mogłaby pomyśleć, że zagląda ją prostow jejmyśli.

Zaczął cofać rękę, ale on wydał z siebie najcichszy z możliwych jęki złapał ją kurczowo za przegub, przyciągnął dłoń z powrotem do usti przycisnął wargi do jej wnętrza.

Tym razem to ona wydała słaby jęk, bo miała poczucie, że ten pocałunek pali skórę, a gorąco przenika do jej wnętrza, pędząc z kosmiczną szybkością w dół.

Próbowała nakazać sobie, aby się odsunęła, lecz ów nakaz brzmiał mało przekonująco, a zresztą nie miała najmniejszej ochoty się odsuwać.

A Donovan o tym wiedział.

Poszukał jej ramionami, przyciągnął ją do siebie, zdjął z jej szyi zawieszony na skórzanym pasku aparat i odłożył go ostrożnie na marmurowy blat warsztatu, po czym znów przyciągnął Joannę do siebie.

Przekonała się wreszcie, skąd się bierze całe to gorąco.

Emanowało z niego - jego skóra i całe ciało były rozpalone.

Wargi obojga spotkały się i złączyły w pocałunku, delikatnym przez sekundę lub dwie, lecz napięcie było zbyt wielkie, by mogli się tym zadowolić, więc pocałunek stał się głębszy, gwałtowny, zachłanny, aż wreszcie przestały im wystarczać wargi i języki.

Po 144

czuła w talii jego dłonie, gdy podciągały w górę jej ubranie, a potem wstrząsnął nim dreszcz, kiedy dotknął jej nagich pleców; z trudem łapała oddech.

Nigdy przedtem nie doświadczyła niczego podobnego, ani z Philipem, ani z nikim innym w całym swoim życiu, dopiero dziś, teraz, tutaj - i nie

odezwała się ani słowem.

Żadnego z nich się nie odzywało, bo nie było nic do powiedzenia, nic nie można było dodać do tego, co każde z nich czuło.

Donovan rozpiął jej stanik, a Joanna protestowała, niezastanawiała się już, czy to mądrze czy głupio, bo jej własne dłonie podciągały muskiet i - o Boże - tam też skórę miał rozpaloną jak człowiek trawiony gorączką.

Potem poczuła na piersiach jego dłonie i krzyknęła cicho, bezwiednie, z rozkoszy przemieszanej z bólem, usłyszała, jak Sophia poruszyła się niespokojnie na swoim legowisku, ale nie odwróciła się, by na nią spojrzeć.

Widziała jedynie - chciała widzieć - twarz Donovana, na której każdy mięsień napięty był pragnieniem, palącą potrzebą.

A on już ścigał jej dzinsy, ona zaś rozpiniała mu pasek; przemknęło jej przez głowę, że być może nie powinni robić tego w pracowni, tylko przejść do domu gościnnego - ale nie było na to czasu, żadne z nich nie mogło przerwać tego, co się działo.

- O Chryste - odezwał się.

- O Chryste drogi, Joanno, jesteś pewna?

- Żecię pragnę?

- zapytała ochryłym z pożądania głosem.

Teraz oboje byli już nadzy i przyciskali się do siebie tak mocno, jakby od tego zależało, czy przeżyją.

Joanna czuła się rozdarta pomiędzy pragnieniem przytulania się do niego tak mocno, jak tego pragnęła, a ochotą, by się lekko odsunąć i móc mu się przyjrzeć.

- Nie ma łóżka - rzucił nagle ochryłym głosem.

- Nie przeszkadza ci to?

- Tylko nie przestawaj - odrzekła.

Nawet kiedy wypowiedziała słowa, ostrzegawczy głos w jej głowie mówił, że powinna natychmiast się odsunąć, złapać leżące na podłodze ubranie i uciec stąd, zanim sprawy zajdą zbyt daleko.

Już zaszły zbyt daleko.

I wcale nie miała zamiaru się odsuwać.

A potem było już zapóźno.

Później wszystko odbywało się tak, jak tylko Joanna mogła sobie wymarzyć, gdyby w ogóle śmiała sobie coś takiego wyobrazić.

Leżała ramię w ramię, spleceni, spoceni, z trudem łapiąc oddech, na kaszmirowym dywaniku, który wykradli z psiego legowiska.

Donovan przytulał ją do siebie tak mocno, że czuła, jak bije mu serce.

Chciała jej się zarazem śmiać i płakać.

10. Ślepa trwoga

145.

- Wiem - zapewnił ją cicho.

- Och, wiem.

- Nie mogę w to uwierzyć - odezwała się po kilku chwilach Joanna, kiedy znowu zaczęła do niej docierać rzeczywistość.

- Napodłódze!

- Zaśmiała się cicho, z zażenowaniem.

Czuła, że zaczyna jej brakować pewności i miała oto do siebie pretensję.

- Jak jakaś bohema.

- Jestem artystą - odrzekł Donovan po prostu.

- Brałem pod uwagę także, stół, ale pomyślałem, że mogłabyś uznać to za zbyt prostackie.

Dopadła ją pierwsza wątpliwość, jak wciskający się pomiędzy nich robak.

Znalazł czas - choćby nawet sekundę czy dwie - nato, żeby się zastanawiać, podczas gdy ona nie mogła się zdobyć nawet na jedną miarę spójną myśl.

Głupia jesteś - powiedziała sobie zaraz, bo przecież brał pod uwagę jej uczucia.

Sophia wstała, przeciągnęła się, zeskoczyła z pozbawionego dywanika legowiska i podeszła, by obwęchać ich zimnym, wilgotnym nosem, więc oboje wybuchnęli śmiechem i głaskali ją przez chwilę.

A potem nagle, niemal gwałtownie, Donovan odsunął się i usiadł, a Joanna pozostała sama na podłodze, czując się strasznie, boleśnie wyeksponowana i porzucona.

- Sophiamusi wyjść - wyjaśnił.

-W takim razie lepiej będzie, jak się ubierzemy - odrzekła, przekonana, że wyjdą wszyscy razem.

Donovan wstał.

- Czy będziesz chciała pracować dalej, kiedy wrócę?

Joanna obserwowała, jak odnalazł białeplótnoi zakrył rzeźbę.

Czuła się tak strasznie odrzucona, że ledwie mogła mówić.

- Zobaczymy - rzuciła wreszcie cicho.

- Oczywiście - przytaknął.

Potem oboje ubrali się szybko, a Donovan specjalnie podszedł do Joanny, by złożyć na jej wargach krótki, delikatny pocałunek, lecz poczucie straty i szok już jej nie opuściły.

Kiedy tylko wyszedł z pracy, złożyła ekran i spakowała resztę sprzętu, powiedziawszy sobie, że jeśli chodzi o zlecenia zmagazynów, ma już aż nadto materiału.

A potem i ona opuściła pracownię.

Choć tonagłe odejście Donovana napełniło ją niepokojem, Joannie nawet nie przyszło do głowy - a przynajmniej nie w ciągu kilku pierwszych godzin tego długiego popołudnia - że tego dnia Jack ani nie zadzwoni, ani też nie odbierze telefonu od niej.

Uświadamiała sobie, że dla niej ta wybitna rzeźba - musiała mieć pierwszeństwo przed większością spraw, teraz naprawdę to rozumiała.

Tylko że tego, co za 146

szło między nimi dziś rano, z pewnością nie dałoby się podciągnąć pod "większość spraw".

W każdym razie nie dla niej, pomyślała, szykując sobie kolejny dzbanek kawy, kiedy zniknęły ostatnie błyski dnia.

Sytuacja jest całkowicie niedorzeczna, doszła do wniosku, zabierając filiżankę z powrotem na kanapę i włączając telewizor. Przedtem zrezygnowała z zamiaru pożyczania samochodu i odwiezienia do Kingston filmów z porannej sesji, żeby Donovan nie pomyślał sobie, że potraktowała lekko to, co się stało. Doszła nawet do wniosku, że nie powinna wychodzić na popołudniowy spacer, na wypadek gdyby wpadła na siebie, gdyż mogłaby pomyśleć, że specjalnie zaaranżowała spotkanie.

Zachowujesz się jak jakaś niedorzeczna pierwsza naiwna, skarciła się w duchu.

Ale z drugiej strony, zauważyła z cierpkim humorem, popijając małymi łyżkami kawę i wpatrując się niewidzącymi oczami w obraz, trudno powiedzieć, żeby w sprawach seksu była jakoś szczególnie doświadczona.

Kilka niepewnych prób przed poznaniem Philipa, później dziesięć lat wierności małżeńskiej, potem zupełnie nic.

Aż do teraz.

Aż do momentu, kiedy kochała się z Donovanem na podłodze w jego pracowni.

Przypomniała sobie, jak się czuła bezpośrednio po tym Wstrząsie. Nawet teraz nadal nie wiedziała, czy ma się śmiać czy płakać,

- Śmieć się - zdecydowała na głos.

Wszystko inne będzie kompletną stratą czasu.

Za piętnaście dziewięta tego wieczoru zadzwoniła do głównego domu i przez Pete'a Szabo przekazała Donovanowi wiadomość, żeby zadzwonił do niej lub zajrzał przed północą, bo miała go pilną

wiadomość.

Pukanie do drzwi rozległo się za dwadzieścia pięć dwunasta.

Stał w drzwiach z Sophia u boku.

- Wejź - zaprosiła go Joanna.

-Idziemy do ogrodu dzikich kwiatów - odrzekł.

- Pilnapotrzeba.

- W porządku.

-Pete mówił, że tecoś pilnego.

Wszystko u ciebie w porządku?

Nie mógłby gwałtowniej sprowadzić Joanny na ziemię, nawet gdybyuderzył ją w twarz.

Natychmiast zadziałały mechanizmy obronne,więckiedy się odezwała, mówiła głosem pewnym i chłodnym.

- Chciałam ci tylko powiedzieć, copostanowiłam.

147.

- W jakiej sprawie?

- Stojąc obok niego Sophia zaskamlała, więc schylił się, żeby pogłaskać ją po uszach.

- Już mnie niepotrzebujesz - ciągnęła Joanna.

- A Sophia nie mogłaby się tu czuć bardziej zadomowiona, nawet gdyby się urodziła na farmie.

Wyprostowała się i stanął zupełnie nieruchomo.

- Chyba nie dasię temu zaprzeczyć.

- Tak więc, zgodnie z tym, co powiedziałam w sobotę - starałam się mówić z tym samym pozornym spokojem - sędzę, że czas najwyższy, żebym zaczęła planować powrót do domu.

- Skoro musisz - odparł.

Spojrzała mu w twarz, starając się wyczytać z niej, jak zareagował na to, co powiedziała, lecz jeśli nawet coś czuł, jego rysy pozostały nieprzeniknione.

Już nie ma odwrotu.

Zrobiła szybki wdech.

- W środę rano pojedę do Nowego Jorku.

Pociągiem.

- Nie ma takiej potrzeby.

- Lubię pociągi.

- Poczula przyśpieszone bicie serca.

Ta rozmowa stawiała się nie do zniesienia.

Jest jeszcze szansa, żeby rozstać się w trochę miłszy sposób - albo przynajmniej w trochę bardziej cywilizowany.

- Jeśli miałbyś jutroczas na lunch lub kolację, chciałabym choć w części zrewanżować ci się za gościnność.

-Nie wiem.

- Między brwiami pojawiły mu się dwie pionowe zmarszczki.

- Nic nieszkodzi - rzuciła ozieble.

-Joanno.

- Wszystko jest w absolutnym porządku - zapewniła go oschle.

- Rozumiem, jak to jest z twoją pracą.

Twoje dzieła są rzeczywiście wybitne.

- Nic nie rozumiesz - odpowiedział z wyraźną frustracją.

-Chyba powinieneś jużzabrać Sophie do ogrodu.

Zamknęła drzwi i oparła się nie ciężko, czekając i nasłuchując.

Dopiero kiedy usłyszała, że się oddala, pozwoliła sobie na łzy.

Ale nawet wtedy, mając w pamięci, jaki czuły miał słuch, łkała bardzo cicho.

32

Książkę, pozbywszy się zbędnych szczątków Alice Munro, zatrzymał sobie tylko to, co mu było potrzebne.

Prawą dłoń staruszki.

Teraz, w bezpiecznym otoczeniu ciemnej piwnicy pustego domu przy cichej, bocznej uliczce w pobliżu Glasco Turnpike, przyjrzał się jej do 148

kładniej.

Był to wspaniały okaz, tym bardziej interesujący z powodu zmian, jakie wrył czas: pomarszczonej skóry, plam starczych, lekko opuchniętych stawów.

Lecz palce pozostały długie i smukłe, najpewniej mimo wieku wciąż zręczne i sprawne do samego końca.

Książę nauczył się doceniać skomplikowaną strukturę kości dłoni: osiem kości nadgarstka, pięć śródrezcza, pięć paliczków; ścięgna otoczone mazią stawową, króciutkie mięśnie; dwie tętnice, które tak łatwo opróżnić.

Alice Munro była, jak na swój wiek, aktywną i jeszcze dość przystojną kobietą.

Lecz Książę potrzebował tylko jej dłoni.

33

Telefon obudził ją wcześnie.

- Joanno, mówi Tom Oates.

Jak się miewasz?

- Nieźle, dziękuję.

Jak twoja noga?

- Coraz lepiej.

- Urwał na chwilę.

- Czy mogłabyś jeszcze raz zjeść ze mną kolację?

Oczy ledwie chciały się otworzyć.

Bolały ją głowa i kręgosłup.

Tak to właśnie bywa, kiedy ktoś kocha się na podłozew trzy tygodnie po tym, jak napastnik walnie go w plecy.

A skoro już o tym mowa, to wcale nie była pewna, co tego poranka sprawiło jej więcej bólu: skutki napadu czy wczorajsze wydarzenie.

- Joanno, wszystkemu cię w porządku?

- W jak najlepszym.

- Urwała na chwilę.

- Wyjeżdżam jutro, Tom, więc dziś wieczór raczej nie dam rady wyjść.

Muszę się spakować i.

- W takim razie lunch.

- No, nie wiem.

- Chciałbym się z tobą zobaczyć, zanim wyjedziesz.

W jego głosie rozbrzmiewała prawdziwa żarliwość.

Joanna wywołała w myślach obraz Toma, przypomniała sobie emanujące z niego ciepło oraz życzliwość.

Być może - biorąc pod uwagę jej pokiereszowane uczucia - godzina lub dwie w towarzystwie agenta Oatesa są właśnie tym, czego jej potrzeba.

- Czy zdołasz przyjechać do mnie samochodem?

Problem w tym, że mam jeszcze dziś rano spotkać się z kolegą, który przekaże mi najświeższe wiadomości w pewnej sprawie, więc chyba nie dam rady zabrać cię z farmy.

A naprawdę chciałbym ci pokazać, jak mieszkam, i poczęsto 149.

wać cię lunchem, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

- Znówurwał nachwilę.

-Może miałabyś ochotę wziąć zesobą aparat - mieszkam dwa kilometry za Kinderhook, a to naprawdę przyjemne miejsce.

Mieszkał w niedużym starym, kamiennym budyneczku za wioską. Cały parter miał nie więcej niż dziesięć metrów długości, lekko pochyłą kamienną podłogę niski, belkowany sufit.

Łatwo mógłbywołać klaustrofobię, lecz Joannie wydał się czarujący.

Widać też było na pierwszy rzut oka - po starannym zastawieniu stołu oraz smakowitych zapachach wydobywających się z patelni na kuchence - że Oates zadał sobie wiele trudu przy przygotowywaniu lunchu.

- Zadowolilibym się byle kanapką - powiedziała mu.

-Gościnności nauczyła mnie babcia.

- Wziął od niej płaszcz i powiesił go na wieszaku w pobliżu drzwi.

-Jeśli kobieta fatygujesz się do mnie takikawał drogi, nie mamowy, abym poczęstował ją kanapką.

Zresztą, tylko chili.

- Pachnie smakowicie.

- Joanna zamilkła na chwilę.

-Natomiast potakiej jeździe chętnie odwiedziłabym łazienkę.

- Na górze.

Uważaj na niepewne stopnie - ten dom jest dość stary.

Kiedy zejdziesz na dół, lunch powinien być gotów.

Uświadomiła sobie, że otworzyła niewłaściwe drzwi i już miała je zamknąć z powrotem, kiedy jej wzrok przykuła groteskowa maska na

ścianie wewnątrz pomieszczenia, obok jakiegośdziwacznoegokostiumu.

- Znalazłaśmoją kolekcję niesamowitości?

Głos Oatesa za jej plecami rozległ się taknieoczekiwanie, żeaż podskoczyła.

- Przepraszam.

- Wyciągnął rękę i dotknął jej ramienia, lecz zarazcofnął dłoń z powrotem.

-Tak nazywała jąLisa.

Wejdz i obejrzyj jąsobie.

Minął jąi wszedł do niewielkiego pokoju, a Joanna ruszyła za nim,rozglądając się dookoła z zainteresowaniem.

Każdy centymetrścian pokrywał niezwykłyzbior zdjęć, druków i innych przedmiotów, jakichdotąd nie zdarzyło jej się oglądać.

- To indiańskie pamiątki?

-Tylko częściowo.

Słyszałaś o szamanach?

- Słyszałam,owszem - odrzekła Joanna - ale w sumie niewiele.

Tom oprowadził ją poizdebce -dziś nie kulał prawiewcale - wyjaśniając, że ogólnierzecz biorąc, kolekcja mazwiązek ze sztuką szamań150

ską, a na wielu zdjęciach zobaczyć można czarowników z Turcji, Mandżurii oraz eskimoskich.

Częśćbyła w obrzędowych strojach,przystrojonych ludzkimi żebrami, kośćmi ręki i palców, niektórzy zostali sfotografowani zwężami, żabami czy też innymi stworzeniami.

Oates zacząłzbierać te zdjęcia, kiedy babka opowiedziałamu rodzinną legendę ojednym z ich przodków wybranym niegdyś na szamana - był to młodyczłowiek, o którym mówiono, że posiada magiczną moc.

- W zasadzie - wyjaśniał, kiedy znaleźli się powrotem na dole i zasiedli każde nad swoją miską chili - szamani bylicharyzmatycznymi ludźmi i wierzono, że posiadają moc uzdrawiania chorych oraz porozumiewania się ze światem zmarłych.

Asystowali przy porodach, ślubach i zgonach.

- Jak księża - zauważyła Joanna.

- Chyba tak, choć trzeba przyznać, że tylko niektórzy z nich należeli do tych dobrych, co oznaczało, że porozumiewali się z dobrymi bóstwami. Byli i tacy, co zadawali się ze złymi duchami.

- Oates podał Joannie brązowy ryż, a potem nałożył trochę na własny talerz.

- Mówiłeś, że jeden z twoich przodków został szamanem.

Czy wiesz, dlaczego?

- Trudno dokładnie określić.

Pamiętaj, że to raczej legenda, ale podstawy wyboru były raczej dość szczególne.

- Oczy Oatesa pociemniały, kiedy zagłębił się w ulubiony temat.

- Wynajdywano facetów z jakimś upośledzeniem umysłowym lub fizycznym, niemniej chodziło głównie o to, czy "wybraniec" miał jakieś dodatkowe kości.

Według legendy wprowadzano młodych ludzi.

- Czy młody wiek także należał do owych wymogów?

- zapytała Joanna.

- Chyba tak.

Często byli to młodzi chłopcy w wieku dojrzewania, na których torturami wymuszano zgodę.

- Oates zjadł trochę chili i popił wodą.

-Tak czy owak, wprowadzano ich w coś w rodzaju bardzo długiego transuczy snu.

- Narkotykami?

- dopytywała się Joanna.

- Niemal na pewno- przyznał Oates.

- W tamtych czasach wielu kalifornijskich Indian było uzależnionych od narkotyków.

-Otarł usta serwetką i ciągnął dalej.

- Tak więc kiedy kandydat nasz szamana leżał w uśpieniu, proszono duchy, aby "pocięły" jego ciało i policzyły kości, żeby sprawdzić, czy ma jedną dodatkową.

-Skrzywił się.

- Według babci, kiedy przyszło do naszego osobistego, rodzinnego szamana, ktoś musiał zaaplikować sobie za dużo liści bielunia, czy też co tam akurat brali,

151.

bo pocięli biednego dzieciaka naprawdę.

A to chyba znaczyło, że nikt nigdy nie miał okazji się przekonać, czy będzie dobrym czy złym szamanem.

- Oates uśmiechnął się łobuzersko.

- Taki jest koniec tej historii.

Joanna wybuchnęła śmiechem.

- Nie mogę powiedzieć, że mi przykro.

- Chyba była trochę nieprzyjemna.

- Oates zebrał puste naczynia i przyniósł szarlotkę, która podgrzewała się w piekarniku.

- A więc naprawdę musisz wracać do domu?

Tak jakoś nagle.

- Wcale nie - odrzekła Joanna na pozór obojętnym tonem.

- Skończyłam pracę.

Najwyższy czas.

- Przyglądała się, jak odkroił parujący kawałek szarlotki i nałożył jej natalerzyk.

- Choć pewnie kilkadziesiąt dni spędzę jeszcze w Nowym Jorku.

- No tak, paszport - przypomniał sobie.

- No i świąteczne zakupy.

Potwierdziła skinieniem głowy.

- Bożonarodzeniowy Manhattan przedstawia się kusząco.

- Zatrzymasz się w mieszkaniu Donovana?

- Oates wziął sobie kawałek ciasta, po czym nałożył grubo śmietanki na szarlotkę Joanny.

- Nie sędę.

-A czy masz już jakąś rezerwację?

Wmieście będzie tłok.

- Coś sobie znajdę - powiedziała cicho.

- Niewielemi potrzeba.

- Wszystko w porządku, Joanno?

-Oczywiście - odparła.

- Jesteś dzisiajkaś nieswoja.

- Przyglądał jej się uważnie.

-Czy zdarzyło się coś jeszcze?

- Cośjeszcze?

- Joanna poczuła,jak jej policzki czerwienieją.

- Jakieś incydenty?

Skradający się ludzie, pocięte koła, cokolwiek?

- Nie - zaprzeczyła z ulgą.

- Nic z tych rzeczy.

- A więcskąd ten nagły wyjazd?

- wypytywał.

- Już ci mówiłam- odrzekła spokojnym tonem.

- Skończyłam robotę.

Czas do domu.

Obserwator, który siedziałw samochodzie zaparkowanym na tyle daleko, by mógł pozostać niezauważony, widział przez lornetkę, jak wychodzą z malutkiego kamiennego domku i jadą tandemem do Kinderhook.

Przez całyczas zachowywał należytą odległość, kiedyOatespokazywał

Joannie okolice i wreszcie na pożegnanie, wręczył jej swoją wizytówkę.

- Skontaktujem się jeszcze, zanim wyjedziesz, prawda?

- zapytał, kiedy stali przy pożyczonym przez Joannę Cherokee.

152

- Oczywiście.

- Zapisalem tu wszystkie numery, pod jakimi można mnie złapać

- powiedział - łącznie z numerem mojego kolegi - nazywa się Gary Poole - na wypadek gdybyś nie mogła mnie znaleźć.

- Jesteś dla mnie taki miły.

- Bo jesteś wspaniałą kobietą.

- Oates uśmiechnął się szeroko.

- A jazawsze podlizuję się rudowłosym.

Joanna uśmiechnęła się do niego i nie po raz pierwszy pomyślała, że gdyby była artystką, miałaby ochotę namalować lub wyrzeźbić jego głowę.

- Czy mogę zrobić ci zdjęcie, Tom?

- Bardzo mi to pochlebi.

- Zawahał się.

- A gdybym ja ci zrobił zdjęcie, czy byłby to dla ciebie zbyt wielki kłopot, aby mi je potem wysłać?

Sfotografowali się nawzajem, a potem Joanna wsiadła do samochodu.

- Są jakieś wieści w sprawie tych zaginionych ludzi?

- zapytała jeszcze.

Wyraźnie pociemniały mu oczy.

- Niedobrego.

- To straszne - powiedziała.

-Zwłaszcza dla ich rodzin.

Oates przytaknął skinieniem głowy.

- Naprawdę będzie mi cię brakowało, Joanno -rzucił cicho i zamknął drzwiczki.

Zapięła pas i włączyła silnik.

- Bardzo się cieszę, że cię poznałam, Tom.

Mam nadzieję, że jeszcze się kiedyś spotkamy.

Oates odsunął się stanął nakrawężniku.

- Mamprzecucie, że tak -oświadczył.

Oczwartej Joannabyła już z powrotem w Gilead Farm, gdzie następane dwie godziny poświęciła napakowanie, sprzątaniedomku gościnnegoi wydzwanianiepo recepcjach najrozmaitszych hoteli.

Oates miał całkowitą rację, kiedy mówił, -że w-mieściebędzie mnóstwoprzyjezdnych - wyglądało na to, że wszyscy wpadli na ten sam pomysł, aby zrobić na Manhattanie zakupyświęteczne.

Tuż przed szóstą udała się do szkoły.

Miała nadzieję zastaćtam Chris

Chen inie zawiodła się.

- Zastanawiałam się - zaczęła Joanna - czy masz może listę hoteliw Nowym Jorku wrazz numeramitelefonów.

Niestety, me zdawałamsobie sprawy, jak trudno znaleźć wolny pokójo tej porze roku.

153.

- Nie ma problemu.

- Chinka zamknęła dokument, który widniał na ekranie monitora i odchyliła się do tyłu.

Dziś wieczór sprawiała wrażenie zmęczonej, śliczne oczy miała lekko podkrążone.

- Dobrze się czujesz?

- zapytała Joanna.

Chris wyjęła chusteczkę higieniczną z kartonowego pudełka na biurku i wytarła nos.

- Chyba znów się przeziębiam.

-Może wolisz, żebym przyszła po tęlistę trochę później?

- Niema takiej potrzeby.

Już zarezerwowałam ci pokój w New York Hilton.

- Chen urwała, widząc pytający wyraz twarzy Joanny.

-W Peninsuli nie było miejsc, ale w Hiltonie pracuje mój znajomy.

Mam nadzieję, że tak będzie dobrze?

- Ależ oczywiście.

- Joanna pokręciła głową.

-Zdumiewa mnie tylko twoja niezwykła skuteczność.

Przecież ledwie wczoraj, późnym wieczorem powiedziałam Donovanowi, że wyjeżdżam.

- A on oznajmił mi o tym zaraz zrana.

- Jeszcze raz dotknęła chusteczką nosa i wrzuciła ją do stojącego obok kosza.

Joannę znów zabolęło coś w środku.

Nie zdawała sobie sprawy, że aż tak bardzo pragnął się jej pozbyć.

- Tonie Donovan prosił mnie, żeby zarezerwować cípokój w hotelu, Joanno.

To był pomysł Murdocha.

Joanna aż zamrugała ze zdumienia.

- Zapewne sądził, że będziesz się lepiej czuła w hotelu niż na Pięćdziesiątej Szóstej.

"Bardziej bezpiecznie", tak to chyba ujął.

- Administratorka wzruszyła ramionami.

- Nigdy nie mogę być pewna, kiedy następnym razem zobaczę się z Donovanem, więc dla pewności wolałam to załatwić.

- Tak czy owak, Murdoch miał rację - odrzekła Joanna, która zdążyła tymczasem odzyskać wewnętrzną równowagę.

- Jestem wdzięczna obojgu.

Chen przez chwilę bawiła się myszką od komputera.

- Czy jest jakaś szansa, że się jeszcze zobaczymy, Joanno?

Czy to już naprawdę koniec?

- Planuję wyjechać porannym pociągim, więc to chyba naprawdę koniec.

Chinka wstała i wymieniła z nią uścisk dłoni.

Twój wyjazd wydaje się trochę nagły - zauważyła - ale skoro Donovan przez cały czas pracuje.

- Jak już powiedziałam Tomowi Oatesowi - odparła Joanna - działo się dużo - zrobiłam, co mogłam w sprawie Sophii, zdobyłam też materiał potrzebny mi do wykonania zleceń, nie ma więc powodu, abym przeciągała pobyt.

- Który nie był tak całkiem szczęśliwy, prawda?

- dodała łagodnie

Chris.

Joanna odpowiedziała uśmiechem.

- W zasadniczej części był.

- Odwróciła się do wyjścia, lecz przystanąła w drzwiach.

-Nie wiesz, czy jest tu gdzieś Murdoch?

Chętnie skorzystałabym z okazji, żeby się pożegnać.

- Wydajemy się, że dziś po południu pracuje z Donovanem - odrzekła Chen.

- Choć trudno mieć absolutną pewność.

-Zawiesiła głos.

- Jakiś zapewne przekonałaś, w Gilead Farm trudno być czegokolwiek pewnym.

Joanna nie spotkała już tego wieczoru Lamba, lecz wpadłszy na chwilę do Szabo, dowiedziała się, że Pete chce jutro rano zawieźć ją do miasta.

- Nie myśl, że prosił mnie o to Donovan - powiedział, dostrzegłszy iż Joanna zamierza się z nim spierać.

- Przecież się zaprzyjaźniliśmy,
prawda?

- Mam nadzieję - odparła.

- Ale mimo to nadal nie widzę powodu, żeby cię fatygować, kiedy równie dobrze mogę pojechać pociągiem,

- Proszę cię, Jo.

- Głos Szabo zabrzmiał niemal błagalnie, -Pozwól, że oddam ci tę przysługę.

Jeśli wolisz, potraktuj to tak, jakbyś ty miała
wyświadczać.

Joanna pokręciła głową, lecz na koniec uśmiechnęła się, pokonana.

- Jeśli ujmujesz to w taki sposób.

- Właśnie w taki - rozpromienił się Szabo.

Umówili się, że wyjadą o dziewiątej rano.

Krótko po ósmej, mimo że czuła coraz większą złość na Donovana,
postanowiła, że nie pozwoli, aby pozbawiono ją możliwości pożegnania się
Sophią, więc udała się do szkoły, gdzie przekonała się, że drzwi frontowe
są otwarte, pomaszerowała zatem prosto do pracowni rzeźbiarza i
zastukała do drzwi.

Nie było odpowiedzi.

Zastukała mocniej.

Nadal nic.

Bliska łez ze złości obróciła się i zobaczyła, że w głębi korytarza stoi
Lamb, ubrany w czarną kurtkę, z głową nakrytą kapturem.

- Pada śnieg - wyjaśnił.

- Dość gęsty.

Właściwie to dobrze, że wyruszasz wcześniej.

- Umilkł na chwilę.

- Nasz lider się nie odzywa?

- Nie jestem pewna, czy tam jest.

Chciałam się pożegnać.

155.

- Jest, jest - zapewnił ją Lamb.

- Ale od poniedziałkowego wieczoru nie można z nim nawiązać prawie żadnego kontaktu.

- Podeszedł nieco bliżej.

- Nie bierz sobie tego do serca, Joanno.

Tak to już jest z Donovanem.

Poczuła, że szczęki zaciskają jej się gniewnie.

- W porządku - odrzekła.

- Choć trochę mi przykro, że nie mogłam pożegnać Sophii.

- Zdobyła się nawzruszenie ramion.

- Może to i lepiej.

- Może i lepiej - zgodził się Lamb łagodnie.

- Sammam mieszane uczucia, jeśli chodzi o pożegnania.

- Zawiesił głos.

- Jak długo zamierzasz pozostać w mieście?

- Jeszcze nie wiem.

Parę dni.

- A potem nareszcie do domu.

- Uśmiechnął się.

- Muszę powiedzieć, że Merlin Cottage przedstawia się bardzo atrakcyjnie.

Żałuję, że go nie widziałem.

- Może kiedyś zobaczysz - powiedziała Joanna.

- Kto to może wiedzieć?

Za piętnaście dni pojawił się Szabo, który wziął jej torby podróżne, żeby je umieścić w tyle swego cherokee.

- Jesteś pewien, że chce ci się jechać w taką pogodę?

- dopytywała się Joanna.

- To nic takiego.

-Jeśli chcesz już ruszać, jestem gotowa.

Im szybciej, tym lepiej, pomyślała.

Imprędzej opuści Gilead Farm, tym szybciej będzie mogła wykorzystać energię wielkiego miasta do stopienia ostrza goryczy, jaką odczuwała.

- Jeszcze chwilę, Jo - poprosił.

- Dobrze?

- To zależy tylko od ciebie, Pete.

- Zamilkła i spojrzała na pokryte ciężkimi chmurami niebo.

-Po prostu nie chciałam się martwić, że będziesz wracał późno po niebezpiecznych drogach.

- O mnie nie musisz się martwić.

-Skoro tak mówisz.

Zabrała torby i zamknęła za sobą drzwi, a Joanna, niepocieszona, pozostała sama ze swoim żalem.

Miała ochotę- i mogła to zrobić, gdyby Donovan zniżył się do otwarcia jej drzwi - powiedzieć, co o nim myśli.

Pomijając już nawet fakt, że niecałe dwa dni temu zostałi kochankami, już samo to, że nie chciał z nią porozmawiać po tylu wspólnie spędzonych tygodniach - po tym wszystkim, co jej naopowiadał o wdzięczności, jaką czuje z powodu Sophii.

156

- Co nie znaczy, że potrzebuję jego wdzięczności - rzuciła na głos, wyglądając przez okno na delikatny welonik proszącego śniegu.

Ale byłoby miło.

Zjawił się na minutę przez wyznaczoną godziną odjazdu, o ósmej pięćdziesiąt dziewięć.

Obok szła Sophia, a Donovan dźwigał dużą paczkę, owiniętą brązowym papierem.

Sprawił wrażenie wyczerpanego i nieszczęśliwego, kiedy tak stał w progu, bez płaszcza, a padający śnieg zastygał mu na włosach.

- To dla ciebie, Joanno.

- Wręczył jej paczkę.

- To dlatego przychodzę tak późno.

- Urwał.

- I dlatego nie otworzyłem, kiedy wcześniej pukałaś.

'r' - Rozumiem.

- Wzięła od niego paczkę.

Była ciężka.

'?;- Jesteś zła.

- Rozczarowana.

- Nie miała ochoty zapraszać go do środka, lecz z pesm sprawiała się zgoła inaczej.

- Lepiej wejść.

Chciałabym się pożegnać z Sophia.

Weszli do domku, pozostawiając drzwi otwarte.

Zebrany na brwiach Donovana śnieg zaczął topnieć i spływał mu kroplami po twarzy, lecz rzeźbiarz nie zrobił nic, by je wytrzeć.

Joanna położyła paczkę na stolik do kawy i przykucnęła.

Sophia, wyczuwając panujące napięcie, podeszła i oparła się o jej nogi.

Ciepło i ciężar psa omal nie pozbawiły Joanny równowagi.

- Chrispowiedziała mi o zarezerwowanym pokoju - odezwał się Donovan.

- Poprosiłem, żeby odwołała rezerwację.

-Zanim zdołała cokolwiek odrzec, dodał szybko:- Wiem, że to samowola z mojej strony, ale naprawdę chciałbym, abyś mogła korzystać z mojego mieszkania, jak długo będziesz go potrzebowała.

Manhattan o tej porze roku jest strasznie zatłoczony, wierz mi, Joanno. W ten sposób będziesz miała do dyspozycji Jerry'ego Feenana i innych, żeby zamawiali ci taksówki i pomagali w nosić pakunki.

- Miałam zamiar sama zapłacić za hotel, Jack - rzuciła lodowatym tonem.

- Proszę, poproś Chris, żeby spróbowała odzyskać tę rezerwację.

- Poproszę- odpowiedział Donovan - ale obawiam się, że mogli już wynająć pokój komuś innemu.

Joannę ogarnęła nowa fala gniewu, że ktoś nią manipuluje.

- Jeśli tak to wygląda, wyjadę do domu, kiedy tylko otrzymam paszport z ambasady.

Zapanowała cisza.

- Przepraszam, tak naprawdę nie jest to zadośćuczynienie za ostatnie parę dni, prawda, Joanno?

- odezwał się końcu Donovan.

Joanna przytuliła mocniej psa.

- Chyba musi być.

Czuł jej smutek i wiedział, że w tej chwili dotyczy on o wiele bardziej Sophii niż jego.

' - Wyjdę na zewnątrz i poczekam- zaproponował.

- Zostawię was same na kilka chwil.

- Dziękuję - odrzekła - to nie potrwa długo.

Podniosła wzrok i zobaczyła na jego twarzy tyle cierpienia, żeomal się ugięła.

Nie ma sensu, Guthrie.

- Poradzisz sobie, Jack?

- Oczywiście, że sobie poradzę - odparł cicho.

Wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

Joanna puściła Sophię i opadła ciężko na podłogę.

Owczarek także usiadł, spoglądając na nią wilgotnymi, bursztynowymi oczyma.

- Nie będę płakać - odezwała się cicho Joanna.

- Bo jeśliżaczną, to pewnie nie będę mogła przestać, a to nie pomoże żadnej z nas, prawda?

- Sophia zaskamlała cicho.

- Będiesz tu bardzo szczęśliwa, moja piękna, mądradziejczynko.

Ja wiem, że nie muszę ci mówić, abyś się nim dobrze zaopiekowała.

- Suka wstała i podeszła bliżej.

-A ty wiesz, że Bella i inni zaopiekują się mną.

Pozwoliła sobie na jeszcze jedną chwilę- przytuliła twarz do futra zwierzęcia, lękając rozpaczliwie dławiące ją łzy.

A potem wstała.

- Jesteś najfajniejszym psem, jakiego znałam, Sophio - powiedziała.

Otworzyła drzwi.

Sophia wyszła przed nią i skierowała się prosto do Donovana, który stał przysamochodzie, a Joanna tymczasem włożyła kurtkę, rozejrzała się po raz ostatni, potem wzięła torebkę i zawinięty w szary papier pakunek.

- Jestem gotowa - oznajmiła, wychodząc.

Nagle zauważyła, że zebrali się tam wszyscy: cała klika z Gilead Farm stała rzędkiem na śniegu.

"Pretoriańska straż Donovana", jak nazwały ich Meli Sandra.

Szabo, ubrany w kurtkę narciarską pomidorowego koloru i czarną, wełnianą czapkę, podszedł zaraz, wzięła paczkę i włożył ją na tył dżipa razem z torbami.

Potem z szeregu wystąpiła Chris Chen, smukła i schludna nawet w turkusowej zimowej kurtce

i znowu pełna swej zwykłej witalności.

Wyciągnęła ramiona ku Joannie.

158

- Będzie mi brakować twojej obecności - powiedziała, obdarzając ją krótkim uściskiem.

-1 nie tylko mnie.

- Mnie także będzie cię brakować, Chris - odrzekła wzruszona

Joanna.

Chinka odsunęła się i nastąpiła kolej Lamba.

- Czy mogę cię pocałować w policzek, Joanno?

- Oczywiście, Murdoch.

Przysunął się bliżej.

Joanna odnotowała, że pocałunek przypominał muśnięcie soplem lodu.

- Biedulka - mruknął jej przy uchu - doczekałaś się więc pożegnania.

- Cofnął się.

- Bon voyage dodał już swym zwykłym tonem.

Uśmiechnęła się do niego, a potem - jak żołnierze rozchodzący się po parady - Lamb i Chen odeszli, Szabo wszedł do samochodu i zapuścił silnik, a na miejscu pozostał już tylko Donovan z Sophia.

- Złapiesz zapalenie płuc - rzuciła cicho Joanna - jeśli postoisz tu dłużej w samej koszuli.

Na skroni rzeźbiarza, tuż przy bliźnie, pulsowała mała żyłka.

Twarz miał pobladła od chłodu.

- Czy mi wybaczysz, Joanno?

Potrzebuję twojego przebaczenia.

- Nie ma czego przebaczać - oświadczył cicho.

- Gdybym przyjechał do miasta za dzień lub dwa, to może moglibyśmy o tym porozmawiać?

- Nie ma o czym, Jack.

- Czy pozwolisz mi przyjechać mimo wszystko?

Przesunęła wzrokiem po jego bladej, zmęczonej twarzy.

- Tak naprawdę nie mogę ci zabronić, prawda?

- odparła znużonym głosem.

Uniósł prawą dłoń i musnął przelotnie jej włosy, a Joanna zauważyła, że palce lekko mu drżą.

- Będę dbał o Sophię - odezwał się prawie szeptem.

- Przynajmniej w tym cię nie zawiodę.

- Wiem, że nie - odrzekła Joanna i szybko przeszła na drugą stronę samochodu, gdzie czekały otwarte drzwiczki przy siedzeniu dla pasażera.

- Wejdź do domu, Jack.

- Uważaj na siebie w mieście - powiedział.

Joanna wsiadła i zatrzasnęła drzwiczki.

- Czy możemy już jechać?

- rzuciła do Szabo.

Ruszyli.

Nie obejrzała się.

159.

Na początku ich wspólnej podróży Pete Szabo był tak niezwykle delikatny wobec niej, że Joanna zaczęła się zastanawiać, czy Donovan przypadkiem nie wtajemniczył go w to, co między nimi zaszło.

- Bez ciebie nie będzie tu już tak samo - oznajmił po godzinie jazdy.

-Wszystkim nam będzie cię brakowało.

- Przerwał, apotem dodał: -Nawet Lambowi.

- W to wątpię - odparła Joanna.

'- Już od dłuższego czasu nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie wyjadę. Szabo wzruszył ramionami.

- On cię bardzo szanuje, Jo.

- Ponownie zawiesił głos.

-Jeśli niejestmu przykro z powodu twojego wyjazdu, to tylko dlatego, że czuje, iż musi chronić Donovana.

Lamb wystrzega się wszystkich, o których sądzi, że mogliby z jakiegoś powodu sprawić mu ból.

- Jakim cudem Murdoch wyobraził sobie, że mogłabym mieć powody, by skrzywdzić Jacka?

- Nic z tego nie rozumiała.

Jeszcze raz wzruszył ramionami.

- Czasem tak się zdarza, nieprawdaż?

Joanna pomyślała, że niema sensu się spierać.

- Można by powiedzieć, że każdy na farmie jest odrobinę nadopiekuńczy w stosunku do Jacka.

-Chcem się nim opiekować.

Joanna odnotowała defensywny ton jego głosu.

- Ma dużo szczęścia, że was spotkał.

Szabo nieodrywał oczu od szosy przed sobą.

- My zaś sądzimy, że to nam się udało.

Wmyślach powrócił do niej jeszcze jedna uwaga Mel: "To jakby się musiało przejść obok Cerbera".

Uśmiechnęła się smutno.

Jej się udało, choć niewiele dobrego z tego przyszło.

- Mogę cię o coś prosić, Jo?

- odezwał się Szabo kilka minut później.

- Naturalnie, że możesz, Pete.

- Jeśli przyjedzie do miasta, żeby się z tobą zobaczyć przed wyjazdem.

- Myślę, że to mało prawdopodobne - przerwałam.

- Nie zostanę tam długo.

- Ale jeśli go jeszcze raz zobaczysz - nie ustępował Szabo - proszę, bądź ostrożna.

Jak sama mówisz, i tak wyjeżdżasz.

- To prawda.

- A więc nie ma sensu mieszać mu w głowie bardziej niż do tej pory.

Joanna poczuła nagłe ukucie gniewu.

160

- Nie chciałem cię obrazić, Jo.

- Nie obraziłeś - rzuciła sztywno.

Po tej wymianie zdań przez resztę podróży niewiele się do siebie odzywali, lecz jedną sprawę Joanna widziała teraz jaśniej niż poprzednio. Od samego początku wiedziała, że Murdoch Lambert nie chciał, by zaistniał w życiu Jacka Donovana; w ciągu ostatnich kilku tygodni

zdarzały się także chwile, kiedy niebyła pewna, jakie uczucia żywi w stosunku do niej Chris Chen, choć ostatnimi czasy wydawała się znacznie życzliwsza.

Ale Pete Szabo od początku był do niej najbardziej pozytywnie nastawiony i naprawdę uważała, że chyba się zaprzyjaźnili, a mimo to nagle zaczęło jej się wydawać, że oto ma przed sobą kolejną osobę, która niemożesię doczekać, kiedy ona wejdzie wreszcie na pokład samolotu, który powiezie ją do Anglii.

Cerber, pomyślała znowu.

Trójgłowy pies strzegący wejścia do Hadesu, czy - w tym wypadku - do Gilead Farm.

Lamb, Chen i Szabo.

Patrzyła przed siebie przez przednią szybę samochodu wprost w gęstopadający śnieg i zastanawiała się, czy pada na tyle gęsto, że zasłoni jej pierwszy, niewyraźny zarys Manhattanu.

Beton, szkło, stal i tysiące obcych ludzi.

Taka perspektywa nigdy przedtem niewydawała się Joannie bardziej zachęcająca.

34

Środa, 16 grudnia

Uparła się, żeby pojechali najpierw do Hiltona, sprawdzić, czy pokój przypadkiem nie jest wolny, ale zgodnie z przewidywaniami Donovan hotel był pełen to aż do samego Nowego Roku.

Choć mocno poirytowana, Joanna musiała sama przed sobą przyznać, że miłe powitanie Jerry'ego Feenana w połączeniu z pięknie ubraną choinką,

stojącaw holuwejściowym poprawiły odrobinej jej nastrój i pomogły pożegnać się z Pete'em bez szczególnego skrepowania, czego z początku się obawiała.

W zasadzie nic nie może na to poradzić - uznała, przyglądając się, jak Szabo przekazuje torby równie życzliwie ją witającemu Raimundowi - że jest jednym ze strażników Donovana.

Pete Szabo topo prostunowoczesny odpowiednik oddanego sługi; w tym, co jej powiedział, nie było złośliwości.

11. Ślepa trwoga

161.

Kupię mu prezent i wyślę przed wyjazdem, postanowiła, otwierając drzwi apartamentu kluczem, który wręczył jej Feenan.

A właściwie tokupi prezenty dla wszystkich - nawet dla Lamba.

W mieszkaniu było bardzo cicho, ciemno i pachniało właścicielem. Joanna spędziła pierwsze kilkadziesiąt minut na otwieraniu okien i odsuwaniu żaluzji, żeby wpuścić do środka powietrze i światło, a także pozbyć się szkodliwego zapachu cygar - nie dlatego, żeby był szczególnie dokuczliwy, ale by nie przypominał jej o Donovanie.

I tutaj także padał śnieg, choć spoglądając na wąskie skrzyżowanie wysokości piętnastu pięter, uznała, że przynajmniej w ciągu tych najbardziej ruchliwych godzin dnia nie maszans, aby pozostał na ziemi w postaci puszystej warstwy, co najwyżej w parkach.

Zaśnieżony Central Park musi być cudowny, uznała.

Ale nie bez Sophii - przypomniała sobie masochistycznie zaraz dopadło ją mściwie poczucie wielkiej straty.

- Rozpakuj się!

- powiedziała głośno, a potem przypomniała sobie paszporty.

W konsulacie na Manhattanie raczej nie wydadzą jej zastępczych papierów po tak długiej zwłoce.

Powinna natychmiast skontaktować się z ambasadą brytyjską w

Waszyngtonie, żeby się zorientować, czego będzie potrzebowała, nie wspominając już o zdobyciu biletu lotniczego do Londynu, co jeśli wziąć

pod uwagę, że Londyn jest równie popularnym wśród turystów miastem jak Nowy Jork, może się okazać nie takie aż tak proste.

Jutro, postanowiła.

A wtedy jej spojrzenie padło na brązową paczkę stojącą w kącie pokoju dziennego.

Kiedy ją rozpakowała, była szczęśliwa, że jest tutaj sama, inaczej nigdy nie zdołałaby ukryć ogromnych emocji, jakie wyzwolił w niej ten prezent.

Była to nieduża - mniejsza od rzeczywistych rozmiarów - rzeźba przedstawiająca jej głowę.

Oryginalny Donovan, nie odlew, tylko model z gładkiego, białego gipsu. Coś zupełnie odmiennego od tych prac, które dotąd oglądała: nie było tu znaczącego pietyzmu i troski o szczegóły - to dzieło powstało napędem, stworzone rękami człowieka, który nigdy nie widział Joanny tak, jak postrzegali ją inni.

A przecież oddawało ją tak prawdziwie, że aż zapierało dech w piersiach z wrażenia - w taki sposób, w jaki nieuchwyciłoby jej nawet najbardziej błyskotliwe ujęcie obiektywu.

Usiadła na podłodze i wpatrywała się w rzeźbę. Serce waliło jej jak szalone, żołądek skurczył się. Wręczając jej paczkę, Donovan powiedział

dział, że to jest powód, dla którego nie otworzył, kiedy stuknęła do drzwi pracowni.

"Nic nie rozumiesz" - powiedział wtedy, owej poniedziałkowej nocy.

A Lamb mówił, że od tamtego wieczoru niemożna z nim było nawiązać kontaktu.

Teraz wreszcie pojęła.

Była głęboko przekonana, że po ich szalonej godzinie w pracowni powrócił do modelowania stopy tancerki, która wywiała mu z głowy wszelkie inne

myśli.

A tymczasem wyglądało nato, że porzucił dzieło, nad którym pracował, że bycałą energię, koncentracji niepośledni talent skierować na tę rzeźbę.

Nagłową Joanny Guthrie.

- O Boże - westchnęła na głos, a całej jej wstyd zdawał się nieść echemo pustym mieszkaniu.

- O Boże.

W końcu pozbierała się na tyle, żeby zatelefonować do Gilead Farm. Chris Chen oświadczyła, że nie może jej przełączyć do Donovana, ponieważ Jack pracuje i prosił, aby mu nie przeszkadzać.

- Naprawdę muszę z nim porozmawiać, Chris.

- Przykro mi, Joanno, ale sama znasz wynik.

Obiecała przekazać wiadomość, ale Joanna odkładając słuchawkę, miała zdecydowane odczucie, że tamta kobieta wręcz tchnie emocjonalnym chłodem.

Choć ledwie parę godzin temu pożegnała ją tak ciepło, teraz, kiedy Joanna opuściła farmę, widać było wyraźnie, że zatrasnęły się za nią drzwi.

Próbowała się skupić na drobiazgach; wypakow.

ła rzeczy, które mogły jej się przydać w ciągu kilku najbliższych dni i powiesiła je w gościnnym pokoju.

Wokoło czuła pustkę, którą unoszący się wszędzie połączony zapach cygar i psa czynił jeszcze boleśniejszą.

Doszła do wniosku, że musi na chwilę stąd uciec, zjechała więc na dół windą, uśmiechnęła się w odpowiedzi na pozdrowienie Jerry'ego Feenana, zapewniła go, że nie potrzebuje taksówki i skręciwszy wlewo, ruszyła w stronę Piątej Alei.

Wciąż sypał śnieg, choć już znacznie słabiej, a Joanna, która wybrała długi beżowy płaszcz jako odpowiedniejszy w mieście od kurtki z kapturem, wiedziała, że za chwilę włosy skręcą jej się w pierścionki pod wpływem wilgoci z topniejących płatków.

Mogłaby kupić sobie kapelusz.

Pomysł, by kupić na Manhattanie kapelusz - coś niezobowiązującego, co dałoby się nosić także po powrocie do domu, ilekroć zapragnęła by sobie przypomnieć te wąskie, chaotyczne ulice - sprawił jej przyjemność i oderwał na chwilę myśli od Jacka Donovana, skreśliła w

prosto w Piątą Aleję, przeszła pięć przecznic, obejrzała z podziwem ogromne bożonarodzeniowe drzewko w Centrum Rockefellera, wysokienna wiele pięter, po czym weszła do Saksa.

Spędziław środku bitepółtorej godziny: przez pierwsze pięćminutwalczyła z atakiem paniki nawidok krążących tam tłumów, przez następneczterdzieści pięćprzymierzała najrozmaitsze nakrycia głowy, przezkolejne dwadzieścia kilka płaciła za dokonany zakup, pozostały zaś czasspędziła na poszukiwaniu miejsca, gdzie mogłaby usiąść i spokojnie wypić filiżankę kawy - zanim się wreszcie poddała i uciekła z powrotem naulicę.

Nadal padał śnieg.

Joanna znalazła odpowiedni fragment okna wystawowego Saksa, rozwinęła z papieru swój nabytek, oderwała metkę i włożyła go na głowę. Był to rodzaj kapelusza, który mógł być noszony awadiacko jako beret lubnaciągnięty jak czapka na czoło i włosy - mieszanka kaszmiru i moheru, cudownie różnobarwna, z przewagą szmaragdowej zieleni, makowej czerwieni, błękitu i fioleto.

Z okna wystawowego spoglądało na Joannę jej własne odbicie, zamazane przez śnieg, osiadającą naszybiwo wilgoć i nieustanny ruch dookoła: kobieta w długim, klasycznym krojonym płaszczu, z burzą kręconych włosów i nakryciem głowy w kolorach tęczy.

Ku swojemu zaskoczeniu Joanna przekonała się, że wygląda niemal radośnie.

W pierwszej chwili uznała, że to z powodu kapelusza.

Potem, kiedy odwróciwszy się, zauważyła za sobą grupkę

wesołych Świętych Mikołajów po drugiej stronie ulicy, doszła do wniosku, że to z powodu panującej dookoła atmosfery.

Później jednak przypomniała sobie żbę i - zaraz potem - to, jak kochała się z Donovanem na podłodze jego pracowni, i wiedziała już, że chodzi o coś innego.

O coś zupełnie innego.

Po powrocie nie zastała na sekretarce żadnych wiadomości od Donovana, a tego wieczoru, kiedy zjadła fettucine, popijając je kieliszkiem chianti, samotność uderzyła w nią z taką siłą, jakiej nie doświadczyła od czasu śmierci Philipa.

Z jednej strony, mogła czerpać pociechę z faktu, że znajduje się w otoczeniu rzeczy, które należą do Jacka, z drugiej jednak - wiedziała, że mieszkając tu, w jego domu, odsuwa tylko to, co siłą rzeczy - nieważne, czy Donovan przyjedzie na Manhattan czy nie - będzie bardzo bolesnym rozstaniem.

Joanna zawsze bardzo szanowała cudzą prywatność, a jednak tego wieczoru nie potrafiła się oprzeć pokusie.

Obešla całe mieszkanie; zajrzała

ła nawet do sypialni i łazienki Donovana.

Przyzwyczała się do praktycznej surowości wyposażenia obu jego domów, lecz te dwa pomieszczenia wydały jej się niemal ascetyczne w swym charakterze.

Chociaż Donovan przyjeżdżał na Manhattan po przyjemności i był typem człowieka, który lubił od czasu do czasu poczuć wokół siebie luksus, niemniej te pokoje, rozmyślała Joanna, przede wszystkim odzwierciedlały fakt, że mieszkaw nich człowiek niewidomy, który przynajmniej w dużej części zdany jest sam na siebie.

Przyzwyczajwszy się widzieć go w Gilead Farm w otoczeniu opiekuńczych przyjaciół, nieoczekiwanie dzięki tej pustce wokół uświadomiła sobie z całą siłą, jak często Jack musi czuć się wyizolowany.

To nie prowadzi do niczego dobrego.

Wyszła z sypialni, nalała sobie jeszcze jeden kieliszek wina i - w nadziei, że uśmierzy trochę narastający emocjonalny zamęt - zasiadła nachwilę w bibliotece Donovan.

Brajl, jak zwykle, stanowił dla niej spore wyzwanie, ale na jakiś czas zaabsorbowały ją książki z anatomii i osteologii, bo teraz lepiej rozumiała, jak bardzo ważna dla skrupulatnej i drobiazgowej pracy rzeźbiarza jest znajomość ludzkiego szkieletu i mięśni.

Na frontyście jednej z najpiękniejszych książek widniała napisana odręcznie dedykacja od Lamba: "Memu bardzo drogiemu przyjacielowi ten skromny podarek - wraz ze wszystkim, czym jeszcze mogę go wesprzeć".

Joanna odłożyła książkę na miejsce i poszła z powrotem do pokoju dziennego, a tam, między rzeźbami Walta i Grety Donovan, stał gliniany kot Lamba.

Murdoch Lambert wszechobecny, nawet tutaj.

A przecież nie widziała żadnej rzeźby, która przedstawiałaby samego Lamba.

Natomiast tu, na stoliku do kawy, stoi jej własna głowa dłuta Donovan.

Joanna wzniosła ku niej kieliszek, a potem odwróciła się stronę kota.

Przez myśl przemknęło jej coś, co słyszała w niezliczonych amerykańskich

filmach.

- Możesz pęknąć z zazdrości, Murdoch - powiedziała na głos.

Cały następny ranek minął jej na telefonowaniu do Waszyngtonu orazna wizycie w biurzeBritish Airwaysprzy Piątej Alei, gdzie starała się załatwić przelot do domu.

Problem polegał natym, że jedyne wolne miejsca na lot do Londynu znalazłyby się w ciągu najbliższych kilku dni,a Joanna była przekonana, że do tego czasu nie uda jej się uzyskać paszportu,zwłaszcza w tak ruchliwym okresie roku.

165.

W końcu znalazła się z powrotem na ulicy Pięćdziesiątej Szóstej i dopiero kiedy weszła pod dach przed wejściem do bloku Donovana, zauważyła mężczyznę w prochowcu.

-Tom!

- zawołała zaskoczona.

-Co ty tu robisz?

- Powiedziałem ci, że jeszcze się zobaczymy - odrzekł Oates.

- Gniewasz się?

- Oczywiście, że nie - zapewniła go z uśmiechem.

- Prawdę mówiąc,niemogłabym siębardziej ucieszyć.

- Parszywy ranek?

Wzruszyła ramionami.

- Irytujący.

Nic takiego, czego nie uleczyłaby filiżanka kawy w twoim towarzystwie.

Poszli do kafejki przy Szóstej Alei, hałaśliwego,tłocznojemiejsczemiejsca, gdzie przez chwilę stali, czekając na wolnemiejscza,zanim wskazanoim stolik dla dwojga przy jednym z okien.

- Co robisz w mieście?

- zapytałaraz jeszcze.

- Miałem kilkaspraw do załatwienia.

-A jak twoja noga?

-Zawiesiła głos.

- Już prawie nie kulejesz, prawda?

- Z dnia na dzieńlepiej - potwierdził, podnosząc w górę skrzyżowanepalce.

- Wygląda na to, że może obejść się bez kolejnej operacji.

- To wspaniała wiadomość - ucieszyła się Joanna.

Kelner przyniósł im kawę, a zaraz potem żytnią kanapkę z wołowiną dla Oatesa oraz kanapkę z tuńczykiem dla Joanny, więc przez kilka następnych minut zajadali z apetytem, rozmawiając swobodnie jak starzy przyjaciele. Joanna odczuła wyraźną ulgę, uświadomiwszy sobie, że choć rzeczywiście wydawało się, iż Oates uważa ją za atrakcyjną kobietę, nie ma między nimi seksualnego napięcia, które zbijałoby ją z tropu.

- Wiadomo coś nowego o tych zaginionych ludziach?

- Dlaczego przyszli ci do głowy akurat teraz?

- Nie wiem - odpowiedziała cicho.

- Chyba po prostu utkwili mi w pamięci.

- Urwała na chwilę.

- Może to z powodu zbliżających się świąt.

Myślałam, jakie to musi być straszne dla rodzin, kiedy nie wiedzą, co się stało.

Nie wyobrażam sobie nic gorszego.

- Gorsza może być tylko prawda - oświadczył cicho Oates.

Poczuła nagle lodowaty chłód.

- Co się stało?

- Nie chcesz wiedzieć - odparł.

- Pewnie nie wolno ci o tym rozmawiać - uświadomiła sobie Joanna.

166

- Właściwie nie.

- No to nie rozmawiajmy - odrzekła i dodała po chwili przerwy:

- Przepraszam, że zapytałam.

Tom jak gdyby powziął nagłą decyzję, rozejrzał się wokół i pochylił kunięj.

- Znalaziono szczątki - mówił tak cicho, że z trudem go rozumiała.

- Identyfikacja trochę potrwa, ale nie wygląda to dobrze.

Poczuła na ciele gęsiąskórkę.

- Czy to morderstwo?

- Nie ma wątpliwości.

- Oates odsunął się nieco.

- Tyle tylko mogę ci na razie wyjawić, Joanno.

Nawet tego nie powinienem był mówić.

Popatrzyła na niego ze współczuciem.

- Nie wiem, co przychodzi ci ciężiej: kiedy musisz pracować nad czymś takim czy kiedy nie pozwalają ci tego robić.

- Wiem, co masz na myśli.

Więcej już tym nie rozmawiali.

Pojawił się kelner, który sprzątnął puste talerze i zaproponował desery, lecz oboje stracili apetyt i choć stali

rali się zmienić nastrój, rozmawiając o różnych bez troskich drobiazgach, straszne słowo "szczątki" zawisło nad nimi jak mroczna chmura.

Oates jednak uśmiechnął się w końcu raz jeszcze, tuż przedtem, nim się rozstali u wejścia do kafejki, kiedy Joanna wspomniała o problemach, jakie napotkała, próbując zarezerwować miejsce w samolocie do domu.

- No to może będziemy cię tumieć jeszcze trochę dłużej.

- Tylko dopóki nie dostanę paszportu - oświadczyła.

- Potem zaczęła obdzwaniać wszystkie linie lotnicze.

-Może będę musiała zdecydować się na przesiadkę w którymś z europejskich miast.

- Jeśli miałabyś lecieć przez Rzym -powiedział Oates - będziesz musiała zarezerwować dwamiejsc.

-Marzysz o podróży do Rzymu?

- W odpowiednim towarzystwie - odparł.

Wybuchnęła śmiechem.

- Obiecuję ci znać, jeśli wypadnie mi lot przez Rzym.

-Umowa stoi.

Po lunchu poczuła dostatecznie duży przypływ energii by zmierzyć się przynajmniej z częścią bożonarodzeniowych zakupów' które sobie zaplanowała przed powrotem do domu.

Zdecydowała już, że wszystkim z Gilead Farm kupi książki: dla Murdochajakaś artystowską pozycję z górnej półki, wyrefinowaną książkę kucharską dla Pete'a oraz -jeśli

uda jej się znaleźć coś takiego -jakaś pięknie ilustrowaną książkę o tai chidla Chris.

Jeśli chodzi o Jacka, to nadalnie miała pojęcia, co mu kupić -wiedziała, rzecz jasna, że przy kupowaniu prezentów nie chodzi o to, abyprzewyższyć czyjś podarunek, ale co mogła mu dać takiego, co by równało się z prezentem, jaki jej podarował?

Będę wiedziała,kiedy to zobaczę - doszło do wniosku, wchodząc do księgarni Rizzoli przy Zachodniej Pięćdziesiątej Szóstej.

A tam oczywiście znalazła idealną książkę dla Szabo, w postaci tomu poświęconego kuchni rosyjskiej, z podziałem na regiony oraz ciekawie dobranymi anegdotkami.

Wybór prezentu dla Lamba, zgodnie z przypuszczeniami Joanny, okazał się znacznie trudniejszy.

Przez moment kusiła ją rzecz zatytułowana "Księga nowego realizmu neurotycznego", lecz ostatecznie zdecydowała się na monografię o Luce delia Robbia, doszedłszy do wniosku, że renesans to temat bezpieczniejszy niż świat sztuki współczesnej.

Donovan może sobie uważać, że ego Murdocha jest mało rozbudowane, niemniej Joanna nadal miała co do tego spore wątpliwości.

Nie znalazłszy nic odpowiedniego dla Chris Chen, wyszła z księgarni ponieważ przekonała się, że jest w nastroju na oglądanie wystaw, ruszyła na wschód ulicą Pięćdziesiątą Siódmą, mijając po drodze Piątą Aleję jak również niektóre z najelegantszych, a przy tym koszmarnie drogich butików oraz domów handlowych, jakie kiedykolwiek nawinęły jej się przed oczy.

Zaduzo tego, doszła do wniosku i skreśliła w Madison.

Tutaj natomiast dopadły ją wspomnienia: najpierw o pierwszych ćwiczebnych spacerach, jakie odbyła z Donovanem i Sophią po tej subtelnej acz wyrafinowanej alei, a potem wspomnienia z czasów o wiele wcześniejszych, o tym jak Philipowi podobały się górne rejony Madison, niedaleko Galerii Guggenheima.

Gdzieś wysoko w górze, naddrapaczami chmur i ścieżkami helikopterów niebo zaczęło się zaciągać ciemnymi chmurami.

Pięćdziesiąt procent szans na opady - przypomniała sobie telewizyjną prognozę pogody z dzisiejszego ranka.

Pewnie deszcz, pomyślała, choć miała nadzieję, że to będzie jednak śnieg.

Po tej samej stronie ulicy, choć o przecznicę dalej, zbliżała się ku niej jakaś starsza dama w ciemnym futrze z norek, która potknęła się i niemalnie upadła.

Joanna odruchowo ruszyła w jej kierunku, ale zaraz zwolniła kroku, gdyż zobaczyła, że z jednego z butików wyszedł mężczyzna w ciemnym płaszczu oraz kapeluszu i pośpieszył kobiecie z pomocą.

Podtrzymał ją, a starsza pani, która nie przestraszyła się ani nie zrobiła sobie krzywdy, podziękowała mu i zaraz ruszyła w swoją stronę, gdy tymczasem

ten mężczyzna zwrócił się w kierunku Joanny i przeszedł niespiesznie kilkakrotnie, by zatrzymać się znów przed jednym z budynków mieszkalnych.

To Murdoch Lambert.

Joanna zatrzymała się na sekundę, a potem ruszyła z wawszym krokiem w tamtą stronę.

Lambert rozmawiał z portierem wliberii,chybawymienili jakiś żart, a później Lamb zniknął w głąbidomu.

Dotarłapod daszekprzy wejściu, zajrzała do środka, ale nie było jużpo nim ani

śladu.

- Mogę w czymś pomóc, proszę pani?

- zapytał portier.

Joanna odwróciła się ku niemu.

- Ten pan, którydopieroco wszedł.

-Tak?

- Policzki miał zaczerwienione od chłodu.

- Chciałabym zamienić z nim słówko- z panemLambertem.

Portier zajrzał do środka.

- Wygląda na to, że udał się już nagórze.

;;,- Czy niewspominał przypadkiem, jak długo tam zabawi?

- Nie wspominał.

'Joanna wyczuła w jego głosie lekki ton dezaprobaty.

Uśmiechnęła się

do niego.

- Pewnie niemoże mi pan powiedzieć,kogotu odwiedza?

-Nie, proszę pani, raczej nie mogę.

- Portier był nadzwyczajuprzejmy.

-Jeśli pani sobie życzy, mogę zadzwonić na górę i zamienićz nimstówko- jeśli poda mi pani swoje nazwisko.

Joanna się zawahała.

Wyobraziła sobie, jak zareagowałby Lamb, gdyby muprzeszkodziła.

Zresztą, po co miałyby to robić?

Bo tak się zaprzyjaźnili, że nie mogłaby zrezygnować z okazji zamienienia z nim kilkustów, kiedy jest w mieście?

Raczej nie.

- Nie, nie trzeba - odpowiedziała portierowi.

- Niechciałabym mu
przeszkadzać.

- Czy życzy sobie pani zostawić jakąś wiadomość?

Zastanawiała się nad tym przez chwilę, doszła do wniosku, że to nie zaszkodzi.

- Dobrze - odrzekła.

- Kiedy pan Lambert zejdzie, proszę mu powiedzieć, że pani Guthrie widziała, jak tu wchodził, i prosiła, żeby przekazać mu pozdrowienia.

- Pani Guthrie - powtórzył mężczyzna.

- Doskonale, proszę pani

Zostawię mu wiadomość - dodał - na wypadek gdyby nie wszedł już dziś po południu.

169.

Joanna podziękowała i zawróciła w stronę, skąd przyszła.

Początkowo miała zamiar iść dalej, pogapić się na wystawy, a może wstąpić do galerii lub dwóch, lecz nie wiadomo dlaczego widok Lamba zupełnie ją dezorientował.

Ostatnia uwaga portiera także zbiła ją z tropu.

Dlaczego goście miałyby wyjść tego samego popołudnia?

Chyba że Lamb nie jest tutaj tylko gościem?

Rozmyślając nad tym wszystkim, minęła butik ze ślicznymi ubrankami dla dzieci.

Nie przypominała sobie, aby Donovan czy ktokolwiek inny wspominał o tym, że Murdoch ma mieszkanie w mieście.

A skoro już tymczasem, to potych kilku tygodniach ona nadal nie miała zielonego pojęcia, gdzie właściwie mieszka Lamb.

Nie twój interes - upomniała sama siebie, czekając na zielone światła na przejściu dla pieszych przy ulicy Sześćdziesiątej Pierwszej.

Niemniej ta sprawa wzbudziła w niej żywą ciekawość.

Wszelkiemuśli o Lambie orazo tym, czy ma on mieszkanie na Manhattanie, pierzchnęły natychmiast z jej głowy, kiedy w niecałe dwie minuty po wejściu Joanny do mieszkania rozdzwonił się telefon.

- No wreszcie - rzucił na powitanie Donovan.

- Próbowales się do mnie dodzwonić?

- Ciepło, które rozlało się po jej ciele, niewiele miało wspólnego z doskonale działającym centralnym ogrzewaniem.

- Około pięciu razy, a to tylko dzisiejszy wynik.

-Zostawiłeś jakieś wiadomości?

- Przemknęło jej przez głowę, że być może nie opanowała należycie obsługi automatycznej sekretarki.

- Wiesz, że nie lubię gadać domaszyn.

-Nie wiedziałam- odrzekła Joanna i po raz kolejny pomyślała, jak niewiele onim wie.

- Tak czy owak, cieszę się, że wreszcie udało ci się mnie zastać.

Czy Chris przekazała ci moją wiadomość?

Zawahał się na ułamek sekundy.

- Chybanie, ale po wyjściu z pracowni czekała na mnie spora kupka notatek.

W Gilead Farm lojalność obowiązuje w obie strony, pomyślała cierpko.

Chen najwyraźniej nie przekazała wiadomości, którą Joanna zostawiła dla Jacka po otwarciu paczki.

Przypomniała sobie, że Chinka rozmawiała z nią stosunkowo chłodno.

- Joanno?

- przypomniał się Donovan.

-Jesteś tam jeszcze?

- Myślałam o twoim podarunku - wyjaśniła szybko.

170

- Podobał ci się?

-Nie wydaje mi się, by słowo "podobał" naprawdę oddawało stan moich uczuć.

- A więc podobał ci się.

- Słyszała po głosie, że jest mu przyjemnie.

- To najśliczniejszy prezent, jaki kiedykolwiek dostałam - powiedziała miękko.

- I nie chodzi nawet samo dzieło, tylko o to, że poświęciłaś mi tyle czasu.

I przerwała swoją prawdziwą pracę.

- To tylko pragnąłem robić - Donovan łagodnie wszedł jej w słowo

- po tym jak.

Joanna uśmiechnęła się, wyczuwając jego nagłe onieśmienie.

- Kochaliśmy się?

- Tak - potwierdził.

- Nagle tylko to zapragnąłem zrobić - musiałem to robić.

Nie jestem tylko pewien, czy zdołałem oddać ci sprawiedliwość.

- Wierz mi, Jack - zapewniła - udało ci się znacznie więcej.

Nastąpiła kolejna chwila ciszy.

- Mógłbym jutro przyjechać do miasta - odezwał się wreszcie - gdybyś nie miała nic przeciwko temu.

- Bardzo bym chciała.

- Czy zamówiłaś już bilet?

- Nie, jeszcze nie.

- Dobra.

W takim razie zobaczymy się z tobą jutro.

- My?

- Tylko ja i Sophia.

- Miałam nadzieję, że to właśnie chcesz powiedzieć.

Niecałe dwie godziny później Joanna niosła z kuchni do pokoju dziennego obiad złożony z sałatki z kurczaka oraz kieliszka białego wina, kiedy potknęła się przyniesioną z księgarni torbę z książkami, upuściła

tacę i zatoczyła się na szafkę, na której stały dwie rzeźby z brązu
Donovana oraz figurka Lamba.

Wciąż jeszcze przytrzymała się szafki, by nie upaść, gdy usłyszała
okropny trzask tłukących się przedmiotów - i bez patrzenia wiedziała, że
choć upuściła talerz i kieliszek, dźwiękiem, który przeszył jej splot
słoneczny jak mały toporek, był łoskot rozbijającego
się glinianego koka.

- Cholera!

- rzuciła na głos, nie śmiejąc nawet spojrzeć.

Zmusiła się, by spojrzeć na podłogę.

Rzeźba rozpadła się na cztery części; przód walał się w kawałkach kurczaka,
ogon zaś nasiąkał winem.

- O jasna cholera.

- powtórzyła.

171.

Opadła na kolana, starając się ominąć rozbite szkło, lecz naprawdę martwił ją tylko kot, a raczej to, co z niego pozostało.

Przyjrząwszy się bliżej, zaskoczeniem przekonała się, że znacznie więcej, niż mogłaby się spodziewać.

Podczas jedynych zajęć, w jakich wzięła udział w szkole

Donovana, zdążyła się co nieco dowiedzieć o

zbrojeniach, wykonywanych zazwyczaj z drutu, które stanowiły "szkielet" wielu rzeźb.

Dlatego czuła się tym bardziej zaskoczona, kiedy odkryła, że szkielet kota napierwszym rzut oka wyglądał na wykonany z prawdziwych kostek, połączonych za pomocą drutu.

Przez kilka chwil Joanna wpatrywała się w rozrzucone fragmenty, zadziwiona zawilóściami konstrukcji, jakiej nawet niewyobrażała sobie wewnątrz rzeźby.

- Tyle pracy - mruknęła.

Przez nią zniszczonej.

Skoro Lamb już wcześniej jej nie lubił, to nawet nie mogła sobie wyobrazić, co będzie czuł, kiedy się o tym dowie.

35

Piątek, 18 grudnia '

- Wypadki zdarzają się każdemu, Joanno.

- Wypadek to był ten talerz i kieliszek, Jack - a to jest prawdziwa katastrofa.

- Nie skaleczyłaś się?

- Nie, już mówiłam, że nie.

- Nie zrobiłaś sobie krzywdy, kiedy upadłaś?
- Nawet nie upadłam, straciłam tylko równowagę.
- No to nie ma żadnej katastrofy, prawda?

Joanna popatrzyła z żalem na nieszczęsne szczątki glinianego kota, które poukładała nastoliku do kawy na najmniejszej szmatce, jaką udało jej się znaleźć.

- Wątpię, czy Murdoch powie to samo.
- Nic mu nie będzie z tego powodu.
- Czy ktoś kiedykolwiek zniszczył któreś z twoich dzieł?
- Oryginały często ulegają różnym zniszczeniom w odlewni.
- Ale czy ktoś kiedykolwiek zniszczył całkowicie któreś z twoich

dzieł?

-nie ustępowała.

172

- To się nie zniszczyło całkowicie, Joanno.
- Nieodpowiedziałeś na pytanie.

Donovan się uśmiechnął.

- Nie, nigdy.
- Więc nie potrafisz powiedzieć, jakbyś się wtedy czuł, prawda?
- Chyba nie - przyznał.

Joanna przyciągnęła go natychmiast na miejsce katastrofy, niemal tuż po tym, gdy wraz z Sophią stanął pod drzwiami mieszkania, a pies nieskończył jeszcze swych radosnych powitań.

Ponieważ w nocy prawie niezmrużyła oka, wiedziała już, że nie będzie miała chwili spokoju, dopóki niewyzna Jackowi swęj zbrodni przeciwko Murdochowi Lambertowii światu sztuki.

Donovan zareagował ze spokojem i w jak najlepszym stylu, niemniej Joannie zdawało się, że dostrzegła na jego twarzy przelotny skurcz, kiedy po raz pierwszy położył palce na tym, co pozostało z figurki, tak jakby zniszczone dzieło sztuki sprawiło mu fizyczny ból.

- A właściwie - powiedział teraz, badając z czułością potrzaskane kawałki - wydaje mi się, że można to będzie naprawić.

- Czy to możliwe?

- zapytała Joanna z niedowierzaniem.

- Do pewnego stopnia chyba całkiem możliwe.

Znam na północy stanu faceta, który potrafi czynić cuda z takimi kawałkami.

- Musisz pozwolić mi za to zapłacić.

- Oczywiście.

- Donovan odnalazł końce miękkiej szmatki i zaczął starannie zawijać w nią fragmenty rzeźby.

- Może powinienś podać mi jego numer telefonu?

- zasugerowała Joanna.

- Po co?

- Jakoś nie chce mi się wierzyć, że prześlesz mi rachunek.

- A może poczekamy i zobaczymy, co powie?

- Dobrze - zgodziła się Joanna.

Wzięła głęboki wdech i zapytała: - Czy Lamb jest dzisiaj na farmie?

- Wydaje mi się, że ma zajęcia.

Dlaczego pytasz?

- Muszę do niego zadzwonić i powiedzieć mu, co zrobiłam.

- Nie matakiej potrzeby.

- Oczywiście, że jest.

- Joanna się skrzywiła.

- Tak czy owak, chcę to zrobić teraz, póki jeszcze mam odwagę.

Wstała, by ruszyć do telefonu, ale Donovan delikatnie złapał ją za lewą rękę.

- Mam lepszy pomysł.

Dlaczego nie powiedzieć Lambowi, że to ja

rozbiłem kota?

173.

Joanna nie uczyniła nic, by uwolnić rękę.

- Bo tego nie zrobiłeś.

-I co z tego?

-Uśmiechnął się.

- Jestem niewidomy, Joanno- a ślepcy wciąż coś przewracają.

- Ty nie przewracasz Lamb otym wie.

-Przewracam, kiedy jestem pijany.

- Rzadko kiedy bywasz pijany.

- Nie ruszałaś z miejsca, bo przyjemnie byłoczuć jego dłoń na swoim nadgarstku.

-To głupota, Jack.

Niejestem dzieckiem, nie trzeba mnie chronić przedgniewem Lamba.

- Nie będzie się gniewał - odrzekł Donovan.

- Lamb jestznaczniemniej egoistycznym artystą, niż mogłabyś sobie wyobrazić, Joanno.

-Pociągnął ją delikatnieza rękę, przysuwając bliżej do siebie.

- A terazmieńmy temat.

- Naprawdę powinnam do niego zadzwonić.

-Później.

- Głos Donovana nagleprzybrał głębszy, lekkomatowyton.

-Kiedyskończę ci opowiadać, jak bardzoza tobą tęskniłem.

Joanna przymknęłaoczy i poczuła, że uniósłjej rękę do warg.

Nieufała własnemu głosowi, więc nie odezwała sięanistowem.

- Ty też za mną tęskniłaś, prawda?

- zapytał.

- Trochę - odrzekła niemalszeptem.

-Pokażesz mi?

Gdzieś zanimi Sophia poruszyła się niespokojnie i zaskamlała.

- Ciągłe ma na sobie uprząż - powiedział Donovan.

-Powinieneś ją z niej zdjąć.

- Za chwileczkę.

- Pociągnął ją do dołu, także usiadła mu na kolanach.

-Dopiero jak sprawdzę, co będę zdejmował z ciebie.

Puścił rękę Joanny i obiema dłońmi leciutko przesunął po jej swetrze, niemal nie zwalniając ruchu na piersiach, a jednak to leciutkie dotknięcie sprawiło, że oboje gwałtownie wciągnęli powietrze, jednocześnie tknięcie nagłym i silnym pożądaniem.

- Angora i jagnięca wełna -oznajmił lekko ochrypłym głosem i przesunął ręce niżej.

- Wełniana spódnica.

-Uśmiechnął się, natrafiwszy na okryte rajstopami uda.

- Krótka.

- Jack?

- odezwała się Joanna.

- Uhm?

- Nie przerywał badania.

- Możebyś zdjął Sophii uprząż, żeby mogła się odprężyć?

-A potem?

- A potem pójdziemy do łóżka.

174

Za pierwszym razem, w pracowni, kierował nimi czysty głód;

owładnął ich umysłami i ciałami, zmuszając oboje do zwałenia się na twardą podłogę, gdzie się nawzajem posiadli.

Tym razem było nieporównanie inaczej.

Głód niezniknął - a nawet się wzmógł - lecz tym razem towarzyszyła mu świadomość, że mają dość przestrzeni i czasu, a także komfortowy materac pod sobą.

W wypadku Joanny dodatkowo doszło do fascynującego uczucia, że kocha się z mężczyzną, którego całym życiem z konieczności kierują jego własne zmysły.

Nikt nigdy nie dotykał jej ani nie poznawał w taki sposób.

Pieścił ją, obsypywał pocałunkami całe ciało; a poza tym zdawał się ją smakować, wdychać.

Kiedy dokonywał swych odkryć, przemawiał do niej łagodnym, zadziwionym szeptem.

Wiedział dokładnie, gdzie tego dnia musnęła skórę perfumami, gdzie tego ranka użyła zasyпки dla niemowląt.

- Jakiegoś koloru?

- wymruczał, muskając ustami włosy na jej łonie.

- Ciemniejsze od twoich włosów?

Jaśniejsze?

Joanna uśmiechnęła się w stronę sufitu.

- Odrobinę ciemniejsze.

- A wnętrza twoich ud.

- Usta powędrowały niżej.

- Mmm.

Mleczne .

czy kremowe?

Muszę wiedzieć.

Powiedziała mu, że są jasno kremowe, a potem - zwalczywszy pokusę, by tak po prostu leżeć i zachwycać się każdą chwilą, każdym dotknięciem jego rąk i języka - zaczęła oddawać mu pieszczoty.

- Czy wiesz- spytała, oplatając go sobą -jak cudowne masz ręce?

Ujęła lewą dłoń Donovana, przeciągnęła wargami po kostkach palców, a potem wsunęła w ustawskazujący środkowy palec i zaczęła ssać delikatnie.

Usłyszała głęboki jęk.

Puściła rękę Jacka i przesunęła usta na jego ramieniu, przeciągnęła dłonią po zagięciu łokcia imięśniach ramion, a następnie zeszła niżej, na pierś.

- Powiedz mi - odezwał się -jak wyglądam w twoich oczach.

- Urwała moment i przez jedną króciutką chwilę poczuła bijące od niego napięcie.

- Nie widziałem siebie odtak wielu lat.

Joanna pochyliła się nad jego brzuchem i złożyła na nim pocałunek.

- Wstydzę się powiedzieć, jak cię widzę- szepnęła.

- Może jestem zanadto.

angielska.

- Proszę cię - nalegał.

- Proszę, moja najdroższa Angielko, powiedz mi.

Uniosła głowę i spojrzała mu w twarz, pozwalając oczom nasycić się do woli.

- Pięknie - odrzekła bardzo cicho.

- W moich oczach wyglądasz pięknie, Jacku Donovan.

175.

Poprzednio, w pracowni, wszedł w nią szybko, prawie brutalnie - wtedy nie mogło się to odbyć inaczej, stanowiło część owego szaleństwa i bardzo jej się spodobało, naprawdę.

Lecz tym razem wsunął się w nią gładko, uważnie, długimi, wyważonymi pchnięciami, głębokimi, lecz delikatnymi.

I nawet tam, w najtajniejszych zakamarkach jej ciała zdawała się rozumieć wszystkie jej potrzeby, wiedział, jak została uformowana.

Czuła, że wtapia się w nią i przez chwilę miała wrażenie, że jest jedną z jego rzeźb - a może oboje stanowili część jakiegoś nowego dzieła, wtuleni w siebie, złączeni.

Poszukiwał tajemnych miejsc znalazł je, aż Joanna krzyknęła cicho już nie przestawała, wyginając się pod nim gwałtownie wciągając go głębiej; miała wrażenie, że trawia ją płomień, że zaraz się zapadnie.

A reszta świata odpłynęła gdzieś i zniknęła.

Potem przez długi czas leżeli jeszcze w łóżku, obejmując się swobodnie wśród tej wyjątkowej, pełnej spokoju mgiełki, jaka zdarza się tylko po najbardziej udanej miłości.

Rozmawiali o wszystkim o niczym, przeskakując z tematu na temat jak ptaki przysiadające na chwilę na źdźbłach zbóż, by dziobnąć kilkaziaren, zanim polecą dalej.

Joanna opowiedziała Donovanowi niespodziewanym pojawieniu się Oatesa i lunchu, który zjedli wspólnie; ściągnięta zazdrością twarz kochankarozbawiła ją, ale i sprawiła jej lekką przyjemność.

- Pewnie po prostu dalej robi to, o co prosiłeś go zaraz ponapadzie.

- Poprosiłem, żeby miał na ciebie oko - odrzekł Donovan.

- A dotąd zaprosił cię na kolację w Beekman Arms, przygotował dla was lunchu siebie w domu, a teraz zabrał cię na kawę.

Chyba nietakie procedury obowiązują w FBI.

- Ma zwolnienie lekarskie.

- Może już czas, żeby wracał do pracy.

Joanna zmieniła temat.

- Wczoraj widziałam też Lamba.

Na Madison Avenue.

- To niemożliwe.

- Donovan przeciągnął palcem po jej nosie i dotknął zagłębienia nad górną wargą.

- Naprawdę widziałam.

Wszedł do jakiegoś budynku.

- Sięgnęła po dłoń Jacka, przyciągnęła do ust i pocałowała.

- Czy ma mieszkanie w mieście?

- Lamb?

Jasne że nie.

- Potarła policzkiem o jej włosy.

- Boże, ależ twoje włosy pięknie pachną!

- Ty cały pięknie pachniesz - odrzekła.

176

Złączyli się w pocałunku, długim i delikatnym, lecz wciąż namiętnym, a potem Donovan przewrócił ją na bok i przycisnął mocno do siebie, także plecami dotykała jego piersi.

- Jak łyżeczki - powiedział.

- To chyba jedna z moich ulubionych pozycji odpoczynku, bonie widzisz

mnie wtedy taksamo, jak ja ciebie.

Poczuła nagłe ukłucie smutku.

- Nie smuć się - rzucił cicho.

-Nie smucesię - zapewniła go.

- Nie tak naprawdę.

- Nie pamiętam, abym kiedykolwiek czuł sięszczęśliwszy.

Ogarnęła ją fala wewnętrznego ciepła, która zaraz rozproszyła się nawspomnienieo tym, zema niedługo wracać do Anglii.

Nie myślo tym - nakazała sobie stanowczo i zwróciła myśli z powrotem ku Lambowi.

- Jestem pewna, że widziałam Murdocha - oznajmiła.

- Wyglądałnadzwyczaj elegancko, miał na głowie jeden z tych wspaniałych, staroświeckich kapeluszy - jak one się nazywają?

A, fedora.

Czy ma taki kapelusz?

-I zaraz mocno przygryzła wargę, uświadomiwyszysobie, jak głupie pytanie zadała.

- Nic się nie stało.

-Znówczytał jej w myślach.

- Lamb prawie zawszepokazuje mi wszystkie swoje ubrania.

Lubi, kiedy wyrażam aprobatę.

-Donovan się uśmiechnął.

- Sam bywa dość zjadliwy, kiedyuzna, że mamwśród swoich rzeczycóś nieodpowiedniego.

- A więc tomógł być on?

- Joanna nie ustępowała.

- Chyba tak.

- Wtulił sięw nią głębiej.

-Ale czemu totaki wielki problem?

- To nie jest problem - wyjaśniła.

- Tylko że założyłam, iż kogoś odwiedza, ale potem portier powiedział coś, co kazało mi się zastanowić, czy przypadkiem tam nie mieszka.

I wtedy uświadomiłam sobie, że w ogóle wiem, gdzie on mieszka, nawet na wsi.

- Ma domek niedaleko farmy, na północ od Hyde Parku.

- Donovan ziewnął.

-Co byś powiedziała na małą drzemkę?

- Sopiapomyśli, że ją porzuciliśmy.

- Zamknęli przed psem drzwi odsypialni.

- Nic jej nie będzie - mruknął Donovan.

Przez chwilę czuła, że jego ramiona zaciskają się wokół niej jeszcze mocniej, potem jednak uchwyt się rozluźnił i wiedziała, że Jack zasnął.

Jestem całkowicie rozbudzona, pomyślała.

Nie mam najmniejszej ochoty spać.

Zaledwie kilka sekund później odpłynęła w sen.

12. Ślepa trwoga

177.

Oboje obudzili się w nastroju, który Donovan nazwał "spokojnym, lecz pełnym chęci do życia".

Wzięli taksówkę i pojechali wieczorem nadolny Manhattan, gdzie znaleźli stolik dla siebie i Sophii w Ear Inn -w barze, w którym podawano hamburgery, zupy i sałatki i do którego zaglądali mieszkający w pobliżu pisarze i poeci, a czasami mieli tu odczyty.

Tego wieczoru odczytu nie było, za to w tle pobrzmiwał jazz, a klienci grali w trik-traka i w karty.

Guinness lał się strumieniami.

- Pomyślałem, że tutaj poczujesz się jak w domu- odezwał się Donovan, kiedy już zamówili swoje burgery - i może przestaniesz tak bardzo śpieszyć się do powrotu.

Joanna się uśmiechnęła.

- Naprawdę trudno powiedzieć, że bym okazywała przesadny pośpiech.

-Ale przecież nadal zamierzasz wyjechać.

- Muszę.

-Dlaczego?

- Bo tam jest mój dom.

Tam mieszkam.

- To zostań przynajmniej do Bożego Narodzenia.

- Brzmiało to tak, jakby ta myśl dopiero co zawitała mu w głowie.

-Chyba do tego czasu poradzą sobie bez ciebie w Merlin Cottage, prawda?

- Jestem pewna, że Kit i Miriam obejdą się bez mnie znakomicie

-odrzekła Joanna.

- Ale to nie w porządku, że Fred będzie musiała zajmować się wszystkim sama.

- Nie mówię przecież o jakimś bardzo długim czasie - Donovan nieustępował.

- Boże Narodzenie już za tydzień.

- Uniósł szklanekę i pociągnął łyk piwa.

- Mogłabyś zostać do Nowego Roku.

Joanna wybuchnęła śmiechem.

- Jeśli nie uda mi się zdobyć miejsca w samolocie, równie dobrze mogę nie mieć innego wyboru.

-Mnie to odpowiada- odparł.

Podano im hamburgery, więc na moment zajęli się jedzeniem.

- Jest coś, o co zawsze pragnęłam cię zapytać - odezwała się Joanna między jedną frytką a drugą.

- Co Murdoch ma wspólnego z twoją pracą?

-Urwała na moment.

- Wiem, jak ważny jest dla ciebie jako twoje "oczy", wiem też o modelach, ale odniosłam wrażenie, że odgrywa w niejznacznie ważniejszą rolę.

- Och, to prawda.

- Donovan posłał jej nieco wymuszony uśmiech.

-Lamb nadal nie daje ci spokoju, co?

- Tylko dlatego, że wiem, jacy jesteście dla siebie ważni.

- Upiła łyk

178

jasnego piwa.

- Chciałabym lepiej zrozumieć twoje życie, Jack.

Jeśli chcesz ze mną o tym rozmawiać, oczywiście.

- Nie ma powodu, abymnie chciał.

Zamówił sobie kolejne piwo i opowiedział jej.

O tym jak poznał Murdocha Lamberta III na którymś z nowojorskich przyjęć i jak tamten pokazał mu niektóre ze swoich prac.

- Był niezłym artystą - mówił - ale największy talent wykazywał przy rzeźbieniu kości.

Zaczął od zwierząt.

Przekonywał weterynarzy, by pozwolili mu zbadać szkielety swoich martwych pacjentów.

Potem, kiedy dojrzał do tego, by przerzucić się na ludzi, przeprowadzał transakcje z ubogimi studentami medycyny i załatwiał sobie dostęp do starożytnych szczątków w muzeach.

Lamb, wyjaśniał Donovan, miał w swym dawnym mieszkaniu w Rhode Island szkielet, który poprzednio należał do Akademii Medycznej. Uczył się, jak rzeźbić każdą jego część, aż opracował cały układ kostny człowieka i nauczył się robić idealne kopie z żywicy.

- To wyjaśnia, skąd wzięły się kości w tamtej rzeźbie kota - odezwała się Joanna.

Donovan uśmiechnął się, rozbawiony.

- A ty myślałaś, że są prawdziwe?

- W każdym razie na takie wyglądały.

- Sama więc widzisz, jaki jest dobry.

I to właśnie dlatego, kiedy zaświtał mu w głowie ten pomysł, przyszedł z nim do mnie.

-Napił się guinnessa i otarł usta z piany.

- Moje "ciało i krew" na jego "kościach", tak toujał.

-Znów zamilkł na moment.

- Wiesz, co to zbrojenie?

- Druciana podstawa rzeźby.

-Lambowi przyszło do głowy, że dobrze byłoby sprawdzić, czy rzeźba nie wypadnie lepiej, jeśli, powiedzmy, stopę lubrękę obudować na podstawie z dokładnie oddanego "szkieletu" zamiast drutu.

- I to on miał wykonywać ów szkielet?

Jack przytaknął skinieniem głowy.

- Pomysł był taki, że on wyszuka temat, zaplanuje całość i stworzy konstrukcję kostną, a później ja przejmę dzieło i będę pracował dalej.

Martwiłomnietylko, że jeśli się zgodzę, praca Lamba zostanie pogrzebana we wnętrzu mojej.

Nie sądziłem, aby wystarczyło przyznać, ile mu zawdzięczam - trzeba, aby jego wkład także był widoczny.

- Pokręcił głową.

-Ale Lamb o to nie dbał.

Nawet nie chciał, żebym ujawnił jego współudział.

Uważał, że liczy się tylko to, co osiągamy wspólną pracą.

Mówię ci, Joanno, nie spotkałem jeszcze dotąd artysty, utalentowanego

czy nie, z tak mało rozbudowanym ego i tak wielkodusznego.

Murdoch Lambert jest naprawdę typem skończonego artysty, obchodzi go tylko efekt końcowy.

- I to się sprawdziło - Joanna nie mogła się oprzeć podziwowi.

- Właśnie tak, jak przewidywał.

Tak więc obaj, ciągnął Donovan, zaczęli wspólnie się poruszać w swoim świecie.

Widzący wychwytywał wszystko, co piękne, uderzając lub niezwykle i opisywał to z najdrobniejszymi szczegółami ślepego.

Nieco później Lamb przedstawił mu podstawę pod ich pierwsze wspólne dzieło, a wtedy Jack odkrył trzeci aspekt niezwyklej wyobraźni swego partnera.

- Dał mi wtedy te zdumiewająco skomplikowane kości, żebym mógł ich dotknąć, zapoznać się z nimi i powiedział: "To ręka robotnika rolnego".

Potem przypomniał mi mężczyznę, którego widzieliśmy pracującego w polu parę miesięcy wcześniej.

- Twarz Donovana była pełna zachwyty, nawet kiedy tylko o tym opowiadał.

- Lamb pamiętał każdy najmniejszy detal wyglądu tego faceta, więc wszystko stało się dla mnie wyraziste i żywe.

- Wydaje mi się, że widziałam taką rzeźbę z brązu.

- W domu Meli Sandry?

- Donovan się uśmiechnął.

- Tak, to ta.

Jedzenie całkiem wystygło.

Joanna bawiła się przez chwilę resztą hamburgera, oddała część leżącej spokojnie pod stołem Sophii, a potem starannie złożyła nóż i widelec na środku talerza.

- Od czasu do czasu zastanawiam się - zaczęła ostrożnie - czy Lambcię kocha.

-Chyba tak- odparł spokojnie Donovan.

- W pewnym sensie.

- Myślisz, że może być w tobie zakochany?

Uśmiechnęła się lekko.

- Chris powiedziała mi kiedyś, że tak właśnie sądzi.

-A co jej odpowiedziałeś?

- Że jest w błędzie.

Lamb i ja zawsze byliśmy przyjaciółmi i współpracownikami, nikiem więcej.

- Urwał na moment.

-Przyznaję, że przez jakiś czas gnębiłam się myślą, że może to rodzaj uwielbienia dla idola, ale w końcu zdałem sobie sprawę, że to tylko zarozumiała śpiewka mojego.

Lamb zna swoją wartość, Joanno.

Obaj jesteśmy rzeźbiarzami, każdy z nas ma swój odrębny, specyficzny dar i znaleźliśmy sposób, żeby je połączyć.

Razem tworzymy całość, która po prostu jest lepsza od wszystkiego, co moglibyśmy działać osobno.

- Kiedy o tym mówisz, brzmi to tak rozsądnie i praktycznie - odrzekła.

-Bo takie jest.

180

Przeszli z Sophią kilka przecznic, zanim udało im się złapać taksówkę, która zawiozła ich do domu.

Po drodze Donovan znów nastawał, aby Joanna przynajmniej rozważyła możliwość pozostania w Stanach na okres świąt, jeśli niedo Nowego Roku.

Całowali się trochę natylnym siedzeniu taksówki, ale pies wciskał się pomiędzy nich i tak bardzo ich rozśmieszał, że kierowca zaczął się za często oglądać przez ramię.

Kiedy dotarli do domu, nie tracąc czasu, poszli prosto do łóżka.

- Jak długo możesz zostać?

- zapytała Joanna około trzeciej w nocy.

- Muszę jutro wracać - a właściwie dziś.

Zadowolenie, które dotąd ją spowijało, ulotniło się nagle jak kamfora.

- Dziś?

Słyszał rozczarowanie w jej głosie i czuł, jak całe jej ciało zrobiło się sztywne.

- Przykro mi, że zakłóciłam twój twórczy tok.

- Wysunęła się z jego objęć.

- Chciałem być z tobą.

- Był wyraźnie skonsternowany.

- No i byłeś.

- Nagle poczuła się nieszczęśliwa, wykorzystana i naiwna, więc odruchowo zapragnęła go ukarać.

- A więc teraz możesz popędzić z powrotem do pracy.

Nowi więc jaki masz teraz plany, Jack?

Czy powinnam zostać tu, w twoim mieszkaniu, dokończyć świąteczne zakupy, a potem grzecznie ruszyć truchtem za tobą do Gilead Farm, żeby wziąć udział w kolejnym radosnym obiedzie świątecznym z rodziną?

Donovan się nie odezwał.

- Przepraszam - rzuciła sztywno.

- Zachowuję się egoistycznie.

- Wcale nie - odrzekł spokojnie.

- Ale jeśli chciałaś, żebym się poczuł jak najnudniejszy robak, to ci się udało.

- To już coś.

Niewiele, ale zawsze coś.

Znow zapadło milczenie.

- Teraz to naprawdę nie wiem, co powiedzieć - odezwał się wreszcie Donovan.

- Jeśli zdecyduję się zostać jeszcze dzień lub dwa, uznasz, że traktuję cię protekcyjnie, a jeśli wrócę do pracy, pomyślisz, że przyjechałem tu tylko na szybki numer.

- Nie, nie pomyślę.

- Usiadł w niewielkim oddaleniu, owijając się prześcieradłem, bo w pokoju panował lekki chłód.

- No dobrze, może tak pomyślę.

- Zawahała się.

- Jack, ja naprawdę nie przywykłam.

Oddawna znikim nie byłam.

- Ja także.

W pierwszej chwili instynktownie mu nie uwierzyła.

Milczała.

- Czy w twoim życiu był ktoś pośmierci Philipa?

- Jeden mężczyzna, bardzo przelotnie - odpowiedziała, - Nasz zwią181.

zek opierał się na wspólnym żalu.

Niezbyt dobra podstawa.

- Uśmiechnęła się smutno.

- Niezbyt - zgodził się.

Odszukał jej dłoń i złapał ją w mocny uścisk.

- Gdybym powiedział, że jadąc tu z farmy, nie miałem żadnych nadziei na to, że będziemy kontynuować to, co tam zaczęliśmy, byłbym cholernym kłamcą.

Ale głównie chodziło o to, iż nie mogłem znieść myśli, że już nigdy więcej nie będę z tobą.

Odczekała chwilę lub dwie.

- Cieszę się, że przyjechałeś.

W ciemnościach dało się wyraźnie wyczuć wewnętrzne napięcie Jacka.

- Joanno, czy przynajmniej zastanowisz się nad tym, by zostać doświąt?

Nie musimy jechać na farmę, jeśli nie chcesz.

- Jestem pewna, że Pete urządzi cudowne święta.

- Wstydziła się teraz swojego poprzedniego wybuchu.

- Nie chcę mu ich zepsuć, ani tobie.

- Jeśli zgodzisz się przyjechać - powiedział Donovan cicho - zrobisz to zewzględną mnie.

- Czy kiedykolwiek zostajesz w mieście na święta?

- zapytała.

- Odkąd mam farmę.

Ale zostałbym, gdybyś zgodziła się nie wyjeżdżać.

- Urwał.

- Cholera, pojechałbym do Anglii i spędził święta z tobą w Merlin Cottage, gdyby niekwarał.

Nie chcę zostawiać Sophii s.

mej.

- To oczywiste.

Sama nie chciałabym, żebyś to zrobił.

- Joanna położyła się powrotem na poduszce.

- Jedź dziś do domu, Jack.

Zapomnij to, co powiedziałam.

Zastanowię się nad świętami.

- Jesteś pewna?

- Absolutnie pewna.

Wciąż się wahał.

- To właściwie nie jest tok pracy twórczej, jak to określiłaś.

To cały proces.

Nie jest dobrze porzucać go na dłużej.

- A ty już dwa razy przerwałeś go z mojego powodu.

Uściskał mocniej jej dłoń.

- Ze swojego powodu.

36

Sobota, 19 grudnia

Ranek obudził ją, przynosząc na tacy kawę i grzanki.

Jak zawsze zaimponował Joannie pewnością, z jaką poruszał się po swoim mieszkaniu.

- Jak dawno już nie śpisz?

- W pokoju panował półmrok, bo żaluzjennadal były opuszczone, lecz mimo to widziała, że miał na sobie grubysweter i dzinsy.

- Od jakiejś pół godziny.

- Pochylił się i pocałował najpierw jej włosy, potem usta.

- Sophia trochę już się wierci.

Włożyłem jej uprząż, zaraz wychodzimy.

- Mogłabym pójść z wami - zaproponowała Joanna.

- Nie, zostań w łóżku - odpowiedział.

- Zjedz w spokoju śniadanie, zrelaksuj się.

Trochę mnie nie będzie, bo chyba skoczymy do parku.

- Uważaj na siebie.

- Skrzywiła się lekko.

- Pewnie tego nie znosisz?

- Że się mnie troszczysz?

- Pokręcił przecząco głową.

- Nie, zupełnie mi tonie przeszkadza.

Wyszedł z pokoju.

Joanna jeszcze na chwilę opadła na poduszki, potem jednak doszła do wniosku, że musi iść do łazienki, odstawiła wiertacę i wstała.

Podeszła do okien i rozsunała żaluzje.

Na zewnątrz padał śnieg.

Spoglądając z wysokości piętnastego piętra, zobaczyła, iż padana tyłe intensywnie, że ludzie mają na sobie czapki, długie płaszcze i zimowe buty.

- Jack!

- zawołała, pragnąc go uprzedzić.

- Na dworze jest prawie śnieżyca, a

Usłyszała, że drzwi na korytarz otwierają się i zamykają, wybiegła więc do przedpokoju.

- Jack!

- zawołała jeszcze raz, otwórz drzwi wyjściowe.

Kwadratowy korytarzyk był pusty, a winda zjeżdżała już nadół.

- A niech to!

- mruknęła pod nosem.

Już miała się odwrócić, kiedy zauważyła na wskaźniku, że winda minęła parter i zjeżdża do piwnicy.

Przystanęła, zastanawiając się, czy nie popełnił jakiegoś błędu, i poczekała, żeby zobaczyć, czy nie wjedzie z powrotem na parter, winda jednak ruszyła od razu na trzecie piętro.

Joanna weszła z powrotem do mieszkania.

Donovan mógł mówić, że lubi, jak ona się o niego troszczy, ale nie przypuszczała, aby był zachwycony, gdyby popędziła sprawdzić, czy wszystko porządku, skoro zostawił ją ze śniadaniem w łóżku.

Była właśnie w niewielkiej kuchni, gdzie zmywała po sobie talerz i filiżankę, kiedy usłyszała, że wrócili.

Wytarła ręce w ściereczkę i wyszła do przedpokoju, żeby ich powitać.

Jack akurat zdejmował Sophii uprząż.

- Witaj, moja piękna.

- Joanna pochyliła się, żeby pogłaskać psa.

- Udał się spacer?

- Bardzo - odrzekł Donovan.

183.

Joanna otoczyła ramionami szyję psa i przekonała się, że futro Sophii jest niezbyt wilgotne.

- Próbowałam was zawołać, kiedy wyszliście, żeby powiedzieć, że pada śnieg.

Donovan odwiesił uprząż na miejsce.

- Nie było tak źle.

Trzeba dużo więcej niż kilku płatków śniegu, żeby nas wystraszyć, prawda, Sophio?

- Pies pomachał ogonem i podszedł bliżej.

- A więc tak.

- Roztarł dłonie.

- Pomyślałaś, jak będzie świętami?

Joanna się wyprostowała.

- Tak.

- No i?

- Na jej twarzy wyraźnie widać było napięcie.

Właściwie aż do tej chwili nie była zdecydowana, wahała się najpierw podczas śniadania, a potem pod prysznicem, lecz wyraz twarzy Jacka przesądził o wszystkim.

Joanna właśnie zaczęła się zakochiwać w przystojnym, fascynującym mężczyźnie i nawet jeśli cała rzecz miałaby się zakończyć rozstaniem wśród łez, to śmierć Philipa nauczyła ją jednego: że należy korzystać ze szczęścia, póki trwa.

- Joanno?

Podeszła bliżej i dotknęła jego ramienia.

- Chciałabym zostać.

- Urwała nuchwilę, a później dodała: -1 z przyjemnością przyjadę na święta na farmę.

Jeśli gdzieś w głębi jej umysłu błąkały się jeszcze jakieś resztki wątpliwości, to wyraz twarzy Donovanu całkowicie wystarczył, aby ją przekonać, że postępujewłaściwie.

W niecałą godzinę potym, jak zjawił się Pete Szabo, aby zabrać rzeźbiarza i Sophie (Jack zapakował do torby fragmenty figurki Lamba, nalegając, by Joanna nie myślała o niej więcej, dopóki niezostanie dokonany szacunek strat), zadzwonił Tom Oates.

-Pomyślałem, że może zainteresuje cię wieść, że od poniedziałku wracam do pracy.

- Tom, to wspaniała nowina.

- Joannabardzo sięucieszyła.

- Byłaby jeszcze wspanialsza, gdyby powód, dla którego mnie ściągają, nie był tak ponury.

Przypomniała sobie, o czym opowiedział jejw czwartek.

- Czy dokonano już identyfikacji?

- Zawahała się.

-Nie odpowiadaj, jeśli nie powinienes.

- Dokonano.

Poczuła dziwną potrzebę, aby dowiedzieć sięczegoś więcej o tychokropnościach,choćsama nie bardzorozumiała, dlaczego.

184

- Czy jest wśród nich tadciewczyna z Red Hook?

Ta tancerka?

Przez chwilę nieodpowiadał.

- Na to wygląda.

- Zawiesił głos.

- Oficjalnie nie wolno nam jeszcze tym mówić, ale prasie i telewizja już krążą wokół nas jak sępy, więc prawdopodobnie będziesz mogła znaleźć co bardziej makabryczne szczegóły w jutrzejszych gazetach.

Poczuła nagły skurcz w żołądku.

- Makabryczne?

Oates westchnął ciężko.

- Zwłoki były okaleczone.

Nie chciałybyś wiedzieć więcej na ten temat.

- Znowu zamilkła chwilę.

- Joanno, nie słyszałaś o żadnym innym wypadku zaginięcia, prawda?

Mam na myśli kogoś, kto miałby jakieś związki ze szkołą Jacka Donovana lub z farmą.

Przez myśl przemknęła jej Alice Munro.

- Joanno?

Opowiedziała mu o staruszce.

- Ale mówiła, że wybiera się do Europy, więc by może poprostu pomyliłaś datę wyjazdu.

- To była staruszka?

- dopytywał się Oates.

- Według mnie miała ponad siedemdziesiątkę.

- Joanna poczuła na

ciele gęsią skórę.

- Wśród tych, których znaleźliśmy, nikt nie pasuje do takiego opisu

-oświadczył natychmiast.

- Bogu dzięki.

- Urwała na chwilę.

-Dlaczego już po raz drugi pytasz

mnie o farmę?

- Bez szczególnego powodu.

Nie mówił prawdy.

Joanna uświadomiła to sobie jasno i zaczęła się zastanawiać, czemu to robi, skoro o całej reszcie opowiadał tak szczerze.

Świadomość jego kłamstwa wprowadziła do rozmowy pewen element zakłopotania równie skutecznie, jakby nagle wtrącił się ktoś trzeci.

Zmieniła temat, nie chcąc prowokować Toma.

- Jack wpadł tutaj na jeden dzień z Sophią - powiedziała.

- Niedawno pojechali z powrotem.

-Zawahała się.

- Możliwe, że zostanę na święta w Stanach.

- Tutaj?

- zapytał Oates ostrożnie.

-Czy pojedziesz do Gilead Farm?

- Dostałam zaproszenie na farmę.

-Ach tak.

- Zawiesił głos.

-Będzie fajnie.

Kolejne kłamstwo.

Joanna nagle zapragnęła zakończyć tę rozmowę.

- A ty.

Tom?

- zapytała.

-Masz jakieś plany na święta?

185.

- Pewnie będę pracował.

To chyba dobrze, po tak długim okresie wolnego.

Rozmowa zakończyła się wreszcie kilkoma zdaniem o tym, że pozostaną w kontakcie, lecz Joanna wiedziała, że agenta nurtuje coś, czego ona nie może odgadnąć, to zaś wprawiało ją w zakłopotanie, a zarazem irytowało.

Może to po prostu, zastanawiała się, zwykła zazdrość o Jacka. Tyle że pierwsze kłamstwo padło, zanim wspomniała o wizycie Donovanai o decyzji pozostania w Stanach na święta.

Joannę trapiło lekkie poczucie winy z powodu tego, że nie powiedziała Tomowi wszystkiego, że od razu niewyjaśniła sytuacji, aby nie miał najmniejszych wątpliwości, że coś jest między nią a rzeźbiarzem. Jeśli Oates był nią zainteresowany, to nie w porządku trzymać go w zawieszaniu, a ona nigdy nie należała do kobiet, które lubią takie gierki. A jednocześnie to, co zaczęło się między nią a Jackiem, wciąż jeszcze znajdowało się w najwcześniejszym stadium i nie czułaby się dobrze, opowiadając o nich komuś trzeciemu.

Tak czy owak, pocieszyła się, ona i tak wraca niedługo do Anglii, a Tom powróci do swojej paskudnej pracy w FBI, więc dla niego pewnie będzie to wkrótce sprawa zamknięta i zapomniana.

Następny punkt wewnętrznej rozterki Joanny stanowiła zniszczona figurka Lamba.

Bez względu na to, co obiecał jej przed wyjazdem Jack, dalej była przekonana, iż mógłby powiedzieć Lambowi, że sam ją rozbił, zależało jej więc, aby w miarę możliwości uprzedzić wypadki.

Było jednak sobotnie popołudnie i mogło się okazać, że niełatwo będzie wytropić Murdocha przed Donovanem.

Wykręciła numer szkoły, zakładając, że nikogo nie ma i będzie mogła zostawić wiadomość dla Lamba i poprosić, żeby oddzwonił, lecz słuchawkę podniosła Chris.

- Jak się?

miewasz, Joanno?

- zapytała znacznie cieplejszym tonem niż ostatnio.

- Dziękuję, Chris, całkiem dobrze.

Znow pracujesz po godzinach?

- Wiesz, jak to jest - odrzekła Chinka, a po krótkiej pauzie zapytała:

- Dobrze się bawiliście z Donovanem?

Joanna niemal zdołała zapomnieć, jak niewiele mogło umknąć tej kobiecie.

- W tej chwili jest już w drodze do domu.

- Zawahała się.

- Murdocha pewnie nie ma dziś w szkole?

Chen potwierdziła.

Joanna zapytała, czy przypadkiem nie wie nic o tym, czy Lamb jest w Nowym Jorku, a Chris oświadczyła, że nic jej

186

o tym nie wiadomo, co więcej wydała się lekko zdziwiona tym pytaniem.

Joanna wyjaśniła więc, iż wydawało jej się, że widziałą go wchodzącego do budynku przy Madison Avenue, a Chris odparła na to, że jak Joannie wiadomo, Murdoch raczej jej się niezwierza.

- Czy mam przekazać jakąś wiadomość, kiedy go zobaczę?

- zapytała Chinka i zawahała się nieco.

- Ale to może być dopiero w poniedziałek.

Joanna zastanawiała się przez sekundę, doszła jednak do wniosku, że lepiej zrzucić ciężar z serca niż niepotrzebnie przeciągać sprawę.

- Niestety, zdarzyło mi się drobny wypadek i rozbiłam jedną z jej rzeczy.

- Którą?

- Tego glinianego kota.

- O rany.

- Reakcja Chris bynajmniej nie dodała Joannie otuchy.

- Wydaje mi się, że Jack może powiedzieć Murdochowi, że ton ją rozbił - brnęła Joanna - ale wolałabym wziąć odpowiedzialność na siebie.

- Czy to da się naprawić?

- Jack sądzi, że tak, ale ponieważ figurka jest w czterech kawałkach, nie bardzo mu wierzę.

- No to na twoim miejscu - oświadczyła Chen z cierpkim humorem - pozwoliłabym, aby Donovan nadstawił za ciebie karku.

- Jestem pewna, że nie, Chris - odrzekła ze śmiechem Joanna.

- Nie bądź taka pewna.

37

Po zakończeniu rozmowy telefonicznej z Joanną Tom Oates siedział przez chwilę, roztrząsając różne sprawy i starając się zrozumieć, co właściwie go trapi.

To znaczy poza tym, że ta Angielka o włosach jak z obrazów Prerafaelitów prawie na pewno jest zakochana w Jacku Donovanie.

Druga sprawa, która go nurtowała, miała coś wspólnego z mieszkańcami Gilead Farm.

A w szczególności z jednym z nich.

W zasadzie nie było czym zbytnio się podniecać - poza pewną szczególną chwilą, która zapadła Tomowi w pamięć tak jak tysiące innych nieważnych zdarzeń.

A jednak.

Zadzwoił do Poole'a i zastał go w biurze.

- Wiem, że wracam dopiero w poniedziałek, Gary, ale chciałbym, żebyś sprawdził dla mnie kilka rzeczy.

187.

Usłyszał znajome skrzypnięcie krzesła, a potem dobiegł go szelestprzekładanych papierów na wiecznie zagraconym biurku Poole'a.

- No to wal - odpowiedział przyjaciel.

Oates zaczął od sprawy mniejszej wagi.

- Niejaka AliceMunro zSchutzville.

Joanna Guthrie próbowała się z nią kilkakrotnie skontaktować, ale bezskutecznie, sądzi jednak, że staruszka mogła wyjechać na święta.

Pewnieto nic takiego.

- Co jeszcze?

-Murdoch Lambert.

- Lambert?

- Poole zamilkł na chwilę.

-Jeden z tych zGilead Farm?

- Ten, któregoDonovan nazywa swoimi oczami - potwierdził Oates.

-Dlaczego go sprawdzasz?

- Tak mnie coś męczy, wiesz?

Widziałemraz jedną zjego prac, kiedychodziłem na zajęcia w szkole Donovana.

Robił kości.

- Kości?

- Głos Poole'a zabrzmiałodrobinę ostrzej.

- Aha.

Nie maczym zbyttnio się podniecać.

Mówiono mi, że wielu artystów rzeźbi kości.

- Oateszamilkłna chwilę.

-Tylko że mnie to naprawdę zainteresowało, może z powodutej
mojej kolekcji, wiesz?

Tak więc próbowałem z nim otym pogadać, zapytałem, czy mógłbym ich
dotknąć, ale Lambertz miejsca mnie zmroził.

- Może to taki narwany typ artysty, co zawsze musi bronić swoich
dzieł?

-Może.

- Ale tobie się wydawało, że to coś świętej - odpowiedział Poole.

-Może- powtórzył Oates.

- A może nie.

38

Niedziela, 20 grudnia

W niedzielę rano Donovan zatelefonował jeszcze przed świtem.

-Wiem, że jest bardzo wcześnie - zastrzec się od razu - ale bałem się,
że później cię nie zastanę.

Joanna była zbyt zaspana, aby mu wypomnieć, że gdyby pamiętało
tym, aby zadzwonić poprzedniego dnia wieczorem, nie musiałby się teraz
usprawiedliwiać.

- U siebie w domu - powiedziała - pewnie karmiłabymy tej porzepsy
w Żłobku.

- Przeciągnęła się i stłumiła ziewnięcie.

-W Nowym Jorku się rozleniwiam.

188

- To dobrze - odrzekł.

Rozejrzała się po ciemnym pokoju.

- Śpię w twoim łóżku.

Nie masz mi tego za złe?

- Tak bardzo, że chyba już nigdy więcej nie zmienię pościeli.

Śpijdalej.

Joanna uśmiechnęła się, ale w tej samej chwili przypomniała sobie rozbitą figurkę.

- Czy rozmawiałeś już z Murdochem o tym kocie?

- Wydawało mi się, że miałaś się otonie martwić?

Poczuła leciutkie ukłucie irytacji.

- Powiedziałam wczoraj Chris o tym, co zrobiłam.

- Niepotrzebnie.

Przecież mówiłem ci.

- Proszę, przestańmi dyktować, co powinnam, a czego nie powinnam robić - rzuciła szybko.

- Wybacz - odrzekł Donovan.

- Kiedy przyjedziesz?

- Jeszcze nie wiem.

- Nie złość się już na mnie, Joanno.

- Nie złośczenię.

- Złagodziła ton.

- Nie powiedziałam, że nieprzyjadę, tylko że nie jestem pewna, kiedy.

Muszę zrobić trochę zakupów.

- Tylko że jazaraz idę do pracowni, a chciałbym załatwić jeszcze kilka spraw, zanim się tu zjawisz.

- Jakich spraw?

- Nie musisz wiedzieć.

- Niczego mi nie kupuj, bardzo proszę.

Ta rzeźba to najpiękniejszy prezent, jaki kiedykolwiek mi podarowano.

- Czy wspominałem coś o prezentach?

- Zawiesił głos.

-Chciałbym jednak przed twoim przyjazdem o coś cię zapytać, jeśli będzie ci się chciało w ogóle o tym pomyśleć.

- O co mianowicie?

-Czy nie miałabyś nic przeciwko temu, aby dzielić ze mną sypialnię?

- Zawahał się.

- Czy może powinienem powiedzieć Pete'owi, żeby posprzątał w domku gościnnym?

Joannanie musiała długo się zastanawiać.

- Przekażmu, że ma jedną robotę z głowy.

Minęła dłuższa chwila, zanim Donovan odpowiedział cicho:

- Dziękuję.

-Proszę bardzo.

- Przez myśli Joanny przemknęło wspomnienie o nim, o tym jak się kochali.

-Dziękuję, że zapytałeś.

189.

- Nigdy bym się nie ośmielił zakładać nic z góry, Joanno, cokolwiek mogłabyś o mnie myśleć.

-Nigdy bym ci na tonie pozwoliła.

f

Drzemała jeszcze przez chwilę, potem jednak przekonała się, że niezdola już dłużej wyleżeć, wzięła więc prysznic, ubrała się, opiekła na tosterze słodką bułkę, zaparzyła sobie kawę i zjadła śniadanie w pokojudziennym.

Siedziała na sofie, słuchając jakiejś stacji w radiu popatrując od czasu do czasu na swego własnego donovana, gipsową głowę, którą poprzedniego wieczoru umieściła na środku stołu.

Ten widok napełniał ją ciepłem, jakiego nie doświadczyła od czasu, kiedy Philips prezentował jej dębowe łóżko, które sam zrobił dla uczczenia ich ślubu.

Przez głowę przepływały jej myśli o mających nadejść dniach: wyobrażenia o amerykańskim Bożym Narodzeniu, jakie nagromadziły się przez lata dzięki niezliczonym powtórkom filmu "Życie jest piękne" oraz obrazom Normana Rockwella.

W radiu jakiś mężczyzna zapowiadał dalsze opady śniegu, więc wizje Gilead Farm w jej wyobraźni stały się bardziej romantyczne; widziała Sophie, jak biega bez upręży po zaśnieżonych łąkach, zanurzając nos w białym puchu, a potem z czystej radości zrywa się do biegu, podczas gdy ona i Donovan spacerują sobieramię w ramię.

Zadzwonił telefon.

Joanna zerwała się radośnie i pośpieszyła goodebrać, pewna, że to on

dzwoni ponownie, bo nie potrafi skupić się na pracy, a może chce ją jeszcze raz wy badać do planów przyjazdowych.

- Joanna?

- To nie Donovan.

- Mówi Tom Oates.

- Witaj, Tom.

- Starła się nie dopuścić, by wyczuł rozczarowanie w jej głosie.

- Czym mogę służyć?

- Mam do ciebie pytanie, które może wydać ci się dziwne.

Wróciła na sofę z telefonem.

- Co to za pytanie?

- Usiadła.

- Co sądzisz o Murdochzie Lambercie?

Cały czar wyobrażanych świąt nagle przysł.

- Dlaczego chcesz to wiedzieć?

Agent zawahał się na chwilę.

- Miałem z nim trochę do czynienia, kiedy parę lat temu próbowałem swoich sił w rzeźbieniu.

Przekonałem się, że należy do ludzi, których ciężko przeniknąć.

- Nie ty jeden.

190

- Był dobrym nauczycielem, to nie ulega kwestii, lecz kiedy przychodziło do pytań na temat jego własnej twórczości, nabierał wody w usta.

Joanna, która nie miała tunic do dodania i nadal nie rozumiała, do "kąd to wszystko zmierza, milczała.

- Przypominam sobie, jakkiedyś - ciągnął Oates na pozór obojętnym tonem - podszedłem do jego warsztatu w szkole, kiedy pracował nad jedną z tych swoich rzeźbionych kości.

Widziałaś którąś?

- Właściwie to nie.

- Co to ma znaczyć?

Joanna się skrzywiła.

- Jack miał tu u siebie w mieszkaniu jedną z prac Lamba, a ja parę dni temu przewróciłam ją i rozbiłam.

- Założę się, że Lambert nie źle się wkurzył - rzucił Oates z cierpkim humorem.

- Pewnajestem, że tak będzie - nie wiem tylko, czy już o tym wie.

- Czy to była jedna z tych jego kości?

- Nadal starał się zachować obojętny ton.

- I tak, i nie - wyjaśniła Joanna.

- To była gliniana figurka kota - bardzo piękna, więc wyobraź sobie, jak się czułam.

Ale kiedy się rozpadła, zobaczyłam, że została obudowana wokół czegoś, co wyglądało jak prawdziwy koci szkielet.

Jack wytłumaczył mi potem, że Lamba sporządził doskonałe kopie z żywicy.

- Czy umiałabyś odróżnić?

- zapytał Oates.

- Żywicę od prawdziwych kości?

Najwyraźniej nie.

Choć pewnie dałabym radę, gdybym się bliżej przyjrzała.

- Znowu ukłuła ją ciekawość.

-Skąd te pytania?

- Pewnie zupełnie bez powodu - odparł.

-Co oznacza, że nie masz zamiaru mi powiedzieć.

- Zachmurzyła się.

- Czy to osobiste sprawy czy zawodowe?

Możesz mi powiedzieć przynajmniej tyle?

- Nic zupełnie nie mogę ci powiedzieć, Joanno, z wyjątkiem.

-Z wyjątkiem czego, Tom?

- Tego, że czułbym się znacznie lepiej, gdybyśtrzymała się z daleka odMurdocha Lamberta.

-Byłabym uszczęśliwiona, mogąc trzymać się od niego z daleka-
odrzekła Joanna szczerze - ale ponieważwybieram się na farmę na
BożeNarodzenie, jest mało prawdopodobne, abym.

- Wolałbym, żebyś tam nie jechała - oświadczył Oates prosto zmostu.

191.

- Dlaczego?

-Tego nie mogę ci powiedzieć.

- W takim razie całą pewnością nie możesz mi dyktować, gdzie powinnam, a gdzie nie powinnam spędzać świąt.

-Pewnie nie mogę - zgodził się cicho.

- Tom, podejrzewasz o coś Murdocha?

-Nie jest podejrzanym.

- Nie o to pytałam, prawda?

- Zaczynała się irytować coraz bardziej.

-Chyba nie.

- Na litość boską - Joanna zaczynała powoli tracić cierpliwość -
cóż właściwie próbujesz dać mi do zrozumienia?

-Samnie wiem.

Pewniem takiego.

Jestem niemal pewny, że facet jest co najwyżej towarzyszko
nieprzystosowany.

Może trochę ekscentryczny.

- Niemal pewny - powtórzyła.

-No właśnie.

- I oczekujesz, że na tej podstawie zmienię swoje plany na Boże
Narodzenie?

-Tego nie powiedziałem, Joanno.

- Nie, powiedziałaś tylko, że wolałbyś, abym nie jechała
do Gilead Farm.

- Nie dała mu możliwości dodania czegokolwiek.

-No cóż, taksie składa, że tam właśnie się wybieram, pewnie we wtorek, najpóźniej środę, więc jeśli nie masz mi do przekazania niczego konkretniejszego, proszę zachowaj swoje niepodejrzenia dla siebie.

- Jatyłkostaram się chronić przyjaciela.

-Przyjaciele są wobec siebie szczerzy.

Radosny spokój Joanny przysnął; przez pięć minut chodziła niespokojnie po całym mieszkaniu, a potem usadowiła się przy biurku Donovanana i przez następny kwadrans bębniła zawzięcie w klawiaturę, pisząc mocno spóźniony e-mail do Sary Hallett.

Nakreśliła - miała tę świadomość nawet w trakcie pisania - nie do końca prawdziwy obraz tego, co tu siedziało.

Choć z Sarą chętnie dzieliła się myślami, których nie wyjawiałaby żadnej innej istocie na tym świecie, coś głęboko w środku nakazało jej ukryć dziwny niepokój, jaki Tom Oates tchnął właśnie w jej błogie zadowolenie.

Zamiast tego opowiedziała Sarze o nieco wcześniejszych wydarzeniach, tych przyjemnych i tych mniej, oraz powiadomiła ją, że postanowiła zostać z Donovanem na święta.

Odpowiedź od Sary nadeszła błyskawicznie.

192

Rozumiem teraz sen, jaki miałam o Tobie przedwczorajszej nocy. Cudowne kolory i obrazy, naładowane zmysłowością.

Och, moja kochana przyjaciółko, mogę powiedzieć tylko tyle: idź za głosem instynktu.

Mój, o ile można na nim polegać, mówi: nie wahaj się!

Wiesz już, co sędzę o Jacku Donovanie.

(Choć ten Twój bardzo specjalny agent także prezentuje się czarująco - zatem masz przed sobą przysłowiowe dwa złoty osiołka.

A nik nie zasługuje na nie bardziej niż Ty).

Gdy zaś chodzi o święta, to nawet niemyślo tych, co pozostali w domu.

A jeśli masz wrażenie, że kumple Donovan na farmie nie będą zachwyceni Twoim widokiem, tym bardziej powinnaś jechać, tak ja to widzę.

Natchnięta nanowo otuchą, Joanna wytuszowała rzęsy, nałożyła nausta szminke, przeciągnęła grzebieniem po włosach, wzięła doręki jegerowski płaszcz i kupioną na wypadek śniegu kapelusz, upewniła się, że ma przy sobie obie karty kredytowe oraz klucz do drzwi wejściowych i zjechała windą na parter.

Dopóki niezobaczyła przed sobą Jerry'ego Feenana, miała zamiar od razu wyjść i zająć się resztą zakupów, bo mimo że była niedziela, wszystkie sklepy pracowały normalnie.

Lecz widząc go za biurkiem, najwyraźniej chociaż raz wreszcie niczym niezajętego, Joanna przypomniała sobie nagle tamtą drobną sprawę, która wczoraj rano wprowadziła ją w chwilowe zakłopotanie.

- Dzień dobry, panie Feenan.

Mężczyzna już zdążył zerwać się na równe nogi.

- Dzień dobry, pani Guthrie.

Czy mam wezwać taksówkę, czy też woli pani iść piechotą?

- Piechotą, taksadzę - przynajmniej za jakiś czas.

- Aż do tej chwili Joanna nie wiedziała, że ma zamiar okłamać portiera.

- Chciałam tylko zapytać pana o piwnice.

- Słucham, proszę pani.

- Feenan czekał.

- Możliwe, że coś źle zrozumiałam - zaczęła ostrożnie Joanna, próbując zbadać grunt- ale wydaje mi się, że pan Donovan przed wyjazdem chciał mi tam coś pokazać, ale w końcu zabrakło nam czasu i.

- Zawiesiła głos.

- Pewnie ma pani na myśli jego schowek - odrzekł spokojnym tonem Feenan.

- Czy chciałaby pani teraz tam zejść, pani Guthrie?

Schowek.

- To przynajmniej miało jakiś sens.

Joanna doświadczyła nagle przemożnego poczucia winy.

Dlaczego, na litość, jest taka podstępna.

- Proszę pani?

- ponaglił ją uprzejmie portier.

- Pan Donovan po 13.

Ślepa trwoga

193.

wiedział mi, że jego mieszkanie należy do pani, dopóki będzie pani przebywać w mieście, więc jestem pewien, że nie stanie się nic złego, jeśli panią tam wpuszczę, kiedy tylko pani zechce.

Joanna spojrzała na niego.

- Dziękuję - odrzekła.

- Bardzo chętnie.

Poczucie winy jeszcze się wzmogło, kiedy Feenan zadzwonił do Raimunda i poprosił, aby przypilnował za niego drzwi wejściowych, potem zamknął na klucz szuflady biurka i poszedł z nią do windy.

- Czy pobyt w mieście tym razem jest przyjemniejszy, proszę pani?

- zapytał, kiedy otworzyła się przednimi winda z lewej strony, a Joanna weszła pierwsza do środka.

- Owszem, dziękuję.

- O tej porze w Nowym Jorku jest wspaniale - Feenan wcisnął guzik oznaczający piwnice.

Drzwi zasunęły się i winda ruszyła w dół.

- Oczywiście - odrzekła Joanna.

- Można wybierać wśród tylu cudownych sklepów.

- Tak, proszę pani.

- Winda stanęła i drzwi otworzyły się na ponury korytarz o kamiennych ścianach.

- Może powinienem pójść przodem - zaproponował Feenan.

- Tędy, pani Guthrie.

Skręcił w prawo, kierując się w głąb niezbyt jasno oświetlonego

korytarza z rzędami pomalowanych na zielonodrewnianych drzwi, ciągnących się w równych odstępach po obu stronach.

Cuchnęła wilgocią, a Joanna zaczęła zastanawiać się w duchu, czy nie ma tu karaluchów albo -co gorsza - szczurów.

Dobrze ci tak, pomyślała, kiedy Feenan skręcił w lewo, by zatrzymać się przed kolejnymi zielonymi drzwiami, na których widniał wymalowany czarną farbą napis B9.

- To tutaj.

- Wsunął w zamek stalowy klucz i przekręcił.

- Pan Donovan zazwyczaj woli być sam, kiedy tu schodzi.

Wiem, że to dla niego bardzo szczególne miejsce.

Czy mam poczekać na zewnątrz, aż panista dwyjdzie, czy może zechce pani przynieść mi klucz na górę?

- Zauważył, że Joanna ogląda się szybko przez ramię na pusty korytarz.

- Droga do wyjścia jest oznaczona, ale jeśli czuje się pani niepewnie.

- Nie, poradzę sobie - wtrąciła szybko.

- Powiedział pan "do wyjścia" - czy jest stąd jakieś wyjście na zewnątrz?

- Tak, proszę pani - odpowiedział Feenan - ale to wyjście przeciwpożarowe.

- Otworzył drzwi, pochylił się do wewnątrz, znalazł włącznik światła i przekręcił.

- Powinienem być powiedzieć raczej "do windy".

- To nie ma znaczenia.

- Joanna poczuła pieczenie policzkach.

- Dziękuję jeszcze raz i przepraszam, że sprawiłam panu tyle kłopotu.

- To żaden kłopot.

- Portier uśmiechnął się do niej mile.

- Dla tak dobrej znajomej pana Donovan'a wszystko.

Odsunął się, żeby wpuścić Joannę do środka, włożył jej wrękę kluczy, zapewnił, że nie musi się wcale śpieszyć, po czym odszedł. Joanna poczekała chwilę, aż umilknie odgłos jego kroków, a potem zamknęła zasobą drzwi i odwróciła się, by spojrzeć w głąb pomieszczenia.

Nie powinna tu zaglądać.

W spóźnionym odruchu zażenowania już zaczęła się zbierać do wyjścia, ale potem się zatrzymała.

Ponieważ gdyby obowiązywał całkowity zakaz wstępu tutaj, Jerry Feenan nie wpuściłby jej do środka, a już na pewno nie pozostawiłby Joannę samej w piwnicy.

- Tylko popatrzę - mruknęła.

Pomieszczenie sprawiało wrażenie jakiejś niesamowitej jaskini. Światło, które włączył Feenan, pochodziło z niskowatowej żarówki, rzucającej na wszystko ledwie bladą poświatę.

Joanna zrobiła cztery kroki, a potem znów przystanąła, gdyż oddechu wiało jej w gardło z powodu niesamowitego widoku, jaki się przed nią rozciągał.

Miała poczucie, jakby weszła w sam środek surrealistycznego obrazu. W tym groteskowym świecie zmierzchu z betonowej podłogi wyrastały kończyny i rozmaite części ludzkiego ciała.

Rzeźby.

Joanna poczuła przyspieszone bicie serca i ogarnęła ją przemożna chęć, by wypaść stamtąd jak strzała.

- Spokojnie - rzuciła do siebie półgłosem.

Powoli ruszyła przed siebie, lawirując ostrożnie wśród dzieł, a kiedy znalazła się przypierwszym rzędzie, początkowe przerażenie wywołane widokiem tej kolekcji zaczęło stopniowo słabnąć, puls wrócił stopniowo do normy i Joanna poczuła falę podniecenia zupełnie innego rodzaju.

Były to oryginały prac Donovanana.

Dzieła z gliny i gipsu, wyrzeźbione przed wykonaniem odlewu.

Być może nawet wszystkie - choć tego nie mogła wiedzieć na pewno - a każde umieszczone, jak dojrzała teraz, w przezroczystej osłonie.

Stała w bezruchu, przypatrując się leżącym dookoła rzeźbom, które dotąd widziała tylko na błyszczących reprodukcjach w katalogach, pokazywanych jej przez Chrisa Chena.

Kobieca noga z ugiętym kolaniem.

Oto jest, w drugim rzędzie, zakrzywienie kolana leciutko obłupane, zapewne to jedna z szkód powstałych przy wykonywaniu odlewu, o których wspominał jej Donovan.

A w pierwszym rzędzie, w pobliżu ściany dostrzegła tam nie zwykłe, atletyczne ramię, które tak ją urzekło - choć tutaj, kiedy spoczywało w szklanej gablocie wprost na ziemi, bez wspierającej je plinty, utraciło

iluzję życia i witalności, zyskując posmak zniszczenia, i w jakiś szczególny sposób - śmierci.

Odwróciła się od niego i weszła ostrożnie w głąb lasu glinianych i gipsowych ludzkich fragmentów, stanowiących - jak sobie uświadomiła - istny ukryty skarb w znaczeniu artystycznym i finansowym.

Znalazła ową rękę robotnika rolnego, którą pokazywała jej Mel Rosenthal i o której opowiadał jej Jack tamtego piątkowego wieczoru.

Przypomniała sobie, co mówił jej o talencie Lamba: że potrafi wychwycić to, co fascynujące i opisać wszystko, każdy szczegół, a potem przynosi konstrukcje z żywych kości do kolejnego projektu.

"To ręka robotnika rolnego" - tak brzmiały słowa Lamba, kiedy przyniósł Donovanowi podstawę pierwszej rzeźby.

Joanna przypomniała sobie, co mówił Jack: że Murdoch pamiętał każdy najmniejszy szczegół wyglądu mężczyzny, którego widział za ledwie raz, gdy ten pracował na polu.

Z punktu widzenia Jacka było magiczny, bliski cudu dar, który stanowił istotę jego pracy i nadawał mu rangę w świecie sztuki.

Z punktu widzenia Joanny - teraz, kiedy patrzyła na oryginał prac - ów talent wydawał się raczej makabryczny.

Nagle zaczęła się zastanawiać, czy tamten farmer wiedział - czy zgodził się, by jego ręka została w taki sposób odtworzona i czy mógłby mieć coś przeciwko temu, gdyby wiedział.

A niby dlaczego miałby mieć coś przeciwko temu?

- uznała Joanna, zauważając od nowa wszystkie doskonałości, od których zaparło jej dech w piersiach, gdy zobaczyła brązowy odlew ręki u Mel.

Farmer z pewnością czułby się pochlebiony, a nawet zaszczycony, że tak wielki artysta wydobyl go w ten sposób z nicości.

Z tym, że rzecz jasna - to nie Donovan go wybrał.

Wyłuskiwanie tematów było domeną Murdocha Lamberta.

Człowieka, który najwyraźniej ma lekką obsesję na punkcie kości, ta obsesja zaś w widoczny sposób nie podobasię Tomowi Oatesowi.

Joanna przypomniła sobie kolekcję samego Toma - wszystkich tych eskimoskich szamanów w strojach ozdobionych ludzkimi żebrami, kawałkami kości ramienia i palców.

Trudno powiedzieć, aby był przesadnie wrażliwy na tym punkcie, a przecież fakt, że Murdoch Lambert odtwarza ludzkie kości, budził w nim reakcję w najwyższym stopniu negatywną.

Dlaczego?

Znienacka Joannę ogarnęło pragnienie - a raczej dominująca potrzeba - by jak najprędzej wydostać się z tego mrocznego, cuchnącego wilgocią miejsca, wypełnionego skarbami dziwnie przypominającymi ludzką szczątki.

Szybko, lecz ostrożnie ruszyła z powrotem w stronę drzwi, które

re najpierw otworzyła, zanim zgasła światło, bo bała się choć na chwilę pozostać w całkowitym mroku.

Kiedy znów znalazła się na zewnątrz, odwróciła się starannie zamknęła piwnicę na klucz, odczuwając przy tym krótkotrwałą ulgę, zanim powtórnie nie poraziła jej niesamowitość tych przypominających lochy podziemnych korytarzy.

Poszła - najszybciej jak mogła bez zrywania się do biegu - w stronę wind.

- Tam na dole wszystko w porządku, pani Guthrie?

- zapytał Jerry Feenan, cały w uśmiechach, kiedy oddawała mu klucze.

- Owszem, dziękuję.

- Gdy już znalazła się powrotem na parterze budynku, w marmurowym holu z fontanną, wszystko było w jak najlepszym porządku, a Joanna czuła się jak ostatnia idiotka z powodu chwili tchórzostwa, które wyгнаła ją stamtąd tak gwałtownie.

- Pewnie wybiera się pani teraz do sklepów?

Już prawie zdążyła zapomnieć, że taki był właśnie jej początkowy plan, kiedy zjechała z najwyższego piętra.

- Pewnie tak - odrzekła, po czym doszła do wniosku, że skoro zaczyna odpowiadać jak Amerykanka, najwyższy czas wracać do Merlin Cottage i normalności.

Jutro rano, postanowiła, wychodząc na rozbiegających się ulicy Pięćdziesiątej Szóstej, zacząć się starać, aby jak najszybciej otrzymać nowy paszport, po czym zrobi wszystko, by znaleźć sobie miejsce w samolocie do domu między Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem.

Jack Donovan czy nie Jack Donovan - romans czy nie romans - ona jest odpowiedzialną kobietą, mającą na głowie interesy oraz pracę w hotelu, do której trzeba wrócić.

Wszystko, co mogłoby się jeszcze między nimi rozwinąć, będzie musiało po prostu przetrwać jej wyjazd za Atlantyk.

Koniec końców, łączących jedyniemiłość do Sophii, wzajemny podziw oraz seks.

A seks - nawet jeśli jest z rodzaju tych, po których naprawdę rozumiesz znaczenie wyrażenia "miękkow kolanach" - to jeszcze niewszystko.

39

Poniedziałek, 21 grudnia

Bardzo wcześnie rano Joanna przebudziła się w łóżku

Donovana, świadoma, że w głowietkwi jej uparcie pewien niezwykle żywy obraz, który za jakiś czas zapewne wypali jej dziurę w mózgu.

197.

Ta stopa tancerki, którą rzeźbił Jack tamtego poranka, gdy fotografowała go w pracowni.

Tego poranka, kiedy zostali kochankami.

A natychmiast za tym obrazem kolejne wspomnienie, bliższe w czasie:

Tom Oates opowiadający jej o odkryciu ciała dziewczyny z Red Hook.

Tancerki, która zniknęła nawiosnę.

"W grę wchodzi kaleczenie".

Joanna usiadła gwałtownie w łóżku, ściskając kurczowo dłońmi pościel.

O czym ona w ogóle myśli?

Opadłaz powrotem na poduszki.

Wygląda na to, że wizyta w piwnicznym schowku Donovaną wytrąciła ją z równowagi bardziej, niż mogłaby przypuszczać.

Zresztą, należy jej się toza wtykanienosa w ciemne zakamarki, które nie powinny jej obchodzić.

A przecież wiedziała doskonale, o czym myśli.

"To ręka robotnika rolnego".

Tak brzmiały słowa Murdocha Lamberta, kiedy przyniósł Jackowi komplet żywiczych replik kości.

Żywicznych, przypomniała sobie stanowczo.

"A umiałabyś je rozróżnić?"

" - brzmiało pytanie Toma Oatesa, kiedy opowiedziała mu o kościach, znalezionych wewnątrz rozbitej figurki kota.

Itowłaśnie, zauważyła z roztargnieniem, jest właśnie owa kwestia,.

która ją nurtuje - nurtuje i brzydzi.

Czy Jackumiałby jeodróżnić?

Czy niewidomy, nawet o tak wyostrzonych zmysłach, potrafiłby wyczuć różnicę między idealnie wykonanymi kłóściami z żywicy a prawdziwymi?

Odpowiedź brzmi: najpewniej nie, jeśli by nie wiedział, czego ma szukać.

Poza tym, kiedy przychodziłomu pracować z kostnym uzbrojeniem, było ono pokryte gipsową otoczką - sam Jack je o tym mówił. Choć w wypadku kota rzecz miała się inaczej.

- Na miłość boską!

- rzuciła na głos i znów usiadła.

Była dopiero czwartarano, lecz dalszy sen zupełnie nie wchodził w rachubę, więc równie dobrze mogła wstać i zrobić sobie kawę.

I czekać.

Choć może się to wydać niedorzeczne i śmieszne, wiedziała, na co zamierza czekać.

Czekała, aż będzie mogła z rana zatelefonować do zaczynającego właśnie pracę Toma Oatesa, żeby zadać mu jedno bardzo szczególne pytanie.

Co mianowicie miała na myśli, kiedy wypowiedział tamto słowo?

Okaleczenie.

198

40

Dziesięć po szóstej agent Oates zajeżdżał swoim chevroletem na parking przed barem DC's Diner trochę na uboczu autostrady numer dziewięć, między K-inderhook a Albany.

Doszedł do wniosku, że śniadanie powinno postawić go na nogi; nie spał już odzwartej i był drażliwy jak grzechotnik, co pewnie miało związek z napięciem spowodowanym powrotem do pracy - choć Tom wiedział, że praca na ogół raczej go uspokaja.

W własnym mniemaniu był facetem, który lubił znać swoją rolę i miejsce w tym świecie.

Dla niego oznaczało to FBI, i z tego powodu rzeczy jasna, ostatnie tygodnie były dlań takie ciężkie.

Z tego samego powodu, jak przypuszczał, Joanna Guthrie - chociaż tak krańcowo niepodobna do Lisy ani do żadnej z kobiet, w których się zakochał - tak bardzo opanowała jego myśli, a może nawet i serce.

Co z kolei mogło być powodem, że tak gorliwie zajął się Lambertem i jego kośćmi.

Wkrótce będzie lepiej, doszedł do wniosku, kiedy wyłączył silnik i otworzył drzwi samochodu.

O wpół do ósmej znajdzie się za biurkami otrzyma najnowsze wieści o morderstwach od Gary'ego Poole'a, jak również wyniki - jeśli jakieś będą - wywiadu, jak zlecił przyjacielowi w sprawie Alice Munro i Murdocha Lamberta.

A zaraz potem znajdzie się w normalnym toku spraw, znów poczuje się członkiem drużyny i, spokojniejszy, zacznie pewniej stąpać po ziemi.

Teraz jednakże daleko mu było do tego - doszedł do tego wniosku, obchodząc z tyłu DC's Diner i kierując się w stronę frontowych drzwi - bo czy inaczej czułby to nieprzyjemne swędzenie w krzyżu, którego zwykle doświadczał, gdy coś szło nie tak jak trzeba? Miał wrażenie - niechtowszyscy diabli - że jest śledzony, i to nie po raz

pierwszy wciągu ostatnich kilku tygodni.

Oates przystanął, oparł się o deskowanąścianę baru, o dwakroki odautomatu z napojami i słodyczami, po czymrozejrzał się dobrze po całymparkingu.

Byłojeszcze wcześniej, więcdosprawdzenia miałaedwiepięćsamochodów osobowych i białąfurgonetkę; w żadnym z pojazdów mebyło kierowców ani pasażerów, choć jeśli chodzi ofurgonetkętrudno było coś orzec, gdyż miała zaciemnianeokna.

Znów poczuł to swędzenie.

- Kurwa mać- mruknął pod nosem.

Jedyne, czegoteraz pragnął, to przyzwoiteśniadanie: kilka dobrzewysmażonych plasterków bekonu, kilka naleśników i dwie filiżanki mocnej kawy - a potem wrócić dopracy, do prawdziwego życia199.

Jeszcze raz spojrział w stronę furgonetki.

Swędzenie nasilało się, jakby dotykało bezpośrednio jakiegoś nerwu.

Zerknął na zegarek.

Za kwadrans siódma.

Kupa czasu.

"Jeśli cię swędzi - przypomniawszy sobie słowa ojca - to się podrap".

- No to idę się podrapać - rzucił na głos.

41

Czekał z telefonem do minuty po dziewiątej,

przekopawszy poprzednio dopołowy zapełnioną torbę podróżną, żeby odnaleźć wizytówkę, którą wręczył jej Tom.

- Proszę agentem Oatesem.

- Jeszcze się nie pojawił - odrzekł jakiś męski głos.

- A ktomówi?

- Joanna Guthrie.

- Zerknęła na trzymaną w dłoni wizytówkę i przekonała się, że dzwoni pod jego bezpośredni numer.

- Kiedy powinien przyjść?

- Godzinę temu - odpowiedział jej mężczyzna.

- Mówi Gary Poole, pani Guthrie.

Tom wspominał mi o pani.

Czym mogę w czymś pomóc, a może chciałaby pani zostawić wiadomość?

Zostawiła wiadomość, żeby Oates oddzwonił.

A godzinę później, ponieważ nadal nie miała od niego wieści, spróbowała znowu.

Tym razemżeński głos poinformowała, że Oates nadal jest nieosiągalny, więc zostawiła mu drugą wiadomość.

Kilka minut po jedenastej, kiedy zdążyła już przewędrować niespokojnie całe mieszkanie, wyczyściła blat oraz każdy pozostały element sprzętu fotograficznego, jaki miała w tym mieszkaniu, i już nie mogła dłużej znieść czekania, zatelefonowała raz jeszcze pod ten sam numer.

Tym razem znów odebrał Poole, wyczuł jej poruszenie i jeszcze raz zapytał, czy mógłby w czymś pomóc.

Joanna zastanawiała się przez chwilę.

- Chciałam zadać Tomowi pewne pytanie.

- Może ja mógłbym odpowiedzieć?

- zaproponował.

- Chodzi o te morderstwa, w sprawie których prowadzicie teraz śledztwo.

- Joanna uświadomiła sobie nienacka, że może narobić Tomowi kłopotów. Już za późno, pomyślała, i brnęła dalej.

- Tom nie mówił mi wiele na ten temat, ale.

- Ale?

- ponaglił ją delikatnie Poole.

- Użył przy tym słowa "okaleczenie".

- Aha - odrzekł niezobowiązująco agent FBI.

200

No, dalej, ponagliła się w duchu, skoro zabmęła już tak daleką.

- Była taka dziewczyna z Red Hook.

- Joanna się zawahała.

-Tom mówił, że to tylko kwestia czasu, zanim ta cała historia pojawi się w mediach.

- Miał rację.

- Poole nie chciał jej trzymać w niepewności.

-Wczoraj stała się lokalną sensacją.

Nazywała się Ellen Miller.

Joanna odczekała jeszcze minutę, próbując zebrać się w sobie.

Serce waliło jej gwałtownie.

- Co chciałaby pani wiedzieć, pani Guthrie?

- Ona była tancerką, prawda?

- Owszem.

- Studentką szkoły baletowej?

- Zgadza się.

- Poole czekał cierpliwie.

Joanna przełknęła ciężko ślinę.

- Co Tom miał na myśli, mówiąc "okaleczenie"?

- Niemogę pani powiedzieć.

- Wydawało mi się, że mówił pan, iż pisano o tym w gazetach?

- Wspomniano tylko o jej śmierci, o niczym więcej.

- W głosie Poole'adało się teraz wyczuć lekkie napięcie.

- Dlaczego właściwie chce pani to wiedzieć?

- Wolałabym tego nie mówić.

- Joanna spróbowała uniku.

- Jeśli ma pani jakieś informacje na ten temat, pani Guthrie, powinna mi je pani przekazać.

- Nie mam żadnych informacji.

- Tylkoprzeczucie.

Potworne przeczucie, które z minutyna minutę stawało się coraz silniejsze.

- Czy to w jakiś sposób dotyczy Alice Munro?

- zapytał.

Joanna aż wzdrygnęła się z zaskoczenia.

- Czy coś się stało?

-O ile możemy cokolwiek ustalić, to nie.

-Urwał na chwilę.

- Zadaje pani te pytania nie bez powodu, pani Guthrie.

Jeśli nie wyjaśni mi pani, jaki jest ten powód, nie mogę pani odpowiedzieć.

Joanna wpatrywała się niewidzącym wzrokiem w rząd półek z książkami na ścianie biblioteki.

Odczuwała coraz silniejsze wewnętrzne napięcie.

- Jeżeli mi pan nie powie, co Tom miał na myśli, mówiąc "okaleczenie" - odparowała - nie mogę wyjawić panu tego powodu.

Poole zorientował się, że nastąpił impas i podjął ryzyko.

- Brakuje pewnej części ciała Ellen Miller.

Joannie nagle zrobiło się słabo.

201.

- Której części?

-A może pani mi powie, której według pani powinno brakować?

- Proszę, agencie Poole, niech mi pan po prostu powie.

-Ja już pokazałem, co miałem, teraz kolej na panią - przypomniał Jej.

- Czy to była stopa?

- zapytała.

-Jej prawa stopa?

- Skąd paniwie?

- zapytał szorstko.

Joanna odwiesiła słuchawkę.

Wstała.

Zamknęła oczy i jeszcze raz ujrzała tamtą-piękną stopę, wychodzącą spod palców Jacka.

Glinę, którą stawiała się ciałem i krwią.

Na szkielecie kostnym dostarczonym przez Lamba.

Wypadła z biblioteki i pognąła do łazienki.

Niedługo potem wyszła z budynku, ledwie skinieniem głowy pozdrawiając po drodze Raimunda; szła, patrząc i nie widząc, aż dotarła do Piątej Alei i skręciła w prawo, wślizgując się pomiędzy tłum ludzi załatwiających zakupy i interesy, mijając Świętych Mikołajów oraz wystawy pełne.

nieślychanie drogiej biżuterii, ubrań oraz innych prezentów, na które mało kogo stać.

Był to świat betonu i tysięcy ludzi, czasem roześmianych, czasem surowo

ściągniętymi twarzami, a przede wszystkim świat hałasu, lecz Joanna nie słyszała niczego, niczego nie widziała, czuła się prawie bezcielesna, jak gdyby nagle odcięta od normalnego biegu spraw, jakby unosiła się gdzieś ponad tym wszystkim.

A przecież wiedziała dokładnie, dokąd zmierza.

Do MOMA - Museum of Modern Art.

Z powrotem do sali, która była czasowo zamknięta, kiedy Mel Rosenthal na początku chciała jej pokazać jedną z najbardziej podziwianych prac Donovana.

Dziś sala była otwarta.

Joanna rozpoznała ją już od samych drzwi.

Chris Chen pokazywała jej fotografię.

Zatytułowana "Młodość", przedstawiała ramiona i plecy młodego chłopca.

Nie miała przodu, tylko gładką bryłę brązu.

Lecz doskonałość szczegółu i precyzja, z jaką oddano plecy chłopaka, wrażeniem młodzieńczej siły i giętkości, były wprost niezwykle.

Joanna stała przed rzeźbą przez długi czas.

Inni przychodzili i odchodzili, przyglądali się przez kilka chwil lub tylko obrzucali ją przelotnym spojrzeniem, a potem ruszali dalej.

Jeden z mężczyzn, sam wiekowy i wsparty na łasce, wydał z siebie mimowolne westchnienie tęsknoty za czymś dawno utraconym.

Jedną parę nastolatków, wlokącej się w tyle

202

za szkolną wycieczką, na widok równego przodu rzeźby rzuciło pogardliwie, że przypomina mu ona chłopaka o imieniu Gordon.

Oczy Joanny śledziły falującą linię kręgosłupa, widoczną pod

ciałami skóraż brązu.

Kimon był?

- zastanawiała się, a potem szybko i z mocą poprawiła się: kim jest?

A potem wróciła myślami do stopy tancerki.

I wyszła.

Wróciwszy do mieszkania w nadbudówce, wiedziała już, co
powinno zrobić.

Musi zejść z powrotem do piwnicy, do schowka Donovana.

Inni możliwości, łatwiejsze i o niebomniej nienawistne, walczyły o prym
w jej myślach, kiedy parzyła sobie kawę, a potem wypła pół filiżanki,
resztę wylała, zmyła filiżankę, wytarła kółko wilgoci, jakie pozostało na
blacie.

Wszystko to taktyki opóźniającego działania, Joanna wiedziała o
tym doskonale.

Nade wszystko jednak pragnęła zadzwonić do Jacka.

Tylko co mu powie?

Że naruszyła jego prywatność, że posłuchała pytań, jakie Tom Oates
zadawał na temat jego najlepszego przyjaciela, dodała dwa do dwóch i
wyszło jej ponad tysiąc?

- To wszystko jest zbyt niedorzeczne - powtarzała sobie,
krążąc niespokojnie po pokojach dziennym i mijając nieporuszone twarze
Walta i Grety Donovanów.

Naprawdę niedorzeczne - oczywiście, żeniedorzeczne.

Ale z drugiej strony - czyż nie uważała od samego początku, że
atmosfera w Gilead Farm jest nieco złowróżbna?

I czy nie potwierdziły tego, przynajmniej częściowo, Mel i Sandra?

No i Tom?

A do tego agent specjalny Poole udzielił jej odpowiedzi, której najbardziej się obawiała.

O nieszczęsnej Ellen Miller.

- O Boże!

Joanna znów poczuła gwałtowny atak mdłości.

Porzuciła bezcelowe błędzenia i z powrotem po pokoju dziennymi poszła po aparat i rolkę filmu.

Nie chciała nawet sama siebie pytać, po co jej potrzebny hasselblad, niemogła wręcz dopuścić do siebie myśli, że może konieczne będzie zebranie dowodów.

Kiedy wsunęła aparat do skórzanego pokrowca i wieszła go sobie na szyi, rozdzwonił się telefon.

Podniosła słuchawkę lekko roztrzęsioną ręką.

- Halo?

- Pani Guthrie, mówi agent Poole.

203.

- Tak?

- oddychała nierówno.

Pożałowała, że w ogóle odebrała telefon.

- Próbowałem się panią skontaktować już kilkakrotnie - zaczął, a po króciutkiej przerwie dodał: - Pani Guthrie, mam do pani dwa pytania, więc proszę, niech pani nie odkłada słuchawki.

-Dobrze.

- Kiedy ostatnio rozmawiała pani z Tomem Oatesem?

Joanna ściągnęła brwi.

- Wczoraj.

A dlaczego pan pyta?

- Pani już zadała swoje pytania - odparł Poole dość obcesowo.

-A oto moje drugie: dlaczego pytała pani o stopę Ellen Miller?

Copaniwie?

Nie odpowiedziała.

- Pani Guthrie, czy jest pani świadoma tego, że ukrywanie informacji przed wymiarem sprawiedliwości to poważne przestępstwo?

Nadal się nie odzywała.

- Dlaczego nie chce mi pani powiedzieć?

Odczekała jeszcze chwilę, przesiewając w głowie wszystkie te straszne znaki zapytania.

- Pani Guthrie, niech pani coś do mnie powie.

-Problem w tym, agencie Poole - odezwała się w końcu - że naprawdę nie wiem, czy mam panu cokolwiek do przekazania - i najpewniej

teżniczego nieukrywam.

- Możliwe - odrzekł.

- Ale wyraźnie coś panią gryzie.

- Tak - przyznała się.

- Potrzebuję jednak jeszcze trochę czasu, zanim będę stanie o tym mówić.

- Zawiesiła na chwilę głos.

- Chciałabym porozmawiać z agentem Oatesem.

- W tej chwili to niemożliwe.

Niemogła już więcej tego znieść.

- W takim razie zadzwonię później - rzuciła do słuchawki i natychmiast ją odłożyła.

Była przy frontowych drzwiach, kiedy telefon zaczął znów dzwonić. Słyszała, jak dzwonił nieprzerwanie, nawet gdy już weszła do windy i zaczęła jeździć.

Trzeba było kilku minut perswazji, zanim Raimundo zgodził się dać jej klucze, schowane w szufladzie biurka Jerry'ego Feenana. Joanna zapewniła go, że ma pozwolenie pana Donovana, a jeśli sprawdzi zapiski Feenana, przekona się, że on sam dał jej te klucze ledwie wczoraj rano.

204

- Kłopot w tym - tłumaczył Raimundo, biorąc do ręki klucz - że pan Esposito, mój szef, poszedł już do domu, a ja nie mogę opuścić holu, bo nie mam kogo wezwać, żeby mnie zastąpił.

-- - Nic nie szkodzi - odrzekła ze spokojem Joanna - pan Feenan zostawił mi klucze wczoraj samą.

Po prostu otworzę sobie drzwi i obiecuję, że później natychmiast przyniosę

klucz z powrotem.

Do budynku wchodziła właśnie siwowłosa starsza pani, więc Raimundo musiał rozdzielić uwagę pomiędzy dwie kobiety. Joanna wykorzystała natychmiast okazję i wyciągnęła rękę.

- Odzyska go pan za niedługą chwilę.

Dał jej klucz.

42

Poprzednio, kiedy tu wchodziła, opanowała ją wrażenie samowitości.

Teraz, w pierwszych chwilach pozapaleniu światła i zamknięciu za sobą drzwi, chłonęła widok wyrzeźbionych części ciała, a przez jej napięty doostateczności umysł przepływały odniesienia do biblijnych opisów Gehenny, Szeolu i innych diabolicznych miejsc.

- Zgnilizna - rzuciła na głos, a zdrowo rozsądkowe brzmienie tego słowa jakby uspokoiło ją i dodało jej odwagi.

Odwagi.

Wyśmiała się w myślach, że coś takiego może być jej potrzebne w miejscu, które napewno - kiedy już będzie po wszystkim - okaże się zwykłym piwnicznym schowkiem.

A prawdę mówiąc - doszła do wniosku, postąpiwszy w stronę pierwszego szeregu przezroczystych gablot, chroniących cenną zawartość - prawdziwa odwaga będzie jej potrzebna dopiero potem, kiedy stanie przed Jackiem Donovanem, aby wyznać mu, jakiego to żalostnego, nedorzecznego i jakże dla niego obraźliwego czynu dokonała.

Tego, dokąd zmierzała zamierzała się zabrać.

Ostrożnie obezła całe pomieszczenie.

Teraz, kiedy już postanowiła, co musi zrobić, czuła się pewniej, zdecydowanie na zawsze pozbyć się głupich podejrzeń, żeby ruszyć się z martwego punktu, w jakim tkwiła.

Jechać do domu.

Dom to jedyne miejsce, do którego będzie mogła się udać po tym, co zaraz zrobi, ponieważ Jack z pewnością nigdy jej niewybaczy, a ona nawet nie mogłaby mieć do niego o to żalu.

Wyszła na sam środek pomieszczenia, lustrując uważnym spojrzeniem rozciągający się dookoła widok i starając się zachować obojętny obiektywizm.

wizm.

Przyglądała się każdej rzeźbie, zauważyła te, których nie dostrzegła podczas pierwszej bytności.

Po prawej stronie, w jednej z większychszklanych kaset stał oryginał-gipsowy, nie gliniany - rzeźby z MOMA, "Młodości".

Przez moment ogarnają ją rodzajnabożnego podziwu, wrazz przerażającą falą poczucia winy.

Ale gdy wspomniała Ellen Miller, natychmiast wróciła jej cała determinacja.

Musi coś wybrać, ito jaknajszybciej.

Miej tojuż z głowy.

Skupiła wzrok, starając się wyszukać coś, comogłoby - choćby z wyglądu - stanowićdzieło o mniejszej wartości, choć będzie to, jak sobie"uświadamiała aż nadto wyraziście, decyzja budząca spore wątpliwości,najpewniej mało fachowa, za to z pewnością bardzo arogancka.

Nie napatoczyło jej sięprzed oczy nic, comogłoby stanowić "dziełomniejszej wartości", lecz kiedy znów zaczęłakrażyc wśródzebranychprac, doliczyła się aż trzech rzeźb przedstawiających ramię: była wśródnich wspaniała ręka sportowca,robotnika rolnego i jeszcze jedna, którąpo bliższym obejrzeniu uznała za rękę młodej dziewczyny.

Leżała wprostna podkładce, już lekko uszkodzonapodczas wykonywania odlewu.

Brakowało jej muskulatury i mocy dwóch pozostałych, lecz pełna była

żywotności innego rodzaju -gładkiej, smukłej cielesności właściwej młodym kobietom.

Joanna przyklękła obok gablotki, zadbawszy, by nieuderzyć o nią huśtającym się aparatem.

Przyglądając się z bliska rzeźbie, nawet w tym marnym oświetleniu potrafiła dojrzeć ślady delikatnego meshku, pory skóry, drobnusieńkie zmarszczki i skazy.

Oszłomiło ją to, że rzeźba tak bardzo przypominała prawdziwą kończynę i poczuła, jak znów zalewa ją gorąca niczym lawa fala wstydu.

Jakże mogłaby to zrobić?

Jeszcze raz poczęła rozważać wszystkie ewentualne wyjścia.

Miała przed sobą tylko trzy możliwości.

Po pierwsze, opowiedzieć o wszystkim Jackowi i pozostawić sprawę w jego rękach, ryzykując, że zrani go głęboko, a najpewniej bez żadnego powodu.

Mogłaby też powiedzieć o tym Gary'emu Poole'owi, który wraz z Tomem Oatesem i innymi agentami pracującymi nad tą sprawą ściągną na głowę Jacka cały horror śledztwa w sprawie morderstw, niemal na pewno na próżno.

Albo też dać sobie spokój, załatwić paszport i wracać do Anglii bez wyjaśnienia i rozwiązania.

Jeśli natomiast zacznie działać teraz, na własną rękę, może od razu tym wszystkim skończyć.

Joanna wstała, rozejrzała się wokół i zobaczyła to, czego jej było potrzeba.

Na ścianie, obok przeszklonej szafki z alarmem przeciwpożarowym

wymwisiła narzędzie przypominające niewielki toporek.

Podeszła bliżej, zdjęła płaszcz - który wzięła na wypadek, gdyby trzeba było udawać, że wychodzi z domu - izłożyła go na podłogę z aparatem, potem sięgnęła po narzędzie, zdjęła je z haka i ostrożnie ruszyła z powrotem przez rzędy rzeźb.

Przyklękła znów przy kobiecym ramieniu, położyła toporek na podłodze, a potem po raz pierwszy dotknęła przezroczystej osłony.

Zorientowała się natychmiast, że jest tańszej niż szkło.

Uchwyciła ją z obu stron i próbowała podnieść.

Nie była przytwierdzona do podstawy i okazała się lżejsza, niż Joanna się spodziewała.

Pewnie dlatego, żeby niewidomy artysta miał łatwy dostęp do własnych dzieł.

- Zaraz się okaże, że to wielki nic - odezwała się, unosząc kasetkę i kładąc ją bezpiecznie na kawałek pustej podłogi na prawo od rzeźby.

Gdzieś z zewnątrz nagle usłyszała męskie głosy.

Zamarła z uniesionymi rękoma, gotowa w razie czego natychmiast dołożyć kasetkę tam, gdzie stała przedtem.

Głosy cichły stopniowo, wreszcie umilkły.

Joanna powoli wypuściła wstrzymywane powietrze.

Sięgnęła po toporek.

Jack nigdy mi tego nie wybaczy.

A jednak musiała znać prawdę.

Celując w te partie rzeźby, które itak były już mocno zniszczone, szybkim, krótkim zamachem opuściła ostrze toporka.

Zewnętrzna pokrywa gliny, powleczone jakimś lakierem, została przebita,

lecz nie natyle, by Joanna mogła zajrzeć w głąb rzeźby.

Jeszcze raz uniosła toporeki jeszcze raz wymierzyłacios.

Glina rozprysnęła się na drobne kawałki iz miękkim łoskotem upadła na podłogę.

A onazobaczyła zarys otulonych gipsową powłoczką kości.

Odłożyła toporek, przykucnęła jeszcze niżej, wsunęła w otwór prawadłóń i poskrobała paznokciem delikatną warstwę gipsu.

Nie chciała ustąpić, więc Joanna ponownie sięgnęła potoporek i zeskrobała ją za pomocą ostrza.

Kiedy znów odłożyła narzędzie, pochyliła się niżej i zaczęła siębacznie przypatrywać szkieletowi rzeźby.

Proszę, Boże, niech to będzie żywica.

Wyglądały jakprawdziwe.

Sięgnęła w głąb otworu i dotknęła dwóch długich kości ramieniowych'przewierconych i połączonych drutem, podobniejak taroten koci szkielecikKość promieniowa i łokciowa.

Przypomniała sobie, jakkiedyś Philip złarna

207.

rękę podczas wycieczki rowerowej w Norfolk.

Skomplikowane złamanie otwarte, oświadczyli jej w karetce, kiedy siedziała obok męża w drodze do szpitala; jeden z sanitariuszy zapytał najpierw Joannę, czy nie obawia się widoku ran, a potem pokazał jej, jak pęknięta kość przebiła skórę ręki biednego Philipa.

Przypomniała to sobie teraz bardzo wyraźnie: różne warstwy, twarda i gąbczasta, naczynia krwionośne oraz szpik.

Przypomniała sobie także, że mniej więcej tak samo to wyglądało u jednego ze szczeniaków, kiedy złamał łapę i Joanna pozostała z nim podczas operacji u weterynarza.

Musi to sprawdzić.

Zaciskając zęby, obiema rękami uchwyciła mocno kość promieniową i zauważyła, że przypomina w dotyku tkankę; znacznie bardziej, pomyślała, niż gdyby miała być z żywicy.

Rozłamają ją.

To nie żywica.

Różni się, rzecz jasna, od żywej tkanki, jaką widziała w ręce Philipa, niemniej to nie żywica.

Z całą pewnością.

Cofnęła ręce i przez chwilę przypatrywała się temu niewidzącymi oczami.

Zrobiło jej się niedobrze.

Ogarnęło ją przemożne pragnienie, by wypaść stąd biegiem, ale zaraz uświadomiła sobie, że to absolutnie wykluczone.

To są dowody rzeczowe.

Należy je zabezpieczyć.

Wstała.

Z trudem trzymała się na osłabłych nagle nogach.

Podeszła do miejsca, gdzie zostawiła na podłodze hasselblada.

Podniosła go roztrzęsionymi rękoma, z trudem rozpięła skórzany pokrowiec, przewiesiła przesyjną pasek.

Skórę miała wilgotną od potu.

Ruszyła z powrotem w stronę szczątków gliny ikości.

Kiedy patrzyła przez obiektyw, wrażenie niebyło tak straszne.

Mogła udawać, że pracuje, wykonuje dla kogoś robotę.

Fotografując rzeźbę pod najróżniejszymi kątami, uprzytomniła sobie nagle, że robi to dlatego, aby wkrótce wręczyć ten film Tomowi Oatesowi lub agentowi Poole'owi.

- Och, Boże - mruknęła, opuściwszy aparat, który opadł delikatnym ciężarem na jej piersi.

Z trudem mogła dopuścić do siebie myśl o tym, co zrobiła - o tym, co ma zamiar przekazać FBI.

To przecież mimowszystko rzeźby Jacka.

Bez względu na to, o co podejrzewają Murdocha Lamberta - bo co właściwie?

Że wykorzystuje ludzkie kości, udając, że sam je wyrzeźbił, co oznacza, że oszukuje niewidomego partnera i najprawdopodobniej narusza jakiś paragraf mówiący o poszanowaniu ludzkich szczątków.

- Łajdak - rzuciła na głos, zamykając pokrowiec aparatu.

- Łajdak!

Bez względu na to, co uczynił Lamb, to kobiece ramię i wszystkie inne

rzeźby w tym pomieszczeniu są dziełami Donovana.

W oczach świa208

tato on je stworzył, nikt inny.

Przypomniała sobie, jak rzeźbiarz mówił jej, że Lamb nigdy nie chciał, aby świat dowiedział się o jego współudziale.

Nie było drugiego takiego artysty, który miałby w sobie tyle skromności, mówił Jack, obsypując przyjaciela pochwałami.

- Ładny mi przyjaciel - syknęła Joanna, ałość dodała jej energii, pozwoliła zebrać siły do następnego kroku.

Nie wzięła z sobą żadnej torby, lecz miała swój wełniany płaszcz. Poszła po niego, rozłożyła go na betonie i przeniosła na wpo i rozbitą rzeźbę na podszewkę.

Oddychała płytko, gwałtownie, niemal boleśnie, serce waliło jej jak oszałałe, czuła też początki okropnego bólu głowy.

Popatrzyła na miejsce, gdzie poprzednio znajdowała się rzeźba: walały się tam kawałki gliny, gipsu, kości i drutu, które należało posprzątać.

Sfotografowała wszystko na miejscu, gdzie zostało znalezione, uwieczniwszy całość na filmie, który opatrzony będzie datą i godziną, uznała, że należy uprzątnąć wszelkie ślady po tym, co tu się stało.

Gdyby Raimund lub Jerry Feenan zeszli na dół, aby zobaczyć, czy wszystko w porządku, najpewniej nie będą sprawdzać każdej gabloty po kolei, a jeśli nawet zauważą jedną pustą, bezśladów rozbitej rzeźby, mogą zakładać, że to sam Donovan zabrał ją z sobą tylko w wiadomych celach.

Joanna sprawdziła, która godzina.

Za dziesięć drugą.

Wydawało jej się, że przebywa na dole niewiele ponad pół godziny. Jeśli posiedzi jeszcze trochę dłużej, uprzejmy i sumienny Raimundo najpewniej przyjdzie sprawdzić, co się z nią dzieje.

Szybko dokończyła robotę, jeszcze raz sprawdziła, czy nie zostały żadne ślady, odłożyła plastikową osłonę namiejsce, owinęła całą rzeźbę starannie w wełniany płaszcz, a potem wyprostowała się i wepchnęła sobie pod ramię ten wielki, nieporęczny pakunek.

A więc stało się.

Bez względu na to, czy wyniknie z tego coś dobrego czy złego - już po wszystkim.

Prześladowała ją myśl, że raczej na pewno wyniknie coś złego.

Z piwnicy pojechała prosto na ostatnie piętro, złożyła płaszcz na kanapie, a aparat na stoliku do kawy.

Po drodze uderzyła ją nagle całkiem nowa myśl, czyniąc w jej głowie jeszcze większy zamęt niż dotąd.

Kot Lamba.

Donovan tak stanowczo upierał się, że weźmie go ze sobą i odda do naprawy.

Zapytała o figurkę, kiedy dzwonił w niedzielę rano, ale powiedział tylko, żeby się nie martwiła.

A teraz zastanawiała się - ledwie mogła znieść taką myśl, ale też nie mogła jej odrzucić - czy rzeczywiście zabrał rzeźbę po to, by ją naprawić?

Amoże chciał jej się pozbierać?

14. Ślepa trwoga

209.

- Dobry Boże!

-jęknęła głośno, zrywając się z fotela.

Ze wstydu aż zakręciło jej się w głowie.

Sama owa myśl wydała jej się obrzydliwa i wręcz nieprawdopodobna - to w końcu nie Jacka podejrzewa Oates, tylko Lamba i jego kości.

To Lamb dostarcza zbrojeń, ty chrzekomo żywicznych kopii, na których powstają dzieła Donovan, robito od lat, a jego szczególny talent według słów Jacka przyczynił się do ich sukcesu.

Och, dobry Boże, a jeśli ten "geniusz" przynosił Donovanowi prawdziwe ludzkie kości?

I to może nawet kości pomordowanych ludzi.

Joanna znów zaczęła przemierzać nerwowo pokój, analizując z wysiłkiem niewielki zasób informacji, jakiego dała jej się zebrać na temat Murdocha Lamberta III.

Dziwny, niedający się lubić facet, widać, że bardzo oddany Jackowi, może nawet w nim zakochany.

Być może nawet natyle mocno, by chcieć ofiarować mu tak ogromny i niemożliwy do kupienia dar?

Ale jeśli to prawda, jak to możliwe, aby Jack o niczym nie wiedział? Pomijając już gipsowe otoczki, tyle opowiadała jej o cudownych właściwościach żywicznych replik Lamba, że z całą pewnością musiał ich dotykać, zanim zostały pokryte gipsem.

Pod Joanną ugięły się nogi, opadła z powrotem na fotel.

A może Lamb podsuwał Jackowi zestawy kości z żywicy, a potem go szukał, przed rozpoczęciem pracy pokrywając gipsem

prawdziweschczątki ludzkie?

Miotła się w mgle i dojrzała otym wiedziała.

Jeśli posiedzi tak jeszcze chwilę, starając się nie patrzeć na leżący nakanapiezwinięty płaszcz, to chyba zaraz oszaleje.

A jeśli celem tego całego straszego przedsięwzięcia miałyby być przekazanie dowodów Tomowi Oatesowi lub Gary'emu Poole'owi, to lepiej zrobić to od razu.

Podniosła się powoli, ruszyła w stronę telefonu, lecz nagle przystanęła.

Klucz!

Jeśli zaraz nie odda go Raimundowi, jego brak może zwrócić cię na niepożądaną uwagę.

Sprawdziła, która godzina.

Dochodziło wpół do trzeciej, więc po powrocie na górę będzie miała jeszcze mnóstwo czasu, by zadzwonić.

Kiedy wyszła z windy, nawet nie spojrzała na mężczyznę stojącego po drugiej stronie holu, plecami do niej.

Zobaczyła Raimunda za biurkiem Feenana, dostrzegła uśmiech na jego twarzy, kiedy ujrzał klucz nawyciągniętej ku sobie dłoni.

- Witaj, Joanno - odezwał się nagle czyjś znajomy głos.

- Miałem nadzieję, że cię zastanę w domu.

210

Odwróciła się powoli, z całej siły starając się zachować wewnętrzny spokój.

- Murdoch!

Co za niespodzianka.

- Mam nadzieję, że miła.

- W jego błękitnych oczach pojawiło się coś nakształt rozbawienia.

Miała na sobie ciemny płaszcz, a w ręku trzymał kapelusz typu fedora

- był ubrany tak samo jak wtedy, w czwartek na Madison Avenue,
co wedle Donovana było niemożliwe.

Zdobyła się na uśmiech.

- Co cię tu prowadzi?

- Przedświąteczne zakupy, a cóż by innego?

- Siłąc się na jowialny ton, uniósł w górę trzy pełne torby, dwie od Bergdorfa
Goodmana, jedną z Doubleday.

- Ale już właściwie skończyłem.

Pomyślałem, że zajrzę, aby zapytać, czy nie miałabyś ochoty zabrać się ze
mną na farmę - minożet dzień wcześniej.

Siedzący za biurkiem Raimundo zakaszłał dyskretnie, a Joanna
zamarła.

- Wydajemy się, że chodzi mu o ten klucz - pośpieszył z
pomocą Lamb, który patrzył na jej rękę.

- Oczywiście.

- Czując na twarzy lekkie rumieniec, Joanna odwróciła się i szybko zwróciła
klucz portierowi.

- Dziękuję, pani Guthrie.

- Raimundo posłał jej promienny uśmiech.

- Nie miała pani żadnych problemów na dole?

- Żadnych, dziękuję.

- Joanna odwróciła się z powrotem do Lamba, zdecydowana nadrabiać miną.

- Nie jestem jeszcze gotowa, aby dziś jechać na farmę - odrzekła - ale

myślałamo tym, żeby wyskoczyć gdzieś nakawę.

- Bezpłaszczka?

- Lamb obejrzał się przez ramię.

Na zewnątrz padał śnieg.

- Wygląda nato, że będziemy mieć białe święta - wtrącił radośnie Raimundo.

- W rzeczy samej - potwierdził Lamb.

- Prawdę mówiąc, Joanno, z rozkoszą napiłbym się kawy, ale wolałbym raczej pojechać z tobą nagórę i wygodnie usiąść.

- Skrzywił się.

- Bołą mniemogi, wiesz?

Po tych wszystkich zakupach.

Joanna czuła się paskudnie wytrącona z równowagi.

- Nie jestem pewna, czy została mi jeszcze jakaś przyzwoita kawa, Murdoch - to właśnie dlatego chciałam wyjść.

- Nie ma problemu.

- Ruszył w stronę windy.

- W takim razie po prostu.

stu posiedzę przez chwilę w spokoju po całym tym hałasie i zamieszaniu.

- Urwał i dodał: -Jeśli nie masz nicprzeciwkotemu, rzecz jasna.

-Nie - Joanna wzięła głęboki wdech i ruszyła za nim.

- Oczywiście,

żenie mam.

Byli już w połowie drogi do nadbudówki, kiedy przypomniała sobieo leżącym na kanapie płaszczu i znów poczuła, na twarzy gorąco.

- Wszystkow porządku?

- zapytał Lamb.

- W jak najlepszym - odrzekła.

Otworzyła i zwawymkrokiem weszła przed nim dośrodka, mającnadzieję, że sprawia wrażenie spokojnej i zachowujesięw miaręnormalnie.

- Tylko cośsprzątnę.

- Rzuciła się do płaszczu, przycisnęła gomocno do siebie, żeby niewyleciał zeń nawet najmniejszykawałek rzeźby,odwróciła się i posłała uśmiech Lambowi, który stał kilka kroków za nią.

- Poplamiłam go czymś - wyjaśniła, ruszając do drzwi - będę musiała poszukać pralni.

- Może oddasz go chłopakowi na dole?

- zawołał zanią.

-Oni znają tu najlepszych specjalistów.

- Pewnie tak zrobię!

- odkrzyknęła przez ramię.

Weszła do sypialni Donovanana i ostrożnie położyła płaszcz nałóżku.

Lepiejbyłoby znaleźć torbę i schować good razu, lecz niechciała ryzykować, że jeśli zajmie jej to za dużo czasu, Lamb wejdzie tu za nią. Zostawiła więc płaszcz tam, gdzie leżał, i zamknęła za sobą drzwi do sypialni.

- Pójdę się rozejrzeć za jakąś kawą - rzuciła rzeźkim tonem, wsuwając głowę do pokoju dziennego.

Zobaczyła, że Murdoch zdjął płaszcz i przewiesił go przez poręcz jednego z krzesel, kładąc na wierzchu swoją fedorę.

Potem cofnęła głowę i ruszyła w stronę kuchni.

- Mogę się przyłączyć?

- Lamb ruszył za nią.

- Oczywiście.

- Urządziła małe przedstawienie, otwierając szafkę, w której Jack trzymał zwykle kawę, wyjmując z niej słoje i zaglądając do środka.

- Powinno wystarczyć.

- Wyjęła młynek do kawy i wrzuciła do środka trochę ziaren.

- Czy nie powinnaś zanieść portierowi tego płaszcza?

- Nie ma pośpiechu.

Joanna nałożyła pokrywę młynka i przycisnęła ją, żeby zaczął działać.

Wdzięczna była za ten przeszywający uszy hałas, który choć na kilka chwil uniemożliwił im prowadzenie rozmowy.

Musisz tylko zaparzyć kawę, a potem pozbyć się go stąd, pomyślała.

Kiedy ziarna zostały zmielone, znalazła papierowy filtr, przesypała zawartość młynka, następnie napełniła czajnik i włączyła gaz.

- Niedługo będzie - oznajmiła.

- Wcale mi się nieśpieszy - uśmiechnął się Lamb.

- Czy nie wybierasz się jutro na farmę?

- Dostrzegł, że nie rozumiała, o co mu chodzi.

- Mamna myśli twój płaszcz - wyjaśnił.

- Wiem, że w najlepszych pralniach załatwią sprawę w ciągu kilku godzin.

Joanna zdołała odpowiedzieć mu uśmiechem.

- Nie sądzę, abym miała zdążyć przez środą.

Zbyt wiele rzeczy zostało mi jeszcze do załatwienia.

- Ale masz zamiar przyjechać, prawda?

Woda w czajniku już się zagotowała.

- Nie chciałabym, aby mnie to ominęło - odrzekła.

- Donovan jest podekscytowany faktem, że spędzisz z nami święta.

Zaparzyła kawę, ustawiła dzbanek natacce razem z

cukierniczką, dzbanuszką na mleko oraz dwiema filiżankami i zaniósła to wszystko do pokoju dziennego.

Lamb ruszył niespiesznie za nią, a potem, kiedy ustawiła tacę na stoliku obok aparatu, zaczął się przechadzać po pokoju, najwyraźniej czując się jak u siebie w domu.

- Z mlekiem czy bez, Murdoch?

Niestety nie pamiętam.

- Nie ma powodu, abyś miała pamiętać - odrzekł uprzejmie, zmierzając rażno do okna.

Joanna nalała kawy do filiżanek, dla niego pozostawiła czarną, sobiedolała kilka kropel mleka i usiadła w jednym z foteli.

Sięgnęła po filiżankę.

- Donovan powiedział mi, co się stało z moją rzeźbą -
powiedział Lamb, zwrócony twarzą do wielkich okien widokowych.

Joanna odstawiła kawę na stolik, żeby nie ryzykować rozlania.

- Bardzo mi przykro z tego powodu.

Odwrócił się jej stronę.

- Nie było powodu kłamać w sprawie tego, kto to zrobił, wiesz?

- Zgadza się z tobą w zupełności - odrzekła spokojnie.

- Od razu wiedziałem, że próbowałeś osłaniać.

On sam niczego nietłucze.

Porusza się po swoim domu z większym wdziękiem i zręcznością niż większość widzających.

- Masz całkowitą rację - powtórzyła nieco cierpkim tonem.

- To ja okazałam się niezgrabną, o czym zresztą chciałam cię natychmiast powiadomić, tyle że Jack mnie od tego odwodził, bo wydawało mi się, że się da naprawić.

- Wątpię, czy to możliwe.

- Lamb przemierzył pokój, usiadł na kanapie i sięgnął po swoją filiżankę.

213.

- Tego się właśnie obawiałam.

- Joanna zawahała się, a potem dodała: - Chciałabym wiedzieć, jak ci to mogę wynagrodzić, Murdoch.

- Ta figurka nie miałaby wielkiej wartości materialnej, jeśli to masz na myśli.

Joannie przyszedł na myśl szkielet kota, a zaraz potem to, co leżało w sypialni, zawinięte w jej płaszcz.

Niesłychanie trudno było jej pogodzić ich spokojną, nienagannie uprzejmą rozmowę z najkoszmarniejszymi podejrzeniami, jakie wypełniały jej głowę, kiedy wiozła płaszcz na górę.

Możliwe jednak, że koniec końców nie ma racji i prawda wygląda zupełnie inaczej.

- Moim zdaniem figurka była niezwykle piękna - odrzekła, a potem w nagłym przypływie odwagi dodała: - Nie do wiary, jak skomplikowana.

Niebieskie oczy pozostały tak samo chłodne jak zazwyczaj.

- Zakładam, że widziałaś wewnątrz mojego kotka?

Zadzwonił telefon.

Korzystając z chwili wytchnienia, Joanna wstała, żeby odebrać; serce waliło jej mocno.

- Halo?

- Pani Guthrie, tu agent Poole.

- Tak?

- Poczula przyspieszone bicie serca.

- Jak pan się miewa?

- Bardzo chciałbym usłyszeć, co ma mi pani do powiedzenia.

Zwilgotniały jej dłonie.

- Nic szczególnego.

-Chciałbym, żeby pani coś zrozumiała, pani Guthrie.

- Co mianowicie?

-Jeśli odkryła pani coś, co ma związek z morderstwami, którymi się w tej chwili zajmujemy, może pani narazić się na poważne niebezpieczeństwo, jeśli natychmiast pani nie opowie o swoich podejrzeniach.

Joanna milczała.

Siedzący na kanapie Lamb popijał kawę, zupełnie swobodny i wyraźnie zadowolony.

- Jest jeszcze jedna sprawa - ciągnął Poole szorstkim tonem.

- Agent Oates spóźnia się do pracy już siedem godzin, nie odbiera ani telefonów domu, ani komórkowego.

-Urwał na chwilę.

- Powiedziała mi pani, że ostatnio rozmawiała z nim wczoraj.

- Zgadza się.

-O czym rozmawialiście?

Zapytał mnie, co sądzę o Murdochu Lambencie - odpowiedział w duchu.

- Czy mogłabym oddzwonić trochę później?

- Joanna napotkała spojrzenie Lamba i wywróciła oczyma, jakby uwikłała się w rozmowę z kimś

214

niepożądanym i nudnym.

- Chodzi o to, że w tej chwili mam gościa, wobec którego zachowuję

sięniegrzecznie.

- Kto to jest?

- padłozadane ostrym tonem pytanie.

- Kiedy tylko będę mogła.

-Nie może pani mówić, czy tak?

- Zgadza się.

-Dobra, proszęposłuchać -rzucił szybko Poole.

- Przez następnedwie lub trzy godzinybędę nieosiągalny, ale będę dzwonił do biura, żeby sprawdzić, czy nie mawiadomości,więc niech pani od razu zatelefonuje,dobrze?

Dotarłoto do pani, pani Guthrie?

- Tak, oczywiście -odrzekła Joanna i odłożyła słuchawkę.

- Przepraszam, Murdoch.

- To nic takiego - powiedział spokojnie.

Byław połowie drogi do swojego fotela, kiedy znów się odezwał.

- Co robiłaś w piwnicy?

Joanna sądziłaprzez chwilę, żejej serce stanęło.

- Pranie.

- Przypomniała sobie, że widziała po drodze wywieszkęo pralni doużytku mieszkańców.

-Naprawdę?

- Lamb urwał na chwilę zdziwiony i zaraz zapytał: -Czypralka

Donovanajest zepsuta?

- Nie chciałam używać jej do prania swoichosobistych rzeczy.

-Nigdy nie słyszałem,żebywspólną pralnię zamykano na klucz.

Joannasię nie odezwała.

- Ten klucz, który oddałaś Raimundowi - ciągnął Lamb.

- Czy Do" novan wie, że byłaś w jegopiwnicy?

Kontratakuj!

- A czy wie, że jesteś wmieście i udzielasz mi reprimendy?

-Jeszcze nie- odpowiedział.

Joanna podniosła się z fotela.

- Szczerze mówiąc, Murdoch, mamjeszcze sporo roboty.

-Może mógłbym ci wczymś pomóc?

- Znów jednawielka uprzejmość.

- Nie -oświadczyła Joanna stanowczo.

- Dziękuję.

-Zmówiła w myślach krótką modlitwę.

- Ale jeśli nie masz nic przeciwko temu, chętniewróciłabym do swoich zajęć.

- Rozumiem, że chciałybyś, abym jużsobie poszedł?

- Pozostałnaswoim miejscu, podnosząc nanią oczy.

- Owszem.

Jak już mówiłam, mam sporodo załatwienia.

- Mogłabyś się tym zająć i nie zwracać na mnie uwagi?

- zapropono215.

wał. - Donovan zazwyczaj pozwala mi swobodnie korzystać ze swego mieszkania, kiedy jestem w mieście.

- Czy tak?

- Joanna była napięta do granic możliwości.

- A co z twoim mieszkaniem na Madison Avenue?

Coś mu błysnęło w oczach.

- Z jakim mieszkaniem?

Zachowaj obojętny spokój.

- Widziałam, jak tam wchodziłeś w zeszły czwartek.

Zostawiłam u portiera pozdrowienia.

Lamb skinął głową i uśmiechnął się leciutko.

- Tonie moje mieszkanie.

Przyjaciela.

- Odniosłam wrażenie, że Jack nie wie o tym, że byłeś tegodnia w Nowym Jorku.

Znow ten błysk w oczach.

- Jack - jak go teraz nazywasz - woli niewiedzieć każdym moim kroku, Joanno.

Ceni sobie niezależność swoich przyjaciół tak samo jak własną.

- Jestem tego pewna.

Lamb podniósł się wreszcie z kanapy.

- Dziękuję za kawę.

- Podeszedł do stołu, wziął do ręki spoczywający na płaszczu kapelusz, a płaszcz przewiesił przez ramię.

Odwrócił się w jej stronę.

- Możesz teraz oddzwonić do przyjaciela.

- Tak - odrzekła Joanna.

Lamb ruszył w stronę drzwi, zatrzymał się jednak przy stoliku do kawy.

Popatrzył na aparat, nadal spoczywający tam w skórzanym pokrowcu.

- Robiłaś ostatnio jakieś ciekawe zdjęcia, Joanno?

- Dla mnie były ciekawe - odparła.

- Wątpię, czy zainteresowałyby kogoś innego.

Wiesz, jak to jest.

Popatrzył jej prosto w oczy.

- Przypuszczam, że tak.

Joanna odwróciła się i ruszyła przed nim do drzwi wyjściowych, modląc się w duchu, by Lamb za nią poszedł.

Poszedł.

Otworzyła drzwi.

- Jeszcze raz dziękuję za gościnność - rzucił z uśmiechem.

- To była tylko filiżanka kawy, Murdoch.

- Tak.

Wyszedł za drzwi, ale odwrócił się jeszcze raz.

- W takim razie zobaczymy się w okolicy świąt, czy tak, Joanno?

Mogę zapewnić o tym Donovanowi?

216

- Sama mu o tym powiem.

Zamknęła drzwi, walcząc w duchu z pokusą przekręcenia klucza w zamku i zaryglowania dwóch zamków na górze i na dole, bo wiedziała, że Lamb wciąż jeszcze znajduje się w kwadratowym korytarzyku.

Poczekala, az uslyszyc dgllos nadjezdzejacej windy, a potem otwieranych ponownie zamykanych drzwi.

Nagle przyszlo jej do glowy, ze byc moze Lamb ma wlasny komplet kluczy do nadbudowki i do samego mieszkania.

Po raz pierwszy nie czula sie bezpiecznie w nowojorskim mieszkaniu Jacka. Miała ochotę przeprowadzić się do hotelu, zastanawiała się także, jak szybko udałoby jej się - gdyby naprawdę dołożyła starań - wydostać się stąd i wrócić do kraju.

Dźwięk jeżdżącej windy stopniowo ucichł.

Joanna chciała otworzyć powrotem drzwi, aby zobaczyć, czy Lamb naprawdę sobie poszedł.

Zamiast tego jednak jeszcze raz starannie je sprawdziła, a potem w nagłym ataku manii prześladowczej zapragnęła się przekonać własnie o tym, że naprawdę opuścił budynek, pobiegła więc do pokoju dziennego i otworzyła przeszkłone drzwi, prowadzące na taras.

Nadal padał śnieg, osiadając w kątach oraz na obmurówce.

Joanna oparła się obiema rękami na lodowatej poręczy i wyjrzała.

Pod wpływem wirujących płatków w wysokości na chwilę zakreśliło jej się w głowie.

Wstrzymała oddech w oczekiwaniu.

A co będzie, jeśli Murdoch wcale nie ma zamiaru wyjść?

A jeśli właśnie teraz przekonuje Raimunda, by dał mu klucze do schowka B9?

Albo jeśli wrócił Jerry Feenan, a Lamb mówi mu właśnie, że Joanna zeszła do piwnicy bez pozwolenia - a może w tej chwili już jeżdżą nadół, żeby się przekonać, czy wszystko w porządku, a przecież nawet jeśli

Feenan czy Raimundo nie zauważają niebezpieczeństwa rzeźby, to na pewno Lambowi ów fakt nie umknie.

Wyszedł spod markizy, włożył fedorę i ruszył swym zwykłym metodycznym krokiem, zwracając baczną uwagę na śliski chodnik pod nogami.

Dzięki Bogu przynajmniej za to.

Zatrzymał się, a Joannie znów zabrakło tchu.

Zobaczyła, że Lamb spogląda w górę.

Przez jedno mgnienie oka miała ochotę przykucnąć i uciec, lecz zamiast tego w krawcowym przypiływie zuchwałości podniosła rękę i pomachała mu na pożegnanie.

W odpowiedzi uniósł prawą dłoń i wykonał gest, który przypominał salut.

217.

A potem ruszył dalej, doszedł do skrzyżowania z Piątą Aleją, skręcił w prawo i niemal natychmiast zniknął jej z oczu.

43

W Oxfordshire Sara miała właśnie kolejny sen o Joannie, a tunel w jej głowie stał się kalejdoskopem jesiennych kolorów, które w zawężonym, lecz bezkresnym wewnętrznym widzeniu sennym zawsze oznaczały Joannę.

Był wczesny wieczór, a ona znajdowała się we własnym łóżku. Wiedziała o tym, mimo że leżała pogrążona we śnie, ponieważ był to sen nienaturalny, wywołany gorączką grypową - i może właśnie dlatego, kiedy kolory stały się coraz bardziej ogniste i palące, Sara miała świadomość, że stara się je od siebie odepchnąć, że próbuje uciec z tego tunelu.

Zrobiło jej się tam zbyt gorąco, brakowało powietrza.

Pragnęła rozpaczliwie się obudzić, zanim się udusi, zanim tunel wciągnie ją głęboko do wnętrza jak czarna dziura w kosmosie, wsysająca wszystko, co się znajdzie w jej pobliżu.

Rozpoznawała tę czerń, nawet we śnie wiedziała, że była tu już wcześniej - to tylko sen, tylko sen!

- ale żar stygł, pochłonęła go ciemność, a teraz w tunelu panował lodowaty chłód i dookoła niej była woda - czarna, cuchnąca woda - i wiedziała, że tonie, umiera.

Woda zamknęła się nad jej głową, zalała uszy, oczy i nos, wypełniając przestrzeń w głowie i ciele czernią - a teraz była już tylko Joanna, całkowicie tylko Joanna.

Otworzyła usta do krzyku.

A wtedy lodowata ciemność wlała jej się do gardła.

Sara obudziła się, zlaną potem, z bijącym sercem.

Spojrzała w górę, szukając gwiazd na suficie, ale żadnej nie mogła dojrzeć.

Ta całkowita ślepotą napełniła ją paniką, sparaliżowała.

To tylko noc.

Z wysiłkiem dźwignęła się z poduszek, sięgnęła do wyłącznika lampki nocnej, a wtedy okazało się, że wąski tunel widzenia jeszcze jej nie opuścił, Bogu dzięki, a gwiazdy nadal świecą rozsiadane wprost nad jej głową.

Wszystko jest jak zwykle, wszystko w porządku w jej małym, wciąż zawężającym się światku.

Tylko że wcale nie jest w porządku.

218

Coś się dzieje z Joanną.

Coś okropnego.

To tylko gorączka.

Sara odsunęła na bok kołdrę i opuściła stopy na podłogę.

Pokój wokół niej zawirował.

W głowie pulsowało jej z bólu, a twarz płonęła gorączką.

Tylko grypa.

Nic ponadto - grypa i twój neurotyczny mózg.

Kiedy przełknęła ślinę, poczuła ból.

Jęknęła i położyła się z powrotem.

44

Joanna, pozostawisz samą w mieszkaniu Donovan, zaczęła

rozważać, co powinna teraz zrobić.

Agent Poole kazał zostawić wiadomość - ale cokolwiek ma mu powiedzieć?

Jeśli zawiadomi FBI o kościach we wnętrzu rzeźb Jacka, to nawet gdyby agenci podzielali jej nieufność wobec Murdocha Lamberta (Tom Oates naprawdę ją podzielał, tyle Joanna wiedziała na pewno, niemniej według Gary'ego Poole'a teraz on znalazł się na liście zaginionych), główną osobą śledztwa tak czy owak stanie się Jack Donovan, mężczyzna, w którym się zakochała.

Najpoważniejszą kwestią w obecnej sytuacji było to, że nie miała pojęcia, komu zaufać.

Mimo wszystko nie mogłaby być pewna nawet samego Jacka.

Był błyskotliwy, bardzo dzielny i był wspaniałym kochankiem, był także oddany Sophii, lecz rzeźby, które legły teraz takim ciężarem na myślach Joan, ny, należały niezaprzeczalnie do niego: to nazwisko Donovana, nie Lamberta, świeciło niedoścignym blaskiem w świecie sztuki i sprzedawało się dobrze wśród bogaczy.

Noi w końcu to Donovan przechowywał owe makabryczne oryginały z gliny i gipsu - w piwnicy budynku, w którym mieszkał.

- Nalitość boską!

Pokręciła głową, żeby otrząsnąć się z tych myśli.

Intuicja mówiła jej jasno, że Jack nie popełnił tego wszystkiego - czymkolwiek się to "wszystko" okaże.

A przecież gdyby przyszło jej uczynić to, co najbardziej pragnęła zrobić - opowiedzieć mu o tym, co znalazła i wyjawić swoje podejrzenia - to Jack był tak lojalny i tak wdzięczny Lambertowi, że nawet nie mogła mieć

pewności, czy w ogóle by jej wysłuchał.

Koniec końcówci dwaj znają się i pracują razem od lat, podczas gdy znajomość z Joanną trwa zaledwie od paru tygodni.

..

Wylała kawę, którą zrobiła dla Lamba, i zaparzyła świeżą, w nadziei że zastrzyk kofeiny rozjaśni jej trochę w oszołomionej głowie.

Komujesz219.

cze mogłaby zaufać?

Stosunki między mieszkańcami Gilead Farm były pełne wzajemnych silnych zależności, tak serdeczne, a jednocześnie tak dziwaczne.

Lamb, Chen i Szabo orbitowali wokół Donovanajak wokół wspólnego słońca.

Nie mogła mieć stuprocentowej pewności nawet codo Toma Oatesa: tak atrakcyjnego i zbyt delikatnego jak na agenta FBI, z tym swoim czarującym domkiem i dziwną kolekcją.

I tam także znajdowały się kolejne kości, przypomniała sobie Joanna, co zresztą pewnie zupełnie nic nie znaczy, niemniej ten obraz wywołał w niej dreszcz.

Ale teraz nawet Tom zaginął.

Jedna mniej osoba, do której można się zwrócić - i jeden więcej powód do niepokoju.

Wędrowała po całym mieszkaniu, trzymając w rękach kubek z kawą.

Nagle przyszła jej do głowy Mel Rosenthal.

Mel była dla niej miła, tak wdzięczna za to, że Joanna przywiozła Donovanowi Sophie.

Ona także uwielbiała Jacka, ale przynajmniej jej życie nie toczyło się wokół niego, była blisko i prawdziwie związana z kimś innym.

Mel jej wysłucha.

Wysłuchai udzieli jakiejś trzeźwej i rzeczowej rady - no i rzecz jasna będzie wstrząśnięta, prawdopodobnie oburzona, że Joanna wtrąca się w nieswoje sprawy, lecz wydawało jej się, że Mel posiada dostatecznie dużo obiektywizmu, by odróżnić fakty od najbliższych hipotez.

A ja samana wyrażniej utraciłam tę zdolność, pomyślała na koniec.

- Złapałaś mnie w ostatniej chwili - oznajmiła Mel, kiedy Joanna zadzwoniła do jej biura.

- Już miałam iść do domu, bo mam trochę zaległości w papierkowej robocie.

- Przepraszam.

Jeśli jesteś zajęta.

- Powiedziałaś, że musisz pogadać.

- Agentka była jak zwykle zwięzła.

- Co się dzieje, Jo?

- Tonie jest coś, o czym mogłabym mówić przez telefon.

- No, teraz już jestem naprawdę zaintrygowana.

- Mel zastanawiała się przez ułamek sekundy.

- Czterdzieści pięć minut to za długo?

Żeby dojechała do domu i rzuciła buty?

- Tak byłoby doskonale.

Następny dylemat stanowiło to, czy ma zabrać ze sobą "dowody" czy lepiej nie.

Zabranie uszkodzonej rzeźby zamieszkania Jacka można poczytać za kradzież - a poza tym miała w aparacie film, który można wywołać ekspresowo, gdyby Mel potrzebowała jakiegoś namacalnego dowodu.

220

Jeszcze raz spojrziała na zegarek: jest już po czwartej, a ponieważ nadal padał śnieg, wszędzie będą korki i nie złapie taksówki, a to oznacza, że najlepiej dostać się do Yillage metrem.

Przeszła do gościnnej sypialni, wyjęła z szafy jedną ze swoich toreb podróżnych, zniosła ją do sypialni Jacka i z największą ostrożnością

zapakowała płaszcz z rzeźbawśrodku, po czym zapięła zamek.

Nie jest to najlepsza kryjówka, gdyby Lamb miał tu wrócić.

Nicnie mogęna to poradzić, doszła do wniosku, włożyła torbędojednej z szaf Jacka, potem szybko przebrała sięw dżinsy i ulubiony zielony sweter z kaszmiru, włożyła solidnebuty, złapała kurtkę, torebkę,hasselblada i ruszyła ku drzwiom.

Zadzwonił telefon.

Stanęła,niezdecydowana i spięta,do ostateczności.

Może to Poole lub Oates.

A możeto po prostu jakiśtelefon doJacka.

A może dzwoni Mel, żeby zmienić godzinę spotkania.

Poszłaodebrać.

- Halo?

-Witaj, moja piękna.

Dźwięk jego głosu sprawił, że przez całe jej ciało przepłynęła nagłaśfala ciepła, lecz wewnętrzne napięcie zaraz odepchnęło ją zpowrotem.

- Witaj, Jack.

-Kogo się spodziewałaś?

- Co maszna myśli?

-Odezwałaś się tak jakoś ostrożnie.

-Zawiesiłgłos.

- Wszystko dobrze?

- U mnie w porządku.

Poprostu miałam własniewychodzić, towszystko.

- Niech no zgadnę - kolejne zakupy?

'- Najpewniej.

-Joanna przygryzła wargę.

- A jakty się miewasz?

Jakpraca?

- Nie mogę sięskupić, tak jak powinienem.

To twoja wina.

- Moja?

- Poczula nagły skurcz wżołądku.

- Rozpraszasz mnie, Joanno.

Kiedy przyjeżdżasz?

Jutro?

- Taką mam nadzieję.

- Za nic nie mogła się zmusić, by wyznać muprawdę i zniszczyć to ciepłe wyczekiwanie, jakie usłyszała w jego głosie.

- Podwarunkiem, że dam radę wszystko załatwić dzisiaj.

-Proszę, daj radę.

Sprawdź, czy wie, że Lamb jest tutaj - nalegałcichy głos w jejgłowie.

Wzięła głęboki wdech.

- Przykro mi, że nie mogłam przyjechać dziś z Murdochem.

221.

- Z Murdochem?

-Był tutaj - starała się, by zabrzmiało to jak nieważna wiadomość.

-Robił zakupy i pomyślał, że może się z nim zabiorę.

- Nic nie wiedziałem.

Uwierzyłam.

- Pewnie wpadło mu to do głowy w ostatniej chwili.

-Tęsknimy za tobą.

- Urwał.

-Sophia i ja tęsknimy za tobą jak cholera.

Nie możemy się doczekać, więc zadzwoń natychmiast, jak tylko będziesz wiedziała, kiedy przyjeżdżasz.

Powiem Chris i Pete'owi, żeby mi przekazali, nawet jak będę w pracy.

A to -jak uświadomiła sobie Joanna, odwiesiwszy słuchawkę jeszcze bardziej pełną sprzecznymi uczuciami - równało się niemal specjalnej dyspensie od papieża.

45

- Wyglądasz koszmarnie - oznajmiła Mel na widok Joanny, kiedy niemal godzinę później otworzyła jej drzwi.

-Pojechałam metrem i zgubiłam się.

- Wejdz i klapnij.

Joanna oddała jej kurtkę i opadła na miękki fotel, ostrożnie odłożywszy na puszysty dywan torebkę z aparatem i filmem w środku.

Kiedy wreszcie udało jej się dotrzeć bezpiecznie do miejsca, gdzie było ciepło i gdzie ze szczerą gościnnością powitały ją uśmiechnięte,

przypominające dojrzałe wiśnie oczy agentki, poczuła nagłą ochotę, aby wybuchnąć gwałtownym płaczem i powstrzymała się z największym trudem.

- A więc co się dzieje, Jo?

- Mel miała nasobie wygodny szary dres i puszyste różowe skarpety. Widać było, że spóźnienie Joanny dało jej ażnadtoczasu, by odprężyła się w przytulnym domu.

- Albo nie, nic niemów, póki nie damci czegoś do picia.

-Przyjrzałaję się uważnie.

- Koniaku?

Wygląda na to, że przydałoby ci się cośmocniejszego.

- Odrobinę, bardzo proszę.

- Cudownie byłoby salwować sięten jeden raz ucieczką w alkoholową mgłę, lecz Joanna miała pełną świadomość, że teraz najbardziej będzie potrzebowała trzeźwegorozsądku.

Mel przyniosła jej lampkę koniaku, a potem z kieliszkiemwina w rękuzasiadła na jednym z tych zamszowych worów, na których kiedyś leżała Sophia.

- Przepraszam, że tak ci się zwałam na głowę.

222

- Nie przepraszaj - odrzekła krótko.

- Napij się, bezpośpiechu, a potem mów.

- To będzie bardzo dziwaczna historia.

- Joanna ścisłaław dłoni kie, -liszek.

-I mam nadzieję, że na koniecpowiesz mi, że wprost niewiarygodnie dramatyżuję.

Melspojrzała na nią ze swojego miejsca napodłodze.

- Nie wyglądaszmi na osobę ze skłonnością do dramatyzowania.

-Pociągnęła łyk wina i wzruszyła ramionami.

- Ale z drugiejstrony,cóż jamogęwiedzieć?

- Jak tam Sandra?

- Joannie bardzo spodobała się tamta kobietao włosach koloru marmolady, niemniej poczuła ulgę, kiedy się okazało, że najwyraźniej niema jej teraz wdomu.

- W porządku - powiedziała Mel.

- Ma dziś po południu jakieś spotkanie na Conde Nast.

Przypuszczam, że jeszcze przez chwilę jejniebędzie.

- Zwłaszcza przy takich korkachi przy tej pogodzie.

-Chcesz pogadać o tłokuna ulicach czypowiedzieć mi, z czym przyszłaś?

Joanna uśmiechnęła się natę bezpośredniość, przełknęła łyk koniaku, a potem wzięła głęboki oddech.

- Na pewno wiesz, w jaki sposób Murdoch Lambert dokłada się dodziełJacka?

-Jasne - odrzekłaMel.

- Tymi swoimi kośćmi.

- Czy wiedziałaś - zaczęła ostrożnie Joanna - że wykorzystuje prawdziwe ludzkie kości?

-Do studiów, jasne.

- On wykorzystuje prawdziwe ludzkie kości do tych rzeźb, Mel.

Woryginałach, nadktórymi pracuje Jack.

- Nie ma mowy- zaprzeczyła tamtabagatelizującym tonem.

-Widziałam je.

- Joanna zamilkła na moment.

-Nie sędę - nawetnie mogę sobie wyobrazić - aby Jack mógł o tym wiedzieć.

- Jeśli byłaby to prawda - obstawała przy swoim Mel - wtedy Jack musiałby o tym wiedzieć.

-Niekoniecznie, jeśli Lambotacza kości warstewką gipsu, zanim muje przekaże.

- Donovan pokazywał mi prace Lamba, Jo.

- Agentka się uśmiechnęła.

-To niesamowicie dokładne repliki,ale mogę ci zaręczyć, że nie są prawdziwe.

- Może być tak, że na pewnym etapie prac pokazuje je Donovanowi
223.

- upierała się Joanna - ale te, które mu przynosi do pracowni, otoczonegipsem, to już nie jest żywica.

- Urwała na chwilę.

-Rozebrałamjednąz rzeźb.

Mel wytrzeszczyła na nią oczy.

- Możesz powtórzyć?

-Jedną zoryginalnychrzeźb Jacka.

Agentka zmrużyła oczy.

- Byłaś w piwnicy?

-Tak.

- Czy Donovan wie o tym?

-Jeszcze nie.

- Joanna pociągnęła kolejny łyk koniaku.

-Chodzi o to,Mel, że rozłupałamjedną z rzeźb.

- Jezu Chryste - wtrąciła Mel.

-...a potem złamałam jedną z kości i tonie była żywica.

- Joannaspojrzała wprost w pełną niedowierzania twarz agentki.

-Wzięła kolejny głęboki wdech.

- Wydaje mi się, że Lamb oszustwem wrobił Donovana w wykorzystywanie jako konstrukcji dorzeźbprawdziwych ludzkich szczątków, co już samo w sobie jest złe.

-Znów zamilkła na chwilę.

- Ale najbardziej przeraża mnie to, w jaki sposób mógł zdobyć te kości.

Mel odstawiła kieliszek na podłogę, zbyt wstrząśnięta, by go utrzymać

w dłoni.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- zapytałacicho.

Joanna opowiedziała jej o wszystkim.

O tym, jak za sprawą Toma Oatesa napłynęły jej do głowy pierwsze podejrzenia.

O glinianym kociu Lambai niewytłumaczonej wizycie Donovana w piwnicy oraz o własnym oszustwie, dzięki któremu Feenan uwierzył, że otrzymała pozwolenie, aby obejrzeć schowek.

O zaginionych ludziach z Hudson Valley o odkryciu ciał.

O tym, że znaleziono zwłoki tancerki bezprawej stopy.

I o tym kropnym, niedającym spokoju i narastającym stopniowo strachu - wzmocnionym jeszcze przez fakt, że Donovan rzeźbi akurat prawą stopę tancerki - który pogałają z powrotem do piwnicznego schowka B9 i doglinianej ręki, którą celowo rozbiła.

Kiedy skończyła swoją opowieść, Mel długo siedziała w bezruchu, niemówiąc ani słowa.

Potem sięgnęła po swój kieliszek wina i opróżniła go do ostatniej kropli.

I odstawiła go z powrotem.

- No dobra - powiedziała.

Joanna nie odezwała się ani słowem, czekając w milczeniu.

- Cieszę się, a przynajmniej tak mi się wydaje, że przyszedł z tym do

224

mnie.

To oczywiste, że potrzebujesz pomocy w tej sprawie.

- Mel zamilkła na kolejną chwilę.

-Muszę przyznać, że chyba mogę wyobrazić sobie Lamba dokonującego jakichś perwersyjnych czynów.

- Pokręciła głową.

- - Mówię tu o wykorzystywaniu prawdziwych kości, nie o morderstwach.

Tamto jest poprostu zbyt niesamowite, by dało się wyrazić słowami.

Zdajesz sobie z tego sprawę, prawda?

- Oczywiście, żetak!

- odparła Joanna.

-Niczego bardziej nie pragnę jak tylko tego, aby ktoś mi udowodnił, że to, co znalazłam, nie ma nic wspólnego z tancerką i pozostałymi zaginionymi.

To FBI łączy ze sobą te sprawy, Mel, nie ja.

- Wiem - odrzekła agentka, a potem się skrzywiła.

- Sama wiesz, co myślę o Lambie i całym tym towarzystwie wzajemnej adoracji w Gilead Farm.

- Owszem - potwierdziła Joanna.

-Nigdy go nie lubiłam.

Widywałam gromadnictwo rasy i nadal nie wiem; to pedantyczny, przemądrzały dupiek, a jedyne przeświadeł humoru, jak wykazuje, zawsze polegają na zabawie cudzym kosztem.

- Mel przerwała na moment.

-Ale ten facet naprawdę ceni Donovana, więc ciężko mi uwierzyć, abym mógł go czymkolwiek zranić.

-- Ale przecieżnie takiego nie zrobił, prawda?

-wtrąciła cicho Joanna.

- Wedle mojego rozeznania wielki sukces Jacka datuje się od czasów, kiedy połączyli siły.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Że robi to wszystko dla Donovana?

Nie oszukuje go, jak z początku sugerowałam, tylko pomaga mu być wielkim artystą?

- Mel wydełapoliczki głośno wypuściła powietrze, a potem podniosła się chwiejnie z workowatego siedziska.

- Czy jakiegoś czasu w Anglii nie złapali faceta, który wykorzystywał ludzkie kości do swoich rzeźb?

- To było coś zupełnie innego - odrzekła Joanna.

- On tylko zdobywał kości w nielegalny sposób, żeby z nich robić odlewy. Jego rzeźbami miały w środku prawdziwych szczątków, nigdy też nie podejrzewano, że ktoś zamordował, aby je uzyskać.

Zadzwonił telefon, a Mel poszła go odebrać do gabinetu.

Chwila przerwy w rozmowie sprawiła Joannie prawdziwą ulgę; położyła głowę na oparciu fotela i przymknęła oczy, bezskutecznie próbując oczyścić mózgi wszelkich myśli.

- Przepraszam - odezwała się po powrocie Mel.

Joanna otworzyła oczy i wyprostowała się powrotem.

- No dobra.

- Mel przysiadła na kanapie.

- Chcesz, żebym przejęła od ciebie tę sprawę?

15. Ślepatrwoga

225.

- Po to właśnie tu przyszedłam - odpowiedziała Joanna.

-W porządku.

-Mel podrapała się po głowie, prawie nie burząc swych krótkich włosów.

- Ani przez chwilę nie wierzę, że to ma coś wspólnego z morderstwami.

Joanna odezwała się, tylko słuchała uważnie.

- Możliwe, powtarzam: możliwe, że Lamb wpadł na jakiś paskudny sposób wykorzystywania w rzeźbach ludzkich kości, ale szczerze mówiąc, wydaje mi się, że trochę rozdmuchałaś sens pytań, jakie zadawał ci ten agent Oates.

Lamb najprawdopodobniej nastąpiłmu na odciśnięcie, jak tomu się zdarza z większością ludzi.

- Mel jeszcze raz zmrużyła oczy, tymrazem dla większego skupienia.

-Co właściwie powiedział ci ten drugi facet z FBI - Poole - że tak cię wytrącił z równowagi?

- Potwierdził mniej więcej, że Ellen Miller.

-Ta tancerka?

Joanna przytaknęła skinieniem głowy.

- Że brakowało jej prawej stopy.

-Powiedziałaś: mniej więcej.

- Nie zaprzeczył temu, Mel.

-I to wszystko?

-Agentka zamilkła na chwilę.

- A ponieważ ostatnią pracą Donovana to stopa tancerki, to do jakiego właściwie doszłaś wniosku?

Że Murdoch Lambert zabił w sierpniu Ellen Miller, aby

dostarczyć Donovanowi komplet idealnych kości do nowego dzieła?

- Nie doszłam do żadnych wniosków.

- Joanna poczuła, że twarz jej
płonie.

- A może chcesz powiedzieć, że Donovan i Lamb są wzmowie?

-Nie!

- odparła z naciskiem.

-Oczywiście, że nie.

- Wstała i z kieliszkiem w ręku podeszła do ściany, na której wisiało kilka śmiałych, biato-czarnych rysunków Sandry McGeever; potem odwróciła się w stronę Mel.

-Czy myślisz, że nie wiem, iż ta cała historia sprawia wrażenie mocno naciąganej?

- Myślę, że wiesz.

- Mel śledziła ją spojrzeniem.

-Wyglądasz mi na osobę rozsądną.

- Uśmiechnęła się lekko.

-A w każdym razie wyglądałaś do tej pory.

Joanna nie miała sił, żeby odpowiedzieć jej uśmiechem.

- Ale Jack rozmawiał ze mną o tym, co uważa za "geniusz" Lamba, a także o jego wielkim wpływie na swoje dzieła.

Powiedział mi też, że Lamb nie życzy sobie ujawniania własnego współudziału.

- A Donovan ma go z tego powodu niemal za świętego - dodała Mel.
Joanna wróciła do fotela i opadła nań ciężko.

- Agent Poole ostrzegł mnie, że jeśli wiem cokolwiek o tych morderstwach, mogę znajdować się w niebezpieczeństwie.

A minutę później Lamb zapytał, po co schodziłam do piwnicy.

- Ale dajcie spokój.

Nie skrzywdził cię ani nawet niegroził?

- Nie - Joanna się zawahała.

- Choć tak poczułam się zagrożona.

Przez kilka minut obie siedziały w milczeniu.

- Chyba muszę zobaczyć to na własne oczy, prawda?

- odezwała się wreszcie Mel.

-Nie chodzi o to, że ci nie wierzę, Jo, ale musisz zrozumieć, że zainwestowałam ogromne pieniądze w prace Donovana.

Niewspominając już o tym, że od wielu lat darzę go sympatią i szacunkiem - poznaliśmy się, jeszcze zanim zjawił się Lamb.

- Oczywiście, że rozumiem.

- Joanna zerknęła na swoją torebkę.

-Masz dowody dwie możliwości.

Sfotografowałam złamane kości oraz rozbitą rzeźbę i przyniosłam tu ze sobą aparat i film.

Mel zerknęła na zegarek.

- Już po szóstej.

Nawet jeśli znajdziemy otwarty punkt ekspresowego

wywoływania, najpewniej każą nam czekać do jutra rana.

- Zmierzył się spojrzeniem leżącą na dywanie torebkę Joanny.

-Nie wydaje mi się, żebyś przyniosła turzeźbę, co?

- Zawinęłam wszystkim swój płaszcz, włożyłam go do torby i

schowałam do szafy w mieszkaniu Jacka.

Nie uśmiechało mi się przewożenie tego metrem.

- Teraz wreszcie Joanna zdołała się uśmiechnąć.

- Pomyślałam też, że mogłabyś dojść do wniosku, że ukradłam tę rzeźbę.

- Uznałaś, że to gorsze niż jej rozbicie?

- zapytała Mel.

Joannę ponownie ogarnęła fala zdenerwowania.

- Samanie wiem.

- W porządku.

- Mel ponownie wstała, podeszła bliżej i objęła ją ramionami.

- Wiem, jak musiało ci być ciężko.

Bliska łez, Joanna odsunęła się i spojrzała w twarz tamtej.

- Jacki ja staliśmy się sobie bardzo bliscy.

Mel się wyprostowała.

- Jesteś w nim zakochana.

- Czy to aż tak widoczne?

- Widoczne było już miesiąc temu, Sandra od razu to zauważyła.

- Mel znów się uśmiechnęła.

- A to było jeszcze zanim przestałaś nazywać go Donovanem, jak my wszyscy.

- Jeszcze raz spojrzała na zegarek.

- A zatem jak zamierzamy to rozwiązać?

Chcesz wrócić tam ze mną czy wolałabyś raczej mi zaufać i wysłać mnie tam samą?

- Gdybym ci nie ufała - odparła Joanna - to przecież by mnie tu me
227.

było.

- Zastanowiła się chwilę.

-Właściwie tona razie najchętniej bym tam nie wracała, ale Jerry Feenan, czy kto tam będzie akurat pilnował drzwi, może cię nie wpuścić.

- Znam wszystkich facetów w portierni - zapewniła ją Mel.

- Chociaż może nie byłoby źle, gdybyś zadzwoniła, aby ich zawiadomić, że przyjadę i mam twoje klucze.

- Nie chcesz, żebyśmy z tobą pojechała?

- Jesteś wyczerpana, Jo.

Zostań tu i odpręż się trochę.

- To brzmi bardzo kusząco - przyznała Joanna.

- Zasłużyłaś na to - stwierdziła Mel.

Minęła prawie godzina, zanim agentka zadzwoniła.

- Koszmarne korki, ale jakoś mi się udało.

Joanna miała nerwy w strzępach.

- Widziałaś rzeźbę?

- To, co z niej pozostało, chciałaś powiedzieć.

- Mel starała się mówić lekkim tonem.

- Nie warto teraz za dużo mówić, ale nie ulega kwestii, że będziemy miały o czym myśleć.

- Czy mam się od tego poczuć lepiej czy gorzej?

- Wydaje mi się, że powinnaś rozważyć pozostanie u nas na noc.

- Myślałam, że być może powinnam przenieść się do jakiegoś hotelu.

- Po co?

U nas jest dość miejsca, a Sandra nie będzie miała nic przeciwko temu.

Sama myśl o szukaniu pokoju i przeniesieniu się do hotelu wymagała ją tyle wysiłku, że Joanna darowała to sobie pośpiesznie.

- Jeśli jesteś pewna.

- W takim razie postanowione.

Czego będziesz stąd potrzebować?

Mamy czyste szczoteczki i większość potrzebnych rzeczy.

Joanna zastanowiła się szybko.

- Czystej bielizny.

- Powiedz, gdzie jest.

Wy tłumaczyła.

- A w tym czasie - Mel przejęła całkowicie dowodzenie - ty sama powinnaś się zrelaksować, póki jest na to czas, może weź gorącą kąpiel? Włóż sobie jakieś olejki do aromaterapii, a czyste ręczniki znajdziesz w szafie przy drzwiach.

- Wolałabym zająć się czymś pożytecznym.

Może przygotowałabym kolację dla ciebie i Sandry?

- Zamówimy coś gotowego.

228

Joanna musiała zadać pytanie, które paliło jej mózg żywym ogniem.

- Jak sądzisz, czy Jack może mieć tego powodu poważne kłopoty?

- Jeśli Bóg pozwoli, nie będzie miał żadnych - oświadczyła Mel.

- Amen - dodała Joanna.

46

Woda, błękitnawa i upstrzona białymi strzępkami piany, chlupotała wokół niej, muskając delikatnie ciało satynowymi dotknięciami, kołysała ją do snu ciepłem i aromatem.

Geranium i palisander, z domieszką olejkumigdałowego, jak chyba wyczytała na ręcznie wypisanej etykiecie, choć po dniu, jaki miała za sobą, podejrzewała, że nie obeszłoby jej specjalnie, gdyby zawartość buteleczki pochodziła z wyciśniętych torebek herbaty.

Teraz liczyły się tylko ciepło, poczucie komfortu oraz to, że mogłana chwilę przymknąć oczy i odciąć się od rzeczywistego świata.

- Jakikolwiek by był - mruknęła do siebie.

Usłyszała, że otwierając się wejściowe drzwi.

' - Witaj, Mel!

- zawołała leniwie.

- Jestem w wannie.

Żadnej odpowiedzi.

Otworzyła oczy i usiadła, wywołując w wannie serię drobnych fal.

Drzwi do łazienki otworzyły się i do środka zajrzała Mel.

- Jaktam, Jo?

- Cudownie - odrzekła Joanna.

- Zaraz wychodzę.

- Zostańtam, gdzie jesteś - poleciła Mel stanowczo.

- Kupiłam podrodze znakomitą herbatkę ziołową i sądzę, że obie powinnyśmy wypić po filiżance, kiedy będziemy się zastanawiać, co dalej zrobić.

- Zawahałaś się na moment.

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Joanna zanurzyła się z powrotem.

- Zupełnie nic.

- Lepiej dolej sobie trochę gorącej wody - doradziła Mel.

- Olejek sprawdza się lepiej, kiedy kąpiel paruje.

- Mam poczucie winy -powiedziała jej Joanna.

- Przeze mnie biegasz po mieście po długim dniu pracy, a ja wyleguję się w twojej wannie.

- Poczucie winy to ostatnia rzecz, która powinna cię teraz trapić

-odrzekła agentka.

Joanna sięgała właśnie do kurka, by zakręcić strumień gorącej wody, kiedy Mel wróciła z filiżanką herbaty.

229.

- A gdzie twoja?

- zapytała Joanna.

- W gabinecie.

- Pochyliła się, by ostrożnie podać jej filiżankę, uszkiem do przodu.

- Właśnie przypomniałam sobie, że muszę zrobić jedną czy dwie rzeczy, zanim zaczniemy naszą burzę mózgów.

- Czy mogę w czymś pomóc?

- Niestety nie.

- Policzki Mel były bardziej różowe niż zazwyczaj, jakpo długim biegu.

- Po prostu wypij herbatę i relaksuj się, póki możesz.

Wrócę do ciebie najszybciej, jak się da.

Wyszła, cichutko zamykając za sobą drzwi.

Joanna powąchała zawartość filiżanki.

Zapach przywodził mgliściana myśl rumianek, może z bergamotką i czymś jeszcze.

Nic wydziwianego, doszła do wniosku i ostrożnie wypila pierwszy łyk.

Nienajgorsza.

Wypila jeszcze trochę i osunęła się głębiej w wodę.

Mel kazała jej się relaksować, póki może.

Joanna czuła, że to dość rozsądna rada.

Zza drzwi łazienki dobiegały dźwięki jakiejś czystej, śpiewanej przezchór melodii, bardziej kojącej niż kąpiel.

Z drzemki wyrwały ją czyjeś głosy, przebijające przez muzykę, ale zbyt słabo, by słyszała je wyraźnie.

To pewnie radio, przyszła jej do głowy leniwa myśl, a może

telewizor.

Nigdy w życiu nie czuła się takopreżona.

Aż zabardzo.

Usiadła powolutkui zauważyła, że postawiła filiżankęna
krawędziwanny.

Myśli miała jakbyprzymglone,a całe ciało nadzwyczaj ociężałe.

Woda ostygłatak, że teraz byłaedwie ciepława.

Czas wychodzić,zanimsię cała pomarszczy albo naprawdę zapadnie w sen.

Próbowała dosięgnąć korka.

Prawym łokciem strąciła filiżankę, która bezgłośnie upadła na dywanik
przed wanną.

Zamglone myśliteraz stały się prawie zupełnie nieprzejrzyste.

Gdzieś wglowie rozdźwięczał siędzwonek alarmowy, lecz niemal
natychmiast ucichł.

Powinnam już wyjść, pomyślała z dziwnymspokojem.

Znów usłyszała tamte głosy.

Kobięcy i męski.

Mel i kto.

Joanna zaczęła się podnosić, ociekając wodą, a plusk zdawał się
wywoływaćw jej głowie tysięczne echa.

Przełożyła jedną nogę przezbrzegwanny, poczuła pod stopą uspokajającą
miętkość dywanika, najpierwpod jedną, potem pod obiema.

Kręciło jej się w głowie.

Sięgnęła poręcznik, który powiesiła narurce grzejnika.

Łazienkaprzechyliłasię nabok.

Uchwyciła wzrokiem odbicie własnej twarzy i przekonała się, że jest bardzo blada, a potem ten obraz uległ zniekształceniu, kiedy ugięły się pod nią nogi.

Leżąc na podłodze, jeszcze raz usłyszała tamte głosy; zbliżały się teraz.

Próbowała zawołać Mel, ale z jej ust nie wydobył się żaden dźwięk.

Przez wąską szczelinę u podstawy drzwi napływały ku niej strzępy rozmowy.

- ...

dla jej własnego dobra.

- To ten mężczyzna.

Potem Mel, powiedziała coś podniesionym głosem, wyraźnie zdenerwowana, lecz nie dało się rozróżnić poszczególnych słów.

- ...

cicho i spokojnie, dopóki Donovan nie zdoła.

- Znow ten męski głos.

Suchy i rozkazujący.

To Lamb!

Kłócili się o coś.

Mel odezwała się niedosłyszalnie, a potem głośniejszym, z wyraźną udawką w głosie, rzuciła:

- Jezu, Murdoch!

Joannie zamazywał się obraz.

Oczy zachodziły jej mgłą, miała ochotę potrzeć je pięściami, ale jakoś nie mogła unieść rąk i było jej zimno, okropnie zimno, kiedy tak leżała naga i mokra na podłodze.

Jęknęła, wydawało jej się, że jęknęła, bo nadal nie słyszała własnego głosu, a nawet własnego oddechu.

Może to wszystko to tylko sen i chwilę obudzi się z powrotem w mieszkaniu Jacka albo nawet we własnym łóżku w Merlin Cottage.

To nie sen.

Świat zgęstniał nagle jak błoto i zupełnie ją ogłuszył.

A potem zredukował się do nicości.

47

Kiedy się ocknęła, nadal leżała na podłodze - na jakiejś podłodze - ale nie czuła już pod sobą dywanika; ta podłoga była twarda, zimna i poruszała się, a wszystko to razem ze słyszczanymi dźwiękami kazało jej sądzić, że znalazła się w jakimś pojeździe, który mknął po jakiejś drodze, a choć zrobiło się ciemno - otaczała ją całkowita ciemność - miała pewność, że jest tu zupełnie sama; była to ciemność oślepiająca i pusta.

Usiądź - nakazała sobie w myślach.

Nie mogła się poruszyć.

Jej ciało zrobiło się jeszcze bardziej ociężałe, jak z ołowiu.

W głowie jej wirowało, w ustach miała niemiły posmak, a język zupełnie jej zdrętwiał.

231.

- Na pomoc.

Słowa wydostały się jednak - tym razem je usłyszała, zduszone, jakby krzyczała przez grubą warstwę waty.

Pojazd, który ją uwoził, mknął szybko, podłoga pod nią wibrowała, a każdy wstrząs dawał się wyraźnie odczuć, choć nie czuła przy tym bólu.

Nie była naga.

Ktoś najwyraźniej ją ubrał; czuła na skórze jakiś materiał.

Coś czuła, dzięki Bogu - chociaż całe ciało miało jak z ołowiu, lecz jak się zorientowała, nie było pozbawione czucia, a w każdym razie nie sparaliżowane.

Materiał wydawał się cienki, jedwabisty, może topiżama, ale Joanna nie mogła poruszyć rękoma, żeby to sprawdzić, ani podnieść głowy, żeby coś zobaczyć - zresztą i tak było zbyt ciemno.

Och, Boże, nie mogła znieść tej czerni dookoła, przez nią myślała o tym, jak wyglądałoby Jacka - i to przez całą czas.

Przypomniała sobie, że już raz odczuwała coś podobnego - tamtej nocy, kiedy jej lampki zniknęła żarówka.

Nie zniknęła, pomyślała teraz, tylko ktoś ją zabrał.

- Dlaczego?

- rzuciła zduszonym głosem w mroczne, zimne powietrze, ale nikt jej nie odpowiedział, zresztą, kogo u diabła może obchodzić, dlaczego zabrano żarówkę?

Teraz to ją zabrano, prawda?

Oszło miono ją narkotykiem, zabrano z mieszkania Mel i umieszczono w tym pojeździe.

furgonetce.

ciężarówce?

Z odgłosów wynikało, że mogła to być furgonetka.

Umysł Joanny pracował teraz ze straszliwą jasnością.

Wiedziała, że Mel przyniosła jej herbatę - filiżankę ziołowej herbatki, niech ją diabli!

-niech diabli wezmą jej oczy jak dojrzałe wiśnie.

Ale dlaczego?

Czy dlatego, że Joanna jej zaufała - jej, agentce i przyjaciółce Jacka, jeszcze jednej z grona jego oddanych przyjaciół - i tak niemądrze opowiedziała

Melo tym, o czym i tamta dobrze wiedziała?

A może dlatego, że Mel najzwyczajniej w świecie nie mogła uwierzyć w tę nieprawdopodobną historię?

Ale przecież pojechała do mieszkania Jacka i zobaczyła tam własne oczy.

A może Mel przekonała się, że w rzeźbach naprawdę są kości i uwierzyła

Joannie, tyle że przyszły jej na myśl wszystkie możliwe skutki

takiego odkrycia - zarówno dla niej, jak i dla Jacka - i przestraszyła się na

tyle, by wezwać posiłki?

'Lamba.

I co teraz?

Joanna wprawdzie nie odczuwała bólu, niemniej czuła strach.

Bliżej nieokreślony lęk, nic ponadto.

Nie przerażenie - to wszystko wydawało się zbyt nierealne, by mogła odczuwać prawdziwe przerażenie; podobne

232

snom odczucia, jakie ogarnęły ją w łazience Mel, nie znikły jeszcze,

chroniąc Joannę przed tym, co mogło się okazać nie do zniesienia.

Miała niejasne pojęcie o tym, co może się stać wkrótce, ale przynajmniej na razie- instynkt samozachowawczy też krąży w żyłach narkotyki trzymały strach na wodzy.

Na razie.

48

Musisz zadzwonić do Donovana.

- Nie mogę.

-Musisz, Mel!

Sandra wróciła z Washington Mews jakieś dwie godziny po tym, jak Lamb odjechał z Joanną, i zastała swoją przyjaciółkę - na ogół tak pewną siebie, że niemal zarozumiała - w stanie kompletnej hysterii.

- Chcesz, żebym wezwała go do telefonu tylko po to, aby mi powiedzieć, że jego światło jest jedno wielkie cholerne oszustwo?

- Oczywiście Mel był teraz jeszcze większe niż zwykle, pełne winy i strachu.

- I że pomogłam temu skurwysynowi, którego uważa za swojego najlepszego przyjaciela, oszołomić narkotykiem kobietę, którą on najpewniej kocha?

- Aha - Sandra podała jej czarny bezprzewodowy telefon, zaciskając mocno swoje pełne usta.

- No dalej, Mel.

- Lamb wydawał się taki przekonujący!

- Mel przeciągnęła ręką pokrótce włosach, wędrując bezmyślnie tam i z powrotem po pokoju.

- Ledwie znalazłam tę rozbitą rzeźbę, a on już był w tym mieszkaniu i gadał: nie, Jo właściwie nie oszalała, ale jest trochę przewrażliwiona i dlatego tak

świruje.

- Już mi to mówiłaś.

- Sandra była nieubłagana.

- Teraz powtórz wszystko Donovanowi.

- Och, Jezu!

- Melopadła żałośnie na fotel.

- Jak mogłam zrobić sobie taką cholerną idiotkę?

- Nie wiem, Mel.

- Przyjaciółka zdecydowanie wyciągnęła telefon w jej stronę.

- Dzwon.

- Co za gówno.

- Gwałtownie potrząsnęła głową.

- Co za cholernego gówna!

- Jestem pewna, że Joanna musi w tej chwili myśleć podobnie -
rzuciła sucho Sandra.

Mel westchnęła ciężko i sięgnęła po telefon.

233.

- Grzeczna dziewczynka.
- Sandra ruszyła w stronę kuchni.
- Zrobię kawę.

Mel wcisnęła jeden z zakodowanych numerów i czekała.

- Gilead Farm.
- Pete, tu Mel.
- Szybkozmówiła wmyślach krótką modlitwę.
- Czyprzypadkiemnie ma u was Joanny?
 - Joanna jest w mieście.

Mel zgarbiła się żałośnie.

- Muszę pogadać z Donovanem.
- On pracuje, Mel.
- Szabo mówił przyjaznym jak zawsze tonem.
- Jak się miewasz?

Dawno cię nie było.

- U mnie wszystko w porządku.
- Zawahała się na ułamek sekundy.
- Posłuchaj, Pete,musisz mnie natychmiast z nim połączyć.
 - Sama wiesz,jak jest, Mel.
 - To nagły wypadek - oświadczyła stanowczo.
 - Jaki wypadek?
 - Prywatne sprawy.

Jego, niemoje.

- Znów się zawahała.
- Zrób to, Pete.

Czekanie trwało wieczność.

Mel wstała i znów zaczęła krążyć po pokoju, potem usiadła, jeszcze raz wstała, starając się nie dopuszczać do siebie myśli o tym, jak strasznie wyglądała Joanna, kiedy Lamb wywlekał ją z mieszkania.

- Mel, co siedzieje?

- usłyszała pełen napięcia głos Donovana.

Opowiedziałam zwięźle, niemniejtak szczegółowo, jak tylko potrafiła w tej chwili.

Lamb po prostu zjawił się w nadbudówce, tłumaczyła, zbliżając się dokońca historii, powiedział, że Joanna miała do pewnego stopnia rację, ale tylko do pewnego stopnia, bo rzeczywiście zdobywałe kości w niezbyt legalny sposób, ale cała reszta jej domysłów to czysty absurd, niebezpieczny dla nich wszystkich - a w szczególności dla samego Donovana.

I dlatego Mel sądziła, że dobrze robi, współdziałając z nim w sprawie środka uspokajającego.

- Jakiego środka uspokajającego?

- Głos Donovan zabrzmiał tak, jakby rzeźbiarz był w szoku.

- Miał przy sobie jakiś proszek.

- Mel objęła kurczowo rękami telefon i zacisnęła zęby, żeby móc mówić dalej.

- Powiedział, że to uspokoi Joannę, póki nie zawieziemy jej na farmę.

Przyjechał tu ze mną i kazał mi dosypać trochę do herbaty ziołowej.

- Dałaś jej jakieś prochy?

- Teraz jego głos brzmiał cicho, chociaż Mel skojarzył się ze śmiercionośnym wybuchowym plastikiem.

- Dałam jej herbatę - przyznała się niechętnie.

- Lambwydawał się

234

taki wiarygodny.

Sama poprzednio mówiłam Jo, że posuwa się za daleko, łącząc kości z tamtymi morderstwami, a on utwierdził mnie w przekonaniu, że mam rację.

- Gdzie ona jest?

- zapytał Donovan.

-Gdzie jest teraz Joanna?

- Nie wiem -odrzekła Mel żalnym głosem.

- Wyjechali ponad dwie godziny temu.

Lamb powiedział mi, że zabierają na farmę i wtedy mu uwierzyłam, ale teraz nie jestem już taka pewna.

To znaczy, drogi mogą być nieprzejezdne ze względu na pogodę, ale.

-W jej głosie zadźwięczał ostro strach.

- Co będzie, jeśli Jo miała rację, Donovan?

- Nie odpowiedział.

-Donovan?

- Jak mogłaś, Mel?

-Tak mi przykro.

Jest mi tak przykro, że mogłabym zżalu obciąć sobie rękę.

- Nie krępuj się.

-Może naprawdę wiezie ją na farmę.

- Sama wiedziała, że rozpaczliwie czepia się resztek nadziei.

- Jakoś to wątpię, a ty nie?

- Jego ironia cięła jak brzytwa.

- Co powinnam teraz zrobić?

- Myślę, że zrobiłaś już wystarczająco dużo.

- Muszę coś zrobić.

- Zostańna miejscu.

- Ale czy nie mogłabym.

- Prostu zostań na miejscu, Mel.

Jeśli Lamb spróbujesz z tobą porozumieć, udawaj, że nadal jesteś po jego stronie i spróbuj się dowiedzieć, dokąd zabrał Joannę.

- Czy nie powinnam gdzieś zadzwonić?

- Żadnych telefonów.

- Głos Donovana smagnął ją jak uderzenie batem.

- Pilnuj, żeby linia nie była zajęta i siedź przy telefonie.

Jeśli się z tobą skontaktuje, dowiedz się, ile tylko zdołasz, i zostaw dla mnie wiadomość u Chris albo Pete'a.

Dasz radę?

Mel aż się skurczyła, słysząc piekący sarkazm w jego głosie.

- Jasne - odpowiedziała, a potem dodała szybko: - Zadzwonisz domnie, kiedy ją znajdziesz?

Chyba oszaleję, jeśli się czegoś nie dowiem.

- Wybacz, ale jakoś nie napęlnia mnie to współczuciem.

49 .

Szabo nie odpowiedział na wołania Donovana, kiedy ten wszedł do domu, machając przed sobą laską.

Za nim biegła Sophie bez uprzedzenia.

235.

W kuchni zastał natomiast Chris Chen.

Kiedy wszedł, właśnie nalewał sobie kawy do kubka.

- Pete'a nie ma.

Mogę ci w czymś pomóc?

- A gdzie jest?

- Nie jestem pewna.

Pracowałam po godzinach i był tu, kiedy weszłam jakiś czas temu, ale potem gdzieś się zapodział.

- A Lamb?

- Jego nie widziałam w ogóle.

- A kiedy go ostatnio widziałaś?

Może dzwonił?

- Rzeźbiarz z największym wysiłkiem zachowywał taki spokój.

- Chris, to bardzo ważne.

- Dlaczego?

Co się stało?

- Sam nie wiem, ale możliwe, że mamy kłopoty.

- Jakie kłopoty?

- Chinka odczekała chwilę, zobaczyła niezdecydowanie na jego twarzy i przymrużyła lekko czarne oczy.

- Wiesz, Donovan, po tych wszystkich latach mógłbyś mieć do mnie trochę więcej zaufania.

- To nie jest kwestia zaufania, Chris.

Muszę znaleźć Lamba, a on nie odbiera telefonu.

Masz jakieś pojęcie, gdzie może być?

- Możliwe.

-Gdzie?

Chris, proszę, nie mam czasu na zgadywanki.

- Donovan tak mocno zaciskał szczęki, że aż rozbolały go zęby.

Zastanawiała się przez chwilę.

- A może w tym swoim drugim mieszkaniu?

-W jakim?

- W tym domu niedaleko Mount Marion.

-W jakim domu?

-Napięcie Donovana rosło z sekundy na sekundę.

- Mnie także nic o nim nie mówił - tłumaczyła mu Chen.

- Przejeżdżałam tamtędy jakiś miesiąc temu i zobaczyłam jego samochód, jak skręcał w bitą drogę, prowadzącą do starego, kamiennego domku - gdzieś pomiędzy Mount Marion a High Woods.

- Może to dom jakiegoś znajomego?

-Możliwe.

Chociaż widziałam, jak Lamb otwierał drzwi kluczem.

- Umiałabyś tam trafić?

-Chyba tak.

- Jedźmy więc.

- Donovan, wyciągając przed siebie laskę, szedł już w kierunku kuchennych drzwi, atuz za nim dreptała Sophia.

- Powiesz mi, co się dzieje?

- zapytała Chen.

- Po drodze- rzucił.

- Jedźmy już!

- Czy wolno mi przynajmniej włożyć płaszcz?

236

- Możesz to zrobić, idąc do samochodu.

- Ty także nie masz płaszcza.

- Pieprzyć mój płaszcz!

- warknął od drzwi.

- A uprząż Sophii?

- Nie ma czasu.

Wziąłem łaskę, a ty możesz mnie prowadzić.

- Uświadomił sobie nagle, że wywarkuje rozkazy jak sierżant, a spokojnejna ogół administratorce wcale się to nie podoba.

- Proszę cię, Chris.

To naprawdę bardzo ważna sprawa, nie będziesz mi miała za złe, prawda?

- Będę się czuła zaszczycona - odparła sucho.

50

Furgonetka zatrzymała się przed kilkoma minutami, otwarto tył, a do środka wpadł powiew lodowatego powietrza.

Joanna zawołała tego, kto tam był, ale ów człowiek nie odpowiedział ani słowem, teraz zaś wyciągał ją na zewnątrz za stopy, a gdy ją szarpał, pasma jej długich włosów zahaczały o podłogę.

Wiedziała, że powinna odczuwać jakiś ból, nie czuła jednak nic.

- Murdoch, czy to ty?

- zapytała niewyraźnym od narkotyku głosem.

Nie było odpowiedzi, czuła tylko, że ktoś nadal ją szarpie.

- Powiedz coś do mnie, proszę - błagała.

- Kimkolwiek jesteś, powiedz coś!

Czyjeś dłonie puściły jej stopy, wsunęły się pod nią -jedna pod pośladki, druga pod górną część pleców- podniosły ją gwałtownie. Joanna krzyknęła w nowym przypiływie strachu, gdy jej twarz owiał powiew świeżego, chłodnego powietrza.

Wpatrywała się szeroko otwartymi oczyma w nową, zmienioną, bardziej otwartą ciemność, ale nadal nic nie widziała -wokół niej nie było niczego ani nikogo do zobaczenia.

Ten ktoś -on?

ona?

- położył ją z powrotem.

na kolejną twardą powierzchnię, ale to nie była podłoga.

To coś zaczęło się poruszać, lecz nie był to pojazd.

- Co się dzieje?

Dlaczego mi to robisz?

Koła.

toczą się.

Jest na jakimś wózku, może na takim, jakich używają w szpitalach.

Słyszała własny oddech i miękki odgłos kroków natrawie, a może na śniegu.

Znow padał śnieg - widziała białe gwiazdki, które leciały gdzieś z czerni w górze.

Dzięki Bogu coś widzi, nie oślepla.

Jack, gdzie jesteś?

Odgłos kroków uległ zmianie; brzmiały tak, jakby ktoś szedł po czymś twardym - po lodzie lub betonie.

Joanna widziała teraz nieco

237.

więcej, gdyż oczy przywykły do odrobinę mniej nieprzeniknionej czerni nocy.

Widziała nad sobą zarysy drzew, mijanych przez wózek, widziała, że coś przeleciało w górze, sowa, a może nietoperz - czy tu zimą latają nietoperze?

- a potem się zatrzymali.

Usłyszała uzupełnienowe odgłosy: zadźwięczały klucze, potem zazgrzytały, wkładane do zamka, a następnie otworzyły się drzwi.

Wózek podskoczył, zagrzechotał, przepchnięty przez wejście - i wtedy znów nastąpiła całkowita ciemność.

To nie farma.

To jakieś inne miejsce.

Joanna nadal nie mogła się poruszyć, nadal czuła się ciężko jak z ołowiu, lecz strach narastał, jak się zorientowała, podnosił się głębi trzewii podchodził do gardła, dławił ją, dusił.

I znów ciemność.

51

- Dlaczego jedziesz tak wolno?

- Pada coraz gęstszy śnieg, a nie zależy nam na tym, żeby mieć wypadek.

Donovan siedział na siedzeniu obok kierowcy, wychylony do przodu tak mocno, jak tylko pozwalał na to zapięty pas.

- Daleko jeszcze?

- Potrząsnął głową, zirytowany.

- Ten cholerny śnieg zawsze pochrzani mi orientację.

- Już niedaleko, Jack.

Siedząca za nimi Sophia zaskamlała, wyczuwając napięcie, więc odwrócił się do tyłu, żeby ją pogłaskać.

- Spokojnie, serduszko.

Samochód wpadł w lekki poślizg i Chen zmienił biegi.

- Dlaczego zwalniamy?

- Sam czułeś, że wpadliśmy w poślizg.

- Tylko leciutki poślizg.

Pete jeździ dwa razy szybciej w prawdziwej śnieżycy!

- Może powinieneś być poczekać na niego - rzuciła Chen mepomszona.

Zerknęła na Donovana i zobaczyła, że z trudem usiłuje zachować spokój.

- Cierpliwości, Jack.

- Już drugi raz nazwałaś mnie Jackiem - zauważył, samnie będąc pewny, dlaczego ma to dla niego jakiegokolwiek znaczenie.

- To wielka chwila - oświadczyła półgłosem.

- Szczególna noc.

238

Wtedy nagle coś poczuł, usłyszał w jej głosie i tonie jakąś zmianę, która powiedziała mu, że Chen czuje się urażona.

To również go zaskoczyło, ponieważ nie była typem osoby, która łatwo się obraża.

- Nie powinienem był tak się na ciebie wydzierać, Chris- odezwał się.

- Toż powodu tej sprawyż Joanną.

- Wiem.

Już mi to wyjaśniałeś.

- Jestem ci naprawdę wdzięczny - dodał.

- Po prostu pilno mi znaleźć się na miejscu.

- To oczywiste, Jack.

Wyczuła niepewność w jego głosie.

I uśmiechnęła się.

52

Pierwszym uczuciem, jakie dotarło do świadomości Joanny, kiedy znów się otworzyła, był lęk.

Wiedziała, że nadal leży na wózku, ale miała wrażenie, że osoba, która ją tu przywiozła - może Lamb, a może nie - odeszła.

Przedtem wydawało jej się, że w furgonetce jest nieznośnie ciemno, ale tu było jeszcze gorzej: atramentowa czerń, ziab i wilgoć.

Piwnica?

Coś słyszała.

Wiejący na zewnątrz wiatr.

I coś jeszcze.

Czyjś oddech.

Równomierny i głęboki.

Kogoś obcego.

- Kto tu jest?

- Mówiła teraz znacznie wyraźniej niż wcześniej,

a strach sprawiał, że jej głos brzmiał cienko i niepewnie.

- Kto tu jest?

Żadnej odpowiedzi.

W tym miejscu wyczuwało się coś strasznego.

Dziwne, pomieszane zapachy, niektóre obrzydliwe, inne całkiem przyjemne, niemal aromatyczne.

Rozpoznała drewno sandałowe i coś jeszcze, coś znajomego, choć nie bardzo wiedziała, z czym to powiązać.

Unosiła się tu także jakaś brzydota, gęstą jak mgła - atmosfera, jakiej Joanna nie doświadczyła jeszcze nigdy w życiu, nawet wtedy, kiedy siedziała przy łóżku umierającego Philipa ani nawet w tamtym pokoju, w którym leżał, gdy już było po wszystkim.

Coś gorszego od śmierci.

Równy oddech w pobliżu niej zaczął się rwać, usłyszała czyjś jęk.

Przerażenie Joanny wzniosło się teraz na szczyty, jakich dotąd nawet nie znała.

Nie mogła się ruszyć, nic nie widziała.

Mogła tylko czekać.

239.

Modliła się bezgłośnie.

Żeby pojawił się Jack czy Tom Oates albo agent Poole.

O wybawienie.

A wtedy zniemackazorientowała się, że wie, co to za znajomy zapach.

Mitsuoko.

53

- Jesteśmy na miejscu.

- Chen popatrzyła, jak Donovan próbuje uwolnić się z pasa.

- Lepiej poczekaj, aż ci pomogę.

- Dobra.

- Zaciskał mocno szczęki.

Wyjęła kluczyk zestyjki i otworzyła drzwi po swojej stronie.

Donovan odwrócił się, żeby pogłaskać Sophię po uszach, nadal starając się zachować cierpliwość.

Chris może być po prostu urażona, ale wewnętrzne czujniki ostrzegały go, że to coś więcej.

Nie rozumiał - nie wiedział nawet, czy ma ochotę rozumieć - co się dzieje, ale jeśli Mel miała rację i Joannie groziło jakieś niebezpieczeństwo, to gotów był ponieść wszelkie ryzyko.

Chris otworzyła drzwi po stronie pasażera.

- Jestem gotowa, Jack.

Wysiadł prosto w śnieg i poczuł, że z nieba sypie świeży puch, bardzo szybko i gęsto, rozwinął łaskę, a potem ujął Chris pod ramię.

- Chodź, Sophio.

Pies wyskoczył z samochodu i pocieszająco przycisnął się do jego

nogi.

Pożałował teraz, że szkoda mu było czasu na założenie upręży.

Za późno.

- Prosto przed siebie - instruowała go Chen.

- Nie ma stopni.

Nie ruszył się z miejsca.

- Jaki on jest?

Ten dom?

- Piętrowy, z szarego kamienia, niezbyt duży.

- Widać jakieś samochody?

- Nie.

- Nie wspomniała o białej furgonetce, zaparkowanej pod konarami brzozy w niewielkim oddaleniu.

- Czy wygląda na zamieszkaną?

- Nie tak, żeby to się rzucało w oczy - odrzekła dziarskim tonem.

- Czy z kominów wydobywa się dym?

- dopytywał się Donovan.

- Widać jakieś światła?

Okiennice?

Zasłony?

- Gdyby miał przy sobie Lamba, otrzymałby natychmiast bardzo szczegółowy opis każdego istotnego detalu.

Ale przecieżyto właśnie z powodu Lamba znaleźli się tutaj.

- Nie ma dymu - powiedziała Chen.

- Wydawało mi się, że pilno ci wejść do środka?

- Chodźmy.

Poprowadziła go w stronę budynku.

Sophia na chwilę zanurzyła nos w puszystej bieli, a potem podniosła łeb, otrząsnęła się i poszła za nimi.

- Drzwi- uprzedziła go Chinka.

- Chcesz zapukać czy ja mam to zrobić?

Donovan podniósł rękę i zapukał ostro dwa razy w drewniane drzwi.

Odczekał trzy sekundy i załomotał mocniej.

Drzwi się otworzyły.

- Donovan.

- Na progu stał Lamb, ubrany w czarny półgolf i także spodnie; gapił się na Chen szeroko otwartymi oczyma.

- Jak mnie znalazłeś?

- Co się dzieje, Lamb?

- zapytał Donovan.

- Gdzie Joanna?

Lamb nadal patrzył wyłącznie na Chen.

- Chris, dlaczego tu jesteś?

- Mel zadzwoniła do Donovana - wyjaśniła.

- Mówiła coś o Joannie i srodkiem uspokajającym.

- Gdzie ona jest?

- dopytywał się ostro Donovan.

- Lepiej będzie, jak wejdziecie do środka.

'Weszli więc do domu.

Donovan puścił ramię Chinki, a Lamb z przyzwyczajenia zajął jej miejsce i poprowadził go mrocznym holem do niezbyt wielkiej jadalni z podłogą

zdrewnianych desek i białymi, poplamionymi ścianami, umeblowanej skąpo niedużym drewnianym stołem i dwoma prostymi krzesłami.

Choć pilno mu było do Joanny, Donovan odnotował w duchu, że wdzięczny jest losowi za brak dywanu.

Słyszał stukanie pazurów Sophii na drewnianej podłodze, czuł dziwną, niepokojącą pustkę tego miejsca, wylapał zapach wilgoci, a przy tym musiał nieustannie zmagać się z sobą, by zapamiętywać liczbę stawianych kroków i odnotowywać w myślach wszystkie zmiany kierunków.

Zapomnieć o tym, to znaczy zginąć na dobre.

- Usiądź, proszę.

- Lamb nakierował go na jedno z krzesel, położył jego lewą dłoń na oparciu i odsunął się.

- Gdzie jest Joanna, Lamb?

- Donovan nie usiadł.

Sophia przystanęła tuż przy nim i zastrzygła uszami.

- Odpoczywa.

- Lamb patrzył, jak Chen podchodzi do okna, wygląda na zewnątrz, a potem odwraca się i patrzy na zegarek.

- Nic jej nie jest.

- Co robisz, Chris?

- Donovan przechylił głowę w jej stronę.

Nie odpowiedziała.

- Chris?

- powtórzył nieco ostrzej.

- Uspokój się, Donovan - powiedział Lamb.

16. Ślepatrwoga

241.

- Mel twierdzi, że dałeś Joannie jakieś środki uspokajające.

- Donovan odwrócił się z powrotem w stronę przyjaciela.

-Czy mógłbyś mi wyjaśnić, dlaczego to zrobiłeś?

Na skroni Lamba zadrgała mała żyłka.

- Musiałem.

Wpadła w histerię.

- A dlaczego zabrałeś ją tutaj?

Czemu nie zostawiłeś jej u Mel albo nie przywiozłeś na farmę?

- Jack urwał na chwilę.

-Jest tutaj, prawda?

- Tak - potwierdził Lamb.

- A przywiozłem ją tutaj, bo myślałem, że im mniej ludzi będzie o wszystkim wiedziało, tym lepiej dla nas wszystkich.

Donovan przypomniał sobie każde słowo nieprawdopodobnej historii Mel i zrobiło mu się niedobrze.

- Zatem Pete o niczym nie wie?

-Nie - odrzekł Lamb.

- Przyjechałbym po ciebie, przecieżwiesz.

Nie było potrzeby, żeby Chris cię tu przywoziła.

- Jak to: nie było potrzeby?

- Gniew Jacka rósł z każdym słowem.

- Nie chciałem, żeby się niepotrzebnie denerwował.

Donovan czuł i słyszał niepokój w głosie Lamba.

Murdoch Lambert rzadko kiedy bywał zaniepokojony, rzadko też

okazywał zdenerwowanie czy też podniecenie, może z wyjątkiem tych

chwil, gdy nie

szła im praca.

Nasza wspólna praca, pomyślał Donovan i wzdrygnął się odruchowo.

- Chcę natychmiast zobaczyć Joannę -powtórzył.

-Ona śpi - oświadczył Lamb.

- Nie ma pośpiechu.

Nie byłoteż potrzeby, aby Mel cięw to wszystko wciągała.

Donovan odczekał jeszcze chwilę, starając się odzyskać panowanie nad sobą.

- Powiedziała mikilka rzeczy, Lamb.

Takich, o których wolałbym nigdy nie usłyszeć.

- To wina Joanny -wyjaśnił Lamb.

- Już ci mówilem, że wpadła w histerię.

- Nie jest historyczką.

-To prawda- odezwała się Chenpo raz pierwszy, odkąd tuweszła.

Donovan odwrócił się jej stronę.

- A co tobie o tym wiadomo?

-Wszystko - odparła.

- Jezu Chryste!

- Lamb wpatrzył się w nią szeroko otwartymi oczyma.

- Nic nie rozumiem.

- Donovan odwracał głowę od jednego do drugiego.

-Jedno z was musi mi to wyjaśnić.

t 242

-Wszystkow swoim czasie - powiedziała Chńs.

- Przestańcie się ze mną zabawiać!

- Donovan zwrócił się zpowrotem w stronę Lamba.

- Natychmiast zaprowadź mnie do Joanny, Lamb.

W tej chwili!

- Wyciągnął laskę przed siebie i ruszył w stronę drzwi, a Sophia stanęła tuż przy jego nodze.

- Nie bądź idiotą.

- Lamb zastąpił mu drogę.

- Nigdy nie zdołasz jej znaleźć bez pomocy.

- No to mi pomóż!

- Donovan przeszył laską powietrze i trącił w udo.

- Albo zejdziesz mi z drogi, do kurwy nędzy!

- Zatrzymał się.

- Sophio, szukaj Joanny.

Suka zaszczekała.

- Corobimy?

- zapytał Lamb Chinę.

- Sophio, szukaj Joanny - ponaglił ją Donovan.

Sophia zawahała się na sekundę, a potem podbiegła do drzwi i zaskrobała.

- Na litość boską, Chris - Lamb zaczął się nagle denerwować - musimy coś zrobić.

- I zaraz zrobimy.

- Wyminęła Donovaną, podeszła do drzwi i otworzyła je, a pies wypadł jak strzalana korytarz.

- Sophia!

- Lamb rzucił się za nią w pościg i złapał ją za obrozę.

- Co się tu dzieje?

- Donovan ruszył niepewnie w tę stronę, wymachując przed sobą łaskę.

W holu stojąca przy drzwiach Chen wyjęła z kieszeni klucz, włożyła do zamka, przekręciła, wyjęła klucz z powrotem i znów wsunęła w kieszeń.

- Co tu się u diabła dzieje?

- Żądresztki nadziei Jacka, że obawy Mel mogą być bezpodstawne, uleciały w zimne, wilgotne powietrze i rozwiały się bez śladu.

- Jesteś pewien, że chcesz wiedzieć?

- zapytała Chen.

- Nie, Chris!

- zawołał Lamb błagalnym tonem.

- Przymknij się, Murdoch - rzuciła chłodno.

- Przytrzymaj psa i nieodzywaj się.

Serce Donovana ścisnęło strach.

Cały świat wywrócił się do góry nogami, a ludzie, którzy ten świat zamieszkiwali, nagle okazali się zupełnie inni niż przedtem.

- No więc jak, Jack?

- ponagliła go Chen.

- Chcesz zobaczyć Joannę?

Ogarnęła go nagła ochota, aby dzielić ją pięścią.

- Tak.

Podeszła bliżej.

243.

- Daj mi, proszę, swoją łaskę.

- Jest mi potrzebna.

- Nie - odrzekła.

- Nie jest.

Ja cię poprowadzę.

Donovan ścisnął łaskę mocniej.

- Chcesz zobaczyć Joannę czy nie?

Pozwolił jej wziąć łaskę.

Zabrała ją i odłożyła pocichu na podłogę, a potem się wyprostowała.

- Nie taka była umowa, Chris.

- Zdenerwowanie Lambarosło.

- Kazałam ci się nie odzywać.

- Urwała na chwilę, a potem poleciała:

- Weź mnie pod rękę, Jack.

Zrobił, jak mu kazała, i pozwolił się poprowadzić przez hol gdzieś głębiej do domu.

Kiedy przystanąła przy jakichś drzwiach i otworzyła je, otoczyła ich nagła pustka.

- Teraz będziemy schodzić po schodach - oznajmiła Chinka.

- Postępujemy tak samo jak zawsze?

Nie odpowiedział, puścił ją tylko, poczekał, aż stanie przed nim, a wtedy położył prawą dłoń na jej ramieniu.

Ruszyli w dół.

54

Usłyszała najpierw dźwięk otwieranych drzwi, a potem kobiecy

głos, zbytniewyraźny, by mogła go rozpoznać.

Później, nieoczekiwanie, w ciemnościach rozległo się wołanie:

- Joanno?

To głos Jacka!

- Jestem tutaj!

- Próbowała się poruszyć, ale nie mogła.

Myślała, że serce zaraz jej pęknie z wysiłku, liczyło się jednak tylko to, że
ontu jest.

- Joanno, gdzie jesteś?

Podchodzi bliżej.

Czuła nikłą woń cygar.

- Tutaj!

- Usłyszała szuranie, węszenie, skrobanie - a wreszcie rozległo się
szczekanie.

- Sophia!

Och, Bogu dzięki!

Pozapalały się światła, jasność oślepiła ją na chwilę, aw tym
czasie pies zdołał dopaść wózka, wskoczył na niego przednimi łapami i
zaczął ją lizać po twarzy.

- Jack, nie mogę się poruszyć!

- zawołała.

- Mel z Lambem podał mi jakiś narkotyk, a potem mnie tu przywieźli i teraz
nie mogę się poruszyć!

244

- Wiem.

- Usłyszała głos Jacka.

-Jestem tutaj.

Wszystko będzie dobrze.

Z wolna powracała jej zdolność widzenia.

Podchodził do niej -wyglądał na zaszokowanego i rozgniewanego.

Joanna zamrużyła, zobaczyła, że prowadzi go Chris Chen i poczuła niebotyczny przyływ wdzięczności.

- Chris, Bogu niech będą dzięki.

Chinka nie odpowiedziała.

Patrzyła gdzieś poza jej wózek, na coś innego, a Joanna nagle przypomniała sobie tamte dźwięki: czyjś oddech.

Odwrócenie głowy w drugą stronę to był straszliwy wysiłek, ale musiała to zrobić.

O jakieś cztery kroki od niej leżał na stole Tom Oates, zakneblowany i związany.

-O mój Boże.

-zdołała tylko wyszeptać.

- Tom.

- Tom?

- powtórzył, nie rozumiejąc Donovan.

Odwróciła się powrotem, a on już był przy niej, wyciągał rękę, by jej dotknąć, by poszukać rękoma jej twarzy, ale Chris (której perfumy Joanna wyczuła przedtem w tym miejscu) zostawiła go - tak po prostu zostawiła go bez laski, Sophia zaś, bez uprzedzenia, obwąchiwała dookoła wózek.

A po schodach schodził właśnie Murdoch Lambert.

Nagle Joanna zaczęła się bać bardziej niż przedtem.

- Murdoch jest tutaj, Jack!

- zawołała ostrzegawczo.

- To on podałmi ten narkotyk.

- Wiem.

Opowiedz mi o Tomie.

- Jest tutaj.

Związany!

Donovan odwracał głowę na wszystkie strony, starając się zlokalizować Oatesa, a jednocześnie nie stracić orientacji.

- Tom, gdzie jesteś?

∴

- Nie może ci odpowiedzieć - poinformowała go Chen.

- Jest zakneblowany.

Na stole, jakieś cztery kroki na lewo odemnie.

- Joanna bardzo pragnęła złapać Jacka za rękę, ale nadal nie odzyskała władzy w kończynach.

- Wydaje mi się, że jest nieprzytomny.

Myśli Donovana przelatywały jak błyskawice, a receptory węchowe wylapywały najrozmaitsze zapachy, które starał się rozszyfrować.

Mitsuoko Chen, przemieszane z zapachem sandałowego drewna i czymś jeszcze, czymś strasznym.

Po krzyżu przebiegł mu dreszcz, a żołądek skurczył się nagle.

Obok niego skamlała Sophia, drapiąc kółka u podstawy wózka, a za nim, u stóp schodów, stał Lambi przyglądał się wszystkiemu w milczeniu.

- Co się dzieje, Lamb?

- Donovan z całej siły starał się panować nad sobą.

-Czy to twój dom?

- Nie, mój - odpowiedziała za niego Chris.

Zdjęła płaszcz i przewiesił przez oparcie krzesła.

- Pozwól, że cię pokrótce we wszystko wprowadzę, Jack.

Znalazłeś już Joannę, której podano narkotyk, tak jak mówiła, ale tak naprawdę nie stała się jej żadna krzywda.

- Żadna krzywda?

- Donovan poszukał rąk Joanny i poczuł, że są ciężkie i bezwładne jak kłody.

-Oszalałaś?

- Odsunął jedwabisty materiał i pogładził ją po ramieniu, które było zimne jak lód.

-Joanno, spróbuj poruszyć rękoma.

- Nie mogę.

- Opanowała przemożną chęć, by wybuchnąć płaczem i wreszcie dać upust napięciu.

-Ale czuję twój dotyk, więc nie jestem sparaliżowana.

- Widzisz?

- rzuciła Chen.

-Nic jej nie jest.

Joanna wpatrywała się w Chinę.

Wyglądała tak samo jak zawsze -pięknie ubrana, z wysoko upiętymi błyszczącymi włosami, z wisiorkiem z masy perłowej na szyi - a jednak

jakoś inaczej.

Miała zupełnie inneoczy: błyszczące, zrozszerzonymi źrenicami; emanowała od niej niemalnamacalna aura nerwowej energii.

- Agent Oatesjest, tak jak mówiła Joanna, nieprzytomny -
ciągnęłaChris - ależyje.

-Czyś ty zupełnie postradała zmysły?

- Donovan puściłręce Joanny, schylił się, poszukał Sophii i przytrzymałsię jej obroży.

-Czyś ty postradała zmysły, Chris?

- Ależskąd, Jack - odrzekła.

Lamb zrobiłkrok w ich kierunku.

- Chris, co terazzrobimy?

To nie jest.

- Zamknij się, Murdoch.

Zamilkł posłusznie.

I on także był jakiś inny, uświadomiła sobie Joanna, którejz trudem przyszło uwierzyć w tę przemianę.

Zniknął gdzieśpewny siebie, arogancki mężczyzna.

Lamb sprawiał wrażenie zdezorientowanego, przestraszonego niemal tak bardzo jak ona sama.

- Znalazłam ten dom jużjakiś czas temu - Chen mówiła
terazdoDonovana.

- Niezbyt estetyczny, ale usytuowany znakomicie.

MiędzyOpus 40 a Gilead Farm - dwoma sanktuariami rzeźbiarzy.

A ja potrzebowałam miejsca dowłasnej pracy.

-Znów urwała i spojrzała na Lamba.

-Powinnam raczej powiedzieć: do naszej pracy.

Joannę oświecił nagle lodowaty błysk zrozumienia.

- Te kości.

246

- Tak, te kości- potwierdziła Chris.

Joanna znów popatrzyła na Tomai poczuła, że może jakby trochę łatwiej poruszać głową, może też nieco łatwiej ją przesunąć.

- Wraca czucie?

- zapytała natychmiast Chen.

Joanna nie odważyła się nic powiedzieć.

W nogach odczuwała mrowienie oznaczające, że powraca jej czucie, lecz nadal leżała zupełnie nieruchomo.

Chen odeszła do przeciwległego kąta pomieszczenia, żwawym, posuwistym krokiem, bardzo opanowana.

Wzięła coś ze stołu i podeszła z tym do wózka.

- A to po co?

- zawołała Joanna głosem ciekim z przestachu.

- Co?

- Donovan obracał się na wszystkie strony.

-Co?

- Ona ma sznur!

- wyjaśniła.

-Ma zamiar.

- Cicho bądź, Joanno.

- Chinka obeszła wózek dookoła i przystanąła po przeciwnej stronie Donovan i Sophii.

-Wkrótceodzyskasz zdolność ruchów, a nie chcę, żebyś sobiestąd poszła.

- Chris, naprawdę nie trzeba - protestowała Joanna.

- Nie ruszę siętąd.

- Daj jej spokój.

- Głos Donovan a zabrzmiał jakwarczenie psa.

- Bo co mi zrobisz, Jack?

- Chen bardzo sprawnie związała sznurem nogi Joanny.

-Co mi zrobisz, ślepcze?

- Lamb?

- Donovan odwrócił się, próbując go zlokalizować.

-Zróbcóś!

- Nie mogę - odparłtamten.

- Przykromi, ale nie mogę.

Sophia zaczęła warczeć.

- Odsuń ich oboje od wózka!

- rzuciła ostro Chen do Lamba.

Nawet nie drgnął.

- Zabierzich, bo zabiję psa.

-Nie!

- krzyknęła Joanna.

Drugim kawałkiem sznuraChen przywiązała do wózka obiejej ręce, nie spuszczając gniewnego wzroku z Lamba.

- Posadź Jacka tam - odezwała się rozkazującym tonem i skinęła głową w stronę stojącego przy jednej ze ścian krzesła.

- No już!

Lamb ruszył przed siebie niepewnie.

- Chodź, Donovan.

- Wyciągnął przed siebie rękę i dotknął jego ramię.

- Nie dotykaj mnie!

-Usiądź, Jack, bo zaraz zrobię coś złego Joannie - zagroziła Chen

-Sophia, która stała przy jego nogach, nadal warczała, stuliwszy Paskowskiego.

247.

- Zrobię to, Jack!

- rzuciła Chen ostro.

Donovan zrozumiał, że nie mając przy sobie nawet laski, nie może nic zrobić.

- Dobrze.

- Pozwolił się poprowadzić.

Wymacał siedzenie krzesła i usiadł, jak mu kazali.

Przed nim biegła tam i z powrotem zaniepokojona Sophia.

Czuła jej oddech, słyszała niespokojne złajanie.

- Nic nam nie będzie, Jack - Joanna dostrzegła, jak bardzo jest załamany i wiedziała, że to z obawy o nią.

- Gary Poole, partner Toma, wie o wszystkim.

Znajdzie nas.

- Przywiąż go do krzesła, Murdoch - rozkazała Chen.

Popatrzyła na owczarkę, który nadal miotał się niespokojnie tam i z powrotem.

- Każ Sophii leżeć, Jack.

- Chodź tu, malutka - zawołał Donovan, a suka natychmiast podeszła bliżej, gdy tymczasem Lamb znalazł inny kawałek sznura i wrócił, by przywiązać Jacka do krzesła.

Sophia zawarczała.

- Przestań!

- Cofnął się nieco.

- W porządku, bohaterze, nic ci nie zrobi - rzucił z obrzydzeniem Donovan.

Począł, aż Lamb się pochylił i twarz przyjaciela znalazł się obok jego twarzy, a potem splunął z idealną precyzją prosto w lewe oko tamtego.

Lamb wzdrygnął się lekko, dociągnął ostatni węzeł i odsunął się.

- Wszystko, co zrobiłem - głos łamałmu się z pokorzenia i gniewu - zrobiłem dla ciebie.

- Och, oszczędź mi tego!

- przerwał mu Donovan.

- Wiem o tych kościach.

- To wszystko dla ciebie - Lamb drżała całym ciele.

- Jeśli będziesz wobec siebie uczciwy, sam to zrozumiesz.

- Odwrócił się i szybkim ruchem otarł oczy wierzchem dłoni.

- Właściwie.

- Chen odsunęła się od wózka - rola Murdocha w tym wszystkim jest mniejsza, niż mógłbyś przypuszczać.

Faktem jest, że to ja mu pokazałam, jak najlepiej można ci pomóc - a on bardzo chciał ci pomóc, pragnął tego bardziej niż cokolwiek innego, to prawda.

Lamb wydał z siebie zduszony jęk i zatoczył się na ścianę.

- Murdoch miał swój talent, a ty swój.

- Chen zaczęła chodzić tam i z powrotem przez całą długość pomieszczenia, a Joanna miała wrażenie, że widzi, jak poszerza się pole energetyczne, jakie Chris wytwarzała wokół siebie.

Nagle Chinka zaczęła jej przypominać polującego kota - doskonale skupiona, ogarniała spojrzeniem wszystko dookoła.

248

- Miała zika na punkcie kości - ciągnęła.

-1 był dobry w rzeźbieniu replik.

Ale jadostrzegłam możliwości, o jakich mu się nawet nie śniło, i pokazałam mu najlepszy sposób.

Niemógł mi odmówić, ponieważ byłw tobie zakochany -wiedziałaś otym, Jack,niemożesz zaprzeczyć.

- Och, Boże-jęknął Lamb z twarzą obróconą do ściany.

-Wciągnięcie go w to byłodziecinnie łatwe, bo zupełnie wariował natwoim punkcie - mówiła Chen, krążąc po pokoju coraz szybciej.

- Dosyćprędko się przekonał, co mogę dla niego zrobić, co byłam gotowauczynić dla nas obojga - a na casam nigdy nie miał dość odwagi.

- Nie wiedziałem -odezwał sięLamb zduszonym głosem.

- Nic niewiedziałem!

- Możez początku, ale szybko się domyśliłeś.

-Na miłość boską!

- wybuchnął Donovan na swoim krześle, a Sophia aż podskoczyła zprzestrachu.

-Czy ktoś mi wreszcie powie,co ty,do kurwy nędzy,robiłaś?

- Odwracał głowę, starając sięzlokalizowaćChen, która nieustannie przemieszczała się po całej piwnicy.

-Chceszpowiedzieć, że te kości nie były z żywicy?

- Brawo!

Wygrał pan nagrodęw naszym konkursie.

- Ale przecież on mi je pokazywał.

Dotykałem ich.

Były z żywicy.

- Te,które ci pokazywał,rzeczywiście były - wtrąciła się Joanna,

cierpiąc w duchu na widok jego żalu i oszołomienia.

- Murdoch wykonywał swoje modele, aby ci je przedstawić do akceptacji, a następnym razem, kiedy je otrzymywałeś, były pokryte gipsem, prawda?

- Ale dlaczego?

- Donovan miał poczucie, jakby zapadał się w lotne piaski.

Zwrócił głowę w stronę stojącego pod ścianą Lamba.

- Miałeś taki talent - to był właśnie najważniejszy punkt, cały cud twojego rzemiosła.

Dlaczego postanowiłeś uciec się do oszustwa?

- Ze strachu.

- Lamb odwrócił się wreszcie od ściany i stanął zwrócony twarzą do Donovana.

- Przed czym?

- Przed tym, że cię utracę.

- Jego wargi były takie blade, że prawie całkiem niewidoczne.

- Że stracę twój szacunek.

- Bał się, że nie jest dostatecznie dobry.

- Chen jeszcze raz przejął inicjatywę.

- Był dobry, ale nie za każdym razem,

- A komu, do cholery, udaje się za każdym razem?

- rzucił gniewnie Donovan.

- Nam się udawało - odparła chępliwie.

- Idealny rezultat za każdym razem.

,

- Przynosiła mi kości.

- Lamb rozpaczliwie pragnął się wytłumaczyć

249.

- Mówiła, że zdobywa je ogromnym kosztem i wiele przy tym ryzykuje.
Byłem nieszczęśliwy z tego powodu.

- Nieszczęśliwy?

- przerwał mu jeszcze raz Donovan.

- Zawsze wykorzystywałem ludzkie szczątki do swoich studiów -
wiedziałeś o tym, Donovan, ale nigdy zbyt nie przejmowałeś.

To także nie wydawało mi się niczym innym.

Nie było, ściśle mówiąc, legalne.

- Nielegalne?

- powtórzyła z obrzydzeniem Joanna.

- Nikomu nie robiło to różnicy, przecież ludzie, doktórów należały,
jużnie żyli - ciągnął Lamb.

- A podpewnymi względami było to nowe wyzwanie.

- Jezu.

- Donovan potrząsnął z niedowierzaniem głową.

- Myślisz, że to było takie łatwe?

Najpierw robicie idealne kości z żywicy, a potem wyrzucać je i pracować
na tym, co ona mi przyniosła?

Były bezżycia.

- Gestykulował obiema rękami.

- To ja musiałem znaleźć sposób, aby je połączyć, żeby zastąpić
muskulaturę, która je spajała.

- Ale tu nie chodzi tylko o kości!

- Joanna czuła, że Donovan musi zrozumieć wszystko dokładnie, póki ona
jeszcze może mu to wyjaśnić.

-Jack, oni zabijali ludzi, żeby zdobyć te kości!

Tym właśnie zajmowali się przez te wszystkie lata.

Zabijali ludzi, a potem okaleczali ich ciała!

- Ja o tym nie wiedziałem!

- wrzasnął doniej Lamb.

- Nie za pierwszym razem - wtrąciła Chen.

- Zadrugim jednak miałeś już całkiem niezłe pojęcie o tym, co jest grane, a później wiedziałeś już wszystko, ale się nie wycofałeś.

- Bo byłem przerażony tym, co już zrobiłem.

- Lambowirwał się głos, najego twarzy widać było wielkie cierpienie.

-Bo przysięgałaś, że powiesz wszystkim, iż to mój pomysł.

- Boto ty chełpiłeś się tym sukcesem - mówiłaz całym okrucieństwem.

- Pracując sam, nigdy byś do niczego nie doszedł; jedyna osoba, która sądziła, że masz talent, to ten ślepiec.

A potem nagle dzięki niemu

- dzięki mnie- osiągnąłeś wszystko.

- Zatrzymała się nagle tuż przedDonovanem.

-On nawet sam ich wybierał, Jack.

Tych ludzi, których ci tak barwnie opisywał, których tak dokładnie pamiętał tygodnie imiesiąc później.

Pamiętał, bo sam ich wybrał.

- Pozwoliła sobie nakrótką pauzę, chcąc, by to co powiedziała, dotarło do niego z całą mocą.

-Bo to on odurzał ich narkotykiem i przywoził do mnie.

- Nie wierzę ci.

- Twarz Donovanabyłaszara jak popiół.

- A ja tak - wtrąciła Joanna.

- PamiętaszEllen Miller, tę tancerkęz Red Hooook?

Tom mi powiedział.

250

Leżący obok na stole Oates poruszył się, więc Joanna przerwała, bypopatrzeć na niego.

Odniosła wrażenie, że agent powolidochodzi do siebie, a kiedy sama odwróciła głowę, przekonała się, że zgodniez tym, comówiła Chen, wraca jej zdolność ruchu - choć teraz nie na wiele jej się tomogło przydać.

- No dalej, Joanno - ponagliła ją Chen.

- Powiedz mu, co takiegozrobiliśmy.

Joannie zrobiło się niedobrze.

- Odcięli jej prawąstopę, Jack.

-A jak myślisz, czyją stopę rzeźbisz przez ostatnie kilka tygodni?

-Chenuśmiechnęła sięzłośliwie.

- Jak myślisz, na czyich kościach pracujesz?

Donovan wydał zsiebie przerażającyjęk i puścił obrożę Sophii.

Piespodniósłna niegooczy, znów zaskamlał i stulił uszy na widok cierpieniapana.

- O Boże, Jack,tak strasznie miprzykro - powiedziała miękko Joanna.

-Joannie jest przykro - przedrzeźniałjąChen.

- Ona cię kocha,Jack.

Ale zdruziej strony, kto ciebie nie kocha?

- Idź do wszystkich diabłów!

-Oboje tam niedługopójdziemy, Jack -odparła.

Joanna jeszcze raz zerknęła na Oatesa, a potem znów popatrzyła na Chinę.

- Musisz wiedzieć, Chris, że Tom niepracowałam.

To tylko kwestia czasu, na pewno ktoś się tu zjawi.

- Oczywiście.

- Podeszła do wózka.

- To właśnie dlatego wybrałam to miejsce - warsztat tutaj, śmietnik nieopodal.

- Odwróciłam się teraz znowu do Donovan.

- Opus 40, Jack.

Czy nas tu ktoś znajdzie czy nie, Opus 40 otworzą z powrotem w czerwcu, a wtedy prędzej czy później któryś z zwiedzających natknie się na nas.

- Zerknęłam w stronę Lamba.

- Jak ty to nazywałeś, Murdoch?

Nasz detrytus?

- Detrytus!

- Wybuchnął znowu Donovan, a Sophia aż się skuliła, słysząc burzenie i wściekłość w jego głosie.

- Niech cię wszyscy diabli, Chris!

- Wiem, co to odpadki - odrzekła.

- Wychowałam się w burdelu, Jack.

Nie wydaje mi się, abym napisała to w swoim życiorysie, nie Detrytus - w ekologii to jest martwa materia organiczna akumulująca się w ekosystemie, powstaje z martwych roślin i zwierząt lubich części, stanowi źródło energii i podlega nieustannemu rozkładowi (przyp. red.

).

251.

prawdaż?

A jednak tam właśnie uzyskałam odpowiednie kwalifikacje, nauczyłam się, jak mało warte jest ludzkie ciało.

-Wzruszyła ramionami.

- Zresztą, w jakiś sposób dodaliśmy tym ludziom znaczenia, zapewniliśmy im coś w rodzaju nieśmiertelności.

A wkrótce, jak mi się wydaje, wszyscy się o tym dowiedzą.

- Chcesz, żeby cię odkryto?

- zapytała z niedowierzaniem Joanna.

- Chcę, żeby odkryto Donovana.

-Dlaczego?

- spytała cicho Joanna.

- Chcę go zniszczyć - odparła po prostu.

-Ale wtedy i dla ciebie wszystkosię skończy - Wyglądało nato, żeLamb także nic teraz nie rozumie.

- Sukces,pieniądze.

- Pieniądze?

- zainteresowała się Joanna.

- Z szantażu - oświadczył z goryczą.

- Wystarczyło, by wymościł sobie przytulnegniazdko.

Żeby nie wyjawiałaDonovanowi tego, corobię.

- To mieszkanie na Madison Avenue - Joanna zwróciła sięteraz doChen - należy do ciebie, nie do Lamba.

-Pieniądze to dla mnie tylko efekt uboczny.

- Chen nie zwróciła nanią najmniejszej uwagi.

-Najważniejsze wciąż jeszcze przed nami.

Twoja całkowita ruina, Jack.

Tylko to się liczy.

- Ale dlaczego?

- zapytał, znów nic z tego nie rozumiejąc.

- Bo jesteś wyzyskiwaczem, Jack - odrzekła.

- Podoba ci się, kiedy ludzie sądzą, że jesteś dzielny, błyskotliwy i hojny, a tak naprawdę nikt cię nie obchodzi.

Umiesz tylko brać.

- To nieprawda - zaprotestował Lamb.

-Jasne, że to prawda.

- Jej owalnatwarz o miodowożłotej skórze nagle ściągnęła się i zbrzydła, a egzotyczne oczyszczały się zimne, dużo starsze.

-Wciąż tylko bierze i bierze.

Miłość, pomoc, przysługi, lojalność.

- Nigdy nie zakładałem, że coś mi się od ciebie należy, Chris - odezwał się Donovan.

-Zawsze zakładasz, że od każdego coś ci się należy, Jack.

I nie obchodzi cię, co się z tym kimś stanie.

- To nieprawda - Lamb jeszcze raz ujął się za przyjacielem.

-Mój brat wcale cię nie obchodził.

- Twój brat?

- Jack był coraz bardziej oszołomiony.

- Widzicie?

- Chen powiodła spojrzeniem od Joanny do Lamba.

-On nawet nie wie, o kim mówię.

- Odwróciła się z powrotem do Donovana.
- Pomyśl o tym -warknęła nieoczekiwanie.
- Podczas gdy my zajmiemy się dalszym ciągiem.

25,2

Joanna poczuła, że żołądek szarpnął jej się gwałtownie.

- Małypokazik.

- Chen znów przybliżyła się o parę kroków do Donovana, a pies zaczął warczeć.

-Weź Sophie'za obrozę, Jack.

-Jak?

- Możesz na tyle poruszyć ręką, żeby chwycić ją za obrozę.

Dobrze.

- Zamilkła na chwilę; w jej głosie dawały się wyczuć pierwsze oznaki napięcia, oddech wyraźnie przyśpieszył.

- Wiesz, Jack, sam pomogłeś nam wybrać kilka swoich obiektów.

Pamiętasz tego młodzieńca w New Paltz, którego spotkaliście na spacerze z rodzicami parę miesięcy temu?

Murdoch opowiedział ci, jaki był piękny.

Powiedział, że ma włosy króciutkie i miękkie jak mysie futerko.

Pamiętasz?

Donovan nie potrafił wydobyć z siebie głosu.

- Nazywał się Luke Schuyler i jak się okazało, miał wspaniałe nogi.

Jedna z nich czeka już na ciebie, Jack, gotowa.

Możesz ją w każdej chwili wykorzystać, gdy tylko poczujesz, że masz ochotę.

Lambem szarpnęły torsję, zakrył usta rękoma i osunął się bezsilnie

ścianę, przy której stał.

Chen nie zwracała na niego najmniejszej uwagi, koncentrując się teraz całkowicie na Donovanie.

' - Językkołkiem ci stanął, Jack?

-Pieprz się - odpowiedział cicho.

- Och, pieprz się.

- No i jeszcze nasz przyjaciel, agent Oates.

- Oddech Chris coraz wyraźniej nabierał tempa, na jej czole i nad górną wargą pojawiła się cieniutka warstewka potu.

- Pamiętasz, jak Murdoch opisał ci Toma, kiedy po raz pierwszy zjawił się w szkole?

Joannie znów cisnął się żołądek.

Zerknęła na Oatesa.

Odniosła wrażenie, że jest teraz przytomny, zapewne świadom wszystkiego, co się wokół niego dzieje, lecz nie było widać po nim najłżejszej reakcji, nawet śladu przerażenia, jakie niewątpliwie odczuwał.

- Te kości policzkowe rdzennego Amerykanina?

- dopytywała się Chen.

- Ten nos?

- Obróciła się gwałtownie.

- A może pójdziemy popatrzeć?

- Podskoczyła szybko ku leżącemu i nagłym ruchem wyszarpnęła mu knebel z ust.

Oates odruchowo wciągnął gwałtownie powietrze, zakrztusił się i zakaszłał.

- Chodź tu, Murdoch.

Powiedz Jackowi, co widzisz.

- Nie - odmówił stojący przy ścianie Lamb.

- Joanno, co siedzieje?

- Głos Donovana brzmiał rozpaczliwie.

- Coonarobi?

- Zamknij się, Jack.

- Chen najwyraźniej nabierała rozpędu, mowitacoraż szybciej icoraż bardziej agresywnie.

- Murdoch, powinieneś przeprowadzić Jacka przez cały proces

- jesteśwszak jego oczyma, praw a.

253.

- Postradałaś zmysły - odpowiedział Lamb.

-Czas, abyś ty też zobaczył, jaką rolę odgrywałeś w naszym wspólnym dziele.

Czas, żeby się przekonał, co się naprawdę dzieje tu na dole, kiedy już dostarczysz swoją przesyłkę.

- Joanno, co ona zamierza?

- dopytywałeś błagalnym tonem Donovan.

- Nie wiem!

- Była przerażona.

Rzeźbiarz jeszcze raz puścił obrożę Sophii, zakołysałeś razem zkrzesłem i naparł na więzy, ale nie ustąpiły.

- Nie chcesz mi pomóc, Murdoch?

- naigrawała się Chen.

-Dobra, pozostaniemy więc przy dotychczasowym porządku rzeczy, co? Ja zrobię wszystko tak jak zwykle, tyle że tym razem będziecie moją publicznością.

Określiła się gwałtownie na pięcie, podeszła do podstawy schodów, sięgnęła do wyłącznika światła na ścianie i pstryknęła.

A światła pogasły.

55

Gary Poole już jakiś czas temu przestał liczyć na wiadomość od Joanny Guthrie.

Kilkakrotnie dzwonił do mieszkania Donovana, zostawił sporo wiadomości na sekretarce i sprawdzał w biurze, żeby się upewnić, czy nie rozmawiała przypadkiem z kimś innym.

A potem skupił całą swoją energię na sprawie, która martwiła go znacznie bardziej: pragnął się dowiedzieć, gdzie diabła podziewa się Oates.

Kumpel był tak napalony, by rozpocząć pracę tego ranka, że Poole wprost nie mógł sobie wyobrazić, co takiego mogłoby się wydarzyć, aby nie zjawił się w biurze - chyba że się dowiedział, iż Guthrie wpakowała się w jakieś tarapaty.

Ale nawet w takim wypadku Oates nigdy nie wyruszyłby tak na wariata, nic nikomu nie mówiąc.

Poole wiedział, że sam nie miał takich trafnych przeczuć, jak jego przyjaciel, ale prawdą jest, że wcale nie trzeba było wielkiej intuicji, aby się domyślić, iż nawet jeśli nic złego nie stało się Joannie Guthrie, to najprawdopodobniej coś stało się z Tomem.

A jeśli tak rzeczywiście jest, to najpewniej jego kłopoty mają jakiś związek z Joanną Guthrie, która ma związek z Donovanem, który z kolei, o ile Poole'owi wiadomo, był nierozłącznie związany z Murdochem Lambertem, tym facetem od kości, który wzbudził podejrzania Oatesa.

254

I to właśnie dlatego jechał teraz do Kinderhook, do domu przyjaciela, żeby się upewnić, że Tom nie spadł z dużej wysokości lub nie trafił musie jakiś inny wypadek.

A potem miał zamiar udać się dalej na południe.

Do Gilead Farm.

56

Ludzie mówią, że czasem minuty wloką się jak całe życie. Joanna doświadczyła już tego wcześniej: kiedy razem z Philipem czekali na lekarza, który miał im powiedzieć, czy Philip będzie żył czy umrze, i po

razdrugigdy jedno z pierwszych szczeniąt Bellizaczęło samodzielnie oddychać kilka sekund później od reszty.

Ale nigdy nie przeżyła czegoś takiego jak teraz.

Nigdy.

Wszyscy zastygli w oczekiwaniu.

Joanna początkowo wyjaśniła zwięźle Donovanowi, że Chen wyłączyła światło i od tamtej chwili nikt nie odezwał się ani słowem.

Wszyscy tkwili w całkowitych ciemnościach.

Wszyscy tak samo ślepi.

Joanna modliła się w duchu - tak jej się przynajmniej wydawało, bo mózg miała jakby odrętwiała.

Starła się ze wszystkich sił, by usłyszeć coś wśród tych ciemności lub po prostu intuicyjnie wyczuć, czy Chen jest jeszcze z nimi w piwnicy, lecz ani jej nie słyszała, ani nie wyczuwała.

To była dziedzina Jacka, a Joanna zdana była teraz wyłącznie na siebie, nie mogła dostrzec, czy on wie więcej od niej.

Po lewej stronie słyszała szybki i płytki oddech Toma.

Gdzieś na prawo Lamb mruczał coś pod nosem, może także się modlił, a może miotał przekleństwa.

W tej akuratchwili niewiele obchodziły ją jego lęki.

Obchodzili ją Tom i Jack - ale nie słyszała nicz tamtej strony, gdzie w ciemnościach siedział Donovan.

A potem Sophia zaskamlała i wtedy Joanna usłyszała jego głos.

Cicho i łagodnie przemawiał do psa, próbując go uspokoić, tak jak to miał w zwyczaju.

Co tam robi ta Chen?

Lamb wydał z siebie jęk.

Sophia znów zaskamlała.

A wtedy światła pozapalały się z powrotem.

Joanna usłyszała najpierw zdławione sapnięcie Lamba, zanim sama obróciła głowę, by popatrzeć.

255.

A wtedy i ona krzyknęła z przerażenia.

Nie dało się nie krzyknąć.

Wpatrywał się w nią jakiś potwór.

Obrzydliwy demon z ogromnymi, wyłupiastymi oczyma, z rogami i i grzebieniem nad ludzkimi nozdrzami, z obrzydliwą górną wargą, wywiniętą przerażająco nad długimi, ostrymikłami, które bez trudu mogły przebić ludzkie gardło.

- Co?

- zawołał rozpaczliwie Donovan.

-Joanno, co się stało?

- Siedząca przynim Sophia przywarowała i znów zaczęła warczeć.

-Joanno, nic ci niejest?

Ledwie mogła oddychać.

- To Chen.

To była Chris - oczywiście, że to ona, Joannawiedziała o tym doskonale - lecz jednocześnie był to ktoś inny, właściwie coś innego. Ciało Chinki, widoczne poniżej maski, okrywał czarny, obcisły kombinezon roboczy, wykonany z jakiegoś syntetycznego włókna, które połyskiwało w świetle żarówki.

Maska była po to, żeby przerazić.

Kombinezon zaś oznaczał brudną pracę.

A to było znacznie bardziej przerażające od maski.

-Co ona robi?

- Donovaną doprowadzała do szału jego własna bezsilność.

Gwałtownie zakołysał krzesłem, a Sophia znów zaczęła głośno warczeć.

- Joanno, na litośćboską, musisz mi powiedzieć, co siedzieje!

- Włożyła maskę.

- Joannaz najwyższym wysiłkiem opanowała drzenie głosu.

-Zaskoczyła mnie, towszystko.

-

- To rzeczywiście paskudna maska - rozleci się głosChen spod twarzy potwora.

- Nazywa się tao-tieh.

- Ona postradała zmysły - odezwał się Lamb.

- Mówiłem.

- Wcale nie - odparła Chen.

- Ja tylko się bawię.

-Odwróciła się twarzą do Donovana.

- To taka gra, w którąkiedyś bawiłam się z bratem.

- Czy powinienem znać twego brata?

-Nie, Jack.

Nigdy go nie poznałeś.

- Ale przedtem mówiłaś, że mnie nie obchodził.

- Donovan miał świadomość, że walczy teraz, że wszyscy walczą teraz o własne życie.

-To niemasensu, Chris.

- Już nie jestemChris - wydobyło siępod wywiniętej górnej wargi.

-A kim jesteś?

-zapytał leżący na stole Oates.

To były jego pierwszestówa od chwili, gdy Chinka wyciągnęła mu knebel; jegogłos brzmiało chryple, lecz nie tak słabo, jakby się można spodziewać.

- Nazywam się Lei Kung, co znaczy Księżę Gromu.

- Chen odwróciła się od Donovan i stanęła pomiędzy wózkiem a stołem.

- Kiedy mój brat i ja byliśmy dziećmi i mieszkaliśmy w burdelu, wymyślaliśmy różne świetne zabawy.

Nazywałam je fantazjami, ale Kai i ja wiedzieliśmy, że pomagają nam uciec od rzeczywistości.

Ja byłam Księżem, który karze złych śmiertelników, żłobiąc im ciała dłutem, a Kai był Yun-Tungiem, Młodzieńcem z Obłoków, który na rozkaz Księcia potrafił wywoływać burze.

- Ślicznie - odezwał się Donovan.

- Zamknij się!

- rozkazała mu Chen, okręcając się w miejscu.

Wtedy po raz pierwszy Joanna uświadomiła sobie, że tamta trzyma coś w prawej dłoni.

- Jack, ona ma nóż.

- Chciałaś powiedzieć: dłuto - poprawiła ją Chris.

„- Jack, to nie jest dłuto - powiedziała wyraźnie Joanna.

- Chcesz wiedzieć, jakie imię nadałam tobie, Jack?

- zapytała Chen.

- Czemu nie?

- Tsao Chiin.

Pan Paleniska.

Robił naczynia ze złota, aludzie, których używali, stawali się śmiertelni.

- Skoro tak twierdzisz.

-Podobaci się to imię, Tsao Chtin?

- Jasne -odrzekł.

- Czemu nie?

- To dobrze.

- Obróciła się gwałtownie i podeszła do stołu, na którymleżał Oates.

-Przejdźmyzatem do dalszej części, dobrze?

- Wróciła teraz do Toma - poinformowała Donovana ponownieprzerażona Joanna.

-Nie ona - poprawiła jąznowu Chen.

- On.

Książę, nie pamiętasz?

- Pamiętam - przytaknęła Joanna i wtedy dopiero zauważyła, że odchwili włożenia kostiumu ruchy Chen stały się gwałtowniejsze, mniej płynne, mniej kobiece.

Oates nie odezwał się ani słowem, kiedy się nadnim pochyliła, przymknąłtylko oczy.

- Tomma kolekcję, która mogłaby cię zainteresować - odezwała się Joanna.

Powinni ją za wszelką cenę zagadać.

- Słyszałaś oszamanizmie, Chris?

Chen nawet nie podniosła oczu.

- Jeśli nie pamiętasz, jak się nazywam, Joanno, proszę, bądź cicho.

- Nawet jej głos brzmiał teraz nieco głębiej.

- Tom też ma różne wspaniałe maski - nie ustępowała Joanna.

17. Ślepatrwoga

257.

- Nie wydaje mi się, żeby ją to interesowało - odezwał się Oates schrypniętym głosem.

- A ja chciałbym o nich usłyszeć - odezwał się Donovan ze swego krzesła.

- Cicho bądź, Tsao Chun.

- Podniosła głowę w masce.

- Nadal nie masz ochoty mi pomóc, Murdoch?

Lamb, który stał przy schodach oparty o ścianę, wyglądał, jakby mu było niedobrze.

Potrząsała tylko przecząco głową, gdyż nie mógł wydobyć z siebie głosu.

- W porządku.

- Chen zamilkła na moment, potem ciągnęła dalej.

- Zazwyczaj Księżę wykonuje tę część w ciemności.

To mu pomaga zobaczyć obiekt z twojego punktu widzenia, Tsao Chun.

Po raz pierwszy dotknęła twarzy Oatesa, który skrzywił się mimowolnie.

Chinka roześmiała się za swoją maską pochyliła, by położyć nóż na podłodze.

Potem wyprostowała się z powrotem i przejechała wskazującym palcem po zakrzywionym nosie agenta FBI.

- Proszę - błagała cicho Joanna.

- Zostaw go.

Tym razem Donovanowi nie trzeba było wcale mówić, co się dzieje.

Patrząc na jego twarz, Joanna doszła do wniosku, że Jack wie znacznie więcej, niżby chciał.

- Murdoch nauczył Księcia większości tego, co powinien wiedzieć o ludzkim szkielecie- mówiła Chen - ale sądzę, że teraz Książę wie już więcej od niego.

- Umilkła, koncentrując się na twarzy Toma.

- Ten nos jest naprawdę fascynujący.

- Palcami lewej ręki przesunęła po prawym policzku Oatesa.

- Wszystkie kości są bardzo piękne.

- Znowu sekundaprzewy.

- Cała głowa jest niemal idealna.

Joanna zobaczyła, że pierś Oatesa przebiegł gwałtowny skurcz; dostrzegła, jak mu drży lewa dłoń.

Miała ochotę krzyknąć.

Chen wyprostowała się i opuściła ręce swobodnie po bokach.

- Lei Kung, Książę Gromu - rozejrzała się dookoła- był taoistycznym bóstwem chińskim.

Uważano go za przerażającego boga, miał szpony i nietoperze skrzydła, ale rolę, jaką pełnił, zleciły mu niebiosy.

- Jaką rolę?

- zapytała Joanna w rozpaczliwej nadziei, że uda się jednak zająć czymś uwagę Chris.

- Karał śmiertelników, którzy popełnili tajemne zbrodnie.

- Jakie tajemne zbrodnie popełniłem?

- zapytał Oates.

- Nie ty - odpowiedziałam Chen.

- Tsao Chun.

- Jeśli to mnie chcesz ukarać - odezwał się Donovan - to

możesz pozostać wolno?

258

Chen oddaliła się od stołu kilkoma nienaturalnie długimi krokami i przystanąła.

- W taoizmie jest wiele mitów dotyczących nieśmiertelności, wiesz, Tsao Chiin?

Jeden z nich, który najbardziej lubiliśmy ja i Kai, opowiadał o Hsi Wang Mu - o Królewskiej Matce z Zachodu.

Urządzała uczyty dla Ośmiu Nieśmiertelnych.

Jeden z nich jeździł na osiołku, którego mógł poskładać, kiedy go nie potrzebował.

Inny mógł zjeść masę perłową i odlecieć.

Zapinka z masy perłowej - przypomniała sobie Joanna.

I te miękkie, pastelowe, kobiece kolory.

Krańcowy kontrast w stosunku do tej nowej, przerażająco odmienionej istoty.

- No dobrze - rzuciła Chen zza maski.

- Wracamy do roboty.

- Zadałem ci pytanie - odezwał się ostro Donovan.

- Dlaczego nie wypuścisz Joanny i Oatesa?

Przecież to mnie chcesz ukarać.

- A jak mogłabym lepiej cię ukarać, niż wykorzystując twoją ukochaną kobietę i przyjaciela?

- Chen zamilkła na chwilę, a potem rozkazała:

- Chodź mi teraz pomóc, Murdoch.

- Mowy nie ma - odparł.

Chen - Księżę - wykonała kolejny gwałtowny zwrot, podeszła z powrotem do stołu, na którym leżał Oates, pochyliła się, by podnieść leżący na podłodze nóż, podeszła do Lamba i przyłożyła mu ostrze do szyi.

- Czy trzeba ci przypomnieć o tych wszystkich ludziach, których pomogłeś mi zabić?

- Nigdy nikogo nie zabiłem.

- Może ich nie cięłaś, ale czy nie sądzisz, że ława przysięgłych może uznać, że to co robiłeś, było jeszcze gorsze?

Ty ich wybierałeś.

Ty ich porywałeś.

Ty ich do mnie przywoziłeś, żebym mogła zająć się tą najpaskudniejszą częścią pracy, podczas gdy ty potem zabawiałeś się po swoim i ich kośćmi.

Prawda?

- Przycisnęła mu nóż do karku i obserwowała, jak Lamb się trzęsie.

- Prawda?

- Tak - wyszeptał.

- Bezemnie nie masz przyszłości - ciągnęła.

- Rozumiesz to, Murdoch, prawda?

Prawda?

- Tak.

- Był tak blady, że Joanna pomyślała, iż za chwilę zemdleje.

Chen opuściła rękę z nożem.

- Noto chodź i mi pomóż.

Podeszła do drugiego stołu w przeciwległym kącie pomieszczenia i coś rozwinęła - jakiś woreczek, jak się zdawało Joannie, która z

całejsiływyciągała głowęw tamtą stronę.

Wyjęła kolejne dwa noże; ostrza zabłyśłyświetle żarówki.

259.

- O Chryste!

- Oates też to zobaczył i nagle wszystko pojał.

- O nie - błagała Joanna.

- Proszę, nie!

- O Jezu!

- Oates zcałych sił zaciskał powieki, a usta zaczęły mu się poruszać jak w bezgłośnej modlitwie.

- Jack, onamawiającej tychnoży!

- Joanna zaczęła się szarpać w więzach, które przytwierdzały ją do wózka, a Sophia rozszczekała się piskliwie, wysokimi dźwiękami, które boleśnie wwierały się w uszy.

- Na litość boską, Chris!

- wrzasnął Donovan.

Znowu zaczął szarpać krępującego sznury i rozkołysał krzesło, trzęsąc się z bezsilnego cierpienia i gniewu.

Chen odłożyła noże na stolik i wytrząsnęła z woreczka coś jeszcze - były totak małe przedmioty, że z daleka niedało się ich rozpoznać - a teraz sunęła powolijakopotwór w czerni, Książę, w stronę Oatesa.

Otworzył oczy i zobaczył, co trzymała w prawej ręce.

Przez ułameksekundy nic nierozumiał.

Potem wrzasnął.

- Och, mój Boże!

- Joanna dojrzała w palcach Chen coś małego i okrągłego, zobaczyła, jak tamta pochyła się nad leżącym mężczyzną, a on zaczyna dziko rzucać głową na boki.

-Och, mój Boże, Jack, onachce go udusić!

- Z rozpaczy zaniosła się suchym łkaniem.

-Ona wkłada mu coś do nosa!

Chen lewą ręką unieruchomiła głowę Oatesa - była nieduża, a taka silna!

- akiedy mały gumowy koreczek wsunął się w lewe nozdrze, Oates krzyknął raz jeszcze, Joanna zaś z obrzydzenia i rozpaczy poczuła odruch wymiotny i zanosła się kaszlem.

- Joanno!

- Donovan szalał z niepokoju.

-Joanno, co ci jest?

Nie mogłam odpowiedzieć, bo miała ściśnięte gardło.

towszystkobyło zbyt straszne.

nie mogła pomóc Tomowi.

ten potworny strach o niego, o Jacka, o siebie.

nie może przestać kaszleć.

zaraz się udusi.

- Niech jej ktoś pomoże!

- ryknął Donovan.

- Kurwa mać - rzuciła Chen, nie podnosząc głowy.

- Pomóż tej suce,

Murdoch.

- Rusz się, łajdaku, pomóż jej!

- wrzeszczał Donovan, a Sophia, jeszcze bardziej wyprowadzona z równowagi wściekłością swego pana, śmignęła dokąta i przywarowała nisko przy ziemi, warcząc głucho.

Lamb gapił się na Joannę szeroko otwartymi oczyma.

- Trzeba jej dać wody.

- To przynieś tej cholernej wody, głupcze - nakazała mu Chen.

Nadal wstrząsana gwałtownymi atakami kaszlu, Joanna zobaczyła zawionymi oczyma, że Lamb się wycofuje, a potem wbiega na schody.

260

Otworzył drzwi i zniknął z pola widzenia.

Potem dojrzała Sophię, przycupniętą w kącie przy schodach, i uświadomiła sobie nieoczekiwanie, że owczarek jest teraz ich jedyną nadzieją.

Pomimo duszącego kaszlu zmusiła się, by powrócić myślami do tych tygodni, kiedy Sophia przechodziła szkolenie policyjne u przyjaciela Freda.

Z pewnością ćwiczyli jakieś polecenie, żeby posłać dokądś psa.

Możliwe - za ledwie możliwe - że jeśli suka skojarzy to ze swoim treningiem na przewodnika.

Drzwi pozostały otwarte.

Teraz!

Joanna spróbowała odzyskać oddech.

- Sophio, biegnij!

Sprowadź pomoc!

Głos jej się rwał i brzmiał słabiej.

Sophia usłyszała jej słowa i popatrzyła skonsternowana najpierw na nią, a potem na Donovana.

- Sophio, biegnij!

Sprowadź pomoc!

Chen odwróciła się w stronę psa i zobaczyła, że owczarek

nadstawiłuszu.

- Zamknij się, Joanno.

Joanna jednak zawołała bardziej stanowczo:

- Sprowadź pomoc, Sophio!

- Powiedziałam: zamknij się!

- Sophio, biegnij!

- wyrzycał polecenie Donovan.

- Sprowadź Pete'a!

Pies wahalsię jeszcze przez ułamek sekundy, a potem śmignął w górę po schodach wypadł przez otwarte drzwi.

- Zatrzymaj ją!

- wrzeszczała z furią Chen zza swojej maski.

- Murdoch, pies się wydostał!

Zatrzymajgo!

- Biegnij, Sophio!

- krzyczał Donovan.

- Sprowadź pomoc!

Z góry dał się słyszeć tupot stóp Laroba, potem jego głos, wykrzykujący coś do Sophii - a potem on sam pojawił się w drzwiach na szczycie schodów.

- Wyskoczyła przez okno!

- Dzielna suka - rzucił Donovan.

- Tak sądzisz?

- Chen obróciła się ku niemu z rękoma zaciśniętymi w pięści.

- Tak, tak właśnie sędzę.

Lamb poruszył się niespokojnie u szczytu schodów.

- Mam za nią biec?

-Nie ma potrzeby.

- Chenmówiła z całym okrucieństwem, na jakiebyło jąstać.

-Na pewno poraniła się o rozbitą szybę.

Z pewnością wykrwawi sięna śmierć, zanim zdoła gdziekolwiek dobiec,
me mówiąc jużo odnalezieniu farmy.

261.

- Przeszła szkolenie policyjne - przeciwstawiła się jej Joanna przezściśnięte gardło.

- Uda jejsię.

-Znówdrapało ją w gardle, alenie śmiała zakasłać.

Szybko zerknęłaOatesa.

Był szarawy na twarzy, ale przynajmniejChen nie zdążyła wepchnąć mu do nosa drugiej upiornej gumowej zatyczki.

Potwór - Książę- jeszcze raz się obrócił.

Joanna zamarła,słyszac,żeoddechToma z przerażenia znów robi się szybszy i płytszy.

- Mam cię już dość, Joanno Guthrie -oznajmiła powoli Chen.

Oatespojął, co oznacza ta nagła zmiana.

- Czy to mówisz ty czyKsiążę?

- zapytał szybko,próbując ściągnąćogień na siebie.

Chen ruszyła w stronę wózka.

Maska zachwiała się lekko, kiedy ukrytaza nią ludzka twarz przebiegła spojrzeniem po całym ciele Joanny.

- Jak myślisz, Tsao Chun?

- Nie odwróciła się w stronę Donovan,tylko lekko podniosła głos.

-Wiemy, że uważasz Joannę za piękną kobietę - te jej długie,subtelne, angielskie kości.

Czy niemiałbyś ochoty ichwyrzeźbić?

- Już mnie wyrzeźbił.

- Głos Joanny nadal brzmiał ochryple i drżałlekko.

"Ktoś natkniesię naSophię.

Potrzeba nam tylko czasu".

- Totak samośliczne dzieło jak wszystkie te, które pomogliście mu stworzyć.

- Ale nie równie dokładne -odparła Chen ipodwinęła lewy rękawbluzyJoanny.

- Trochęchudawe, lecz tochyba niebędzie miało większego znaczenia, co?

-Pogładziła ją po przedramieniu, a ponieważ wszystkie zakończenia nerwowe Joanny funkcjonowały już normalnie, ażwzdrygnęła się pod tym dotknięciem.

- Czyżbym cię przestraszyła, Joanno?

Tak mi przykro.

- Zostaw ją w spokoju.

- Głos Donovanaprzepełnionybył nienawiścią.

- Jack nigdy wasnie potrzebował,żeby osiągnąć wielkość.

- Joannaczyniła, co w jej mocy, by zyskać naczasie.

-Jest po prostu wielkoduszny, lubipomagaćludziom, których uważał za swoich przyjaciół.

Policzek spadł na nią bez żadnego ostrzeżenia, więc odruchowo krzyknęła.

Oates szarpnął się wściekle, a Donovan zakołysał się gwałtownierazem z krzesłem.

- Murdoch, złażtutaj!

- wrzasnęła nagle Chen.

Lamb, który chwiałsię niepewnie w połowie schodów, ruszył niechętnie nadół, a w tym czasie Chen podeszła z powrotem do Oatesa, wyszarpnęła mu z nozdrza mały kawałek gumy i podeszła z powrotem

dowózka, unosząc zatyczkę wysoko w prawej dłoni.

262

- Co ty robisz?

- Lambzatrzymał się znowu u podstawy schodów, a twarz pobieląa mujeszczebardziejniż dotąd.

-Co ty właściwie wyprawiasz?

- Nie myślisz logicznie!

- wrzasnął wpanice Oates, trzęsąc się ze strachu o Joannę.

-Chen, posłuchaj mnie.

- Nie Chen, nie pamiętasz?

- Nawet naniego nie spojrzęła.

-LeiKung.

- Dobra - mówił szybko Oates.

- Dobra!

-Musiał zrobićprzerwę,żeby przełknąć ślinę i zaczerpnąć oddechu.

- Posłuchaj mnie.

Lei Kung.

Psu może sięnie uda, ale Gary'emu Poole'owinapewno tak -jak sam powiedziałeś, to tylko kwestia czasu.

- Zgadzasię - przytaknęła.

- Lepiej więc go nie tracić.

- Zawrzyjmy umowę- rzucił prędko Oates.

Ukryta za maską Chen wydała szydercze prychnięcie i pochyliła sięnad Joannę.

- Nie!

- wrzasnął Oates.

-Joanno, nie daj się, kręć głową!

- Chris, na litość boską!

- Lamb ruszył w stronę wózka, ale znów przystanął.

-Lamb!

- zawołał do niego głos Donovan.

-Lamb, rozwiąż te sznury!

- Nie mogę!

-On nie może - przedrzeźniała Murdocha szyderczo Chen, łapiąc zadługie włosy Joanny, żeby unieruchomić jej głowę, kiedy będzie wpychać do nosa straszny mały korek.

- Jezu!

- wykrzyknął Oates.

-Lambert, pomóż jej!

Musisz jej przeszkodzić!

- Nie mogę!

- odwrzasnął Lamb.

-Ona mnie zabije!

Chinka wyprostowała się nagle, a Joanna, choć sama z trudem chwytiała powietrze i była śmiertelnie przerażona, dostrzegła, że i Chen wygląda na zmęczoną.

Oddech Chris stał się o wiele szybszy, a jej ręce drżały w widoczny sposób.

- A co z nami, Lamb?

- Donovan walczył teraz o życie Joanny.

-Coz ty mi w ostatnich latach przyjaźni?

Z tym wszystkim, co dla mnie zrobiłeś - czy naprawdę myślisz, że mógłbym o tym zapomnieć?

Naprawdę?

Szczerze?

- Cicho bądź, Tsao Chim.

- Głos Chen brzmiał szorstko, ale dawał się w nim wychwycić drżenie.

Donovan nie zwrócił na nią najmniejszej uwagi.

- Rozwiąż mnie, Lamb, a zyskasz szansę.

Powiemy, że nam pomogłeś - wszyscy troje.

263.

Oates także dostrzegł zmianę w zachowaniu Chen.

- Co się dzieje, Księżę?

- zaryzykował pod wpływem nagłego przeczucia.

-Tobie też potrzeba pomocy?

- Zamknij się - rzuciła, ale głos jej drżał teraz jeszcze mocniej.

-Czego potrzebujesz?

- zapytał.

-Czego ci potrzeba, żebyś dalej mógłbyć Księciem?

- Kazałam ci się zamknąć.

- Popatrzyła w jego stronę, ale musiała przytrzymać się przy tym krawędzi wózka.

- Na czym jesteś?

- Oates nie miał zamiaru się poddawać.

-Koka czy hera?

Czego potrzebujesz - teraz, w tej chwili?

A może lubisz mieszać -chcesz koktail Belushiego?

- Zamknij się!

- wrzasnęła Chen, i zwróciła się do Lamba: - No, rusz się!

-wydarła się na niego.

- Przynieś mi!

-Nie reagował.

- Przynieś mi to!

No już!

Lamb nadal się wahał.

- Mam rację, prawda?

- ciągnął agent.

-Bardzo tego potrzebujesz.

A może to Księżę potrzebuje?

Nie wykona roboty, dopóki nie dostanie swojej działki?

Chen podbiegła do stolika pod ścianą, złapała za grubą rolkę taśmy klejącej, oderwała spory kawał, podbiegła do Oatesa i przyłożyła mu ją na usta.

Uwięziony w swoim krześle po drugiej stronie pomieszczenia Donovan wiedział, że ich czas dobiega końca.

Przez cały czas napinał i rozluźniał mięśnie ramion, próbując poluzować węzły - wydawało mu się, że trochę się poddają - zdołał już także stworzyć sobie w myślach całkiem dokładny obraz pomieszczenia i wiedział, gdzie kto się znajduje, tak na wypadek gdyby udało mu się rzucić na Chen. Wydawało mu się, że wie dokładnie, gdzie jest Joanna, a gdzie leży Oates, sądził także, że wie, gdzie są te cholerny noże.

Lamb nadal stał pośrodku pomieszczenia.

- Masz zamiar zrobić to, co ci kazałam, czy nie?

- wrzasnęła przenikliwie Chris.

Nachwilę jakby zapadł się w sobie, a potem odwrócił się w stronę schodów.

- Jeśli choć przemknęło ci przez myśl, żeby zwać stąd beze mnie, to lepiej zastanów się jeszcze raz, Murdoch, bo pokroję tych drani na plasterki i urządzę wszystko tak, żeby było na ciebie.

- Niespodziewanie Chen zdarta zgłowy tao-tieh, ukazując bladą, wykrzywioną cierpieniem twarz.

Lamb był już w połowie schodów.

- Lepiejnie zapominaj, że to twój kunszt Donovan zawsze przedwszystkimi wychwalał!

- krzyknęła za nim.

- Niezbyt wieluludzi o tym wie, Chris -odezwał się przytomnie rzeźbiarz, wciąż napinając mięśnie, bo węzły rzeczywiście się poddawały, czuł, jaksię rozluźniają.

- Lamb nigdy nie chciał, żeby to rozgłaszać, nie pamiętasz?

-Umilkł na chwilę.

- Niezbyt dobrze z twoją pamięcią, co?

Za bardzo potrzebujesz działki, co?

Chen rzuciła maskę na ziemię, poszukała czegoś w lewej kieszeni kombinezonu, wyjęła drugą zatyczkę i podeszła z powrotem do wózka.

- Nie!

- Joanna zaczęła rozpaczliwie miotać głową naboki.

-O Boże, niej

- Zamknij się!

- wrzasnęła przenikliwie Chinka.

-Zamknij się, ty suko!

- Podbiegła do stolika przy ścianie, oderwała z rolki drugi kawał taśmy, wróciła do wózka i z całej siły przycisnęła taśmę do ust Joanny.

-Murdoch!

- rozdarła się.

-Gdzie, do cholery, jesteś?

- Joanno?

- wołał oszalały zniepokojony Donovan.

-Joanno!

Chen znów złapała jej długie włosy i usiłowała wepchnąć drugi korek w lewe nozdrze, upuściła go, podniosła, znów chwyciła ją za włosy, ciągnąc jeszcze mocniej, aż wreszcie udało jej się umieścić zatyczkę tam, gdzie chciała.

Donovanowi wystarczyło usłyszeć zdławiony krzyk Joanny. Skupił w sobie każdy atom siły, całą swoją moc, całą wściekłość, żeby zerwać krepujące go więzy -i tym razem ustąpiły, skoczył więc a równe nogi -i skierował całą uwagę na zlokalizowanie noży. Tam, nastole.

- Murdoch!

- wrzasnęła raz jeszcze Chen.

- Donovan się uwolnił!

Rzuciła się na niego.

Obrócił się i zderzył z nią lewym bokiem.

- Ty draniu!

- Krzyknęła z bólu, podczas gdy on kierował się już w stronę stołu, gorączkowo pragnąc dosięgnąć jednego z noży.

Joanna ledwie mogła oddychać.

Przez niedopchnięty korek w lewym nozdrzu przedostawał się lekki jak szept strumyczek powietrza, ale to niewystarczy, to nie wystarczy.

Krzyk Oatesa, zdławiony taśmą na ustach, przyszedł za późno, by ostrzec Donovana.

Chen, mimo uzależnienia zwinna dzięki wieloletniemu ćwiczeniu tai chi, kopnęła go z całej siły, trafiając w lewą nerkę.

Stęknął z bólu i złapał mocno Chinę -zwalili się na ziemię, a wraz

nimibłyskająceostrzaminoże -Chris sięgnęła pojeden z nich.

- Donovan,uważaj!

- wrzasnął Lamb.

Chen odwróciła się, lecz zobaczyła go odrobinę zapóźno.

Prawymbutem wymierzył jej cios w samśrodek piersi, aż poleciała dotyłu, wrzasnęła z bólu i upuściła nóż.

265.

- Ty zmij!

Gapiła się na niego pełna niedowierzania i wściekłości, kiedy chwycił jeden nóż, a drugi zwinnym kopniakiem posłał pod stojący pod ścianą stolik.

- No ico teraz zrobisz, zmij?

Zabijesz mnie?

- Choć skulona z bólu, nadal z niego szydziła.

- A jeśli ja umrę, to co wtedy będziez tobą?

- Gdzie jest Joanna?

- Donovan zbierał się z podłogi, zdezorientowany i ogarnięty rozpaczą.

- Lamb, ona zaraz umrze!

- Idź wlewo- instruował go tamten, nie śmiejąc oderwać oczu od Chen.

- Gdzie?

- Trochę dalej.

tutaj - ma na ustach taśmę.

Donovan wymacał twarz Joanny, znalazł knebel, oderwał go nagłym ruchem i usłyszał, jak wciągnęła gwałtownie powietrze i zaniósł się łkaniem.

- Już dobrze, maleńka, już dobrze.

- Jej nos!

- krzyknął Lamb, nadal celując nożem w Chen.

- Ma w nosie zatyczki!

- Tydraniu!

- Chinka aż zakrztusiła się z gniewu.

Trzęsła się teraz jeszcze bardziej, a jej owalna twarz zbrzydła od nienawiści, bólu i potu.

- Dlaczego im pomagasz?

Donovan wyjął jedną z zatyczek, usłyszał, że Joanna oddycha swobodnie, potem odnalazł sznur kępujący jej ręce i rozwiązał.

- Tom, na lewo - wysapała.

-Nie!

- zawołał ostro Lamb.

-Zostaw Oatesa!

Jack nie zwracał na niego uwagi, starając się wyciągnąć rękę do drzwi, żeby móc wyjść.

- Zostań na miejscu, Donovan!

- Lamb znalazł się u kresu wytrzymałości - Nie chcę patrzeć, jak umierasz - nie mam też żadnego powodu, żeby cię krzywdzić, żebyś stała się Joannie - ale nie mogę ci pozwolić rozwiązać Oatesa.

- Tak jest lepiej - odezwała się z podłogi Chen.

- Toma sens, Murdoch, kontrolujesz sytuację.

Musimy we dwójkę zapanować nad sytuacją.

Lamb nawet na nią nie spojrzał.

- Nie powinienem był jej słuchać.

- Nie spuszczał wzroku z Donovana.

- Żałuję z całego serca, że w ogóle ją poznałem - ciągnął błagalnym tonem.

- Wydawało mi się, że pomysł kości jest sensowny - tylko żeby zrobić z nich zbrojenie, żeby, nic więcej - ale nie chciałem nikogo zabijać!

Joanna czuła, jak powraca jej krążenie w zdętwiałych rękach.

Poruszając się powolutku, ostrożnie imodląc się w duchu, by nikt jej nie powstrzymał, pochyliła się trochę, żeby rozwiązać kłępujący nogi sznur.

- Gdzie masz to, o co prosiłam, Murdoch?

- Chętnie spróbowała usiąść, skrzywiła się i opadła z powrotem na podłogę.

-Przyniosłeś to?

Lamb nie odpowiedział, nadal nie chciał nawet na nią spojrzeć.

Twarz Chinki wykrzywił przelotny spazm bólu.

- Jest dobrze - odezwała się, próbując odzyskać panowanie nad sytuacją - Nic nam się nie stanie, Murdoch, jeśli tylko będziesz mi pomagał.

Joanna wyprostowała nogi, poruszyła palcami stóp i dopiero teraz zauważyła, że ma na sobie turkusową, jedwabną piżamę, prawie swojego rozmiaru.

To pewnie Sandry, przemknęła jej przez głowę nieistotna myśl, bo Mel jest o wiele niższa.

- Nic nam nie zrobią, Murdoch.

- Chen udało się wstać, mówiła teraz mocniejszym głosem.

- Dopóki będziemy trzymać się razem.

- Nie pozwolę ci ich zabić - oświadczył.

- Wcale cię o to nie proszę.

Joanna spojrzała na Oatesa i pojęła, że jeśli zaraz czegoś nie zrobi - teraz, w tej chwili!

- Chinka może całkowicie odzyskać siły, a wtedy ktowie, co się stanie.

Poruszając się powolutku i ostrożnie, przekreśliła się na lewo i opuściła nogi na podłogę.

- Joanna się podnosi - poinformowała Lamba Chen.

Potwór wracał do sił.

Joanna zamarła.

- Nigdzie się nie wybieram, Murdoch - odezwała się - na twoim miejscu jednak miałabym na nią oko.

- Możesz mną gardzić do woli - mówiła Chris, wpatrując się w Lamba - ale jesteś tak samowinien jak ja.

- Właśnie uratowałeś mi życie, Lamb - rzucił szybko Donovan.

- Idź dalej tą ścieżką, a będziemy zeznawać, że to wszystko jej wina, nie twoja.

Tylko musisz być po naszej stronie, aż do końca.

Joanna szybko zaczerpnęła powietrza, zmówiła w duchu króciutką modlitwę i ruszyła na chwiejnych nogach w stronę Oatesa.

- Nie rozwiązuj go, Joanno - ostrzegł ją Lamb.

- Powstrzymaj ją, Murdoch!

- Chen podniosła się na kolana.

- Powstrzymaj ją!

Lamb postąpiło krok w stronę Joanny, potem znów przystanął i wbił wzrok w Chinę.

- Kto jest bardziej niebezpieczny, Murdoch?

- Joanna znalazła wę267.

zeł na sznurze, krępującym ramiona Oatesa.

- Odurzony narkotykiem mężczyzna, który leżał związany nie wiadomo jak długo, czy też morderczyni-narkomanka, przekonana, że jest taoistycznym bóstwem?

- Ty suko!

- wypluła z siebie Chen.

-Zatrzymaj ją, Murdoch, dla swojego własnego dobra.

- Komu teraz zaufasz, Lamb?

- zapytał stanowczym tonem Donovan.

Przez jedną długą chwilę -kiedy Joanna odrywała plaster z ust Oatesa i rozmasowywała mu lodowato zimne ramiona - Murdoch Lambert stał tak pomiędzy Chris Chen, która z całą pewnością była jego osobistym diabłem, a mroczną otchłanią, w którą niewątpliwie pchnie go wymiar sprawiedliwości, jeśli teraz posłucha Donovana.

I zdecydował się.

Obejrzał się błyskawicznie przez lewe ramię, a następnie znów spojrzała Chinę - dotarło do niego, że nawet bez maski wyglądała teraz jak potwór -a potem na niewidomego mężczyznę, którego kochał i dla którego robił to wszystko - wszystko!

- i jeszcze na rudowłosą Angielkę przykusej piżamie oraz na osłabionego - tymczasowo, przypomniał sobie w myślach - agenta FBI.

Trzymając wciąż nóż w wyciągniętej ręce - a był to naprawdę duży nóż, więc żadne nie zaryzykowałyby ataku.

- Zaczął się cofać, w stronę schodów, aż dotarł do samej podstawy.

- Co ty wyprawiasz, Murdoch?

Jeśli przedtem Chen przypominała polującego kota, pomyślała Joanna, stojąc obok Oatesa, to teraz wyglądała raczej jak pantera z ludzką twarzą, gdy tak klęczała na podłodze, gotując się do skoku. Nadal pocila się idrżała, lecz wciąż jeszcze była od niej prawdziwa siła.

- Wychodzę - odparł Lamb.

- Zabieram się stąd.

Joanna wpatrywała się pytająco w twarz Oatesa, kiedy rozwiązywała drugą linkę, a potem rozmasowywała mu zdrętwiałe nogi. Ledwie dostrzegł nieskinął głową, lecz tyle wystarczyło, aby ją upewnić, że jest całkowicie przytomny - daleko mu wprowadziedo normalnej formy, ale masieźnacznie lepiej.

- A sądzisz, że masz szansę na ucieczkę?

- zapytała Lamba Chen.

-Bez mojej pomocy?

Lamb zaczął wchodzić tyłem po schodach.

- Podejmę to ryzyko.

Joanna nieprzerwanie rozcierała Oatesowi nogi.

Jeszcze raz skinął głową i spróbował usiąść, opanowując jęk bólu.

Pomogłam opuścić stopy na podłogę.

268

Milczący i nieruchomy Donovan stał między nimi a Chris, robiąc to jedno, co pozbawiony psa i laski mógł w tej sytuacji zrobić - obliczał w głowie odległości, ustalał kierunki, operował swym wewnętrznym komputerem, żeby określić dokładnie, gdzie może się znajdować broń. Jedną nogę trzyma w ręku Lamb.

A drugą stuknęło ścianę, kiedy leciał ślizgiem po podłodze.

- Dobra - odezwała się Chinka.

- Idź sobie, jeśli chcesz.

- Oddychała zwiódnym trudem.

- Ale zanim pójdiesz, daj mi to.

Lamb nie zwracał na nią najmniejszej uwagi, tylko dalej zmierzał ostrożnie w stronę wyjścia.

- Bez tego umrę.

- Przebiegła oczyma od jednej osoby do drugiej.

- Daj mi szansę, żebym mogła walczyć, Murdoch - o to tylko proszę.
Potrzebuję tego!

Donovan czuł niemal fizyczny ból, gdy próbował się skoncentrować, tkwiąc w samym środku tego szaleństwa.

Były trzy noże.

Chemiała w rękę jeden, kiedy zamieniła się w Lei Kunga - ten, który nazywała swoim dłutem.

o Chryste, gdzie on może teraz być?

- Rzuć mi to - Chen uniosła się teraz na czworakach.

- Na litość boską, Murdoch, tyle przynajmniej jesteś mi winien!

Spoglądając z najwyższego stopnia, Lamb zobaczył na twarzy Chris gorączkowe napięcie.

Wyjął z kieszeni mały plastikowy woreczek i cisnął w jej stronę.

Był to piękny rzut, woreczek wylądował obok niej, a Chinka porwała go z ziemi zachłannie i schowała bezpiecznie w kieszeni spodni.

- A teraz nóż!

- krzyknęła.

- Nie!

- wrzasnęła Joanna.

-Murdoch, nie!

- Mogę zrozumieć, dlaczego mnie zostawiasz, Murdoch.

- SłowaChen brzmiały coraz bardziej bełkotliwie, kobieta dyszała ciężko.

-Aletam, nazewnątrz nóż nie będzie ci potrzebny!

Lamb znowu się zawahał.

- Ich jesttroje, Murdoch- błagała.

- Troje na jedną!

Rzuć mitennóż!

- Wyprostowała się niecoi wyciągnęła ręce, by go złapać.

- Dobrze grasz w piłkę?

- zapytał ją Lamb.

- Co takiego?

- Nie mogła się już nawetzirytować.

-Po prostu rzućgo ijuż!

Donovan przestał się zajmować tym, gdzie cojest, i całą swoją uwagę skierowałteraz na Lamba.

Nie był pewien,ale wydawało mu się.

- Musiszbardzo ostrożnie łapać - zawołałLamb - bo inaczej sięskaleczysz.

269.

Joanna i Oates zrozumieli to samo co rzeźbiarz i zamarli w oczekiwaniu.

Chen niemogła już dłużej tego znieść.

- Rzuć mi ten cholerny nóż!

Lamb zamachnął się szeroko, jak ktoś, kto ma zamiar rzucić przyjacielowi latające kółko.

- Leci do ciebie!

- wrzasnął niespodziewanie i rzucił nóż.

Donovan już był gotów, grał wto z Lambem niezliczoną ilość razy, aczkolwiek dotąd używali tylko piłek.

Ostrze derżyło się z jego prawą dłonią, rozcięło ją, ale zdołał je przytrzymać, zbyt podniecony, by czuć ból.

Teraz był już uzbrojony.

Ślepy jak cholerny kret, ale uzbrojony!

Z okrzykiem furii Chen rzuciła się do stojącego pod ścianą stolika, złapała jakiś worek i coś z niego wyciągnęła - coś większego od tamtych noży, co połyskiwało ostrzem w świetle piwnicznej żarówki.

- To tasak!

- Joanna rzuciła się w stronę Donovana, ale Oates złapała ją mocno za ramię.

- Tom, co ty wyprawiasz?

Puszczaj!

Chinka sunęła powoli, chwiejąc się lekko, i wymachiwała przed sobą tasakiem; najwyraźniej zawodziła ją równowaga.

Traciła zdolność podejmowania decyzji.

- Jack, Chen ma tasak!

- ostrzegł ją Joanna.

- Musisz się stąd wydostać, Joanno.

- Tom nadal przytrzymał ją z ramienia.

- Muszę pomóc Jackowi - Joanna starała się uwolnić.

Chen zwróciła się ku Donovanowi.

- Japomogę Jackowi.

- Oates zaczął pchać Joannę w stronę schodów.

- Wydostań się stąd i wezwij kogoś na pomoc.

Chinka jeszcze raz zmieniła kierunek, zamachnęła się tasakiem na Oatesa, sieknąwszy przy tym ciężko z wysiłku.

Agent oddepchnął Joannę na bok i uchylił się zrećźnie.

Chen nie trafiła i prawie upadła, tracąc równowagę pod wpływem siły własnego ciosu, a Tom rzucił się po nóż leżący pod stołem.

Joanna podbiegła do Donovana i ujęła go pod rękę.

- Daj mi ten nóż, Jack.

Podając nóż, rękojeść była mokra od jego krwi.

- Nic ci nie jest?

- Joanno, uważaj!

- zawołał Oates.

Morderczyni ruszyła ku niej powoli, kołysząc tasakiem.

- Jack, on się zbliża!

- Joanna lewą ręką ścisnęła mocniej ramię Donovan

novana i wyciągnęła przed siebie prawą rękę z nożem.

- Spróbujmy iść tyłem, ja cię poprowadzę.

- Nic z tego!

- wrzasnęła Chen i jeszcze raz zamachnęła się tasakiem, trafiając rzeźbiarza w ramię.

Zatoczył się na Joannę, która poleciała naboki upuściła nóż.

- Jack!

- Joanna zobaczyła, że Donovan chwije się na nogach, zalany krwią, i z wysiłkiem zaczęła podnosić się z podłogi, żeby do niego podejść.

- Jack, trzymaj się!

Oates skoczył na Chen od tyłu, ale odwrócił się w porę nieoczekiwanie zwinnym ruchem i ostrze tasaka zagłębiło się w jego lewy bok.

Krzyknął i padł ciężko na ziemię, pociągając ją za sobą i pozbawiając na chwilę tchu.

- Jack, weź mnie pod rękę.

- Joanna dźwignęła się już na nogi i popatrzyła wokoło w poszukiwaniu noża, ale go nie dostrzegła.

Wiedziała, że muszą się jak najprędzej stąd wydostać, z nożem czy bez.

- Możesz iść?

- Nigdzie nie pójdę bez Toma.

Złapała go za ramię i zaczęła ciągnąć w stronę schodów.

- On bardzo krwawi.

Chen leży na ziemi, ale ma tasak i nóż.

Ty i ja musimy się stąd wydostać!

- Idź sama.

- Pójdziemy razem.

- Nie bądź cholernym idiotą, Donovan!

- Lamb, który nadal stał u szczytu schodów, wyciągnął rękę.

- Nie pozwolę ci umrzeć.

- Zszedł do połowy ich wysokości i wziął Donovana pod ramię z siłą, o

którą tamten nigdy by go nie podejrzewał.

-Przestań się opierać!

- Puszczaj mnie, Lamb!

-Nie wygrasz zemną, Jack, zwłaszcza teraz, ranny.

- Noidź!

- Joanna była tuż za nimi.

- Jack zostaje!

- Usłyszeli nieoczekiwanie przenikliwy głos Chen.

-Inaczej poderżnę temu draniowi gardło!

Wszyscy stanęli jak wryci, popatrzyli na dół zobaczyli, że Oates nadal siedzi bezwładnie na podłodze, na wpół przytomny, zalany krwią z rany w boku, a Chen trzyma go od tyłu, przyciskając mu rękę do tętnicy szyjnej.

- Murdoch i Joanna mogą iść - oznajmiła.

- Ale ty masz wobec mnie dług, Jack.

, - Nie mam żadnego długu!

-Masz wobec mnie dług za Kai.

- Kai?

- Zakreśliło mi się w głowie z upływu krwi i dezorientacji.

-Twojego brata?

- Odsunął się od Lamba.

271.

- Donovan, co ty wyprawiasz?

- krzyknął przerażony Murdoch.

- Przepraszam - rzucił rzeźbiarz cicho do Joanny.

- Bardzo cię przepraszam za to wszystko.

- Nie zostaniesz, Jack.

Nie możesz!

- Nie mogę pozwolić, żeby zabiła Toma.

- Odepchnął delikatnie nabok Joannę, wymacał poręcz i zaczął schodzić po omacku na dół.

- Jack, nie!

- Donovan, proszę cię!

- błagał Lamb.

- Kończy mi się cierpliwość.

- Chinka przycisnęła nóż mocniej do gardła Oatesa.

- Chcesz, żebym ci wybaczył, Lamb?

- Głos rzeźbiarza znów zabrzmiał twardo.

- W takim razie zabierz stąd Joannę - zrób to dla mnie.

- W porządku.

- W głosie Lamba brzmiało cierpienie, twarz miała białą jak kreda.

- Zszedł o dwa stopnie niżej i ujął Joannę pod ramię.

- Nie!

- Staraliśmy mu wyrwać.

- Czas dobiega końca.

- Chen przeciągnęła ostrze po gardle Oatesa.

- No chodź!

- Lamb włókł Joannę górę po schodach.

- Nie możemy zostawić Jacka!

- Nie mamy wyboru!

Na szczycie schodów, w otwartych drzwiach jeszcze raz próbowała się zaprzeć bosymi stopami i spojrzała na stojącego u podstawy schodów Jacka, nadal przytrzymującego się ręką barierki.

Zwróciła oczy na Lamba, próbując go ubłagać, ale zobaczyła na jego twarzy tylko odbicie własnego cierpienia.

- Będziemy musieli wyjść przez okno - powiedział półgłosem.

- Moje klucze zostały na dole razem z płaszczem.

Rzuciła ostatnie spojrzenie na dół, podczas gdy Lamb wybił ramieniem resztki szkła w oknie, przez które wyskoczyła Sophia.

- Nie mamy już czasu.

- Wyciągnął rękę, żeby pomóc Joannie przejść.

- O Boże - jęknęła.

- Tak, wiem - przytaknął.

Ruszyła zanim.

57

Donovan wiedział, że Chen aplikuje sobie dawkę narkotyku. Słyszał, jakotwiera rzucony przez Lamba woreczek, ścisł sobie sznurem ramię, żeby wystąpiły żyły, i klepie się po rękę.

272

Teraz, podługiej pauzie usłyszał długie, urywane, ekstatyczne westchnienie ulgi, wiedział więc, że już sobie coś wstrzyknęła.

Czekał, wbrew wszelkiej nadziei łudząc się, że może źle odmierzyła i przedawkuje, oceniał, czy ma jakąś szansę dostać się do Oatesa, zanim

Chen się pozbierał po początkowej fazie ekstazy, oraz zastanawiał się, jak długo może trwać jej euforia, choć rozumiał, że zależy to od zbyt wielu czynników.

Pozbawiony wzroku, nie miał żadnych możliwości, żeby się tego dowiedzieć.

Nie mam oczu, nie mam laski, nie mam psa, pomyślał.

Niemusiał długo czekać.

- Jeszcze tam jesteś, Jack?

- W jej głosie zabrzmiała wyraźna satysfakcja.

- Noto jak, powiesz mi teraz?

- Zaciśniętymi i przytrzymał się barierki.

- O Kai?

- O, tak - dobiegło od podłogi.

- Teraz ci powiem.

Zaryzykowała i puściła agenta wolno, kiedy dawała sobie w żyłę - w zasadzie z tymi dwoma nie ryzykowała wiele: jeden nieprzytomny, drugi ślepy.

Ale teraz znów przytrzymała Oatesa i na powrót przyłożyła mu nóż do tętnicy.

Lewa strona jego koszuli rozkwitła szkarłatem, lecz w miarę upływu czasu krew chyba przestawała płynąć, gdy tymczasem kobiecie wracały siły.

- Jestem pewna, że pamiętasz tamten pożar - zaczęła.

- W Chicago.

Przez chwilę Donovan gorączkowo szukał w pamięci.

A potem coś mu zaświtało, nagle zaczął rozumieć i na nowo ogarnęło go przerażenie.

- To tenczłowiek, który zginął?

- zapytał.

Gładka zazwyczaj, miodowożłota twarz Chen stała się teraz jakby ostra, przeżarta na wskroś nienawiścią.

- Ten człowiek, o którym powiedziałaś w wywiadzie dla "Sunday Times", że był mniej ważny od twojego psa.

58

Joanna i Lamb stali przed domem, chwilowo zdezorientowani z powodu ciemnej nocy, oślepiającej bielizą śnieżonego krajobrazu oraz drzewi i krzewów obsypanych śniegiem, ponad którymi panowała już tylko całkowita czerń.

Ani księżycy, ani gwiazd, ani żadnych świateł.

- Nic ci nie jest?

- Lamb popatrzył na Joannę.

Potwierdziła skinieniem głowy, bo nadal nie mogła wydobyć głosu.

Nagły chłód sprawił, że zabrakło jej tchu.

Miała ochotę wrzeszczeć, tak

18. Ślepa trwoga

273.

bardzo cierpiała - w jedwabnej piżamie, z bosymi stopami na mrozie, kiedy Jack i Tom zostali tam na dole, w piwnicy, z tą szaloną kobietą.

Najszybciej jak mogła, ruszyła w stronę volvo Chen.

- Nie mamy kluczyków - odezwał się za nią Lamb.

Joanna cofnęła się, lecz zaraz dostrzegła białą furgonetkę, zaparkowaną po drugiej stronie domu, podsmukłą brzoza - domyśliła się, że to ta sama, którą przywieziono ją z miasta.

- Wszystkie kluczyki zostały w domu.

- Świetnie.

- Objęła się rękami.

Już odzyskała oddech, lecz czuła ból w klatce piersiowej - właściwie wszystko ją bolało.

Wbiła wzrok wsose przed sobą, bo zaczęła przyzwyczajać się do tego trochę niesamowitego światła.

- Którędy teraz?

- Ale dokąd?

- zapytał Lamb, przytupując z zimna.

- A gdzie jest najbliższy dom?

Miejsce, skąd można by zadzwonić?

Zawahał się, zanim odpowiedział.

- Tędy.

- Wskazał kierunek ruchem podbródka.

- Jesteś pewien?

Murdoch, jesteś pewien?

- Jeśli mi nie wierzysz, idź w drugą stronę - powiedział i

ruszyłprzedsiebie.

Joanna jeszczeprzez chwilę stała przy volvo.

Noc była niesamowiciecicha.

Od strony domu nie dochodził żaden dźwięk, zwyjątkiem poskrzypywania uginających się pod śniegiem gałęzi.

Postoi tu jeszcze trochę, a zamarznie na śmierć.

Ruszyła za Lambem.

59

- Nie wiedziałem, że ktokolwiek zginął -odezwał się Donovan, nadalprzytrzymując się kurczowo barierki.

-Tenreporter pojawił się w moimszpitalnym pokoju izaczął mizadawać jakieś idiotyczne pytania.

Niewiedziałem, że w domubył ktoś jeszcze poza Annie, Mikiem i Waldem.

- Wtedy nikt nie wiedział.

-No to jak mogłem porozmawiać z dziennikarzem o twoimbracie?

-Ramię pulsowało mu bólem, ale miał wrażenie, żejuż przestało krwawić.

- Mogłeś porozmawiać o nim później, kiedy już się dowiedziałeś.

-W głosie Chen słyhać było corazwiększe zdenerwowanie, mówiła powoli, jakby z trudem.

Uświadomiła sobie, że wzięła za mało, nie brałapod uwagę napięcia i wysiłku -jej ciało już wyto o więcej.

274

- Nie wiedziałem, kim był - odrzekł Donovan.

-A próbowałeś siędowiedzieć?

- Nie.

- Trzeba byćszczerym do końca.

-Powiedziano mi, że w laboratoriumnie potrafili gozidentyfikować.
Gliny sądziły, że to mógł byćwłóczęgaalbo.

- Albowłamywacz- dokończyła za niego Chen.

-Tak.

- Słyszał oddech Oatesa, lecznie potrafił określić, jak poważnie agent możebyć ranny.

Joanna mówiła, że bardzokrwawił.

- Jak sięmiewaTom?

- Dotąd całkiem dobrze - odparła.

- Nadal trzymam nóż na jego gardle.

-Zmieniła pozycję, bo jego ciało zaczęło jej ciążyć.

- Kai tamtej nocy byłwłamywaczem, ale był także człowiekiem, wiesz?

Wiesz?

- Oczywiście,że wiem.

-Był młody.

miał siostrę, która go kochała, ale dla ciebie,paniewielki artysto, był nikim.

Ty za to byłeś kimś, już wtedy.

Dostateczniesławnym,żeby"Sunday Times" chciał przeprowadzić z tobą wywiad natemat pożaru.

- W jej głosie zabrzmiała jeszcze gwałtowniejsza gorycz.

-Ale ciebie obchodził tylko twój pies.

- Kochałem tego psa -odpowiedział Donovan.

-Nie będę kłamał.

- A ja kochałam swojego brata!

Wiedziałam, żeKai był w tamtyndomu, więc kiedy nie dawał znaku życia, wiedziałam,że na pewno zginął.

Przeczytałam ten wywiad i pomyślałam, że napewno nic nie wiedziałeś.
"Ten sukinsyn nic nie wie o Kai, mówiłam sobie, więc to nie jego wina.
Jak się dowie, napewno jeszcze raz pogada z tymi z gazety, powie, że
muprzykro".

- Powinienem być - przyznał Donovan.

- Tyle tylko masz miodo powiedzenia?

Powinienem być?

- Nie wiem, co jeszcze mógłbym powiedzieć.

Przepraszam nie wystarczy.

- Nie - zgodziła się Chen.

- Nie wystarczy.

60

- Potrzebujesz pomocy?

- zapytał Lamb, kiedy przeszli ze sto metrów.

- Nie, wszystko w porządku.

Nie było bynajmniej w porządku.

Nie czuła stóp, przywdechu nadal wszystko ją bolało, a do tego
miała świadomość, że jeśli szybko nie schroni się gdzieś przed mrozem
nie owinie czymś ciepłym, grożą jej poważne problemy.

Wiedziała trochę o hipotermii i odmrożeniach, ale niezbyt

275.

wiele.

To i dobrze - powiedziała do siebie w duchu, zmusiwszy się do dalszego marszu.

W tej chwili im mniej wie, tym lepiej.

- Czasem trudno oszacować odległość - rzucił przez ramię Lamb, bijąc siędła rozgrzewki po ramionach w trakcie marszu.

- Nie mam pojęcia, jak daleko jeszcze.

Kłamca.

Najpewniej wybrał najdłuższą z możliwych tras na tej zapomnianej przez Boga, pozbawionej chodników i oświetlenia drodze - Joanna widziała dobrze wahanie na jego twarzy, kiedy pytała, którądy mają iść.

Kochał Donovana naprawdę, myślała, brnąc w śniegu, ale znacznie bardziej przerażały go konsekwencje własnych postępów.

- Oddałbym ci swoje buty - rzucił, nie oglądając się nanią - ale napewno by nie pasowały.

Za to twój sweter bypasował, pomyślała Joanna, choć nie powiedziała tego na głos.

- Moglibyśmy przystanąć, wtedy dałbym ci swoje skarpety.

- Nie możemy się zatrzymywać - odparła.

- Nie ma na to czasu.

Jack i Tom już nie mają czasu.

61

- Teraz możesz już wypuścić Oatesa - odezwał się Donovan.

- Nie ma sensu - oznajmiła mu Chen.

- Jak to?

- Zamarł.

- Jest nieprzytomny - wyjaśniła.

- I tak nigdzie niemoże pójść.

- A więc jaki masz plan?

Zostać tu na zawsze?

Albo dopóki nie zjawią się gliny?

- Nie- odrzekła.

- Tego nie zrobię.

Kolejny atak łęku ścisnął mu żołądek.

- Podejdź tu, Jack.

- Wolałbym zostać tu, gdzie jestem - oświadczył, wciąż stojąc na dole schodów.

- Na pewno.

- Głos Chen z każdą sekundą brzmiał coraz dziwniej.

- Podejdź tu, Jack.

Chcę, żebyś coś dla mnie zrobił.

- Co takiego?

- Przekonasz się.

- To nie jest uczciwe, wiesz?

- starał się mówić lekkim tonem, by odżyło coś z tych wszystkich lat, które spędzili, pracując wspólnie.

- Ty dostałaś swoją działkę.

Mogłabyś przynajmniej podać mi laskę.

276

- Kai umarł w ciemnościach.

Między sufitem a podłogą musiało być strasznie ciemno.

- Nikt z nas nie wiedział, że on tam był, Chris.

-Spłonął, ale najpierw zadusił go dym.

Musiał strasznie się bać.

Biedny Yun-Tung.

Zamknięty w tej czarnej dziurze i nikt mu nie pomógł.

Oates wydał z siebie cichy jęk.

- Podejdź tu, Jack.

- To już był rozkaz.

-Bo inaczej go zabiję.

- Musisz mnie poprowadzić.

-Jeden stopień w dół.

- Niemarnowała czasu.

-Puść barierkę i kieruj się moim głosem.

- Co jest pomiędzy nami?

-Pusta przestrzeń.

Donovan trzymał ręce przy bokach.

Przez cały ten okres, kiedy pozbawiony był wzroku, nienawidził chodzenia po macku w ciemnościach.

Nie miał nic przeciwko lasce, była wspaniałym wynalazkiem, ułatwiającym życie, a psy przywróciły mu poczucie własnej godności.

Nauczył się nawet tolerować pomoc innych ludzi, lecz chodzenie z wyciągniętymi przed siebie rękami jak dziecko bawiące się w ciuciubabkę zawsze budziło w nim obrzydzenie, więc prędzej go diabli wezmą, niż da teraz Chensatysfakcję oglądania go w ten sposób.

- Tu jestem - odezwała się.

- Jesteśmy tu oboje.

Donovan zatrzymał się o krok od niej.

- I co teraz?

- Teraz wszystko zakończymy.

62

Joanna usłyszała szczekanie, uznała jednak, że to złudzenie.

Pobożne życzenia.

Może jakieś półdeliryczne symptomy zamarzania, myślała, starając się pamiętać, by unosić stopy wysoko dogóry zamiast szurać nimi w śniegu.

Potem jeszcze raz usłyszała to samo.

- Słyszałeś?

- wykrzyknęła do Lamba, który szedł przed nią.

Zatrzymał się i stał sztywno w całkowitym milczeniu.

Szczekanie dochodziło gdzieś z przodu, potem dobiegły ich też inne dźwięki - warkot silnika, męskie głosy, krzyki - a teraz wśród atramentowej czerni byłoby także coś widać.

Światła samochodu!

- Hej!

- zawołała.

- Hej!

- Zamknij się!

- rzucił jej Lamb przez ramię.

277.

- Tutaj jesteśmy!

- wrzasnęła jeszcze głośniejsze; sama nie mogła uwierzyć, że zostało jej jeszcze tyle siły.

-Hej, jesteśmy tutaj!

- Cicho bądź!

- syknął Lamb.

Światła zbliżyły się, a potem przystanąły, pojazd był zbyt daleko, by można go było widzieć wyraźnie, ale dostrzegła, że otwierają się drzwiczki.

Potem zobaczyła jakieś dwie postacie.

dwóch mężczyzn.

szli ku nim na piechotę, mieli w rękach latarki, których światła podskakiwały i kołysały się w ciemności.

Szczekanie przybrało nasile.

- Sophia!

- wrzasnęła uradowana Joanna.

Najpierw zobaczyła psa, który pędził susami przez śnieg w jej stronę, a później dwóch biegnących ludzi, aż wreszcie dojrzała ich twarze - jedną obcą, a drugą - Pete'a Szabo.

- Murdoch, to Pete!

Lamb zawrócił i stanął tuż obok niej.

- Uważaj, co im będziesz mówić.

Pies podbiegł do niej, skoczył jej na ramiona, nieustannie szczekając, wymachując zapamiętałe ogonem i skamłując głośno.

- Sophia!

- Joanna przykucnęła, żeby ją uściskać i dostrzegła ślady krwi i kawałki rozbitego szkła, nadal widoczne na czubku nosa, głowie i karku suki.

- Bogu dzięki, nic ci nie jest.

- Jo, a czy tobie nic nie jest?

- Szabo zatrzymał się przy niej poślizgiem.

- Sophie przybiegła na farmę.

Szczekała, dopóki za nią nie poszliśmy.

Nie mogę uwierzyć, jaka ona jest mądra!

- Popatrzył szeroko otwartymi oczyma na jej pizame i zsiniałą zimną twarz.

- Dobry Boże, co się z tobą dzieje?

- Musimy wezwać pomoc!

- Joanna wstała, a pies nadal tańczył wokół niej z radości.

Popatrzyła na drugiego mężczyznę.

Był barczysty, solidnej budowy, miał na sobie brązową kurtkę.

Spod wełnianej czapki wystawały końce brązowych włosów.

- Gary Poole, proszę pani - przedstawił się.

- Wygląda pani, jakby miała zaraz zamarznąć na śmierć.

- Zaczął rozpinąć kurtkę.

Rzucił szybkim, badawczym spojrzeniem na Lamba.

- FBI, proszę pana.

Czy pan Murdoch Lambert?

- Tak, to ja.

- Lamb przysunął się bliżej do Joanny, na tyle blisko, że czuła na uchu jego ciepły oddech.

- Pete, jeszcze nigdy tak się nie ucieszyłem na czyjś widok!

- Musicie jechać do domu jakies dwa kilometry stąd!

- wybuchnęła Joanna.

- Jest tam Chris, z Jackiem i Tomem Oatesem.

Zupełnie postradała zmysły!

278

- Chris?

- Szabo był wyraźnie oszołomiony.

- Nasza Chris?

- Zupełnie zwariowała, ze szczętem!

- opowiadała Joanna.

- Ma noże i narkotyki.

To właśnie ona.

- Zamknij się!

- Lamb złapał ją z nienacka i powlókł kilka kroków do tyłu; okazało się, że trzyma coś w dłoni, Joanna widziała to teraz tuż przez własną twardą - kawałek krozbitejszyby z okna, tak samo śmiercionośny jak każdy nóż.

- Hej, człowieku, spokojnie!

- Poole upuścił kurtkę na ziemię i sięgnął po broń.

- Zostaw to!

- Lamb przeciągnął Joannę na pobocze, trzymając odłamek szkła przy jej szyi.

- Zostańcie na miejscu i żadnej broni!

- Dobra - odrzekł Poole i zerknął z ukosa na Szabo.

- Proszę się nie ruszać.

- Nigdzie się nie wybieram - odparł tamten.

Sophia, rozpoznawszy nowe zagrożenie, zaczęła wściekle ujadąć.

- Złap ją za obrożę - rozkazał Poole'owi Lamb.

-1 trzymaj się z daleka.

- Owczarekszczeakał i warczał nieprzerwanie.

-Powiedziałem: złapją za obrożę!

Szabo podszedł bliżej i przytrzymał psa.

- Chodź, moja śliczna.

-Na litość boską, Murdoch - wykrztusiła Joanna.

- To czyste szaleństwo.

Puśćmnie!

- Nie mogę.

Bardzo żałuję, ale nie mogę.

- Lambobejrzał się przez ramię na otwarty biały teren za nimi, trzymając ostry kawałek szkła tuż przy jej szyi.

-Jeśli ktoś za nami pójdzie -zwrócił się do Poole'a i Szabo

- to przysięgam, że ją zabiję.

-Przecież nie chcesz nikogo zabić - odpowiedział mu Pete.

- On był w tym wszystkim razem z Chen.

- Joanna musiała to z siebie wyrzucić, nie mogła znieść myśli, że mieliby się tym nie dowiedzieć.

- Wybierał ofiary i odurzał je narkotykami - odurzył mnie i Toma, i.

-Zamknij się!

- Lamb odciągnął ją z drogi i zaczął wlewać zaspy.

- Poddaj się, Lambert - zawołał do niego Poole.

-1 tak nie znajdziesz

daleko.

- Tak daleko, jak będę musiał!

- wrzasnął Lamb i mocniej chwycił

Joannę.

- Murdoch, musisz to przerwać - błagała.

-Wiesz, zenie mogę.

Joanna wpatrywała się w dwóchmężczyzn i psa, oddalając się od nichcoraz bardziej.

Widziała, że Poole trzyma teraz w wyciągniętych przed

279.

sobą rękach pistolet, ale wiedziała, że agent nie zaryzykuje, mając ją na linii strzału.

- Nie myślcie o mnie!

- krzyknęła.

-Jedźcie po naszych śladach -znajdźcie ten dom i pomóżcie Jackowi i Tomowi!

- Od zimnego powietrza bolało ją gardło, a głos brzmiał ochryple.

-Murdoch nicmi nie zrobi, jeśli dacie mu spokój!

- Zgadza się!

- wrzasnął Lambert.

-Dajcie mi czas, żebym mógł zniknąć, a wtedy ją wypuszczę!

- Jedźcie do tego domu!

- zawołała rozpaczliwie Joanna.

63

- Nie bój się - mówiła do Donovan Chen.

- Nie zrobię ci krzywdy.

- Nie boję się ciebie - odparł.

- Ale nie pomogę ci zabić Oatesa, jeśli to ci chodzi.

Teraz, kiedy znalazł się bliżej, słyszał oddech Toma wyraźniej, ale mógł z tego wywnioskować tylko tyle, że tamten jeszcze żyje.

- Wcale cię to nie proszę, Jack.

- Głos Chrisa falował dziwnie.

- Mam zamiar podarować ci coś bardzo szczególnego.

- Co znów wymyśliłaś?

Wystawił przed siebie tasak.

- To jest tasak, Jack.

Taki, jakiego rzeźnicy używają do przecinania kości.

- Wyciągnęła ku niemu rękę.

- Weź go.

- Po co?

- Zrobiło musieńiedobrze.

- Weź go!

Donovan pozwolił włożyć sobie wdłoń uchwyt.

- Pamiętaj, że nadal mam nóż - przypomniała mu Chen.

-1 Toma.

- Nie zapominam o tym.

Szybko, lecz bardzo cichutkopołożyła nóż napodłodze i podwinęłaprawyrękaw.

Rozejrzała się po pomieszczeniu.

- Podłoga to nie najlepsze miejsce do tego celu, ale nie mam zamiarusię stąd ruszać.

Ten naszprzyjaciel jest jak ołowianyciężarek.

- Pozwól, że ja go przytrzymam.

-Nie wydaje mi się, aby to był dobry pomysł.

- Chen pochyliła sięnaboki wyprostowała na podłodzeprawe ramię, próbując ułożyć je zupełnie płasko.

-Masz ten tasak,Jack?

- Tak.

-Uklęknij.

280

- Po co?

- Poczul w żołądku kulę strachu.

- Uklęknij, dokładnie tutaj.

I to szybko, bo zabiję Oatesa.

Przyklęknął.

- Odłóż na chwilę tasaki podaj mi rękę.

Wyciągnął przed siebie prawą dłoń.

- Tę drugą.

Poczul, że ujmuje go za lewą dłoń.

Chris miała gorące palce, które niemal wibrowały energią, kiedy pociągnęła jego rękę w dół.

- Czujesz?

To moja prawa ręka.

Leży płasko na ziemi - czujesz?

Nie potrafił ustalić, czy miała nóż w drugiej dłoni czy nie.

- Teraz weź w prawą rękę tasak.

Nagle zrozumiał i poczul się jak trafiony obuchem.

- Nie!

- Wyrwał gwałtownie rękę.

- To mój ostatni dardla ciebie, Jack.

Jest idealna.

- Jesteś chora, suko!

- Tak trzeba: powinieneś zatrzymać sobie moją prawą rękę.

Użyj moich kości do ostatniego, idealnego donovana.

- Mówiła znów bardzo niskim głosem, z dziwną, przyprawiającą o mdłości stanowczością.

- Trzeba wziąć pod uwagę to, czego moje ręce dokonały w twoim imieniu.

Wstał, drżąc gwałtownie całym ciele.

- Jeśli sądzisz, że to zrobię, to jesteś bardziej stuknięta, niż myślałem.

-A właśnie, że zrobisz.

- Absolutnie nie ma mowy.

-W takim razie zabiję Oatesa.

-Podniosła z ziemi nóż.

Agent jęknął.

- To dlatego, że ukłułam go teraznożem, Jack.

On to czuje.

Posłuchaj.

- Poruszyła ostrzem i przecięła lekko skórę Toma, z dała odgłównych naczyń krwionośnych, ale na tyle mocno, że pociekła krew.

Oates jęknął głośniej.

- Słyszysz, Jack?

- O Chryste.

-Klęknij z powrotem, Jack - poleciała teraz ostrzejszym głosem, z większą mocą.

Donovan nie ruszył się z miejsca.

- Przecież chcesz mnie zabić - dodała.

- To twoja wielka szansa.

- Nie chcę - odparł i pomyślał; Kłamca.

-Pomyśl, co zrobiłam Ellen Miller - ciągnęła.

- Pomyśl ostopie, nad którą pracujesz.

O tym młodym człowieku z New Paltz.

O starym farmerze - o tym bajecznym przedramieniu, nad którym krytycy piali z zachwytem.

281.

- Zamknij się.

-Pomyśl okręgosłupie tego chłopaka w muzeum.

- Jezu.

Jezu!

- A była jeszcze taka staruszka -jedna z uczestniczek zajęć Murdocha.

Odcięłam jej rękę jakiś tydzień temu.

To był świetny.

- Zamknij się!

- Nie myliła się, miał ochotę udusić ją gołymi rękoma.

- To jasne, że chcesz mnie zabić, Jack.

- Przenikliwygłos Chris Chenznówświdrował mu w uszach.

-A ja wiem, że muszę teraz umrzeć albowiż dowięzienia - wiedziałam o tym już od dawna.

A takprzynajmniej nigdy w życiu nie zdołasz zapomnieć, jakto się stało.

Będiesz pamiętało uczucie, ten dźwięk i zapach aż do końca swoich dni.

- Przerwała, abyzaczerpnąć tchu.

Ateraz uklęknij, Jack.

- Jezu.

- powtórzył słabym głosem, wiedząc już teraz, że ta kobietamazupełnie i nieodwracalnie pomieszane w głowie.

Oates poruszył się, jeszcze raz jęknąłgłęboko i trochę głośniej.

- Jegożycie lubmoje, Jack.

Donovan zwałił się bezwładnie na kolana.

- Terazweź do rękitasak.

Pomacał ziemię dookoła, odnalazłnarzędzie i mocno zacisnął palce

naręczce; ledwie mógł oddychać, w głowie szumiała mu krew.

- Upewnij się, że wszystko jest jak należy, Jack - dodała jeszcze.

- Cięcie musi być wykonane dokładnie, inaczej nie będziesz mógł jej wykorzystać w swojej pracy.

- Niech cię diabli porwą za to wszystko!

- Tak jak powiedziałam ci przedtem - odparła - porwą nas oboje.

64

Joanna modliła się w duchu, żeby Poole i Szabo dotarli w porę do tamtego domu.

Już ich nie widziała, nawet uparte szczekanie Sophii rozplynęło się w końcu w ciemnościach nocy, a ona i Lamb znajdowali się teraz gdzieś bardzo daleko od drogi.

Przedtem była tak zdezorientowana, że niezdawała sobie sprawy, gdzie znajdowały się inne domy, do których mogli zastukać, aby zatelefonować po pomoc.

Ale Chen mówiła, że tamtędom stoi w pobliżu Opus 40, a Joanna przypomniała sobie teraz, jak ten teren wyglądał z dala.

Przyjemne domki, w większości odskowane, otoczone schludnymi trawnikami i lasem.

Uświadomiła sobie, że Lamb najpewniej włókł ją po cudzych posesjach, więc może gdyby zaczęła krzy-

czeć, ktoś by ją usłyszał.

Wszędzie wokół wszystko wyglądało tak samo, dawało to samo odczucie: czerń, biel i to śmiertelne zimno.

- Możesz już mnie puścić - powiedziała do Lamba, który ciągnął ją za rękę.

- Jeszcze nie.

- Był tak samo zdyszany jak ona, w lewej ręce nadal zaciskał odłamek szkła, a krótki język na głowie białł mu coraz bardziej, bo znów zaczął padać śnieg.

- Nie idą za nami.

- Spocila się cała z wysiłku.

Pomyślała, że pewnie ten pot zamarzając już na twarzy zaczęła się zastanawiać, ile jeszcze doła wytrzymać, jeśli nieznajdą jakiegoś schronienia.

- Możesz teraz uciec, dokąd chcesz, a ja nic nikomu nie powiem.

Nawet się nie zatrzymał.

- Daruj sobie, Joanno.

Zmierzali w stronę lasu - przybliżały się do nich okryte śniegiem klony i sosny - i oddalali się coraz bardziej od siedzib ludzkich. Joanna miała nadzieję, że pod osłoną gęstych drzew nie będzie tak zimno, ale jednocześnie rozumiała, że zasłonią ich one całkowicie przed ludzkim wzrokiem i utrudnią ewentualne poszukiwania.

Obejrzała się przez ramię i zobaczyła, że ich ślady pokrył już zupełnie świeży śnieg, a potem spojrzała przed siebie, na mężczyznę, wlokącego ją w panice wciąż naprzód.

- Murdoch, to nie ma sensu - spróbowałam jeszcze.

- Mówiłem: daruj sobie.

Zacisnął uchwyt, wykręcając jej rękę, od czego odezwał się złośliwy ból w plecach, spowodowany niedawnym napadem.

Kto właściwie ją napadł?

Nagle zaczęła się gorączkowo zastanawiać, czy to nie Lamb, który

chciałukraść zdjęcia, aby skłonić ją do wyjazdu.

A wtedy zauważyła, że miał skaleczoną lewą dłoń, w której zaciskałodłamek szkła, a na śnieg kapią drobne kropelki krwi, więc może-
może!

- ktośdoła je wypatrzeć.

Pod warunkiem, że śnieg nie będzie padał tak gęstojak teraz.

65

Oates nadal miał wrażenie, że śni.

Był to senprzerażający, wypełnionyokrucieństwem i krwią, gorszy od
wszystkich koszmarów, jakie kiedykolwiek go trapiły.

Przez myśli przemknął mu obraz, który kiedyś pokazała mubabcia, chcąc
przestrzec Toma przed starymi sloganami, rozpowszechnianymi po dziś
dzień przez rasistów na temat "dzikości

283.

czerwonoskórych": biały mężczyzna, zabrudzony krwią, klęczący nad zamordowaną kobietą.

To nie sen.

- Jasna cholera.

Mężczyzna w ubraniu przesiąkniętym krwią nawet nie drgnął - wyglądał, jakby wrósł w ziemię.

- Donovan?

- zawołał Oates słabym głosem.

-Jack?

- Czy ona nie żyje?

- Donovan wypowiedział te słowa tak cicho, z takim obrzydzeniem, że ledwie dały się słyszeć.

-Próbowałem wyczuć jej puls, ale nie mogłem.

- Nie żyje.

- Tom opuścił oczy, zobaczył, że jego własna krew już zasycha, potem znów podniósł wzrok na Donovana.

-Jesteś ranny?

- Nie bardziej niż przedtem.

- Jego głos w dalszym ciągu brzmiał bardzo słabo.

Oates nie miał ochoty spoglądać jeszcze raz na ChrisChen, ale się musiał.

Tasak, krępulec na lewej ręce, nadal stercząca z żyły strzykawka.

I reszta.

Żołądek szarpnął mu się w odruchu torsji; Tom przymknął oczy, zebrał się w sobie i otworzył je z powrotem.

- Zrobiła to sama?

- Było to niemal jasne.

Umieszczenie tasakawskazywało na to, że wypadł z lewej ręki Chen.

- Chciała, żebym ja to zrobił.

- Wypowiedzenietych słów sprawiło Donovanowi ogromną trudność.

- Powiedziała, że cię zabije, jeśli tego nie zrobię, ale nie mogłem, Tom. nawet dla ciebie.

więc wstrzyknęła

sobiekolejną dawkę.

słyszałem, jak to robi.

i...

- Nie mógłmówićdalej.

- Musiała być na niezłym haju- odrzekł Oates.

Znow zalała go fala bólu.

Nagle wzdrygnięcie Toma wyrwało Donovana z tego dziwnego transu, w którym tkwił jak w pułapce.

- Chryste, Tom, przepraszam.

Co z tobą?

- Nicmi nie będzie.

A gdzie Joanna?

ILambert?

- Wydostali się stąd.

-Razem?

- To jednosłowo mówiło wystarczająco wiele o jego obawach.

- Tak.

- Donovan zawiesił głos.

-Nie wyobrażam sobie raczej, abyś mógł teraz za nimi ruszyć, mamrację?

Oates próbował usiąść, lecz zaraz opadł z powrotem.

- Nie dam rady.

-Ona.

Chris.

zostawiła na górze moją laskę.

Może gdybym.

- Nieświruj, człowieku.

- Oates sprowadził go na ziemię.

284

- Przywiozła mnie tu samochodem.

- Donovan nie miał zamiaru się poddawać.

-Czy dałbyś radę poprowadzić.

Tom, gdybym ci pomógł wejść na górę?

- Nie wiem.

- Oates się skrzywił.

-Raczej kiepska z nas drużyna.

- O Jezu!

- Donovan pomyślał o tym, jak cienki był materiał, który wyczuł na rękach Joanny.

Wjedwabiu, tam, natym śniegu!

A do tego z Lambem.

Z człowiekiem, który zdolny był do takich czynów.

- Rzucił ci swój nóż.

- Oatesowi nie trudno było odgadnąć, o czym myśli rzeźbiarz.

-Nie zrobi jej krzywdy.

Teraz nie ma już żadnego powodu.

- Nie możemy tak po prostu tu tkwić.

Oates zerknął ukosana Cheni poczuł kolejną falę mdłości.

- Jestem gotów spróbować, jeśli czujesz się na siłach.

Wszystko będzie lepsze od tego miejsca.

- Pomogę ci - powiedział Donovan - ale musisz mnie poprowadzić.

- Przykucnął nisko, objął go ręką z ramiona i zaczął dźwigać w górę, lecz

Oates mimowolnie jęknął z bólu, więc Jack opuścił go z powrotem.

- Nic z tego.

- Daj mi sekundę - powiedział agent.

- Jesteś ranny, Tom - Donovan ze złością przejechał palcami po włosach - a ja jestem zupełnie bezużyteczny.

A Joanna znalazła się gdzieś sama ze skurwysynem, który przez całe lata robił za alfonsa tej stukniętej rzeźniczce.

- Opadł z powrotem na podłogę.

- Dla mnie.

- Daj spokój, Jack.

- Dla mnie, Tom.

Niema co kryć.

Obaj usłyszeli to w tej samej chwili: szczenie.

Głosy.

Męskie głosy.

Donovan gwałtownie podniósł głowę.

- To Sophia!

Oates przysłuchiwał się głosom sekundę dłużej i rozpoznał głęboki baryton Gary'ego Poole'a.

A wtedy i on zaczął wrzeszczeć co sił w płucach.

66

Joanna nie od razu rozpoznała to miejsce.

Wyglądało zupełnie inaczej, niż kiedy była tu poprzednio na początku miesiąca.

Wtedy przyszła tu samochodem, od strony szosy, w biały dzień.

Była na tyle ładna pogoda, że Joanna mogła wypstrykać kilka rolek filmu i powoli obejść wszystko

285.

dookoła.

Teraz, kiedy wychynęli z lasu, który otaczał ten teren z trzech stron, poczuła się tak, jakby wkroczyli wprost w scenografię do biało-czarnego filmu science fiction z lat pięćdziesiątych: Opus 40 w śnieżną noc wyglądał jak wyobrażenie trzeciorzędnego reżysera na temat obcej planety, której wszystkich mieszkańców wessał jakiś kosmiczny odkurzacz.

- Nie tak szybko, Murdoch- błagała.

- Tujestniebezpiecznie.

Wielkie połacie gładkiego piaskowca pod jej stopami, pokryte śniegiem, okazały się zdradliwie śliskie pod jej drętwiejącymi, zamarzniętymi stopami.

Jeziorka, które stanowiły część rzeźby, także były pokryte lodem, i nawet drzewa wyglądały tak samo sztywno jak centralny monolit

- przypominały wysokie, chude jak szkielety sylwetki ludzi, zbyt zziębniętych, by móc się poruszyć.

-Musimy zwolnić.

- Szarpnęła się w tył, niemalże zatrzymując się w miejscu.

-Musimy poszukać pomocy, zanim zamarzniemy na śmierć.

- Palce miała zeszywniałe z zimna, lecz nie czuła już bólu, a wiedziała, że to niedobry znak.

- Jej głos brzmiał słabiej niż przedtem.

-Możemy znaleźć jakiś dom, powiedzieć, że zepsuł nam się samochód i.

- I co?

- Wargi Lamba zsiniały od chłodu.

-Myślisz, że nie będą zadawać pytań, nie zechcą wiedzieć, co robisz na

mrozie w taką noc w samej piżamie?

- Powiemy, że jestem chora i że wiozłeś mnie do szpitala.

Możemy ich poprosić, aby wezwali ambulans i.

- I co?

I co?

- Pomimo wyczerpania Lamb prawie krzyczał.

- Mogłem być na tyle szalony, żeby trzymać z Chris, ale nie straciłem jeszcze do końca resztek rozumu - i raczej nie mam zamiaru puścić cię do jakiegoś ciepłego, przytulnego domku, abyś mogła szepnąć mieszkającemu tam samarytaninowi, żeby wezwał gliny.

- Nic takiego nie zrobię, Murdoch.

Jesteś najlepszym przyjacielem Jacka.

- Nie gadaj bzdur.

- Znow ruszył przed siebie, wlokąc ją za sobą, pośliznął się, ale odzyskał równowagę.

- Po prostu trzymaj głowę na kłodce i daj mi pomyśleć, dobrze?

- Podniosłem wą rękę, żeby zetrzeć z oczu śniegi nagle przystanął, wpatrując się w dłoń szeroko otwartymi oczyma, jakby zupełnie zapomniał o ostrym kawałku szkła, który cały czas ścisnął w palcach.

- Ja krwawię.

Joanna nie odezwała się ani słowem.

- Od jak dawna krwawię?

- Nie wiem.

Lamb spojrział w kierunku, z którego przyszli.

- Zostawiłem cholerny krwawy trop.

- Wbił teraz oczy w Joannę.

-Wiedziałaś o tym, co, suko?

Wiedziałaś, że zostawiam ślad i nic nie powiedziałaś.

- Myśl sobie, co chcesz - odparłam znużeniem.

-Powiniennem cię za to zabić.

- Według mnie do tej pory wykonałeś spory kawał dobrej roboty w tym kierunku, nie sądzisz?

67

Poole chciał zostawić Donovana i Oatesa w domu, żeby czekali na karetkę, ale obaj oświadczyli, że nie zostaną w tym miejscu ani sekundy dłużej, więc chcąc nie chcąc on i Szabo musieli pomóc im przejść do chevroleta, po czym pojechali z powrotem do miejsca, gdzie po raz ostatni widzieli, jak Murdoch Lambert wlecze Joannę coraz dalej w śnieg.

- I co teraz?

- pytał Jack z niecierpliwością dyktowaną przez rozpacz, kiedy agent Poole podał przez radio ich nowe położenie.

- Zostawię włączony silnik - powiedział Poole.

- Pan poczeka tutaj z Oatesem, dopóki nie zjawi się pomoc.

- Popatrzył na Pete'a Szabo.

- Pan także powinien tu zostać, ale wydaje mi się, że umie pan się obchodzić z tym psem.

- Zawahał się.

- Nie ma pan nic przeciwko temu, że ją zabiorę, Donovan?

- Sophia najdzie ją pewnie niż ktokolwiek inny - zapewnił gorzeźbiarz.

-Proszę sobie tylko nie robić zbyt wielkich nadziei - uprzedził go Poole.

- Już od dłuższego czasu ani na chwilę nie przestaje padać.

Ich ślad został pewnie zasypany, a niewiem, czy ten pies potrafi odnaleźć zapach w śniegu.

- Sophia jest mądra - oznajmił twardo Szabo.

- Nawet Rin-tin-Tinnikogo by nie znalazł, gdyby zostawiono go w samochodzie - rzucił sarkastycznie Donovan.

Tak więc dwaj mężczyźni i owczarek ruszyli.

68

Joanna i Lamb nadal znajdowali się na terenie Opus 40, kiedy przez świstich zdyszanych oddechów oraz spowodowane wysiłkiem sieknięcia prze-

287.

biły się pierwsze odgłosy pościgu: najpierw szczekanie Sophii, a potem chrzęst butów na śniegu.

- Zbliżają się - rzuciła Joanna niepotrzebnie, ponieważ wiedziony paniką Lambnatychmiast przyśpieszył i ciągnął ją po lodzie jeszcze prędzej.

-To przez tę krew - wysapał.

- Ty suko, to przez tę krew!

- Idziesz za szybko, Murdoch.

Przestraszony mężczyzna prowadził ją tam i z powrotem, klucząc wśród gigantycznych elementów rzeźby, wchodząc między drzewa i wychodząc spomiędzy nich, ale przez cały czas trzymając się z dala od otwartej krawędzi kamieniołomu.

Teraz znajdowali się na czymś w rodzaju wysokiej platformy, a zdrętwiałe i przemarznięte stopy Joanny ledwiotrzymały się na oblodzonej powierzchni; już prawie nie miała sił.

- Proszę, czy niemoglibyśmy się zatrzymać?

- zaczęła goblinować.

- Powiem im, że uratowałeś mnie przed Chen - przecież naprawdę uratowałeś mnie i Jacka, czyż nie?

Śnieg padał teraz gęściej niż przedtem, utrudniając widoczność, lecz Lamb nieprzerwanie parł naprzód.

- Mogłabyś powiedzieć FBI, że jestem nowym wcieleniem Jezusa Chrystusa - wydyszał - a i tak wsadzą mnie do więzienia, awiesz, co mi tam robią.

Tego bym nie przeżył.

- Może cię nie wsadzą - wysapała Joanna - jeśli będę zeznawać.
jeśli oboje z Jackiem będziemy zeznawać.

- Jack najpewniej nie żyje.

- Lamb brnął przed siebie naoślep.

- A wcale nie!

- wrzasnęła.

- Proszę cię, Murdoch, puść mnie - bezemnie będziesz szedł szybciej.

- Jesteś moją jedyną nadzieją na wydostanie się z tego piekła, Joanno,
i dobrze o tym wiesz.

- To czysta głupota - nie wiedziałam, że możesz być tak głupi!

- Napoliczkach Joanny zamarzały łyżgniewu.

- A Jack myślał, że jesteś nieprzeciętnie inteligentny.

- W takim razie to kolejny mit, który odszedł na zawsze!

Żadne z nich nie dostrzegło krawędzi platformy, zanim nie zrobiło
się zapóźno.

Lamb pośliznął się, próbował odzyskać równowagę, ale niezdolał i
pociągnął Joannę zasobą.

Spadali niemal bezgłośnie, nadal trzymając się za ręce, dopóki z wielkim
hukiem nie uderzyli w oblodzoną powierzchnię wielkiej, kwadratowej
sadzawki.

Usta i oczy mieli otwarte szeroko z przerażenia.

- O Chryste!

- rzucił Lamb cicho, jakby z nutą zaskoczenia w głosie.

O Chryste drogi!

288

A wtedy świat zamknął się nad nimi.

Krzyk Joanny, pomieszany z trzaskiem pękającego lodu,
poszybował noc.

Uwolniła się wreszcie z uchwytu Lamba, ale teraz dla odmiany tonęła,
walczyła o życie tak samo jak wtedy, kiedy Chen wcisnęła jej zatyczki
donosa, tyle że tym razem nie miała nawet tamtej maleńkiej
strużki powietrza, która by ją uratowała.

Woda była tak ciężka, jak lodowaty ołowiany ciężarek, ściągający ją w dół,
w czerń bardziej atramentową od wszystkich innych, ciemniejszą nawet od
tamtej piwnicy.

I może tak to właśnie wygląda dla Jacka.

Dobry Boże, modliła się, obynie.

Jestem taka zmęczona, pomyślała.

Zniknął gdzieś cały ból, nawet strach już ustępował, przyszło jej do głowy,
że może trzeba przestać walczyć.

Miała nadzieję, że poczucie winy nie zrzuca Jackowi reszty życia.

Coś musnęło ją nagle w tej mrocznej otchłani.

Jakaś twarz, unosząca się tuż przy jej twarzy.

To nie Lamb.

To twarz trupa, rozdęta i upiorna.

Joanna już otwierała usta do krzyku, ale uratował ją instynkt
samozachowawczy, a kolejna fala przerażenia zdołała jej uświadomić, że
mimo wszystko nie chce jeszcze umierać.

Rzuciła się w górę potężnym zamachem nóg.

Miała poczucie, że płuca zaraz jej eksplodują, pracowała więc zapamiętałe
nogami - przedtem myślała, że nie zostało jej już sił, a nagle się okazało, że
ma ich jeszcze trochę w rezerwie, więc wykorzystywała je teraz

zachłannie, prac ze wszystkich sił ku światłu, ku życiu.

Coś jąciągnie, ciągnie za włosy, wlecze do góry.

a potem za kołnierzbłuzyod pizamy.

Głowę miała już na powierzchni, twarz wychynęła z ciemnej wody, Joanna krztusiła się, nie mogła nabrać powietrza dopłuc.

ale to coś, co ją trzymało, nie puszczało, poczuła na twarzy ciepły oddech, więc otworzyła oczy.

I zobaczyła Sophie, swoją ukochaną Sophie, która wlokła ją, zaciskając szczęki na kołnierzu pizamy.

A potem coś jeszcze - czyjeś ręce wyciągnęły ją całkiem z sadzawki, przewróciły na plecy, otuliły, rozgrzewały.

Kiedy znaleźli Murdocha Lamberta, już nie żył.

69

Niedziela, 1 stycznia 1999

Głęboka, mroczna sadzawka na terenie Opus 40 oraz dwie małe polanki w głębi pobliskiego lasu kryły dalsze szczątki - to, co Chen określała

19. Ślepa trwoga

289.

mianem "detrytusu" pracy jej i Lamba.

Także sam dom wzbudził uczuciagrozy u pracowników ekip śledczych, pracujących w nim w nocy z 22 na 23 grudnia.

Żeliwna wanna, w której Chen kąpała swoje ofiary przed śmiercią, używając mydła o zapachu drewna sandałowego.

Pomieszczenie z bardzo drogim systemem wentylacyjnym, gdzie znajdowały się kuchnia gazowa i dwa wielkie garnki, jeden dwudziestolitrowy, drugo połowę mniejszy, wykorzystywane przy niewyobrażalnie obrzydliwej pracy oddzielania kości od mięśni i skóry.

Inne tasaki, rzeźnicze bloki, noże.

Kolejne czarne kombinezony.

No i oczywiście porzucone tao-tieh.

Maska Księcia.

O samej Chris Chen niewiele udało się dowiedzieć: tylko tyle, że była uzależnioną od urodzenia heroinistką, córką nieleczoną narkomanki z San Francisco i że w wieku jedenastu lat zaczęła uprawiać prostytutkę, żeby mieć pieniądze na narkotyki dla siebie i młodszego brata, Kai.

-W jej mieszkaniu na Manhattanie znaleziono w szufladzie jakąś starą książkę - opowiadał Oates Joannie podczas wizyty na ulicy Pięćdziesiątej Szóstej w drugą niedzielę nowego roku.

-Starą książkę o taoistycznych bóstwach, którą Chen i Kai mieli zapewne od dzieciństwa, kiedy mieszkali z matką w burdelu.

Na marginesach są liczne rysunki, z nabazgranymi podpisami:

Kai odlatujący na ośle i Chris, unosząca się nad San Francisco po zjedzeniu

masy perłowej.

- AKsiążę?

-Och, był tam i on, ze swoim dłutemdo kompletu, a także KaijakoMłodzieniec zObłoków, ściągający burzowe chmury.

Donvan nie odezwał się ani słowem.

- Nie studiowali wschodniej mitologii- powiedziała cicho Oates.

- Byli dziećmi burdel-mamyi narkomanki.

Nie miało znaczenia, że wszystkie mity zaczęły im się ze sobą zlewać - liczyło się tylko to, że próbowali w ten sposób uciec do lepszego świata.

Chen jako nastolatka wyjechała z Kalifornii, zabierając ze sobą Kai. Przeprowadziła się do Chicago i ukończyła kurs dla sekretarek, zarabiając na życie tak jak poprzednio, ale troszcząc się przy tym o młodszego brata.

- A mimo to Kai został włamywaczem - zauważyła Joanna.

Oates przytaknął skinieniem głowy.

- I jak udało się ustalić, Chen sama go do tego zachęcała, prawdopodobnie nawet wskazywała mu konkretnie miejsca.

Mówił przecież, że wiedziała, iż Kai jest w domu twoich przyjaciół, Jack.

290

- A więc to była jej wina, że się tam znalazł - rzuciła cicho Joanna.

-A pożar był zupełnie przypadkowy.

- dodał Oates.

-Ale potem ja udzieliłem wywiadu dla "Sunday Times" -odezwał się Donovan - i właściwie powiedziałem mieszkańcom Chicago, że mój pies był ważniejszy od Kai.

- Nic o nim nie wiedziałeś, Jack- zaproponowała Joanna, nie po raz pierwszy.

Kai zginął, a Chen obarczyła winą Jacka Donovana.

Przyczaiła się czekała, zaznajamiając się z jego światem.

Kiedy zobaczyła ogłoszenie o posadzie w szkole, zgłosiła się i została przyjęta.

- Bez Lamba nie zdołałaby tego przeprowadzić - ciągnął Oates.

- Najpewniej sam pomysł przyszedł jej do głowy, dopiero gdy dowiedziała się o jego fascynacji kośćmi.

- No i kiedy spostrzegła, że Lamb kocha Jacka - dodała cicho Joanna.

- Chcesz wiedzieć, co myślę o Lambie?

- zapytał Donovan Oates.

- Czemu nie?

- Możesz i kochał, ale przede wszystkim pragnął dla siebie tego, co ty miałaś.

Aty mu to oddawałaś.

Przyjąłeś go, pozwoliłeś mu pracować z sobą, dałeś dom i przyjaciół.

Wtedy Chen poraz pierwszy przyniosła Lambowi kości, a ty w niego wierzyłeś, no i te rzeźby odniosły taki wielki sukces.

- Z powodu tych kości - odparł Donovan.

- Z powodu twojego talentu - sprzeciwiła się Joanna.

Potrząsnął przecząco głową.

- Założę się, że Lamb był przekonany, że to z powodu tych przeklętych kości - mówił Oates - co musiało jeszcze bardziej go wkurzać, bo ty zyskałeś rozgłos i pochwały.

'- Myślałeś, że to skromność, kiedy nie chciał się zgodzić, żebyś ujawnił jego współudział - dorzuciła Joanna - a on po prostu się bał, że go złapią.

- A obawy Lambasprawiły, że Chen mogła go bardziej wykorzystywać -dodał Oates.

Po opuszczeniu Kingston Hospital Joannaprzebywała w mieszkaniu Jacka, a on i Sophia pojawiali się u niej, kiedy tylko pozwalało na to toczące się śledztwo.

Gilead Farm, szkoła oraz mieszkanie na Manhattanie zostały dokładnie przebadane przez agentów FBI, detektywów i ekipy

291.

laboratoryjne, a każdy z oryginałów Donovana w piwnicy rozbito w poszukiwaniu szczątków kości i dowodów.

Nie pozostał przy życiu nikt, kogo można by skazać za tę serię morderstw, a świadków, którzy potwierdziliby niewinność Donovana, było aż nadto, niemniej Jack musiał stawić czoło obrzydliwemu śledztwu, podczasktórego rozgrzebywano jego życie i pracę z kilku ostatnich lat. Podczas niekończących się przesłuchań agencji i policjanci prosili go, by opisał najdrobniejszych szczegółach powstanie każdej ze stworzonych na ludzkich szczątkach rzeźb, od pierwszej koncepcji do momentu ukończenia.

Donovan dowiedział się wszystkiego o każdej z ofiar Lambai Chen, atakże uparł się, by poznać ich rodziny i wziąć udział w uroczystościach religijnych, podczas których modlono się w intencji zamordowanych.

- Nikt cię za nic nie wini - powiedziała Joanna po ostatnim z pogrzebów.

- Ja sam się winię - odparł Donovan.

Leżeli w jego łóżku, Sophia wyciągnęła się na podłodze nieopodal. Dochodziła czwarta rano, żadne z nich jednak nie mogło spać.

- Rozumiem twoje argumenty - perswadowała Joanna - ale się mylisz.

- Nie mylę się - odrzekł.

Zdecydowała, że nie wniesie oskarżenia przeciwko Mel Rosenthal zajej na pół nieumyślny współudział w porwaniu - agentkę i tak gnębił niesłychane poczucie winy, nie było więc sensu włóczyć jej po sądach zacoś, co zrobiła w przyływie paniki - ale podczas kilku krótkich

spotkań,

do jakich doszło między nimi po tamtej nocy, Mel wyraźnie nie śmiała spojrzeć Joannie w oczy.

- I dobrze - oznajmił Oates.

Choć Donovan był wściekły na Mel bezpośrednio po tamtych wydarzeniach, w końcu ten gniew przeistoczył się u niego w poczucie winy.

Agentka była prosto kolejną z jego ofiar, to on stał się sprawcą jej cierpienia.

Wszyscy po kolei usilnie starali się go przekonać, że jest całkowicie niewinny, lecz nikomu nie wierzył.

To, że nie wiedział, co się dzieje wokół niego, nie oznaczało, że jest niewinny.

Zanim poznał Lamba i Chen, był dobrym, uznanym i cenionym rzeźbiarzem, ale odkąd Lamb zaczął przynosić swoje ohydne podarunki, a on sam nagle wywindował się na szczyty świata artystycznego, nigdy nie przyszło mu do głowy, aby za

stanowić się nad przyczynami tego gwałtownego sukcesu.

Podobnie jak nigdy nie kwestionował faktu, że otacza się ludźmi, którzy wyraźnie go adorują.

- Może nie jestem winien tych morderstw - mówił Joannie i pozostałym.

- Ależ awiniłem jak wszyscy diabli, pozwalając, żeby w ogóle doszło do takiego koszmaru.

- A to dlaczego?

- zapytała Mel, choć wcale nie była pewna, czy chce wiedzieć.

- Z powodu własnej próżności -odparł.

- Zachłanności.

Itego rodzaju ślepoty, która nie ma nic wspólnego z oczami.

Joanna oczekiwała, że Jack popadnie wotępienie alkoholowe, lecznic takiego nienastąpiło.

Przeciwnie, odnosiła wrażenie, żeDonovan pije mniej niż zazwyczaj.

- To byłoby za łatwe - oświadczył.

-Masz w sobie więcejsiły, niż sam to przed sobą przyznajesz.

- Siły?

- rzucił cynicznie.

-Tak to nazywasz?

Rozpoczęły się serie długich debat prawnych i etycznych - w prasie i telewizji - w sprawie tego, co powinno się stać z brązowymi odlewami fatalnych rzeźb, które sprzedano na całym świecie za ogromne sumy.

Ponura prawda przedstawiała się tak, że paskudna przeszłość czasem tylko dodaje wartości pieniężnej.

Jeśli chodzi o samego Donovana, jego praca stała się przedmiotem powszechnego obrzydzenia, Mel jednak zauważył już z niepokojem nagły wzrost chorobliwych prób naśladowania Jacka pośród mniej utalentowanych przedstawicieli świata artystycznego, pragnących się pochwalić tym samym.

Szkółę zamknięto, warsztat Donovana zlikwidowano, a Gilead Farm wystawiono na sprzedaż.

Kiedy się dowiedział, że miejsce, które uważał za swój twórczy, było w istocie siedliskiem zepsutego do szpiku kości mikroświatka, którego

centrum stanowił onsam, nie miał ochoty tam zostać.

- Czas, żebyś wracała do domu - oznajmił Joannie, gdy zastała go' pijącego herbatę w salonie po jednejz bezsennych nocy w ostatnim tygodniu stycznia.

-Co chcesz przez to powiedzieć?

- odezwała się nienaturalnie wysokim z zaskoczenia głosem.

- Miałaś wracaćprzed Nowym Rokiem.

Siedziała na kanapie, obok niego ułożyła się Sophia.

Pies nadstawiłuszui pomachał ogonem, czekając, aż Joanna donichpodejdzie.

293.

- Chcesz, żebym wyjechała?

- zapytała.

Odczekał pełne trzy sekundy, zanim odpowiedział:

- Tak.

Usiadła w najbliższym fotelu.

- Dlaczego?

- Sama wiesz, dlaczego.

Rzeczywiście wiedziała, wiedziała o tym już od tygodni, odkąd skończyła mu opowiadać o własnych perypetiach z detektywami prowadzącymi śledztwo i powiedziała, że policja pozwoliła jej wyjechać do domu.

Bardziej niż kiedykolwiek jednak Joanna pragnęła pozostać przy Donovanie, by go pocieszyć i pomóc mu przeżyć ten koszmar, ale Jack ciągle ją odpychał.

Dzielił z sobą mieszkanie i łóżko, lecz już sięw nim niekochali.

Rozmawiali o wielu sprawach, ważnych i drobnych, choć Donovan uparcie odmawiał opowiadania o tym wszystkim, co w nim głęboko tkwiło.

Pewnego dnia Joanna zaprosiła Mel na lunch.

- W ogóle nie potrafię do niego dotrzeć.

- Nikt nie potrafi - odrzekła agentka.

- Boję się o niego, Mel.

Jest taki wyizolowany.

- Jest rozpaczliwie osamotniony, Jo.

- Mel także była bardzo zmartwiona.

- Czuje obrzydzenie i gorycz, a ma zbyt wielkie wyrzuty sumienia, by

móc pracować.

- Pokręciła głową.

- Nie wiem, co można by dla niego zrobić.

Już wtedy Joanna zaczynała sobie uświadamiać, że Donovan nie pozwolił Mel ani nikomu innemu, żeby cokolwiek dla niego zrobili.

Nie pozwolił nawet, by go kochały.

- Przy mnie nie możesz wrócić do normalnego życia - powiedział Joannie w tydzień po tym, jak sprawił jej przykrość swoją sugestią, aby wracała do Anglii.

- A tego właśnie potrzebujesz najbardziej.

Był luty, świat na zewnątrz wyglądał zimno i ponuro.

Jedli śniadanie - a właściwie usiłowali jeść - lecz żadne z nich nie miało apetytu.

Oboje od wielu dni wiedzieli, że zanoszą się na taką rozmowę, rozumieli też, że jest nieunikniona.

Nawet Sophia, która leżała na podłodze, złożywszy nos między łapami, była wyraźnie przygnębiona.

- Potrzebuję cię - szepnęła Joanna.

- Potrzebujesz znaleźć się jak najdalej ode mnie - odparł Donovan.

- Nie wiesz, czego mi potrzeba.

- Sądzę, że wiem.

- Mówił ze smutkiem, ale spokojnie.

- Powinnaś

wrócić do Anglii, gdzie odnajdziesz swój dawny zdrowy rozsądek i jakieś przyzwoite wartości.

Joanna próbowała podnieść do ust filiżankę z kawą, aleręce tak jej drżały, że wreszcie dała spokój.

- A nie sądzisz, że ty mógłbyś mnie potrzebować, Jack?

- Tonie stety nie jest aż takie proste, Joanno.

- Uśmiechnął się smętnie.

- A może powinnobyć?

- Może powinno.

Przyglądała mu się długą chwilę.

Wyglądał teraz znacznie lepiej niż bezpośrednio po tamtych przejściach, odzyskał niecoutraconej wagi, udało mu się nawet pójść do fryzjera i ostrzyć włosy.

Niemniej prawdziwe skutki przeżytej katastrofy wciąż jeszcze tkwiły gdzieś w środku.

- Może oboje moglibyśmy gdzieś wyjechać?

- zaproponowała.

Szukasz ostatniej deskiratunku, zganiła samą siebie.

- Nie nadaję się na towarzystwo.

- Mel mówi, że wciąż cię zapraszają gdzieś do Europy.

- Może kiedyś się tam wybiorę.

Ale nie ze mną, dodała w myślach Joanna.

- Odepchnij mnie dostatecznie wiele razy, Jack, a odjadę.

Jego twarz pozostała nieubłagana.

- Dotego właśnie zmierzam.

Mel tłumaczyła Joannie, że nie mówił tego serio i że obie z Sandrą uważają, iż teraz potrzebuje jej bardziej niż kiedykolwiek.

Pete Szabo natomiast oznajmił, że z jego doświadczeń wynika, iż kiedy

Donovan w przeszłości odpychał ludzi (choć nie było jeszcze sytuacji takiej jak ta), zwykle oznaczało to, że potrzebuje dla siebie przestrzeni i trochę czasu samotności.

- A wtedy jechał do Nowego Jorku - dodała Joanna.

- Zgadza się - potwierdził Szabo.

- Ale skoro ja tam jestem, nie ma miejsca, gdzie mógłby lizać rany w ciszy i spokoju.

- Powiedziałbym, że tak właśnie jest.

Chwilę potrwało, zanim znów się odezwała.

- Nie muszę cię prosić, żebyś się nim opiekował.

'- Nie - odparł Szabo.

- Nie musisz.

Przed wyjazdem zadzwoniła do Toma Oatesa.

- Chyba się cieszę, że wyjeżdżasz - oświadczył.

- Co, ty też?

- zapytała z cierpkim humorem.

295.

- - Z egoistycznych pobudek - wyjaśnił.

- Nie mogę patrzeć, jaka tu jesteś nieszczęśliwa.

-Urwał na chwilę.

- Ale prawdę mówiąc, niczego nie pragnąłbym bardziej niż myśleć, że mogłabyś pozostać z nami i znów dobrze się tu poczuć - a może nawet spotykać się ze mną zamiast z Donovanem.

Joannanic nieodpowiedziała.

- Wiem, że to wszystko jest niemożliwe i godzę się z tym, Joanno.

Awięc skoro masz zamiar wracać do domu, postaraj się odzyskać grunt pod nogami i spróbuj znów być szczęśliwa.

- Będzie wam brakowało, Tom.

- Nawet nie w jednej dziesiątej tak bardzo jak mnie ciebie.

Na ostatnią noc zarezerwowała pokój w hotelu Peninsula, tam gdzie mieszkała na początku.

Zdecydowała się pożegnać z Donovanami Sphią najszybciej jak to możliwe, wiedząc, że przeciąganie sprawy byłoby zbyt bolesne i trudne do zniesienia.

Miała całkowitą rację.

- Nadal czuję, że to jest nie tak, Jack- rzuciła jeszcze w drzwiach, wiedząc, że za chwilę opuści na zawsze to mieszkanie.

- Wiem - odparł.

- Ale wszystko jest tak, jak być powinno.

.Spojrzała mu w twarz i dostrzegła pod gładką powierzchnią głębokie pęknięcia.

Zapra gnęła, by dotknął jej po raz ostatni - wiedząc, że gdyby

to zrobił, chyba nie zdołałabygo zostawić.

- Potrzebujesz mnie - powiedziała.

-Nie zadzwonię.

- A gdybym ja cię potrzebowała?

Nawet teraz trwał nadal w swojej pewności.

- To oddaj sobie przysługę i też do mnie nie dzwoń.

Miała wtedy ochotę go znienawidzić - niepo raz pierwszyzresztą - lecz wiedziała, że to bezsensownei beznadziejne życzenie.

Zbytdobrego rozumiała.

- Czy chciałabyś zostać na chwilę sama z Sophią?

- zapytał.

- Nie, dziękuję - odrzekła.

Już raz pożegnała się z nią tam, w GileadFarm, ale wtedy błyskała jejjeszcze iskierkanadziei, że zobaczą się naManhattanie.

- Nie mogłabym tego znieść, wiesz?

- Wiem- powiedział cicho, a potem dodał: - Przykromi, Joanno.

-Mnie także.

- Melsądzi, że jestem skończonym głupcem.

-Wiem, że tak myśli.

- Podjęła ostatnią próbę.

-Może któregoś dniaprzyjedziesznas odwiedzić.

Mówi się o zniesieniu kwarantanny - mógłbyś wtedy przywieźć Sophię.

296

- Może - zgodził się uprzejmie i otworzył drzwi.

- Alewątępie.

Wyszedł przed nią namały kwadratowy korytarzyk, ściągnął windęi czekał

w milczeniu, aż przyjedzie; pies stał uż przy nim.

Joannatakże

milczała.

- Bywaj zdrów, Jack - powiedziała na koniec.

-Ty także, Joanno -odrzekł.

Oboje mieli sucheoczy, kiedy zamykały się za nią drzwi windy.

I oboje wiedzieli, że to niepotrwa długo.

70

Środa, 13 października

Czas rzeczywiście leczy rany.

Przyniósł też ze sobą kilka zmian.

Donovan jutroprzyjeżdża do Anglii.

Telefonod niego we wrześniu uderzył Joannę zsiłakowalskiego młota.

W ciągu kilku sekund zniknęła całajej z takim trudem odzyskanarównowaga.

Sam dźwięk jego głosu wystarczył, by odezwałosię cośukryte głęboko w jej wnętrzu inapełniło ją falą tęsknoty.

Powiedział jej, że przyjedzie z Szabo; zazwyczaj jeździł teraz wszędziez Pete'em,polegał na nimjeszcze bardziejniż dawniej.

Sophią będzie musiała zostać, bo brytyjskie prawo nie zniosłojeszcze kwarantanny, ale Mel i Sandra z przyjemnością zgodziły się niąopiekować, kiedyon będzie w podróży.

- Czy Sophią ma się dobrze?

- zapytała Joanna,choć dobrzewiedziała, że tak.

- Po prostuznakomicie -odrzekł Donovan.

Wkradła się między nich cisza.

- A zatem -odezwała się wreszcie - czy mogę przyjechać?

- Urwał.

-

A może jest już za późno?

Odpowiedziała tylko jednym słowem:

- Przyjedź.

-Jesteś pewna, że to dobrypomysł?

- zapytała Sara, którą odwiedzi ta jeszcze tego samego popołudnia, żeby przekazać jej najnowszą wieść.

- Właściwie to nie - odrzekła Joanna, używając jednocześnie języka migowego.

- Ale na tyle, żeby pozwolić mu przyjechać?

-Tak.

297.

' - Wiem, jakie uczucia żywisz do Donovana, Jo.

- Sara wyglądała nazmartwioną.

-Tyle czasu zajęło ci dochodzenie do siebie po tym wszystkim.

Nie chcę, żeby znów cię zranił.

- Jateż nie chcę.

-Więc wiesz, że możeto zrobić?

Nie umyślnie, o to nie posądzałabym go ani przez sekundę.

- Wciemnych oczachprzyjaciółki widać było cierpienie.

-Ale może nie zdoła tego uniknąć.

Po wyjeździe zNowegoJorkuJoanna otrzymywała czasem zdjęciaSophii, które robił i wysyłał jej Pete, a Mel informowała ją od czasu doczasu o stanie Donovana.

Sporadycznie zajmował się pracą, mówiła, wynajął jakiś strych w centrum, alenie wkładał serca w to, corobił, więcteż niebyło rezultatów,które mogłaby w jego imieniu sprzedawać.

Po pierwszym szoku życie Joanny po powrocie zaczęło siętoczyć z zadziwiającą normalnością.

Kit, Miriami FredMortonpowitali ją z ogromną serdecznością, a i Merlin Cottage - pocieszającotaki sam - dawał jejtakie samo wrażenie.

Także i praca przynosiła jej błogosławioną ulgę:

kolejne zlecenia na zdjęcia, znów praca na pół etatu w hotelu w Oksfordzie, kolejna ciąża Belli - wszystko razem przynajmniej po części sprawiało, że zapomniała o tym, czego brakuje w jej życiu.

Jack powiedział,że potrzeba jej własnienormalności, a Joanna zaczynała już sądzić, że może miałaćję.

Teraz jednak cała owa pozorna normalność, ta jej sztucznie wypracowana równowaga miała należeć w gruzach.

Bo zapytał, czy może przyjechać, a ona wyraziła zgodę.

A jutro już tu będzie.

71

Czwartek, 14 października

Postarzałem się, choć był w dobrej formie tak samo atrakcyjny jak zawsze, lecz widać było po nim wyczerpanie.

- Powinnaś była pozwolić nam zamieszkać w hotelu - powiedział, kiedy skończyli wspólną kolację, a Pete położył się spać.

- Mówiłam już, że jest mnóstwo miejsca - odrzekła Joanna.

- Kiti.

Miriam podróżują po Kubie i nie mają zamiaru wracać, zanim nie przywitają tamnowego tysiąclecia.

298

- Mimowszystko - oponował, zapalając cygaro - to dla ciebie dodatkowe zajęcie.

- Wolałbyś mieszkać w hotelu, Jack?

- zapytała.

- Jeśli tak, to lepiej, żebyś powiedział mi o tym wprost, mogę zadzwonić i zamówić wam pokoje.

Donovan się uśmiechnął.

- Nie - odrzekł.

- Dobrze mi tutaj.

- Zatem wszystko w porządku, tak?

Zdecydowała się nato jeszcze przed jego przyjazdem.

Nie będzie żadnego mydlenia oczu, chowania głowy w piasek.

Jeśli Jack przyjechał do Anglii tylko jako jej przyjaciel, poradzi sobie z tym i w trakcie jego wizyty będą spali w oddzielnych pokojach.

Jeśli przyjechał w nadziei, że będą kontynuować niedawny związek, gotowa była pomyśleć i o tym.

- Kiedy dzwoniłeś miesiąc temu - zaczęła - spytałeś, czy nie zjawiasz się za późno, a ja powiedziałam, że byś przyjechał, co oznaczało, że nie jest za późno.

- Pamiętam.

- Czy wyczytałam w twoich słowach coś, czego nie powinnam, Jack? Tym razem jego uśmiech wydawał się trochę niepewny.

- Nie wydaje mi się.

W ciągu tygodnia Joanna zdołała się zorientować, że nie przyjechał tylko ze zwykłą wizytą.

Uświadomiła sobie, że próbuje w ten sposób odciąć się od przeszłości i być może zacząć wszystko od nowa.

Przynajmniej wyglądało tak, jakby i jemu czas pomógł się uporać z tym wszystkim, co zaszło.

Nie czuł się ani winny, ani bez winy.

Niech więc tak zostanie.

Czas ruszyć do przodu.

A jeśli ma zamiar zacząć nowe życie, powiedział Joannie pewnego popołudnia, kiedy karmili razem szczeniętaw Żłobku, doszedł do wniosku, że powinien podejść do sprawy w skrajnie egoistyczny sposób.

Wyznał, iż ma nadzieję, że Joanna podziela jego odczucia na temat tego, co zaczęło się między nimi w Nowym Jorku.

- Tak więc pytam cię jeszcze raz: czy nie zjawilem się zapóźno?

Powietrze wypełniło się odgłosami hałaśliwego wyjadania karmy z blaszanych misek.

Joanna wzięła głęboki wdech i sięgnęła po dłoń Jacka.

- Nie wydaje mi się.

Szabozmienił się, nosił teraz dłuższe włosy, odczasu do czasu palił cygara, przywykł do tego, że jest prawą ręką Donovana i jego "oczami". Miał obecnie więcej pewności siebie, jak zauważyła Joanna, i chętniej też wypowiadał głośno swoje opinie.

299.

a- Czy Pete nie ma nic przeciwko naszemu związkowi?

-zapytała pewnej nocy w ciągu drugiego tygodnia ich pobytu.

- Oczywiście, że nie.

Dlaczego pytasz?

Leżeli w tym samym łóżku, które zrobił Philip, ale Joanna nie miała z tego powodu żadnych wątpliwości.

To, że jest tutaj z Jackiem, sprawiało, że czuła się dobrze, podobnie jak dobrze było się kochać po tych wszystkich długich miesiącach pustki.

- Zastanawiałam się, jak może zaeragować, jeśli będziemy to ciągnąć.

-Dlaczego "jeśli"?

Joanna wtuliła się w niego mocniej.

- A więc chcesz to ciągnąć?

-A ty nie?

Żadnego mydlenia oczu, postanowiła.

- Tak, chcę.

-To dobrze.

- Myślisz, że Pete'owi to nie będzie przeszkadzać?

-Nie ma codo tego wątpliwości.

Pod pewnymi względami pierwsze tygodnie Donovaną wśród angielskich krajobrazów wydawały się Joannie lustrzanym odbiciem tamtego pierwszego miesiąca w Gilead Farm.

Ona i Szabo wozili go po okolicy, do Oksfordu i mniejszych miejscowości; dzielili między siebie rolę Lamba.

Ona miała lepsze kwalifikacje, by opisywać swoje rodzime

terytorium, lecz Pete obserwował wszystko ze świeżością i energią, z którą trudno byłoby współzawodniczyć.

A Donovan, jak zwykle, chłonał wszystko, słyszał, rozumiał, wyczuwał i zapamiętywał.

- Jest jak skomputeryzowana bibuła - określiła Sara pewnego dnia tę jejotechnikę.

- Zazdroszczę mu tej zdolności przyswajania.

- Masz swoje własne talenty - przypomniała jej Joanna.

Powiedziała Sarze, że Donovan zapytał, czy na czas swego pobytu mógłby wykorzystywać nieużywany budynek gospodarczy na obrzeżach

Merlin Cottage jako prowizoryczną pracownię.

- To cudowna wiadomość - ucieszyła się Sara.

- Jeśli gotów jest wrócić do pracy, to musi oznaczać, że naprawdę wszystko ma się ku lepszemu, a jeśli praca pójdzie mu dobrze.

Wcale nie potrzebowała kończyć - Joanna wiedziała, że jeśli praca pójdzie dobrze, Donovan może się zdecydować, by zostać w Anglii na dłużej.

A wtedy jedyną jej troską będzie dobro Sophii.

Nadal trwały spekulacje na temat zniesienia kwarantanny, w szczególności w przypadkach wydawano już

300

europijski "paszport dla zwierząt", lecz nadzieje na złagodzenie zasad sprowadzania zwierząt ze Stanów Zjednoczonych wydawały się raczej nikłe.

Tak czy owak, za wcześnie było jeszcze o to się martwić.

Teraz chodziło o szczęście i spokój, o miłość i wzajemne poznawanie się, o zaspokajanie wzajemnych potrzeb.

I niech czas wraz z losem zajmą się resztą.

Mijały tygodnie.

Mel dzwoniła regularnie, wyglądiała dobrych wieści z frontu artystycznego, ale również po to, aby ich zapewnić, że Sophia miewa się doskonale.

Niektóre sprawy, jak sobie wkrótce uświadomiła Joanna, jeszcze nie mogły uległy zmianie. Jack wprawdzie nie zaczął zniknąć na całe dni w pracowni, lecz jego dzieło jak przedtem pozostało pilnie strzeżoną tajemnicą.

Tylko że teraz, rzecz jasna, do sanktuarium dopuszczany był Szabo, nie Lamb; to Szabo jechał z Donovanem do Oxfordu, żeby omawiać szczegóły wykonania pierwszej powstałej w Anglii rzeźby.

- Nie wkurza cię to?

- zapytała ją pewnego późno listopadowego ranka Fred Morton.

- Raczej nie - odrzekła Joanna.

- W każdym razie nie bardzo.

- Jabyś dostała cholery, gdyby któryś z moich facetów tak coś przede mną ukrywał.

Fred dawno już wyszła ze stadium admiracji Donovana jako Harrisona Forda.

Teraz był dla niej jeszcze jednym mężczyzną, ze wszystkimi wrodzonymi przywarami gatunku.

- Można to dlatego, że jestem tu o wiele bardziej zajęta niż w Gilead Farm.

- Albo tylko sobie to wmawiasz - odparła Fred ze swą australijską bezpośredniością.

;

72

Gdy wkroczyli w ostatni miesiąc roku - nadal w tym samym przyjemnym stanie zawieszenia - Joanny nic tak naprawdę nie zdołało wprawić

w niepokój.

Nawet wiadomości "Oxford Mail" dotycząca tajemniczego zaginięcia młodego menedżera z firmy reklamowej zHorton-cum-Studley, który zniknął z własnego domu w połowie listopada.

I nawet to, że dwa tygodnie wcześniej Joanna, Donovan Szabo pojechali do Studley Priory na popołudniową herbatkę i zanim weszli do ho301.

telowej restauracji, Szabo opisał rzeźbiarzowi młodego mężczyznę, stojącego z przyjaciółmi nieopodal.

Pamiętała uwagę, że młody człowiek miał ten typurody, który podobał się Lambowi.

Przypomniało jej się także, że owa uwaga rzucona tak od niechcienia, lekko ją zmroziła.

Lamb, porywacz, dostawca ofiar dla Chen.

Chwila ta jednak minęła nader szybko - była to tylko chwila, nic więcej - więc Joanna wypchnęła ją szybko z myśli, ruszyła za oboma mężczyznami do hotelu i zasiadła do herbaty.

Wszystko zmieniło się pewnego chłodnego, rześkiego wtorkowego popołudnia, kiedy wyszła z Bellą na spacer nad rzekę i wydało jej się, że po drugiej stronie niestrzyżonego żywopłotu z głogu widzi Pete'a Szabo, który wchodził właśnie do pobliskiego lasu.

Joanna odczekała chwilę, żeby się upewnić, czy to on i już podnosiła rękę, aby mu pomachać, już miała go zawołać - gdy na głosie rozmyśliła i schowała z powrotem za żywopłot.

Bella - zawołała cicho, a suka natychmiast posłusznie stanęła przy jej nodze i czekała cierpliwie, kiedy Joanna przypinała jej smycz.

Bella niemalże od szczeniactwa była mądrym i spokojnym psem.

Joanna miała pojęcie, na co czeka i czego wypatruje.

Ani dlaczego się ukrywa.

Widziała Pete'a Szabo przez rzadką zasłonę drzew.

Jak zauważyła, niósł w ręce jakąś torbę, zwykłą, plastikową reklamówkę od Johna Lewisa.

Rozejrzał się dwa razy.

Bynajmniej nie ukradkiem, niemniej odniosła wrażenie, że sprawdzał, czy nikogo nie ma w pobliżu.

Nie widział Joanny.

Bella zaskamlała.

Joanna bardzo cicho nakazała jej: Waruj.

Szabo pochylił się i kucnął nisko, a Joanna widziała teraz tylko podskakujący czubek jego głowy z jasnymi włosami.

Wstrzymała oddech i nasłuchiwała uważnie, lecz wiatr się wzmacniał, a nagie gałęzie drzew poskrzypywały i szeleściły, więc nie mogła określić dokładnie, co robił Szabo.

Wydawało jej się, że kopął.

- Jak ci idzie praca?

- zapytała tej nocy w łóżku Donovana.

- Odstukać w niemalowane - odpowiedział i delikatnie postukał zgiętym palcem w jej czoło.

- Czy będę mogła wkrótce coś zobaczyć?

- Mam taką nadzieję - odrzekł.

Apotem zaczął całować jej piersi, wplątując palce we włosy.

302'

Nie zadawała już więcej pytań, tylko z zaskoczeniem odnotowała, że jej ciało reaguje na jego pieszczoty, choć myślami przebywała w lasach daleko stąd, a w sercu miała lodowatych strach.

73

Czwartek, 16 grudnia

Co dnia, mimo gorączkowego pragnienia, by zapomnieć o tym

wszystkim, Joannawertowała gazety, słuchała programów informacyjnych w radiu, jak również uświadomiła sobie zaskoczeniem, że zaczęła oglądać wieczorami lokalne wiadomości w telewizji. Podejrzała, że to, czego najbardziej pragnęła się dowiedzieć - że młody człowiek zdrowy i cały powrócił do domu - raczej nie nadaje się na sensacyjny materiał.

Gdyby natomiast znaleziono jego ciało, trąbiono by o tym wszędzie.

Albo też gdyby odkryto glinianą rzeźbę z ludzkimi kośćmi w środku.

Powtarzała sobie wielokrotnie, że zachowuje się irracjonalnie i głupio.

Gdyby Szabo chciał się pozbyć czegoś obciążającego czy wręcz potwornego, z pewnością wszedłby głębiej w las, i to w środku nocy, a nie tylko obejrzałby się przez ramię przed rozpoczęciem kopania w biały dzień.

A przecież - tego była niemal pewna - coś w tym lasu ukrył; zakładała, że to, co niósł w tej plastikowej reklamówce.

Myślał przy tym, że nikt go nie widzi.

Mogłabym tam wrócić - powiedziała sobie, nie po raz pierwszy.

Mogłaby pójść tam z łopatą, a może z Rufusem, który jest najlepszym tropicielem wśród jej gromadki.

Mogłaby sprawdzić zawartość torby.

Dowiedzieć się prawdy.

Tylko że tak naprawdę wcale nie miała ochoty jej poznać.

E-mail od Sary przywrócił jej zdrowy rozsądek.

Sara pisała, że niepokoi się z powodu kolejnego ze swych abstrakcyjnych koszmarów o Joannie, więc prosi, by przyjaciółka natychmiast dała jej znać, że jest bezpieczna i miewa się dobrze, a także by jak najszybciej przyszła

ją odwiedzić.

Joanna ułożyła odpowiedź natychmiast zdecydowanie.

Jestem bezpieczna, mieszkam jak najlepiej, najdroższa Saro, i przyjdę Cię odwiedzić najszybciej, jak to będzie możliwe.

Jeśli chodzi o Twój sen, to nie chcę już o nim słyszeć, Ty zaś nie musisz się martwić.

Już się nim zajmuję najlepiej jak po trafię.

303.

Wkrótce po zapadnięciu zmroku ruszyła do tamtego lasu, kiedy Donovan pracował jeszcze w swej zaimprovizowanej pracowni, a Szabo przygotowywał w kuchni kolację.

Włożyła ciemne ubranie i wzięła z sobą Rufusa, latarkę oraz saperkę w starej płóciennej torbie.

Jeśli znajdzieją tam jakiś policjant, pomyślała, trudno jej będzie się wytłumaczyć z tego, co robi.

Nikt jej nie znalazł.

Nikt nawet - o ile mogła się zorientować - jej niezobaczył.

Przez kilkanaście pierwszych minut, kiedy odgarnęła ziemię z plastikowej reklamówki i zajrzała do środka, żałowała straszliwie, że nie posłuchała głosu instynktu i nie zostawiła tej sprawy.

Przerażała ją myśl, że może znaleźć tu kości.

I właśnie kości znalazła.

Opadła ciężko na ziemię, trzęsąc się na całym ciele, Rufus zaskamlał i szturchnął ją nosem.

- Wszystko w porządku - odruchowo uspokoiła psa.

Nic nie jest w porządku.

I już nigdy nie będzie.

Gdzieś blisko trzasnęła gałązka.

Wysoko wśród drzew zerwał się do lotu nocny ptak.

Joanna zmarła.

Jeśli Szabo szedł za nią.

Być może razem z Jackiem.

Serce waliło jej jak młotem, ramiona pokryła gęsia skórka.

Takiego strachu nie czuła chyba od czasu tamtej nocy rok temu.

Ale Rufus nie zawarczał ani się nie zjeżył.

Nikogo tu nie ma.

Tylko Joanna Guthrie, jeden z jej psów oraz zawartość plastikowej reklamówki, którą właśnie wykopała z ziemi.

Może to tylko Szabo działa własną ręką, pomyślała.

Powierzono mu funkcję, jaką pełnił poprzednio Lamb, i zaraził się chorobą tamtej dwójki.

To nie ma nic wspólnego z Jackiem.

Jakoś niezabrzmiało to przekonująco.

Z drugiej strony, nie mogła też uwierzyć, że Jack jest winny, przecież była świadkiem jego wielkiego cierpienia, głębokich przemyśleń i samoobwiniania się po tamtej sprawie.

Odrętwiała, podniosła z ziemi latarkę i jeszcze raz skierowała strumień światła w głąb torby.

Kości zaświeciły białawo.

Trzy-niepołączone.

....

304

Joanna przyjrzała im się uważniej, bo zdjął ją pewien rodzaj ciekawości, odsuwając nieco na bok uczucie grozy, jakie ogarnęło ją tuż po otwarciu torby.

Te kości wyglądały jakoś dziwnie.

Dotknij ich.

Wzdrygnęła się, pełna obrzydzenia.

Musisz ich dotknąć, Jo.

Włożyła rękę do torby i dotknęła.

Och, mój Boże!

Nagły przyływ radości przeniknął całe jej ciało: mimo nocnego chłodu ogarnęła ją fala gorąca; czuła mrowienie w rękach i nogach.

To nie były ludzkie szczątki.

To nie są żadne kości.

To tylko żywica.

- Och, mój Boże!

Joanna wybuchnęła śmiechem.

Siedziała na zimnym dywanie z opadłych liści, naskraju lasu w mroku wczesnego wieczoru.

Niepohamowany śmiech wzbierał w niej jak banieczki szukające ujścia z przykrytego pokrywką garnka na ogniu - dawała w ten sposób ujście wszystkim swoim

lękom.

Aż wreszcie Rufus zaszczekał, sprowadzając ją z powrotem na ziemię.

Musiała się pewnić - była niemal pewna, lecz potrzebowała absolutnego przekonania.

A miała na to tylko jeden sposób

Przez myśl przemknął jej obraz piwnicznego schowka przy ulicy Pięćdziesiątej Szóstej i ręka młodej kobiety pod przezroczystą osłoną.

Śmiech zamarł jej na ustach.

Zrób to.

Wytrząsnęła z torby jedną kość i ujęła w obie ręce.

I przełamała.

Kość skruszyła się, a drobne odłamki i pył pokryły jej czarne ubranie.

- Bogu dzięki - powiedziała na głos Joanna.

Została tam jeszcze przez dłuższą chwilę.

Myślała.

O tym, co ma z nimi zrobić.

Czym są ico mogą oznaczać.

Były to kości zrobione z żywicy.

I w zasadzie były do niczego.

I to właśnie dlatego Szabo je zakopał.

Przypomniała sobie, jak natknęła się na niego w maleńkiej pracowni w Gilead Farm, przypomniała sobie, jak pochwaliła jego rzeźbę, a on skromnie zaprzeczył, mówiąc, że wcale nie jest dobry.

Jest tylko amatorem.

Teraz widziała wyraźnie, że miał rację.

W porównaniu z Donovanem, a nawet Lambem był tylko zwykłym amatorem.

"

305

20. Ślepa trwoga.

I wiedziała już, co powinna zrobić.

Zakopała jez powrotem.

A potem wróciła do domu.

Zostawiła saperkę torbę wstarej cieplarni między Żłobkiem a ogrodem, umyła ręce pod kranem na podwórku, otrząsnęła je starannie - czuła się przemarznięta na wskroś, lecz mimoto tryskała radością - i poszła do Merlin Cottage.

Nikt nie zauważył, jak wieszala kurtkę w korytarzuani jak pochylała się, by zdjąć ubłocone buty, i ustawiała je na gumowej wycieracze, gdzie pozostawiało się brudne obuwie, dopóki go nie oczyszczono.

Nikt nie zauważył, jak obdarzyła Rufusamocnym, pełnym czułości uściskiem, po którympies otrząsnął się i pobiegł przed nią do ogrzanejprzez kuchenkę kuchni.

Jest w domu, beztroska i swobodna.

Joannaruszyła za psem.

- Cześć.

- Szabo wciąż jeszcze uwijał się przy garnkach.

- Coś cudowniepachnie - zauważyła.

-Byłaś na spacerze?

- Zerknął na jej stopyw samych skarpetach.

- Owszem -potwierdziła.

-Na dworze musi się już robić zimno.

- Owszem -odparła iusiadła przy stole.

Cała jejradość gdzieś się ulotniła.

Zostało tylko poczucie winy.

74

Poniedziałek, 20 grudnia

Nie powiedziały tego wieczoru, ani Pete'owi, ani Donovanowi.

Cóż mogła im powiedzieć?

Tyle było spraw, o których nie miała pojęcia.

Przede wszystkim - w jakim celu Szabo wyrzeźbił te kości.

Czy wierzył, że starając się naśladować tę część pracy, którą wykonywał tak błyskotliwie Lamb, zdoła przywrócić karierę Donovanowi do poprzedniego stanu?

A jeśli tak, to czy Jack był tego świadom, czy też Pete pracował w tajemnicy?

Ten scenariusz wydawał się Joannie najbardziej prawdopodobny, ponieważ inaczej Pete nie starałby się ukryć swoich nieudanych prac.

Zakopanie żywcem kości musiało oznaczać, że Szabo był głęboko zawstydzony lub nawet zażenowany - a mówiąc o tym głośno, Joanna osiągnęłaby tylko tyle, że poczułaby się jeszcze gorzej.

A w dodatku rzuciłaby światło na fakt, że według Pete'a Jack Donovan potrzebuje pomocy.

306

Zachowywała milczenie przez całe trzy dni i noc.

Wszyscy w domu zauważyli, że coś jest z nią nie tak.

Jak mogliby niezauważyć, skoro stała się nagle milcząca i nerwowa?

- Czy nie powinniśmy zacząć planować świąt?

- zapytała tej soboty

Fred.

- Nie jestem pewna - odrzekła Joanna.

-Dlaczego?

- Ze względu na ubiegły rok.

-O! - Tylko Fred potrafiła nadać pojedynczej sylabie tak wielki ładunek sceptycyzmu i dezaprobaty.

Joanna pomyślała, że to przynajmniej tylko w połowie kłamstwo. Zaniecałe trzy dni przypadała rocznica tamtej koszmarnej nocy - a potem przez ponad miesiąc każdy dzień będzie dla Jacka przypomnieniem drogi przez piekło.

- Powiesz mi, co jest nie tak?

- zapytał wreszcie Donovan w poniedziałek po kolacji.

Siedzieli w saloniku Merlin Cottage, zupełnie sami jeśli nie liczyć psów, bo Fred i Pete pojechali razem do kina.

"Nic takiego" - miała ochotę odpowiedzieć, tak samo jak reagowała na każde tego typu pytanie w ciągu ostatnich kilku dni.

Alena zdecydowała, by położyć kres wykrętom i kłamstwom, raz na zawsze.

Czy będzie

lepiej czy gorzej.

Zapatrzyła się w płomienie na kominku, myśląc, jakie to idiotyczne, że w końcu to ona ma przednim tajemnicy utrzymanie tego sekretu czyni go mroczniejszym, niż jest w rzeczywistości.

Jedyny ciemny aspekt w tym wszystkim stanowiły tylko jej podejrzenia.

- Widziałeś wszystkie filmy Hitchcocka, prawda?

- zapytała znienacka.

Wyraźnie zdumiało go to pytanie.

- Jasne.

-Próbowałam sobieprzypomnieć, jak sięskończył jeden z nich.

-

Urwała na chwilę.

- Tenz Carym Graniem.

- "Podejrzenie" - podpowiedział.

- Co chciałabyś wiedzieć?

- Skończył się szczęśliwie czy źle?

- Szczęśliwie, jak mi sięwydaje.

-Odczekał chwilę.

- Czy to ci

w czymś pomogło?

-Nieszczególnie - odrzekła.

- To w końcu tylko film.

W kominku przesunęła się płonąca kłoda.

Trzasnęły płomieniei w górę strzeliła mała fontanna iskier.

- A więc l-ta zapytał cicho Donovan.

- Jesteś gotowa, żeby mi ^nasaaSl

307.

- Przez cały czas miała świadomość, że kiedyś w końcu będzie musiałam powiedzieć.

Nie z powodu tego, co zrobił Szabo- nie z powodu tychkości.

Ale z powodu tego, co się z nią działo później - po tym, jak zobaczyła Pete'a zakopującego torbę.

Podejrzenia.

I to nie tylko wobec niego, lecz także wobec Donovana.

Przez ponad tydzień od tamtego wydarzenia Joanna torturowała się własnymi wątpliwościami i lękami.

Nie ufała Jackowi.

I to właśnie było - po tym wszystkim, co się stało - najgorsze.

Skutki tamtej katastrofy nadal głęboko w nich tkwiły.

Nie tylko w duszy Donovana, ale i w jej własnej.

Zwątpiła w niego.

I to właśnie musiała mu teraz powiedzieć.

75

Tego wieczoru upił się do nieprzytomności.

Tak jak poprzednio, na Święto Dziękczynienia ubiegłego roku, uprzedził Joannę z góry, że ma zamiar to zrobić, mówiąc jej nawet, że odkupi wszystko to, co wypije.

I to była najpoważniejsza oznaka chłodu między nimi.

Jeśli Joanna spodziewała się wymówek czy długiej, zranionej ciszy, nic takiego nie nastąpiło.

- Chcesz, żebym cię obwiniał?

- zapytał tuż przedtem, zanim ją poinformował, że ma zamiar się upić.

- Nie wiem- wyznała.

- Sama się obwiniam.

- Nie powinnaś - odparł.

- Jesteś silną, dzielną kobietą, a w zeszłym roku przeze mnie trafiłaś prosto do piekła.

Widziałaś to, co widziałaś, i nie okazałaś się tchórzem, udającym, że nic takiego nie zaszło.

- Ale myślałam.

- Myślałaś, że mogę być mordercą.

- Nie.

- Temu przynajmniej mogła stanowczo zaprzeczyć.

- Tak niemyślałam.

- Myślałaś, że Pete stał się mordercą z mojego powodu, aja jestemna tyle zdemoralizowany, że wolę tego nie widzieć, tak na wypadek gdyby to był jedyny sposób, abym znów mógł się stać sławnym rzeźbiarzem.

Ustp.

drnęły mu w tedy jakby w lekkim uśmiechu, jak gdyby dostrzegłw tej całej sytuacji jakiś zabawny rys, niemniej Joannadobrze wiedziała, jak dalekiemusi to być od prawdy.

- Tak mi przykro, Jack.

Nie wiem, co jeszcze mogłaby powiedzieć.

308

- Nie sądzę, abyś miała jakiegokolwiek powody do odczuwania przykrości.

- Pozatym, że cię głęboko zraniłam - odrzekła.

- Kiedy właśnie zacząłeś wychodzić na prostą po wydarzeniach zeszłego

roku.

- Ale nie zrobiłaś tego rozmyślnie.

- Donovan był bardzo delikatny.

- A jestem przekonany, że w dalszej perspektywie ukrycie tego wyrządziłoby mi większą krzywdę.

- Być może - odpowiedziała.

Zapytał ją wtedy, czy ma w domu dość whisky, aby mógł się upić - i toz pewnością był dostateczny dowód, jak dotkliwie go zraniła.

- Kupiłam skrzyneczkę Jacka Danielsa, kiedy się dowiedziałam, że masz przyjechać.

Obdarzył ją jeszcze jednym z tych swoich smutnych uśmiechów.

- Musiałaś przeczuwać, że będę jej potrzebował.

76

- Podjąłem kilka decyzji - oznajmił jej następnego popołudnia.

Byli w kuchni, zupełnie sami, nawet psy leżały gdzie indziej.

- Myślę, że czas, abyśmy się zbierali do domu.

Joanna poczuła stary, lecz boleśnie znajomy skurcz łerca, który natychmiast rozpoznała.

Żal.

- Czy o tym rozmawialiście dzisiaj z Mel?

- Agentka zadzwoniła tuż podругiej, świadoma faktu, że dziś przypada rocznica tamtej strasznej nocy.

- Wspomniałem jej o takiej ewentualności.

Joanna odczekała chwilę.

- A jak się miewa Pete?

- W porządku - oświadczył Donovan, a po chwili dodał: - Nic mu

nie powiedziałem.

I nie mam zamiaru.

- Cieszę się - odrzekła.

- Kiedy wyjeżdżacie?

- To zależy od ciebie.

- Odemnie?

- Za parę dni święta.

Chciałbym je spędzić z Sophią.

' Żal przybrał na sile.

, .

- Myślę, że będzie wam cudownie.

- Chciałbym je spędzić także z tobą, Joanno.

Wzruszyła ramionami.

- Nie mogła

być w dwóch miejscach naraz.

;

309.

- Wiem, że to tak w ostatniej chwili.

Wtedy dopiero zauważyła, że nachylił się ku niej przez stół, a ta wyczekująca postawa dopełniała napięcia, widocznego na jego twarzy. Żal Joanny nieco zelżał.

- Nie rozumiem - powiedziała.

- A czego?

- Jak możesz nadal chcieć być ze mną - wyjaśniła.

- Powczorajszym.

- Wydawało mi się, że omówiliśmy to już wczoraj - odrzekł.

- Jesteś silna, odważna i byłaś wobec mnie szczerą.

Że nie wspomnę tym, że jesteś piękną, inteligentną kobietą, w której już dawno się zakochałem.

- Urwała chwilę.

- Jak mógłbym nie chcieć być z tobą, Joanno Guthrie?

- Terazona nie mogła wydobyć z siebie słowa.

- Czy przynajmniej o tym pomyślisz?

- Tak - odrzekła słabym głosem.

Powiedział jej, że jest jeszcze jeden powód, dla którego chciałby, aby z nim pojechała.

Mel wspomniała, że znalazła w Connecticut posiadłość, która jej zdaniem mogłaby być odpowiednia do tego, co od dłuższego czasu chodziło mu po głowie.

- A co to takiego?

- zapytała zaintrygowana Joanna.

- Chciałbym stworzyć nową szkołę - wyjaśnił Donovan - dla

niewidomych i innych niepełnosprawnych artystów.

W każdym wieku.

Żal rozwiął się bezślada.

Opanowało ją radosne podniecenie.

- O tak!

- rzuciłacicho.

- Będzie tam mnóstwo miejsca dla psów - dodał.

-Sophii bardzo by się to spodobało.

- Nie miałem na myślitylko Sophii,

Szabo, nieruchomy i milczący w holu, przysłuchiwał się ich rozmowie ztęnym bólem w sercu.

Uświadamiał sobie,co się święci, i przyjął toz, rezygnacją.

Teraz pewnie będą rozmawiać przez dłuższy czas o trudnejdrodze, jaka ichczeka,i jak ciężko Joannie będzie rozstać się z domem.

Ale wiedział,że ona w końcu się zgodzi.

Było to zupełne przeciwieństwowszyskiego, co sobie zaplanował i na co miał nadzieję, i w ten sposóbjego ostatnie posunięcie poszło całkowicie na marne.

Ale on jest cierpliwy.

Wykonał te żywiczne kości właśnie ze względu na Joannę, w tym tkwiła cała ironia losu -wyrzeźbił je specjalnie po to, żeby zobaczyła, jak się ich pozbywa.

Odkąd tamtego listopadowego popołudnia przed hotelem Studl^y Priory rzucił uwagę, że ów młody człowiek ma tyff wo.

c^/, który

spodobałby się Lambowi, Szaboczuł, że przyprawił Joannę o niepokóji uświadonił sobie, że ona nigdy niezrozumie, co powinna zrobić.

Właśnie dlatego wykonał z żywicy te kości.

I to dlatego podążył z nią, kiedy wyszła na spacer z psem i zrobił wszystko, aby zobaczyła, jak je zakopuje.

Wiedział, że Joanna nie zdoła się oprzeć i pójdzie je odkopać i obejrzeć.

A potem -mógł się spokojnie o to założyć- pobiegnie się wypowiadać ze swych podejrzeń przed Donovanem.

Botaką właśnie była kobieta.

Prawą uczciwą.

Był też całkowicie pewien, że zakończy ich związek, że taki brak jej zaufania zniszczy na zawsze ich kruchą więź.

Ale tak się nie stało i widział teraz, że przyjdzie mu borykać się z Joanną Guthrie jeszcze przez

dłuższy czas.

Nie chodziło o to, że jej nie lubił.

Wprost przeciwnie- niemal od samego początku darzył sympatią tę rudowłosą Angielkę.

Tylko że teraz, niestety, stanęła mu na drodze.

Kiedy się dowiedział o tym, co zrobili Lamb i Chen, najpierw był tak samo przerażony i zszokowany jak wszyscy.

Myślał tak wielkim nieuzasadnionym okrucieństwem izłu z początku sprawiała, że robiło mu się niedobrze.

Ale z drugiej strony rozumiał, że jeśli w grę wchodzi miłość, niewiele jest rzeczy, których człowiek nie zdołałby dokonać, gdyby musiał.

Jeżeli ktokolwiek wiedział, ile wycierpiał Donovan po owych

strasznych wydarzeniach, to tym kimś był właśnie Pete Szabo.

Widział całe cierpienie, ból i poczucie winy, które pociągnęły tego wspaniałego człowieka aż na samo dno.

Troszczył się o niego najlepiej, jak umiał, pod wieloma względami przejmując rolę Lamba, został jego prawą ręką i zaufanym ioczym.

Rzeźbiarz potrzebował go bardziej niż kiedykolwiek przedtem, a służenie mu Szabo uważał za swój przywilej i radość.

Czuł wdzięczność wobec losu i był taki dumny, kiedy Donovan próbował wrócić do pracy.

Ale ta praca nie była już taka sama.

Nie mogła być taka sama.

A Szabo rozumiał i czuł jego ból, nadewszystko zaś pragnął mu pomóc.

I to właśnie dlatego zaczął planować ich przyszłość.

Nie był głupcem, wiedział, że nie może równać się talentem z Lambem, na dłuższą metę

jednak nie będzie to miało znaczenia.

Kiedy przerażenie i poczucie winy Donovana ustąpią przed jeszcze gorszym cierpieniem spowodowanym utratą talentu.

Kiedy wreszcie gotów będzie się przyznać, że potrzebuje pomocy.

Pod wieloma względami było to tragiczne, lecz nie dało się zaprzeczyć,

że talent Donovana wzniósł się na wyżyny tylko dzięki Lambowi i

Chen.

311.

Teraz, kiedy Jack pozostał sam, okazało się, że jest niemal przeciętny. Szabo tym wiedział, Mel o tym wiedziała, a i Joanna - kiedy Donovan będzie wreszcie gotów pokazać jej swoje dzieło - także się o tym przekona.

Tylko że dla niej może to nie mieć żadnego znaczenia.

Joanna Guthrie była zwyczajną, godną szacunku kobietą o przeciętnych horyzontach myślowych.

Będzie kochać Jacka bez względu na to, czy jest wielki i powszechnie podziwiany czy też nie.

Nie pojmie, jak pierwszorzędne znaczenie ma sława dla artysty takiego jak Donovan.

Ona może nawet uznać, że przeciętność jest lepsza niż doskonałość - jeśli osiągnięcia tej doskonałości ma być życie innego człowieka.

Szabo przekonał się już, że tak nie jest.

, Donovan w swoim czasie również się o tym przekona.

Joanna z pewnością nigdy nie dojdzie do takiego wniosku.

Ponieważ, koniec końców, nie kocha Donovana tak absolutnie jak on, Pete Szabo.

Prosta prawda przedstawiała się tak, że gdyby te zakopanew lasku kości były prawdziwe, ludzkie, Joanna odwróciłaby się od Donovana.

A Pete nigdy by tak nie postąpił.

Ita właśnie dlatego miał zamiar praktykować swoje nowe rzemiosło - rzemiosło Lamba i Chen.

Sajeszczycy dostatecznie młodzi, on i Donovan, mają czas po swojej stronie. Szabo będzie cierpliwie czekał.

Będzie czekał, obserwował, jak rzeźbiarz jest coraz bardziej niezadowolony, jak rezygnacja przemieni się najpierw w rozdrażnienie, a potem szybko przejdzie w mroczną, nieznosną depresję.

I wtedy Szabo przyniesie mu swój pierwszy dar.

A jeśli Joanna Guthrie wciąż jeszcze będzie wóczas z nimi, to prosto będzie musiała odejść.

Ponieważ wielkość w sztuce jest znacznie cenniejsza od jednej kobiety.

Nawet Donovan będzie musiał w końcu to pojąć.

Koniec..